

# Kochanka

Robin Schone



calibre 0.9.43





Śmierć.

Pożądanie.

Michael nie wiedział, który z tych dwóch czynników sprawił, że wrócił do Londynu.

Siedział i czekał na oba.

Gwar ludzkich głosów wznosił się i opadał. Końce palących się cygar

lśniły czerwonym blaskiem niczym oczy szczurów. Migotały

płomienie świec, lśniły kryształy, klejnoty rzucały połyskliwe blaski.

Kobiety w krzykliwych jedwabnych sukniach, dżentelmeni w

czarnych surdutach i białych kamizelkach snuli się w górę i w dół po

kręconych dębowych schodach; odgłos ich kroków tłumili czerwone

pluszowe dywany.

Wiadomo było, co tych ludzi sprowadziło do tego eleganckiego lokalu.

W „Domu Gabriela” alkohol podawany był w kieliszkach, a pokoje

wynajmowano kochankom.

Z ciemnego, wybitego jedwabiem kąta dobiegał radosny chichot

kobiet.

Michael doskonale wiedział, o czym szepczą mężczyźni skupieni

przy świecach płonących na stołach, w oczekiwaniu na spełnienie

swych żądz lub już ukojeni rozkoszą. Wiedział, z czego śmieją się

nierządnice, popijające taniego szampana.

Michel des Anges.

Michael od Aniołów.

Mężczyzna, któremu niegdyś kobiety płaciły za to, że dawał im rozkosz, a teraz mężczyzna, który musiał płacić kobietom za to, że one dawały mu rozkosz.

- *Monfrere*. - Po jego prawej stronie, jakby znikąd, pojawił się Gabriel. Nie dotknął Michaela; od dawna nikogo nie dotykał. - Ona tu jest.

Michael obrzucił zamyślonym wzrokiem twarz Gabriela.

Jego fiołkowe oczy napotkały uporczywe spojrzenie srebrzystych źrenic mężczyzny.

Gabriel nie spuszczał wzroku z twarzy Michaela. Ale tylko Michael potrafił bez zmrużenia oka znieść widok nieziemskiej urody jasnowłosego Gabriela.

2

„Moje dwa aniołki” - oświadczyła przed dwudziestoma siedmioma laty *madame de maison de rendez-vous*, kiedy uratowała ich przed śmiercią głodową na ulicach Paryża. - „Ten ciemnowłosy dla kobiet. Ten o jasnej czuprynce dla - mężczyzn”.

Mieli wówczas po trzynaście lat i obaj uciekli z domów. Teraz mieli po lat czterdzieści.

I wciąż uciekali od przeszłości.

- Czy jest sama? - zapytał Michael.

- Tak.

Michaelowi ścierpły jądra. W oczekiwaniu. W pełnej gniewu złości.

A przecież nie zasługiwała na to; kobieta przyszła do niego,

szukając tylko satysfakcji seksualnej.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedział cicho Gabriel. - Mogę ją odesłać i nie spotka jej żadna krzywda.

Przed pięciu laty Michael przystałby na to z ochotą.

Przed pięciu laty sądził, że wciąż ma prywatne życie.

Za późno!

Oboje tkwili w pułapce; kobieta - w swej żądzy doznania niebiańskiej rozkoszy i on - w żądzy zemsty.

Na twarzy Michaela pojawił się uśmiech.

Dobrze wiedział, jakie wrażenie wywiera na kobietach jego uśmiech - pomarszczona bliznami, ciemna twarz bardziej odpychała, niż budziła sympatię.

Był to uśmiech całkowicie pozbawiony ciepła.

- Przesadzasz, *mon vieux*. Wystarczyło, że popatrzyła mi w twarz, by nabrać ochoty na szybki numer.

- Nie przyszła tu bezmyślnie. - W głosie Gabriela zabrzmiały ostre nuty. - Jej prawnik z pewnością uprzedził ją, czego może się spodziewać.

Jak ktokolwiek był w stanie przygotować kobietę na to coś, czym obecnie był?

Czy to możliwe, by jakakolwiek kobieta mogła go pragnąć, wiedząc, kim naprawdę jest?

- Gabrielu, czy dlatego nigdy się nie poddałeś? - zapytał cierpko. -

Bo zawsze wiesz, czego się spodziewać?

- I tak niech już zostanie. - Na pozbawionej wyrazu twarzy Gabriela tańczyły cienie. Trudno było z niej cokolwiek odczytać. - Ale we dwójkę zawsze znajdziemy jakoś inne wyjście.

3

Lecz nie było innego wyjścia. Mieli je dwadzieścia siedem lat wcześniej.

Michael beznamiętnie rozważał konsekwencje swego planu. I doskonale wiedział, że nikt i nic go nie powstrzyma przed tym spotkaniem.

Życie kobiety w imię zemsty.

Zabił już sześć. Cóż znaczy jeszcze jedna!

- Wskaż jej mój stół. Gabriel znieruchomiał.

- Michael, naprawdę tak ci zależy na kobiecie?

Michael z trudem zapanował nad przeszywającym go bólem.

Tak, bardzo mu zależało.

*Madame de maison de rendez-vous* ofiarowała mu dar wykupienia.

Pokazała, jak zapomnieć o zgrozie dzieciństwa w zapachu i smaku kobiet. Dzięki nim mógł uzyskać jeśli nie spokój, to przynajmniej ukojenie w rozkoszy.

Teraz nawet dziwki kurczyły się pod jego dotykiem.

Nie mógł już dłużej znosić życia, jakie musiał prowadzić przez ostatnich pięć lat, uwięziony w ciele, które sprawiało, że po jednym zdarzeniu jego życie stało się nie do zniesienia.

Wolałby umrzeć, a zarazem pociągnąć za sobą do grobu człowieka

za to wszystko odpowiedzialnego; odpowiedzialnego za życie, w którym kobiety, które stać na taki luksus, płaciły mu za rozkosz, płaciły za każdą noc.

- A tobie nie, Gabrieliu? - zapytał Michael, spoglądając na niego nieruchomo.

Może był to podmuch powietrza, który sprawił, iż płomienie świec zamigotały. A może tylko ruch sukni prostytutki, która wstała ze swoim klientem od sąsiedniego stolika. Nadszedł ich czas. Nadszedł czas Michaela.

Gabriel nieoczekiwanie zniknął w cieniu. Niebawem jednak pojawił się w łukowych drzwiach; jego jasnoblond włosy lśniły wokół głowy niczym aureola. Towarzyszająca mu kobieta miała na sobie powłóczysty, wieczorowy płaszcz. Jej głowę spowijał dyskretnie kaptur.

Strój był wytworny. Drogi. Miał raczej skrywać, niż ukazywać okrytą nim osobę.

Z pewnością nie był to strój prostytutki. Stała niepewnie w progu, jakby wahała się wejść do domu, w którym każdy mógł zaspokoić swe najdziksze żądze i pragnienia.

4

Przyjemność. Ból.

W „Domu Gabriela” wszystko było dozwolone. Wzbudziło to niepohamowany gniew Michaela, gorętszy niż palący boleśniej niż największe płomienie.

Ogień nie zawsze zabija. Nie popełni znów tego samego



błądu.

Jego nieokiełznana męskość stwardniała w oczekiwaniu na nadchodzącą noc.

Pamiętał, jak to jest leżeć z kobietą, której się pożąda.

Wyobrażał sobie, jak będzie tej nocy z tą kobietą.

Nic nie mogło go powstrzymać przed sprawieniem kobiecie rozkoszy. Umiał każdą częścią swego ciała doprowadzić ją do Orgazmu.

Ustami. Językiem. Zębami. Dłońmi i palcami. Przyrodzeniem.

Mógł wykorzystać to wszystko jednocześnie, doprowadzając kobietę do jeszcze większej ekstazy.

Pocałunki, które paliły. Język sprawiający udrękę. Zęby doprowadzające do rozkoszy przekraczającej już nawet granice bólu.

Pieszczoty

delikatne

jak westchnięcie. Zniewalające palce,

zapuszczające się w głąb po uprzednich, głębszych wejściach członka.

Na Boga, pragnął zemsty, ale jeszcze bardziej pragnął dawać kobietom rozkosz.

Michael nie ruszył się z miejsca, kiedy kobieta zatrzymała się przy jego stoliku.

Jej twarz stanowiła jedynie jasną plamę pod ocieniającym ją kapturem.

Poczuł utkwiony w sobie wzrok nieznajomej; przez ostatnich pięć lat wszystkie niewiasty spoglądały nań w taki sam sposób.

Michael ani przez chwilę nie wątpił, że kobieta bacznie go obserwuje.

Poczuł palenie na prawym policzku, jakby dotknął go język kochanki.

Zesztywniał, ogarnięty zgrozą, chciał w pierwszym odruchu zawołać: „To nie ja, nie jestem Michelem des Anges”.

Przez ulotną chwilę nie był mężczyzną, któremu kobiety płaciły za to, że uprawia z nimi miłość.

5

Zwalczając odrazę, która kazała mu odwrócić twarz od natarczywego spojrzenia, pozwolił, by nieznajoma dokładnie przestudiowała wszystko to, co miała otrzymać za dziesięć tysięcy funtów - kwotę, którą zaproponował mu jej prawnik w zamian za miesiąc usług.

Otaczał ich zmieszany szum kobiecych chichotów i męskich, pełnych podniecenia i oczekiwania głosów. Dobijano targów, stawiano warunki.

Michaelowi łomotało w skroniach, hipnotyzowała go migotliwa gra światła i cienia. Pod czaszką przemykały mu obrazy jak w latarni magicznej: młodziutka dziewczyna zanosząca się śmiechem; nie mogąca złapać tchu dama w średnim wieku. Wiły się robaki.

Podrygiwały piersi.

Śmierć.

Pożądanie.

Kiwające przyzywająco rękami, czekające.

- *Monsieur des Anges*?

Raptownie zakończyła się chwila oczekiwania.

Jakby nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia, rzucane od sąsiednich stolików - na zachwycającego, o anielskiej urodzie i przyciągającego wzrok wszystkich kobiet Gabriela, oraz na przerażającego wyglądem Michaela - kobieta zajęła miejsce na krześle, które podsunął jej Gabriel; zaszeleścił jej płaszcz, zatrzeszczało drewno.

- Witam, *monsieur des Anges* - powtórzyła niskim, niebywale uwodzicielskim głosem. - Jak się pan ma?

W padającym na jej oblicze świetle świec dostrzegł zdecydowany zarys podbródka i krągłe policzki. Jej zdenerwowanie, mimo pozornego spokoju, było wyczuwalne. Michael skutecznie zapanował nad swoją seksualnością, która przyniosła mu w dwóch krajach fortunę.

Prawnik kobiety oświadczył, że kontrakt będzie obowiązywał dopiero od chwili, kiedy Michael przejdzie pozytywnie test pierwszej schadzki.

Ale ona mogła w każdej chwili uciec. Wtedy będzie ją ścigać.

Nie zamierzał brać jej siłą.

Pragnął, by go pożądała.

Tak bardzo tego pragnął, że na samą myśl ogarniało go gwałtowne

wewnętrzne drzenie.

Michael mówił spokojnie, ze swadą, jakby nie było ostatnich pięciu lat, podczas których nie siedział z kobietą przy takim stoliku. Jakby od chwili, kiedy po raz ostatni kobieta spojrzała mu bez strachu w twarz, nie upłynęło pięć lat.

- Czy lubisz szampana... *madame!*

- Nie jestem mężatką, *monsieur*, jeśli o to ci chodzi. Doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Nazywała się Anne Aimes i miała trzydzieści sześć lat. Była zwykłą pozbawioną urody starą panną z jasnobłękitnymi oczyma i lekko siwiejącymi włosami ni to ciemnoblond, ni to kasztanowymi.

Nikt się nią nie interesował. Nikt za nią nie tęsknił, nikt do niej nie wzdychał.

Nikt jej nie pragnął; nikt z wyjątkiem Michaela.

- To bez znaczenia, czy masz męża, czy nie - odparł szczerze.

- Chyba... tak. Dziękuję... Uwielbiam szampana.

W powietrzu aż iskrzyła świadomość, że jej delikatna i wrażliwa kobiecość różni się od jego twardej i pełnej buty męskości.

Siedzący za jej plecami Gabriel machnął ręką i znów zatopił się w ponurych rozmyślaniach o swej pełnej cieni przeszłości. Natychmiast pojawił się mężczyzna przybrany w czarny, szyty na miarę frak, pod którym widniała karmazynowa kamizelka. Wysoko nad głową niósł na tacy dwa kieliszki i butelkę szampana w srebrnym, wypełnionym

lodem kubełku.

- Obsługę mają tu znakomitą- zauważyła kobieta formalnym, uprzejmym tonem.

Michael zastanawiał się chwilę, czy jego towarzyszka zdaje sobie sprawę z tego, że kelner zarówno podaje do stołów, jak i służy gościom swym ciałem.

Zastanawiał się też, czy okaże się równie sztywna i formalna w jedwabnej pościeli.

Zastanawiał się jeszcze, jak długo będzie grać swą rolę, aż odraza każe jej krzyczeć w nocy z rozkoszy.

Na jego twarzy pojawiło się lekkie, pełne goryczy rozbawienie.

- „Dom Gabriela” przykładą wielką wagę do doboru personelu - wyjaśnił.

Lekkim skinieniem ręki odprawił kelnera, który właśnie zamierzał napełnić szampanem kieliszki. Ujął w prawą dłoń smukłą szyjkę

7

butelki, lewą natomiast podniósł kryształowy puchar. Celowo trzymał na widoku obie ręce. Chciał, żeby i kobieta zobaczyła to, co on codziennie oglądał.

Jeśli nie zniesie widoku jego naznaczonej skóry - ciała oszpeconego czerwonymi i białymi pręgami, biegnącymi od opuszków palców do nadgarstków - nie zniesie również ich dotyku.

Podążała wzrokiem za jego ruchami, wodziła spojrzeniem po jego dłoniach, od paznokci po białe mankiety koszuli, wystające z

rękawów czarnego fraka.

Teraz powinna z niesmakiem odwrócić głowę tak, jak czyniły to inne kobiety, ze współczuciem i żalem. Z odrazą. Ze zmarszczeniem czoła.

- Poparzyłeś się?

Palce jego prawej dłoni zacisnęły się na szyjce butelki. Oszronione szkło sprawiało wrażenie, jakby wykonano je z rozpalonego do żaru piasku. Wspomnienie jego pełnego bólu krzyku, mieszającego się z krzykiem przeżywającej ekstazę kobiety.

- Poparzyłem - odrzekł krótko bezbarwnym głosem.

Sam się dziwił, że jego nalewające szampana dłonie nie drżą.

Napiął mięśnie i z wysiłkiem podał kobiecie kieliszek z musującym trunkiem. Czekał, czekał...

Na cud, który położy kres jego niekończącej się zgrozie.

Na kobietę, która go zapragnie, a on będzie jej to wynagradzał, będzie ją brał i brał... bez końca... niezmordowanie.

Po grzbiecie przeszedł mu zimny dreszcz. Mało nie wypuścił z dłoni kieliszka z szampanem na jedwabne rękawiczki klientki.

Od pięciu lat żadna kobieta nie dotknęła jego dłoni. Nawet zawodowe kurwy wolały, żeby dźgał je swoim wojownikiem, niż dotykał palcami.

Najwyraźniej to, co zobaczyła, nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Przechylając wdzięcznie głowę, wypiała szampana... złocisty trunek musował w cieniu rzucanym przez jej kaptur... i

odstawiła puchar na stolik.

- Dlaczego nazwałeś się Michel... des Anges?

Pytanie to sprawiło, że natychmiast stał się czujny. Od niepamiętnych czasów był Michelem. Dlaczego jeszcze go nie odrzuciła?

Michael zamrugał zalotnie długimi, czarnymi rzęsami, tak jak

8

podczas terminowania u *madame* opiekunka perfekcyjnie wyuczyła go tej sztuczki.

- *Voir les Anges* - mruknął tajemniczo, zastanawiając się, jak daleko może się jeszcze posunąć, jak bardzo będzie to *risque*.

Niektóre kobiety lubiły szczere, soczyste rozmowy o seksie, inne wolały używać subtelnych eufemizmów.

Ale Michael nie rozumiał tej starej panny.

Podczas rozmowy ostrożnie dobierała słowa, jakby edukację francuskiego zakończyła w połowie szkoły podstawowej.

- Chciałeś zobaczyć anioły? - spytała.

- Nie, to ja pokazuję anioły - odparł jedwabistym tonem, uważnie obserwując jej reakcję. - Po francusku wyrażenie to oznacza orgazm.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. A zatem nazwałeś się tak, ponieważ potrafisz doprowadzić się do orgazmu?

Zwlekając z odpowiedzią, zajął się dolewaniem sobie szampana.

Wsuwając z impetem na sztorc do kubelka butelkę - zupełnie jakby był to jego fallus, a kubelek jej waginą- popatrzył na kobietę kpiącym

wzrokiem.

Zostałem tak nazwany, *cherie*, ponieważ z łatwością

doprowadzam do orgazmu kobiety.

Popatrzyła na niego z nagłym zrozumieniem. Miała ogromne

potrzeby. A on mógł je zaspokoić.

Seks był fascynującą grą. Bardzo niebezpieczną. Mógł bez reszty

wciągnąć w swe otchłanie nawet niezbyt atrakcyjną starą pannę. Jeśli,

naturalnie, pozwoli sobie na to. I Jawiła się nóżką kieliszka.

Miałeś wiele kobiet. Nie było to pytanie.

Tak. Najpierw we Francji, później w Anglii. I każdą doprowadziłeś

do orgazmu? Wróciły nagle echem wszystkie minione uniesienia, o

których nie potrafił zapomnieć. Każda z kobiet, gdy osiągała szczyt,

krzyczała inaczej.

- Każdą- odparł, obejmując dłonią kieliszek, jakby była to kobieca

pierś. - Każdą i zawsze.

Na jej dłoń prysnęło kilka kropel płynu. Na szarej rękawiczce

pojawiła się ciemna plama.

- Jestem dziewicą.

Jezu! Jezu! Tego nigdy by się nie spodziewał!

Była klasyczną starą panną, ale z pewnością musiała kogoś mieć.

Kolegę w dzieciństwie, z którym tego spróbowała, chłopca, którego

9

bardziej interesowało zgłębienie tajemnicy dziewczynki niż ona sama.

Któregoś z lokajów, stajennych... kogokolwiek.



Michael nigdy nie posiadał dziewicy.

- Dlaczego? - warknął Michael terazniejszy, nie tamten Michel, który nigdy nie sypiał sam.

Dlaczego jakaś kobieta chciałaby oddać dziewictwo komuś takiemu jak on?

Dumnie wyprostowała głowę; w jednej chwili przeszły jej erotyczne chimery.

- Słucham...? Nie rozumiem.

Pochylił się w jej stronę. Oczy zamieniły mu się w szparki. Płomień świecy prawie opalał mu włosy.

- Każdy kawaler w tym lokalu poślubiłby cię za tysiąc funtów. Trzy stoliki dalej siedzi przewodniczący Izby Gmin. Naprzeciwko siebie masz barona Stinesburga. Dlaczego to robisz? I to ze mną?

Płonęły świece. W ich blasku widział jej cienki nos i zaciśnięte, blade wargi, które nigdy nie były ani pełne, ani cienkie.

- Być może dlatego, *monsieur des Anges*, że widziałam w życiu zbyt wiele śmierci, by zmyliło mnie kilka blizn. Być może chcę zobaczyć anioły...?

Michael stracił na chwilę oddech.

Śmierć.

Pożądanie.

Zatoczyły pełne koło.

Ta kobieta nie zasługiwała na taki los.

Ale przed nią nie było innej takiej jak ona. Z rozmysłem odstawił

kryształowy kieliszek i położył dłonie na białym obrusie stolika.

- Będę cię pieścił tymi dłońmi - powiedział. - Będę wchodzić tymi palcami w twoje ciało. Możesz mi uczciwie powiedzieć, że nie będzie cię brzydził ich dotyk?

Świeca skwierczała. Kobieta przechyliła głowę.

- Mój panie, nie mówię, że nikt nigdy nie wsuwał palców w moje ciało. Mówię tylko, że nikt ich nie wsunął tak głęboko, jak chcę, abyś zrobił to ty.

Michael wcale nie pragnął kobiecej niewinności.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co wydarzy się, gdy wezmę cię do łóżka?

10

- Gdybym nie wiedziała, toby mnie tu nie było.

Ogarnął go pełen zawiści podziw.

W Anne Aimes tkwiła ogromna siła, siła zrodzona z niewiedzy.

Zapewne nie zdawała sobie sprawy z przyjemności, jaką da mu, ani z siły orgazmów, jakich dzięki niemu zazna.

Jeszcze nie jest za późno. Wciąż jeszcze możesz odejść - powiedział.

Sam nie wiedział, skąd wzięły się jego słowa i skrupuły. Być może istniały w nim od zawsze, od chwili, kiedy mógł jeszcze zostać normalnym człowiekiem, jakim powinien być.

Ale wiedział też, że sam siebie okłamuje.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że nie pozwoli jej odejść tej

nocy. Przypiętowała swój los, kiedy przysłała doń swego  
prawnika, który przerwał jego wyrok pięcioletniej wstrzemięźliwości.

Wyprostowała ramiona spowite szarym jedwabnym płaszczem.

Nie zamierzam zmienić zdania - powiedziała z dumą.

Michael nagle wyobraził ją sobie nagą, bez płaszcza, bez ubrania.

Odkryte piersi, rozchylone szeroko uda, krzyk najwyższej rozkoszy.

Podniecenie, które tak skrupulatnie skrywał, ogarnęło bez reszty  
jego ciało.

Anne od razu wyczuła jego nastrój. I odpowiedziała bez chwili  
wahania.

Nie była ładna, i przysła do niego wyłącznie po to, by dał jej rozkosz.

Ale on nie potrzebował ślicznotki.

Anne Aimes pragnęła go.

Mimo jego oszpeceń.

A to już było bardzo dużo.

Nie zawiedzie jej. Przez wyznaczony czas będą ze sobą, a on stanie się

Michelem, który pokazuje kobietom najcudowniejsze anioły; nie

Michaelem, który zwiastuje im śmierć.

- Miesiąc. Jeden miesiąc rozkoszy - powiedział. Przesunął kieliszek  
do podstawy ciężkiego, srebrnego lichtarza. – Uczynię wszystko, co  
zechcesz. I tyle razy, ile zechcesz.

Otarła wargi serwetką. W kąciку ust mignął jej koniuszek języka.

- I

właśnie

za

to

ci

płacę,

*monsieur*

des

Anges.

Na ustach Michaela pojawił się lekki uśmiech.

Anne Aimes dopiero niedawno stała się kobietą majątną. Teraz

musiała jeszcze zrozumieć, że nie zdoła za pomocą samych pieniędzy

11

kierować mężczyznami.

Nimi kierował seks.

Kierowała żądza zemsty.

Ale z całą pewnością pieniądze zapewniały spełnienie obu tych

dążeń.

- Zapewniam cię, *cherie*, że ani przez chwilę nie zapominał, za co mi

płacisz.

Wstał i wyciągnął do niej dłoń.

Kobieta wahała się przez sekundę, po czym przyjęła jego rękę.

Ogarnęło go uniesienie, a następnie taka żądza, że prawie ugięły się

pod nim kolana.

Poprowadził ją wzdłuż oświetlonych blaskiem świec stolików. Dbął

o to, by twarz jego towarzyszkę osłaniał kaptur, podczas gdy on sam

dumnie prezentował twarz stałym bywalcom przybytku, których

narzeczone, żony i córki posuwał nieraz.

Następnego dnia do najdalszych granic Anglii dotrze wieść, że Michel des Anges wrócił. I pomimo straszliwego oszpecenia kobiety nadal korzystają z jego usług.

Anne Aimes stawiała gwałtowny opór, gdy zrozumiała, dokąd ją prowadzi.

- Powiedziano mi, że na piętrze są pokoje, gdzie będziemy... razem.

Tak, były tam takie pokoje. Bardzo bogate pokoje, wyłożone lustrami i wyposażone w sprzęt, który służył zaspokajaniu wszelkich żądz zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Michael nie zamierzał jednak na pierwsze spotkanie prowadzić swej kobiety do jednego z owych pokoi. Przynajmniej tyle In i jej winien.

Zgrabnie ją odwrócił, popchnął w ciemną niszę tuż za łukowym wejściem do domu schadzek i ujął w dłonie jej twarz.

Nie cofnęła się pod dotykiem szorstkiej, pokrytej oparzelinami i skóry jego rąk.

Na zimno, z wyrachowaniem, przyspilił ją swym ciałem do ściany i zaczął ocierać się o biodra Anne krocem.

lej ciało pod ubraniem chronił kobiecy pancerz. Ale ani fiszbinowy gorset, ani pokłady halek nie potrafiły ukryć napęczniałych sutek i zamaskować rozkosznej krągłości gotowego na [wszystko](#) podbrzusza.

Policzki miała delikatne i gładkie jak jedwab... delikatniejsze jeszcze niż jedwab sukni. Kiedy dotknął opuszkami palców jej skroni, poczuł

tętnienie krwi.

Lek.

Wzwód.

Prostytutka nigdy nie oddawała się całkowicie. Zbyt dobrze znała niebezpieczeństwa czające się poza burdelem lub domami schadzek.

Mogła zostać skrupowana. Mogła zostać zgwałcona. Mogła zostać zabita.

Ale Anne nie była prostytutką; była starą panną, dziewicą, która miała ochotę posmakować rozkoszy - lub bólu - których .dostarczyć mógł jej mężczyzna.

Nie wiedziała, że zaufanie wobec nieznanego częstokroć oznaczało śmierć.

Przytulił twarz do jej piersi, napawając się zapachem wonnego mydła i niewinnością Anne. A nade wszystko przebijała wszechobecna, zwodnicza, zadająca męki woń jej pożądania.

Ale pożądanie Anne Aimes nie dorównywało jego żądom... do czasu.

- Musisz mi zaufać - szepnął. - Kiedy skończy się noc, będę znać każdy skrawek twego ciała. Zbadam każdą szczelinę i każdy otwór w twoim ciele. Skoro nie ufasz mi poza tym domem, znaczy, że nie wierzysz, iż doprowadzę cię do rozkoszy. Jeśli mi nie ufasz - całkowicie i bezwarunkowo - wycofam się z kontraktu. Tu i teraz powiemy sobie *aurevoir*.

Kolejne kłamstwa.

Nie mógł jej opuścić.

Nie tej nocy. I nie następnej.

Delikatnie ją pocałował. Żar, jaki ogarnął jego ciało, sprawił, że prawie zapomniał o rzeczywistości.

Był to pocałunek niczym muśnięcie puszku, ciche westchnięcie, pieszczota koniuszkiem języka.

W obojgu zaiskrzyła namiętność, łącząc ich niczym niebieskim łukiem elektryczności.

Jej żądza.

Jego żądza.

Anne pragnęła tę noc spędzić z mężczyzną.

On pragnął zatracić się w kobiecie.

Poczuł, jak ciało pęcznieje mu i twardnieje aż do bólu. Wiedział już, że tej nocy wszystkie potrzeby, i jego, i jej, zostaną zaspokojone.

13

Ciężko westchnęła, jej oddech pachniał słodko szampanem. Przez tę woń przebijała inna - proszku do zębów.

Dziwna rzecz, ale pierś przeszył mu ostry, przelotny ból.

Przed spotkaniem wyczyściła sobie zęby; z lęku, by nie wzbudzić w nim odrazy.

Odsunęła biodra od jego twardej, nabrzmiącej męskości i złożyła ręce pod aksamitnym płaszczem.

*Monsieur des Anges*, zapewniam cię, że nie wycofasz się z

kontraktu. Czy możemy już iść?

Michael puścił ją przodem. Wyszli z wypełnionego dymem cygar,  
bezpiecznego budynku prosto w objęcia chłodnej wiosennej nocy.  
Zastanawiał się, czy za miesiąc wciąż jeszcze będzie go pożądać.  
Zastanawiał się też, czy za miesiąc on będzie jeszcze żyć.



Michel des Anges jakby wypełniał sobą skrzypiącą, podskakującą na kocich łbach dorożkę, zabierał całe powietrze, przywłaszczał sobie całą przestrzeń kabiny. Poprzez płaszcz Anne palił dotyk jego ciała- od biodra do ramienia. Wciąż dobrze pamiętała jego pocałunek; tę palącą pieśczołę czuła zarówno w swych ustach, jak i w całym swoim środku.

Orgazm stanowił żyjącą własnym życiem, ekscytującą obietnicę.

Z każdą kobietą, za każdym razem - zdawały się mówić grzechoczące po bruku koła.

Przed osiemnastu laty uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego spotkała w życiu. Teraz należał do niej, opłacony pieniędzmi, które miały stanowić jej posag.

Anne była w ogromnej rozterce: raz chciała wołać na woźnicę, by zatrzymał pojazd, to znów chciała wołać, by się pośpieszył. Su- mogła już doczekać się nocy spędzonej z Michelem.

Siedzący obok niej mężczyzna mówił tak wytworną angielszczyzną, tak spokojnie i flegmatycznie, jakby był urodzonym Anglikiem.

Ale był to zupełnie inny człowiek niż ten, którego pamiętała.

Poza tymi niewiarygodnymi oczyma koloru fiołków.

Oboje płonęli żądzą; seksualność wprost od nich biła.

- Obiecałeś, że zrobisz wszystko, o co poproszę. I tyle razy, ile będę chciała.

Anne odwróciła wzrok na drzwi dwukołowej dorożki. Do

kabiny wpadało od czasu do czasu przez tylne okno światło mijanych latarni, wyławiając z przygnębiającego mroku wytarte, brązowe obicia.

Popękana skóra ławki skrzypiała przy każdym ruchu kobiety. Anne poczuła na sobie wzrok swego towarzysza.

- Przecież za to mi płacisz.

Ale ona nie wiedziała, o co prosić. Wiedziała tylko, czego pragnie.

Dotyku mężczyzny. Ciała mężczyzny. Pełnej satysfakcji.

- A co... a co, jeśli kobieta nie wie, o co prosić? Co... jeśli nie wie, ile palców pragnie mieć w sobie?

Mówiła nienaturalnie głośno. Jej słowom towarzyszył monotony stukot końskich podków i skrzypiący dźwięk kół. Jej ramię w osobliwy sposób pulsowało, ilekroć ocierało się o ramię mężczyzny.

- To będę wkładać po jednym tak długo, aż sama mi powiesz, że masz już dosyć - wyjaśnił chrapliwym głosem.

Anne zacisnęła uda; ogarnęło ją nieprawdopodobne podniecenie na tak dosadne i bez żadnych niedomówień słowa mężczyzny.

Przypomniała sobie widok jego dłoni spoczywających na białym obrusie. Nie widziała na nich blizn, a tylko nie mające najmniejszego znaczenia skazy, żadnych zmian artretycznych czy rakowatych wybroczyn. Pamiętała jedynie długość jego palców i mięsistość dłoni.

- Ilu palców kobieta zazwyczaj potrzebuje? - zapytała.

- Trzech. Czasem czterech.

Miał długie palce. I dużo grubsze niż jej.

- Z pewnością tyle ich może być niewygodne.

- Przyjemność seksualna nie ma nic wspólnego z wygodą.

Zapewniam cię, że kiedy już będziesz należycie przygotowana, twoje ciało z radością przyjmie tyle palców. Ba... domagać się będzie kolejnych.

Anne robiła wszystko, by zachować kontrolę nad swym oddechem.

A skąd będziesz wiedział, że jestem już należycie przygotowana?

Kiedy będziesz gorąca i mokra - odrzekł bez ogródek. Ależ ja już jestem gorąca i mokra - błysnęło jej w głowie.

- A ile razy możesz... doprowadzić kobietę do orgazmu?

Kiedy zsunął się jej z głowy kaptur, znów ciężko westchnęła, ale nie poruszyła dłońmi, które trzymała ściśnięte na podołku, i nie naciągnęła kaptura na głowę.

Michel nie był już tamtym przystojnym mężczyzną sprzed lat, którego imię brało się z umiejętności doprowadzania kobiet do orgazmu,

15

ale w dalszym ciągu pozostawał, na swój mroczny, niebezpieczny sposób, atrakcyjny i pociągający.

W niej atrakcyjne i pociągające były jedynie pieniądze, jakie posiadała. Lecz mimo tak ogromnej zalety nawet ślepy dostrzegłby pasma siwych włosów - nieubłagane świadectwo jej wieku.

- Ile razy zechce - wdarł się w jej rozmyślania głos Michaela. - Ile razy ty zechcesz, *mon amour*.

Gdy wypowiadał słowa w obcym języku, w języku kraju, którego się wyparł, jego głos stał się bardziej dźwięczny, bardziej melodyjny,

prawie uwodzicielski. Obiecywał kobiecie wszystko, o czym ona tylko zamarzy, obiecywał akty miłosne, jakich stara panna i dziewica nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Proszę, nie mów tak do mnie. Nie jestem twoją miłością. Jestem twoją pracodawczynią.

Była wystraszona.

Wystraszona siłą pożądania, jakie ją ogarniało.

Wystraszona obecnością siedzącego obok mężczyzny.

Tym wszystkim, co mógł jej zrobić, a jeszcze bardziej tym, czego by jej nie zrobił.

Słodki Jezu! Co ja wyprawiam? - przeleciała jej przez głowę myśl.

Jej starzy, schorowani rodzice umarli przed niecałym rokiem. A ona, zamiast nosić po nich żałobę, troszczyła się wyłącznie o zaspokojenie swych cielesnych potrzeb.

Potrzeb nieprzystających starej pannie, żądz, jakie wyznaje się jedynie spowiednikowi.

- Powiedziałaś, że wiesz, co się stanie, gdy wezmę cię do łóżka? -

dobiegł ją szept mężczyzny, a jej ucho owiał jego gorący oddech.

Anne siedziała sztywno, tak jak nauczyła się podczas jednego, fatalnego sezonu, kiedy jako bogata dziedziczka wyjechała do modnego kurortu.

Mężczyźni i kobiety uśmiechali się do niej serdecznie, prawiając

komplementy, a za plecami szydzili sobie

z niej.

Nie chciała, by ten mężczyzna z niej szydził.

- *Monsieur*, jeśli chodzi o mechaniczne aspekty parzenia się, nie jestem zupełną ignorantką.

- Doprawdy? - Coś gorącego i śliskiego musnęło jej ucho. –

A więc opisz mi, *mademoiselle*, co się wydarzy, kiedy wreszcie

16

zabiorę cię do łóża.

Anne przesunęła językiem po ustach, które były suche jak wiór. Jej ucho płonęło okropnym żarem. Co jej uczynił?

- Połączysz swoje ciało z moim.

Jak zwierzęta.

Ale dla zwierząt nie istnieje problem nieśmiałości czy niemożności.

Anne poczuła, że ogarniają ją nieprzeniknione ciemności, nie mające jednak nic wspólnego z mrokiem zalegającym w wąskich londyńskich uliczkach.

Poczuła na włosach i twarzy jego oddech. Odwrócił ją w swoją stronę i mocno objął ramionami.

- Czy widziałaś kiedyś nagiego mężczyznę, *cherie*

Anne powinna dać mu ostrą reprimendę za nadmierną poufałość.

Ostatecznie płaciła mu za rozkosz, a nie za francuskie żarciki i czułe słówka.

Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie głosu.

Nikt dotąd nie zwracał się do niej: „moja droga”, „najdroższa” czy „kochanie” - nawet po angielsku... A co dopiero po francusku...

Rodzice mówili do niej „Anne”. Służba: „panienko Anne”. Wszyscy

inni mówili „panno Aimes”.

Tak już będą zwracać się do niej do końca życia.

Czuła bijący od Michela cierpki zapach cygar, przez który przebijała oszałamiająca woń czystego, zdrowego mężczyzny - woń drogiego mydła i piżma.

- Nie, nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny.

Skłamała tylko częściowo. To, co widziała, to nie był mężczyzna.

- A czy wiesz, jak dogłębnie cię posiadę, kiedy już zanurzę się w ciebie?

Anne nie spuszczała wzroku z dwóch czarnych plam, jakie stanowiły jego oczy.

- Jeśli masz na myśli to, jak głęboko mnie spenetrujesz, to nie wiem. -

Tym razem nie skłamała. - Ale chcę wiedzieć, *monsieur des Anges*.

Chcę wiedzieć, jak głęboko spenetrują mnie zarówno twoje palce, jak i ciało. Gdybym nie chciała tego poznać, nie siedzielibyśmy teraz razem w tej dorożce.

- *Mademoiselle*, penetracja to jeszcze nie posiadanie.

Na prawą stronę jego twarzy padło ulotne światło ulicznej latarni i mocno zarysowały się blizny na jego policzku. Po chwili w powozie

17

znów zapadła ciemność.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz.

- Fizyczna penetracja... zależy od długości męskiego członka w erekcji, która waha się od trzynastu do dwudziestu sześciu

centymetrów. Kobieta może przyjąć w siebie mężczyznę, lecz wciąż sprawować kontrolę nad swymi emocjami. Ale kiedy leży pod nim, rozpaczliwie walcząc o oddech, kiedy tylko jego ciało zapewnia jej orgazm, od którego zależy jej życie, dopiero w takiej chwili, *cherie*, mężczyzna naprawdę posiada kobietę.

Anne gwałtownie wciągnęła powietrze... powietrze wprost z jego ust.

Kiedy napawała się nim, wyobraziła sobie, jak w nią wchodzi...

Trzydzieści do dwudziestu sześciu centymetrów w głębi jej ciała.

Całkowicie.

Bezwarunkowo.

Dreszcz strachu przebiegł jej po krzyżu.

- Tylko w przypadku, gdy kobieta traci kontrolę nad swymi emocjami, ale my mówimy o kontrakcie, *monsieur*, nie o *affaire de coeur*.

- *Mademoiselle*, wynajęłaś mnie właśnie po to, bym przełamał barierę twoich emocji i uczuć.

Gwałtownie zabiło jej serce, wydawało się, że boleśnie obija się o żebra.

- W twoich ustach brzmi to... - Groźnie. Nie przypominało to już czysto finansowego układu, jaki zawarli. - Wynajęłam cię tylko po to, byś dał mi rozkosz. Tak samo, jak mężczyzna wynajmuje kobietę. Nic dodać, nic ująć.

- Istnieje wielka różnica między rozkoszą, jakiej doznaje

mężczyzna, a rozkoszą, która jest udziałem kobiety.

Tak, mężczyźni mogą doznawać jej do woli, ale kobietom jest to wzbronione.

- Proszę, wyjaśnij mi to bliżej.

- Mężczyzna potrzebuje wyłącznie ciała kobiety, wcale nie musi doprowadzać jej do orgazmu. Sprawia sobie rozkosz poprzez naturalne ruchy.

Anne ogarnął nagły gniew.

- Uważasz więc, że kobieta potrzebuje mężczyzny wyłącznie ze względu na jego męskie przydatki, *monsieur*?

18

- Gdyby tak było, *mademoiselle*, nie siedzielibyśmy teraz w tej dorożce.

Jego gładka odpowiedź stanowiła parodię jej własnej. Anne zacisnęła palce na torebce.

- Nie rozumiem zupełnie sensu tej rozmowy.

- Po prostu próbuję przygotować cię na wydarzenia dzisiejszej nocy.

- Tłumaczac mi, że kobieta potrzebuje mężczyzny, ale nie vice versa? - zapytała ostrym tonem.

- Nie powiedziałem, że mężczyzna nie potrzebuje kobiety.

Powiedziałem tylko, że mężczyzna nie potrzebuje ruchów kobiety, by wszystko z niego wytrysnęło. Ale ty, *mademoiselle*, w ciągu kilku najbliższych godzin będziesz mnie bardzo potrzebować. Bądź jednak



pewna, że twoje ciało odpłaci ci za to hojniej niż moje mnie. I to niezależnie od tego, jak głęboko w ciebie wejdę. A zapewniam cię, *cherie*, że tym razem wejdę wyjątkowo głęboko.

Pożądanie. Lęk. Gniew. Ból nałożył się na mnóstwo emocji i uczuć wywołanych jego słowami. Dotarło do niej, że wcale nie chciał jej zranić; mówił po prostu prawdę.

Nie byłoby jej tutaj, gdyby sądziła, że pierwszy lepszy mężczyzna zaspokoi jej żądze.

Jej potrzeby czyniły ją wyjątkowo podatną na zranienie, zwłaszcza że wyjawiała je mężczyźnie, któremu było to obojętne.

Dlatego wybrała Michela des Anges, i teraz nie mogła już mieć do nikogo pretensji.

- Jak głęboko mnie spenetrujesz, *monsieur*!

- Dwadzieścia pięć centymetrów, *mademoiselle*. Dłuższą chwilę owe „dwadzieścia pięć centymetrów” odbijało

się dźwięcznym echem we wnętrzu powozu. Nagle stała się czujna.

*Monsieur*, przypominam, że łączy nas czysto finansowy układ - powtórzyła bardziej pod swoim adresem niż jego.

- *Mademoiselle*, wiąże nas tylko seks. Nie jest to żadna przygrywka do romansu ani też układ finansowy. Nie zamierzam pojawiać się u ciebie z bukietami kwiatów, prosząc o łaskę ucałowania twej dłoni.

Nie zamierzam też ścisnąć ci dłoni ani opuszczać z rana, zostawiając na poduszce karty wizytowe. Wszystko, co mam zrobić, to dać ci rozkosz, która przejdzie i moje najdziwsze fantazje. Nie mieszaj więc

czysto cielesnych stosunków z miłością lub interesami.

19

Jego słowa były bardzo szorstkie. I pełne erotyzmu.

Ogarnął ją żar... i nadzieja, że spełni obietnicę, iż da jej rozkosz, która przejdzie jej najdziksze fantazje.

Jej rodzice przeżyli ze sobą pięćdziesiąt dziewięć lat, dbając bardziej o majątek niż o swe ciała. Dzielili ze sobą bogactwo i choroby, ale nie miłość i rozkosz.

Potem umarli. Równie samotnie i żałośnie, jak żyli.

Anne nie chciała umierać, ale zawsze zastanawiała się, co ją życiu ominęło.

Złożyła ręce na piersiach.

- *Monsieur*, jestem w pełni świadoma tego, co nas wiąże. I zapewniam cię, że tylko o to mi chodzi. Pragnę, byś odebrał mi dziewictwo, nie przynosząc kwiatów. Mam nadzieję, że będziesz mnie raczej całował, niż ścisnął mi dłonie. I nie chcę, byś prosił mnie o cokolwiek, a już na pewno nie o rozpustę, za którą ci płacę; po prostu bierz mnie bez słowa i zaprowadź w dziedziny przekraczające moje najdziksze fantazje. I tyle.

Dorożka zatrzymała się.

Przez ułamek sekundy Anne sądziła, że to jej słowa i marzenia sprawiły, iż konie zatrzymały się w biegu.

Michel des Anges w milczeniu otworzył drzwi dorożki, wyskoczył na ulicę i schylając się pod końskimi łbami, przeszedł na stronę Anne.

Otworzył drzwi pojazdu i wyciągnął w stronę kobiety rękę.

W blasku lamp dorożki biało i czerwono pobłyskiwały lejce w dłoniach woźnicy.

Co poczuję, gdy wsunie we mnie swe smukłe, poparzone palce? - pomyślała Anne.

Wsunie trzy... albo cztery?

Czy przygotuje me ciało na przyjęcie wielkiego penisa...?

Dwadzieścia pięć centymetrów...

Wzięła go pod rękę i zgodnie ruszyli w stronę domu.

Przez cienką jedwabną rękawiczkę czuła żar bijący od jego dłoni.

Czyjego palce, penetrując ją, będą równie gorące? A członek ogromny?

Anne nagle otrzeźwiała, znów mogła swobodnie oddychać.

Sięgnęła do torebki po pieniądze dla dorożkarza, ale w tej samej chwili pojazd ruszył.

20

Mężczyzna objął ją ramieniem; zupełnie jakby ktoś smagnął ją trzaskawką na końcu batoga.

Uwięzione w gorsecie serce przesłało jej ostatnie ostrzeżenie.

Michel des Anges był wyższy od niej o dobrych piętnaście centymetrów.

Mógł ją skrzywdzić na wiele sposobów, o których nawet nie miała pojęcia, tak jak nie miała pojęcia o tym, że mężczyzna używa palców do penetrowania kobiecego ciała.

Mógł ją nawet zabić.

A ona byłaby bezbronna.

Przez chwilę myślała nawet, by pobiec za odjeżdżającą dorożką.

I nagle dotarła do niej cała prawda.

Rzeczywiście,

mogła

poślubić

któregoś

z

kawalerów

odwiedzających „Dom Gabriela”, któregoś z tych, o których

wspominał Michel. Z ochotą każdy z nich przejąłby jej majątek, ale

nocami wracałby do Gabriela, by płacić za rozkosz już jej pieniędzmi.

Ona byłaby żoną, może nawet matką, ale wciąż nie wiedziałaby,

jaką rozkosz może dać kobiecie mężczyzna.

A ona pragnęła to wszystko poznać.

Tęskniła za tym od tylu, tylu lat.

Michael zaś był powszechnie znany jako ktoś, kto potrafi zadowolić

każdą kobietę. Nazywano go ogierem. Był najlepiej opłacanym w

Anglii płatnym kochankiem.

A pod koniec miesiąca wzbogaci się o kolejnych dziesięć tysięcy

funtów.

Z pewnością nie skrzywdziłby kobiety, która stanowiła dlań kureę

znoszącą złote jajka. Zwłaszcza że ich związek zaaranżował

zawodowy prawnik.

Sztywno wyprostowana, pozwoliła, by wprowadził ją na betonowy taras przed wysokim, wąskim budynkiem. Z wprawą wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi, podobnie jak otwierał ciała kobiet.

Obrzuciła wzrokiem niewielkie foyer o ścianach pokrytych kosztowną dębową boazerią. Pod jedną z nich stał stolik, a na nim hiacynt w pełnym rozkwicie błękitnych płatków. W półmroku lśniła srebrna taca, oczekująca na poranną pocztę. W głębi foyer zaczynały się marmurowe schody z przepięknie inkrustowanymi żeliwnymi poręczami. Ich górne partie ginęły w mroku.

Całość nie sprawiała wrażenia jaskini rozpusty, w której

21

Anne miała stracić cnotę; było to wnętrze zwykłego, przytulnego domu.

Pomieszczenie wypełniał zapach kwiatów i wosku do podłóg.

W jej domu w Dover śmierdziało chorobą i karbolem, w londyńskim mieszkaniu - kurzem i pleśnią.

Michel bez słowa zgasił gazową lampę. Anne czuła na plecach jego dłoń, która popychała ją w otchłań pnących się w górę ciemnych schodów.

Podest na półpiętrze spowijała lekka poświata.

Po omacku chwyciła żeliwną poręcz, bo drżały jej kolana. Kiedy wspinała się po schodach, jej suknia i płaszcz szeleściły. Szła ku czekającemu na nią światłu.

Na ścianach górnego korytarza wisiały jasne jedwabne zasłony.

Obcasy trzewików wybijały równy rytm na wypolerowanej niczym zwierciadło posadzce, wywołując rozliczne, dźwięczne echa.

Penetracja, posiadanie - błysnęło Anne w głowie. Długi, wąski korytarz kończył się drzwiami zwieńczonymi pomalowanym na kremowy kolor gzymsem. Szła sztywno, starając się zachowywać jak dama, która potrafi zapanować nad popędami seksualnymi, ale była aż do bólu świadoma obecności kroczącego za nią mężczyzny; mężczyzny, który każdą niewiastę doprowadzał do orgazmu... i to za każdym razem.

Pchnął masywne dębowe drzwi, przed którymi paliła się lampa. W jej blasku ujrzała przepyszne łoże z baldachimem wspartym na czterech lśniących mosiężnych słupkach.

Michel zakręcił gaz w lampie i wepchnął lekko kobietę do sypialni.

Znalazła się w gęstym, wypełnionym osobliwą, duszącą wonią mroku.

Wpadła na chwilę w panikę; pomyślała, że trafiła do cieplarni.

Albo do grobu.

Mężczyzna poruszał się bezszelestnie. Ciszę przerwał ostry trzask zapałki.

Ciepłe, łagodne światło wynurzyło z mroku witrażową szklaną kulę, stojącą na masywnym dębowym stoliku nocnym oraz kryształową wazę wypełnioną pąsowymi różami. Tuż obok stolika z lampą pobłyskiwało mosiężne łoże, zasłane jedwabnymi prześcieradłami i kołdrą z zielonego aksamitu... zapraszająco uchyloną.

Michel des Anges wrzucił płonąca zapałkę do niewielkiego naczynia

z zielonego szkła i odwrócił mroczną twarz; blask lampy tworzył wokół

jego czarnych włosów świetliste halo. Podeszedł cicho do Anne.

22

- Pozwól, że pomogę ci zdjąć płaszcz.

Anne popatrzyła mu w oczy; na policzkach mężczyzny tańczyły

cienie. Starła się nie myśleć o tym, jak będzie badać każdą szczelinę jej ciała, każdy otwór.

- Dziękuję - powiedziała.

Wyciągnął do niej pokryte bliznami dłonie; okropne przypomnienie,

że przez ostatnich osiemnaście lat żadna kobieta ani wchodząca w

wielki świat panna nie zemdląta na jego widok. Rozpinał powoli guziki

jej okrycia. Przy szyi... niżej... między piersiami...

Poczuła, że tężeją jej sutki.

Wszystko działo się stanowczo za szybko.

- Nie zabrałam koszuli nocnej - wybąkała.

Powoli uniół powieki okolone czarnymi rzęsami. Anne wpadła w

pułapkę jego fiołkowych oczu.

- Nie będziesz jej potrzebować - mruknął.

Wyjął delikatnie z jej zaciśniętych palców torebkę i niedbale rzucił

gdzieś do tyłu. Upadła z cichym, miękkim plaśnięciem. Za torebką

poszedł gruby płaszcz; ten opadł ciężko na podłogę z donośnym

szelestem.

Anne poczuła się nagle naga i straszliwie bezbarwna w swej

skromnej, szarej sukni jedwabnej... jak pawica przed pawiem.

Zamknęła oczy. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co Michel

teraz zacznie z niej zdejmować.

Nie chciała, by oglądał jej piersi, które były zbyt małe, ani jej bioder, które były zbyt szerokie.

Ale chciała patrzeć na niego.

Ostatecznie zapłaciła sporą kwotę, by mieć go na własność.

Nieważne, co on powie; dobili targu, targu rozkoszy.

Jej rozkoszy!

Anne otworzyła oczy i postąpiła krok do tyłu.

- Rozbierz się! -poleciała.

Jego fiołkowe oczy rozbłysły.

- Chcesz... chcesz zobaczyć mnie nagiego?

Wyprostowała się dumnie na całą wysokość swych stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów.

- *Monsieur*, być może jestem starą panną, ale nie zapominaj, że jestem również kobietą, która ma takie same potrzeby jak każda inna niewiasta. Oczywiście, że chcę ujrzeć twoje ciało w pełnej krasie.

23

Lampa paliła się jasnym, migoczącym blaskiem. Na ścianach i na podłodze tańczyły drżące cienie dwóch osób.

- Chcesz naprawdę zobaczyć, jak zbudowany jest mężczyzna, *cherie*

Anne zadziornie uniosła brodę.

- *Monsieur*, czyżbyś obawiał się, że zemdleję na widok twych męskich wdzięków? Otóż zapewniam cię, że nie zrobią na mnie najmniejszego



wrażenia.

- Czy ich widok sprawi ci przyjemność?
- A nie sprawiał przyjemności innym kobietom?
- *Mademoiselle*, ty jesteś dziewicą. Skoro wcześniej nie widziałaś nagiego mężczyzny, widok taki może cię cokolwiek... strwożyć.

Anne zacisnęła usta.

- Przekonamy się, jak cię zobaczę, prawda?

W jego źrenicach pojawił się błysk zastanowienia.

- A jeśli się jednak przestraszysz? - zapytał cicho.
- Uwierz mi, naprawdę nie wybiegnę z wrzaskiem na ulicę, wrywając ze snu twoich sąsiadów i strasząc ich krzykiem.

Płomień lampy drżał - to przygasał, to rozpalał się jasnym ogniem.

- Wierzę ci, *mademoiselle* - powiedział Michel. - Nie wybiegniesz na ulicę.

Zręcznie ściągnął czarny surdut, który płynnie osunął się na podłogę z podniecającym szelestem jedwabiu. Nie spuszczając wzroku z Anne, Michel rozpiął górny guzik swej białej kamizelki.

Niewątpliwie wiele kobiet żądało, by się przed nimi rozbierał.

Pięknych kobiet... kobiet doświadczonych.

Anne skupiła wzrok na jego dłoniach, unikając parzącego jak ogień spojrzenia mężczyzny.

- Czy to boli? - zapytała nieoczekiwanie. - Mam na myśli twoje dłonie. Może potrzebujesz pomocy?

Pobrużdżone bliznami palce Michela znieruchomiały.

Anne opuściła nieśmiałość. W jakiś nieuświadomiony sposób wiedziała, co robić. Całe swe dotychczasowe życie spędziła przy rodzicach, w salonie, w jadalni i w końcu przy ich śmiertelnym łożu.

Postąpiła krok do przodu i odsunęła jego dłonie.

Mały perłowy guziczek nie dawał się rozpiąć.

Dobrze wiedziała, jak postępować z chorymi.

Zmarszczyła brwi i zdjęła rękawiczki.

Michael chwycił jej nadgarstki w stalowy uchwyt swych dłoni; szare

24

jedwabne rękawiczki wypadły jej z dłoni.

Przerażona, cofnęła głowę.

Michael przysunął twarz do jej twarzy. Poznaczone bliznami oblicze posiniało mu z gniewu.

- Nie

potrzebuję

niańki,

*mademoiselle.*

Zadrżała ze strachu.

Mógł ją skrzywdzić... I byłoby już na wszystko za późno. Oblizła

usta. Jego oddech - gorący i wilgotny - owiewał jej twarz.

- Nie zamierzam być twoją niańką, *monsieur.*

- W dorożce oświadczyłaś mi, że sama nie wiesz, czego chcesz.

Nie odwróciła wzroku ani nie próbowała udawać, że nie wie, o czym mężczyzna mówi.

- Nie, zapytałam tylko, co się dzieje, kiedy kobieta nie wie, o co prosić. Nie mówiłam, że nie wiem, czego chcę.

Przysunął głowę tak blisko do jej twarzy, że ich usta zetknęły się jak w pocałunku.

- A czego chcesz, *mademoiselle*?

Było to już jawne wyzwanie.

„Jak daleko się posuniesz, stara panno?” - sugerowało jego

spojrzenie. - „Na ile jesteś przygotowana na to, by zajął się tobą mężczyzna znany z tego, że doprowadza każdą kobietę do orgazmu?”

Anne głęboko zaczerpnęła tchu.

Chciała tylko jednego: całego miesiąca nieustannej rozkoszy.

Nie miała drogi ucieczki, nie mogła się wycofać, a jednocześnie nie potrafiła odrzucić swych niemądrych lęków dziewicy.

- Chcę, byś doprowadził mnie do orgazmu - powiedziała śmiało.

- Ile razy?

- Tyle, na ile pozwoli mi ciało.

- Iloma palcami?

- Tyloma, ile się zmieści.

- Jak głęboko?

- Na ile dasz radę.

Jego fiołkowe oczy rozbliły.

- Czy jakiś mężczyzna dotykał już twych piersi?

Jakże trudno było wyznać prawdę.

- Nie.

Wielu mężczyzn pragnęło przejąć fortunę jej rodziców, ale żaden

25

nie pożądał jej jako kobiety, którą zawsze chciała się czuć.

- Czy jakkolwiek mężczyzna całował cię z językiem? Anne, czując zawrót głowy, przełknęła głośno ślinę.

- Raz.

- I nie sprawiło ci to przyjemności?

Nie, nie sprawiło jej to przyjemności. Młody dżentelmen, który skradł jej pocałunek, przechwalał się później przed swymi przyjaciółmi, że Anne desperacko poszukuje narzeczonego, ale tylko naprawdę zdesperowany mężczyzna mógłby poślubić kobietę, która całuje jak cielna krowa.

Popatrzyła na gęste rzęsy Michela. Były czarne jak sadza i nieprawdopodobnie długie.

- Prawie mnie zniewolił - odparła sztywno. - A poza tym... oślinił mnie.

- Nie mam zamiaru cię niewolić, *cherie*. I na pewno cię nie oślinię.

Na twarz Anne wystąpiły krwiste rumieńce. Mężczyzna puścił jej nadgarstki.

Postąpił krok do tyłu i szarpnięciem zdjął z siebie kamizelkę.

Odsunął się tak gwałtownie i tak nieoczekiwanie, że Anne mogła tylko stać bez ruchu i bezmyślnie wytrzeszczać na niego oczy.

Opuścił powieki okolone czarnymi rzęsami. Podniósł ręce i odpiął muszkę.

Anne paliły wargi, pulsowało jej w skroniach.

Pragnęła, by ją pocałował, a on najwyraźniej doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Nieoczekiwanie poczuła przyływ szaleńczej, bezwstydney odwagi.

- Co zamierzasz uczynić, *monsieur*?

- Podczas pocałunku będę pieścił i ssał twój język. - Rzucił muszkę na podłogę. Uniósł powieki. - Kiedy zdejmę z ciebie suknię, zacznę pieścić i ssać twe piersi. A gdy już będziesz całkiem naga... - Zręcznie rozpiął pierwszą z trzech złotych spinek swej wytwornej, białej koszuli jedwabnej. - ...będę pieścił, całował i ssał twoją łechtaczkę.

Anne zapało dech.

Słowa „pieścić i ssać twe piersi” wciąż drżały w powietrzu. I następne: „pieścił, całował i ssał twoją łechtaczkę”. Zdjął drugą spinkę.

- Czy wiesz, gdzie masz łechtaczkę, *mademoiselle*?

Z całych sił starała się nie spuszczać wzroku z jego twarzy na

26

czarne włosy, wyłaniające się z coraz szerzej rozpinanej koszuli.

- Nie jestem kompletną ignorantką, *monsieur*.

Przed osiemnastu laty, po powrocie z Londynu do Dover, podkradła lekarzowi swych rodziców podręcznik do nauk medycznych.

Wymieniano tam poszczególne części ciała kobiety, o które należy szczególnie dbać. Książka nie wspominała jednak, czego kobieta powinna spodziewać się od mężczyzny.

Nie wspominała też, czego mężczyzna spodziewa się od kobiety.

Odpiął ostatnią złotą spinkę i wszystkie trzy wsunął do kieszeni. Z premedytacją skłonił Anne wzrokiem, by popatrzyła na przód jego spodni.

- A czy wiesz, co się stanie, gdy będę cię lizał i ssał?

Sutki i łechtaczka Anne pulsowały, gdy kobieta wyobrażała sobie obrazy wyczarowywane słowami Michela. Oderwała wzrok od jego wybrzuszonych z przodu spodni.

Nie była wcale zmieszana potęgą swych pragnień.

Założyła buńczucznie ramiona na piersiach.

- Niewątpliwie doznam orgazmu. Pierwszego, mam nadzieję, z wielu.

Czy to z tego powodu zyskałeś swe imię, *monsieur*?

Z powodu opanowania do perfekcji sztuki lizania i ssania kobiet?

- Między innymi - odparł zagadkowo.

Ściągnął koszulę przez głowę.

Serce Anne waliło jak oszalałe.

W przeciwieństwie do dłoni i twarzy oszpeconych bliznami, resztę ciała miał nieskazitelną. Śniada skóra porośnięta była czarnymi włosami, wyraźnie rysowały się mięśnie.

Jego ciemna twarz wyłoniła się nieoczekiwanie z białej koszuli, która natychmiast podzieliła los innych części garderoby, rzuconych niedbale na dębową podłogę.

Dobrze wiedział, jaki efekt wywiera widok jego ciała na Anne; ostatecznie niejedna kobieta kupiła już jego usługi.

Anne nie chciała wyjść na kobietę, która jest wstrząśnięta i

rozkosznie podniecona na myśl o nadchodzącej nocy.

- Czy masz pełny wzwód, *monsieur*? - zapytała rzeczowo.

- Oczywiście - odparł zupełnie niezrażony jej śmiałością. – Mam pełną erekcję.

Między udami poczuła gorącą wilgoć.

27

- Czy zawsze doznajesz erekcji w obecności kobiety?

- Zawsze.

- Chcę cię obejrzeć.

- A zatem ściągnij mi spodnie, *mademoiselle*. Spojrzenie jego fiołkowych oczu ośmieliło ją... Z całą mocą zapragnęła zobaczyć to, za co płaciła. Dwadzieścia pięć centymetrów!

- Znakomicie, *monsieur* - odparła gładko i dała krok w jego stronę.

Ciało mężczyzny buchało żarem. Anne przez chwilę walczyła ze wspomnieniami o schorowanym, umierającym człowieku, a następnie zaczęła mocować się z obciążniętymi jedwabiem guzikami. Gmerała niezdarnie palcami, tak samo jak wtedy, gdy próbowała rozpiąć kamizelkę, ale teraz nie miała wymówki, że rękawiczki utrudniają jej ruchy.

Antycypacja wzbudzała tumult w jej piersiach i podbrzuszu.

Każdy rozpięty guzik ujawniał coraz więcej gęstych, czarnych włosów, takich samych jak na torsie, które ciemną falą spływały po brzuchu. Coraz bardziej czuła go pod jedwabnymi spodniami. Był długi,

gruby i twardy. Penis pulsował i żył własnym życiem.

Ze wstrzymanym oddechem zsunęła mu z bioder spodnie... zsunęła je na uda...

Zaczęła napawać się zarem bijącym od jego ciała, delikatną wonią mydła i wszechogarniającym zapachem męskości.

Poczuła, jak w jej waginie zaciskają się wszystkie mięśnie.

Z pożądania.

Ze strachu.

Miał rację. Nie była przygotowana na widok tak jurnego mężczyzny.

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

Odpowiedział jej swym fiołkowym spojrzeniem.

- Powiedziałeś, że każdą kobietę doprowadzasz do orgazmu?

- Zawsze - odparł jedwabistym głosem.

- Nawet jeśli jest dziewicą?

- Nigdy nie miałem dziewicy.

Nigdy nie miał dziewicy! - przebiegło jej błyskawicą przez głowę.

A ja nigdy nie miałam mężczyzny.

Jeśli wezmę go w siebie, nigdy już nie będę kobietą taką jak dotychczas.

Z najwyższym trudem zapanowała nad swoim głosem.

28

- Skoro nigdy nie miałeś dziewicy, to skąd wiesz, że potrafisz sprawić jej rozkosz?

Miękkim ruchem wciągnął spodnie, podszedł do łóżka, usiadł i zaczął



zdejmować buty. Odrzucał je po kolei, a one spadały na podłogę z lekkim stuknięciem. Skarpetki opadły bezszelestnie.

Podobnie jak dłonie, miał duże stopy oraz śniade ciało.

Z wyjątkiem męskości!

Sterczący z rozpiętych spodni członek był gruby, mięsisty, pokryty pulsującymi, błękitnymi żyłami i z główką barwy dojrzałej, purpurowoczerwonej śliwki; wielki i krzepki. Na jądrach rosły czarne włosy. Przez skórę moszny również przebijały błękitnawe żyłki.

- Skąd wiesz? - powtórzyła drżącym głosem pytanie.

Zdjął spodnie i ruszył w jej stronę. Zbliżał się do niej prawie dwumetrowy olbrzym o ciemnej, porośniętej czarnymi włosami skórze i nadmiernie rozwiniętych mięśniach. Jego przekrwiona męskość chwiała się w rytm stawianych kroków.

Podszedł tak blisko, że okrągła korona jego erekcji dotknęła jej jedwabnej koszuli i nacisnęła dolne partie brzucha.

Męskość pulsowała.

Anne pulsowała.

Pulsowało całe otaczające ich powietrze.

- Proszę, *cherie*... - Jej uniesioną twarz owiał jego gorący oddech. -

Zaufaj mi.

Jak mężczyźni mogą zaznawać rozkoszy z całkiem obcymi sobie kobietami? - zapytała się w duchu.

- Jeśli pożyczysz mi szlafrok, rozbiorę się w łazience - oświadczyła sztywno. - A ty w tym czasie pogasisz światła i poczekaasz na mnie w

łóżku.

Uniósł pokrytą bliznami dłoń, wsunął ją w ciasno upięty kok Anne i wyciągnął pierwszą spinkę.

- Zrobimy inaczej, *cherie* - mruknął, owiewając jej policzek ciepłym oddechem.

Odrzucona przez niego spinka z blaszanym dźwiękiem spadła na dębową podłogę. Cichy dźwięk zabrzmiał w uszach Anne jak wybuch, zagłuszając nawet donośny łopot jej serca.

Nie wiedziała, co robić... Nie wiedziała, jak się zachować.

Stała więc nieruchomo, tak jak nauczyła się to robić, kiedy na rautach otaczali ją mężczyźni należący do śmietanki towarzyskiej i którzy

29

złośliwie jej nieśmiałość uznawali za niezdarność.

Ratunek znalazła w gniewie.

- To moje pieniądze, *monsieur*. I będziesz robił to, czego sobie zażyczę.

Kolejna spinka spadła na podłogę.

- Płacisz mi za rozkosz, jakiej doznasz.

- To prawda, ale sprzeciwiając się mojej woli, nie sprawisz mi żadnej przyjemności.

Kolejna spinka stuknęła o podłogę.

- Sprawię, sprawię, *cherie*.

Chwyciła dłonie zanurzone w jej włosach.

- Proszę, nie rób tego.

Teraz już obiema rękami rozpuszczał jej kok.

- Nie zaznasz szczęścia, kiedy głowa będzie ci spoczywać na poduszce pełnej szpilek, igieł i metalowych spinek.

Poczuła na brzuchu mocny dotyk jego penisa, prowokacyjne pchnięcie męskości o zatrważających rozmiarach.

Włosy spłynęły jej na plecy miękką falą.

Żaden mężczyzna nie widział jej jeszcze z rozpuszczonymi włosami.

Desperacko próbując odzyskać choćby pozory kontroli nad sobą -

nie była już przecież osiemnastoletnią, pozbawioną ogłady

dziewczyną, z której wyśmiewali się wszyscy młodzieńcy z wyższych

sfer - Anne nieśmiało położyła dłonie na szczupłej talii mężczyzny.

Mięśnie miał tak twarde, na jakie wyglądały.

- Nigdy jeszcze nie stałam nago przed mężczyzną- powiedziała cicho.

Tak naprawdę nago widywała ją tylko stara niania. Wsunął dłonie w jej bujne włosy. Jego pokancerowane palce dotarły do skóry i zaczęły ją delikatnie pieścić.

- Daję ci uroczyste słowo honoru, że nie masz niczego, czego bym już nie widział - oświadczył.

Tak naprawdę jednak to nigdy jeszcze nie widział takiej kobiety jak Anne.

Nigdy nie widział trzydziestosześcioletniej starej panny, a w dodatku dziewicy... O nie, co to, to nie!

- Nie jestem już młoda.

Zmusił ją, by uniosła głowę. Jego twarz ginęła w półmroku.

30

Błyszczały jedynie oczy.

- Ja też.

Na rzęsach zaśniły jej łzy.

- Nie jestem ładna.

Ścisnął palcami pukiel włosów Anne.

- Ani ja.

- Ale masz piękne oczy. Świetliste. Widać w nich żądzę. Jego ciemne oblicze ściągnął skurcz bólu.

- Tak samo jak w twoich, *cherie*.

Pochylił głowę i nie pozwalając Anne odwrócić twarzy, dotknął koniuszkiem języka jej warg; ta pieszczota była niczym muśnięcie jedwabistego płomienia ognia.

Wpiła się palcami w jego talię. Miał twarde, sprężyste mięśnie.

- Nie wiem, jak... przyjąć w siebie mężczyznę.

- Tak jak pocałunek - tchnął jej prosto w usta. – Smakuję cię. Liżę twój język... A zaraz wejdę w ciebie.

Opuściła ją wszelka rozsądna myśl.

- Językiem?

Ujął jej prawą dłoń i zacisnął palce Anne na pulsującym penisie, twardym i delikatnym zarazem, giętkim i sztywnym.

- Nim.

Anne ogarnęło niepokohamowane pożądanie. Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu; mogła tylko odczuwać.

Zadziwienie i zachwyt na widok wzrodu mężczyzny.

W porównaniu z Michele des Anges wszystko, czego zaznała dotąd w życiu, przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie - jej erotyczne sny, seksualne fantazje, a już na pewno długie, niekończące się godziny czuwania i opieki nad ojcem.

Był delikatniejszy od jedwabiu, twardszy od stali i dużo dłuższy od jej dłoni; tak gruby, że nie mogła go objąć palcami. Pulsował w rytm uderzeń jej serca.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Zgaś światło, proszę - wybąkała.

- Ani mi się śni.

Otworzyła usta, by zaprotestować... że to jej pieniądze... że to ona opłaca ich związek... ale nie zdołała wykrztusić słowa, gdyż na twarzy

31

poczuła parzący oddech mężczyzny.

Przeciągnął językiem po jej policzkach, po wargach, a następnie wdarł się do ust.

Ciało Anne przeszła błyskawica.

Pieścił jej język, pieścił podniebienie...

Dużo za dużo. Niesamowite doznania przeszły jej piersi niczym najostrzejszy nóż.

A penis Michela wciąż pulsował w jej zaciśniętej dłoni.

Nie mogła złapać tchu.

Zaciekle walczyła o powietrze, ale wciągnęła je wraz z językiem mężczyzny.

Michel des Anges ssał ją.

Tak jak obiecał.

Najpierw język... potem piersi... na końcu łechtaczka.

Jej łechtaczka, piersi i język pulsowały w rytm nadawany przez delikatne niczym jedwab ciało, które trzymała w dłoni.

Ucisk palców mężczyzny na jej nadgarstkach zelżał. Z bioder opadła jej spódnica.

- Podnieś ręce - szepnął, nie odrywając warg od ust Anne.

Jego słowa brzmiały w jej uszach długim, dźwięcznym echem.

Zaciskając z całych sił powieki, puściła grube przyrodzenie mężczyzny, pulsujące w rytm jej serca, i posłusznie uniosła ramiona.

Zdjął jej jedwabną koszulę. Czowała na sobie jego taksujący wzrok.

- Jak się nazywasz, *mademoiselle*? Gwałtownie otworzyła oczy.

- Anne. Anne Aimes.

Natychmiast przypomniała sobie przestrożę prawnika, by do końca zachowała anonimowość. Niemądre ostrzeżenia. Cóż mogło być bardziej niebezpiecznego od bólu, który odzierał niewiastę ze wszystkiego poza prymitywną, zwierzęcą żądzą?

Zręczne palce rozpinały taśmy jej turniury.

- Możesz mówić mi po imieniu... Anne - powiedziała śmiało i aż skuliła się w środku, słysząc wypowiedziane przez siebie słowa. - A... a czyja mogę zwracać się do ciebie Michel?

Turniura opadła z donośnym dźwiękiem na podłogę.

- Anne Aimes, będziemy ze sobą blisko. - Zręcznie rozpiął jej halkę. -

Tak blisko, jak tylko dwoje ludzi może ze sobą być.

32

Nazywaj mnie, jak chcesz.

Halka z cichym, jedwabistym szelestem spłynęła do stóp.

Anne skrzyżowała ramiona na piersiach, pragnąc zachować na sobie resztę przyodziewku. Rozpaczliwie koncentrowała myśli na słowach mężczyzny: „Będziemy ze sobą blisko, tak blisko, jak tylko dwoje ludzi może ze sobą być”.

- Powiedziałaś, że nie będzie to żadna przygrywka do romansu.

- I nie jest. - Druga halka dołączyła do pierwszej. - W chuci nie ma nic romantycznego.

Michel zacisnął dłonie na jej pośladkach, zatrważająco blisko otworu w wełnianych majtkach.

- Chuć jest ordynarna - dodał.

Nieoczekiwanie jego dłonie znalazły się w jej majtkach, czuła na swym delikatnym ciele szorstkość blizn i zrogowaceń na palcach.

- Chuć to pierwotny instynkt.

Wodził szorstkim palcem po skórze między jej pośladkami.

- Spocimy się. Będziemy krzyczeć.

Dłonie Michela ześlizgnęły się niżej. Badał pulchność jej miękkich pośladków, naciskając jednocześnie kroczem na jej biodra tak, by mogła czuć twardość jego męskości.

- Będziemy razem walczyć o rozkosz, a kiedy już dojdziemy do szczytu, staniemy się jednym ciałem; połączy nas rozkosz. - Świdrował ją spojrzeniem swych fiołkowych oczu. - Tak właśnie będzie, kiedy już zabiorę cię do łóża, *mademoiselle*.

Odnosiła wrażenie, iż jej kręgosłup staje się tak kruchy, że lada chwila pęknie. Rozpaczliwie próbowała zebrać rozbiegane myśli.

- Czy zawsze osiągasz orgazm razem z kobietą? – spytała schrypniętym szeptem.

Jego szorstkie palce, to wsuwające się pod jej majtki, to znów przesuwane na plecy, dotknęły gorsetu. Zaczął rozwiązywać troczki.

- W stosownym czasie.

Fiszbyny skurczyły się jak wypuszczający powietrze akordeon. Gorset opadł, a jednak jego utrata jeszcze bardziej spłyciła oddech Anne.

- Skąd wiesz, kiedy nadchodzi ten stosowny czas?

- Gdy krzyk kobiety odbija się echem w mojej głowie. - Jego gorący oddech parzył policzek. Nie spuszczał wzroku z twarzy kobiety,

33

przeciagnał delikatnie dłońmi po jej piersiach, zatrzymując na ułamek sekundy palce na jej boleśnie nabrzmiąłych sutkach. -I kiedy jest już tak napuchnięta i wyczerpana, że nie znieś następnego orgazmu...



Unieś ręce - zaordynował nieoczekiwanie.

Anne nie miała wyboru, musiała spełnić jego polecenie. Ściągnął jej płócienną koszulkę.

Zimne powietrze. Gorąca skóra.

Przez dłuższą chwilę ważył w dłoniach odkryte piersi, ugniatał je palcami.

Doznania były zbyt silne; intymne aż do bólu. A spojrzenie jego oczu wyraźnie mówiło, że dobrze wie, co ona czuje.

Przyszła jej do głowy myśl, że nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, że można aż tak bardzo pragnąć mężczyzny.

Wiedziała jednak, że to nieprawda.

Przed osiemnastu laty tak właśnie pragnęła Michela, kiedy ujrzała go tańczącego z hrabiną Raleigh, piękną, bogatą kobietą o piętnaście lat starszą od niej. Już wówczas była przekonana, że choć jest dziedziczką jednej z największych fortun w Anglii, on na nią nawet nie spojrzy.

I nie spojrzał.

Zacisnęła z całych sił powieki, pragnąc odpędzić od siebie gorzką prawdę.

Nie byłoby go tu, gdyby jej nie było na niego stać.

- Otwórz oczy, Anne.

Niechętnie spełniła tę prośbę.

- I nie zamykaj ich już więcej. Nie ma się czego wstydzić, *cherie*.

Wiem, co czujesz. Wiem, czego potrzebujesz.

Skąd taki mężczyzna, mężczyzna, który nie ślinił się, całując

kobietę, który nie drżał od ukrytych emocji, stojąc przed nią nago, skąd

taki mężczyzna mógł wiedzieć, czego potrzebuje stara panna?

Anne chciała coś rozsądnego odpowiedzieć, a nie drzeć jak trzcina

na wietrze, nie chciała być kłębkim rozdygotanych nerwów, do

którego sprowadził całą jej istotę.

Nie chciała być taka słaba, podatna na ciosy.

- Skąd wiesz, co naprawdę czuję? - Każde słowo raniło jej krtań

niczym cierń. - Skąd możesz wiedzieć, co czuje człowiek, który tak

rozpaczliwie pragnie, by ktoś go czule dotknął, że gotów jest zapłacić

za to fortunę?

34

Michelowi pociemniały oczy.

- Wszyscy mamy swoje potrzeby, Anne.

- Ty też? - spytała cierpko.

- Tak - powiedział, nie odwracając wzroku.

- Czy kiedykolwiek pożałowałeś tak bardzo, że byłeś gotów za to

zapłacić?

Blizny na jego prawym policzku stężały.

- Tak.

- Dlaczego?!-wykrzyknęła.

Jej ochrypy głos przez dłuższą chwilę odbijał się echem w jej

własnych uszach.

Oczy Michela jeszcze bardziej pociemniały.

- Dlatego, *cherie*.

Dotknął jej stwardniałej brodawki.

Anne głęboko wciągnęła powietrze, kiedy mężczyzna pochylił głowę i wziął tę brodawkę do ust.

Parzący płomień przeszył jej pierś i spłynął wzdłuż kręgosłupa.

Moje ręce - pomyślała. - Co mam zrobić z rękami?

Opuścić je wzdłuż ciała?

A może wsunąć palce w jego włosy, tak jak on zrobił to wcześniej z jej włosami?

Może tak mocno przycisnąć jego twarz do piersi, by brodawka znalazła się jeszcze głębiej w jego ustach... Tego właśnie pragnęła...

Jej bezładne myśli przerwał nagły dotyk stwardniałych palców.

Wsunęły się przez otwór w majtkach, dotknęły jej dolnych warg, których dotąd tylko ona dotykała.

Serce waliło jej jak młotem, ciało ogarniało drżenie.

Czy już w nią wejdzie? A może tylko będzie dotykał tam, gdzie tak rozpaczliwie pragnęła być dotykana?

Instynktownie rozsunęła uda, dając mu wolność dostępu.

Przez długą chwilę palce spoczywały bez ruchu na jej napęczniałych dolnych wargach, podczas gdy usta ssały i ssały pierś.

Między jej wargami a piersią przebiegały iskry, tworząc jakby elektryczny łuk.

Skamieniała, czekając na coś... na coś...

I stało się...

Dotyk, na który czekała, miękki wślizg twardego, mokrego,

poznaczonego bliznami palca.

Anne konwulsyjnie przycisnęła do siebie głowę Michela, wyginając ciało w bezgłośnym krzyku spełnienia.

Przeżywając orgazm Anne przywołał do rzeczywistości cichy, mlaszczący dźwięk. Półprzytomna poczuła, że jej pierś jest już wolna.

Chłodne powietrze zdawało się ją mrozić po rozpalonych ustach

Michela.

Zdyszana, rozpalona do białości Anne otworzyła oczy... Ujrzała wbity w siebie wzrok Michela.

- Nie krzyczałaś.

- Nie. - Z trudem łapała dech. - To... to byłoby niegodne...

Zwłaszcza w przypadku starej panny - pomyślała mgliście.

- Mówiłem ci, *cherie*. To tylko pożądanie. W moim łóżku

nie ma miejsca na godność. A gdyby nawet, nie pozwoliłbym na to.

Chodzi tylko o rozkosz, o wyuzdany seks. Seks, jakiego nie znajdziesz

w

małżeńskim

łóżu,

gdzie

liczy

się

jedynie

męska

chęć spłodzenia potomka i zaspokojenia własnych żądz.

Delikatnie wsunął palec w jej waginę. Nacisnął lekko, tak że oboje poczuli jej dziewiczą błonę.

- Kiedy wejdziesz całkowicie, chcę, byś krzyczała. Chcę wiedzieć, kiedy cię zaboli. I chcę, byś wtedy ponownie krzyknęła.

Chcę poznać chwilę, kiedy przestaniesz być dziewicą.

Jego słowa były okrutne, a jednocześnie niebywale ekscytujące.

Jej matka miała czterdzieści lat, kiedy poczęła Anne, swe jedyne dziecko. Zawsze była słabego zdrowia, które jeszcze podupadło podczas ciąży i porodu.

Ojciec był o dziesięć lat starszy od matki.

Wcale nie potrzebowali dziecka; potrzebowali opiekunki. I dostali ją w osobie córki.

Nigdy nie krzyczała. Nigdy nie wybuchała dziecięcym śmiechem z obawy, że zakłóci ich spokój.

Wszystkie dziecięce radości, potem miłosne rozterki wieku młodzieńczego, a wreszcie problemy dojrzałej kobiety - wszystko to przeżywała w milczeniu.

- Nie wiem, czy potrafię - szepnęła.

- Zapewniam cię, że będziesz krzyczeć, *cherie*. - Jego słowa były szorstkie, a jednocześnie niosły obietnicę niewyobrażalnej rozkoszy...

36

albo bólu. - Zanim skończy się noc, będziesz krzyczeć, krzyczeć i krzyczeć.

Anne zeszywniała; on pulsował u bram jej niezdobytej dotąd kobiecości.

- Czy zamierzasz mnie teraz spenetrować palcem?

- A chcesz tego? Uniosła dumnie brodę.

- Tak.

Pragnęła wszystkiego: jego języka, jego palców, jego męskości.

Wszystkiego, co mógł dać kobiecie.

Wszystkiego, za co płaciła.

Nagle zwodniczy urok jego dłoni znikł. Anne stała samotnie w majtkach ze wspomnieniem orgazmu, który nie przyszedł z jej palców.

I wciąż było jej mało.

- Przyniosłam kondomy. - Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, nie próbowała nawet zakrywać swych naprężonych piersi. - Mam je w torebce.

Wprawnymi palcami zaczął rozpinąć guziki jej wełnianych majtek.

Zamknął oczy.

- Mam swoje.

Rzypinał je dużo zgrabniej niż ona jemu. Nie pozwolił temu mężczyźnie, by nią dyrygował. Nie da mu się opętać, nie chce stać się jego własnością.

- Jednak wolę, byśmy użyli moich - powiedziała z uporem.

- A ja nie, *cherie*.

Anne zeszywniała; poczuła, jak pod gęstymi splotami opadających

na piersi włosów jeszcze bardziej tężeją jej brodawki. Poczwała w środku  
nieznośne palenie.

- Dlaczego?

Spoglądała na niego, a on patrzył na zsuwającą się z niej kremową  
wełnianą bieliznę. Dobrze wiedziała, co widzi: jej zbyt obfite biodra...  
biały, zbyt mocno zaokrąglony brzuch... kępkę brązowych włosów  
łonowych...

Policzki mężczyzny skrywał półmrok, lecz dostrzegała białawe blizny  
po prawej stronie jego twarzy i na skroni.

Odniosła absurdalne wrażenie, że obcasy jej trzewików stały się  
wyższe o kilkanaście centymetrów. Nieświadomie wysunęła biodra i

37

miednicę do przodu, jakby wystawiała je na pokaz, pyszniła się nimi...  
wszystkim.

Swym nagim ciałem.

Swą nieposkromioną żądzą.

Michel uniósł twarz. Wprost przygwoździł ją wzrokiem swych  
fioletowych oczu.

- Bo to kwestia rozmiaru, *cherie*. Moje kondomy zrobiono  
na miarę.

Anne zacisnęła pięści.

- Chcę, byś założył jeden z nich.

Michel wyciągnął dłoń wewnętrzną stroną; była pokryta takimi  
samymi bliznami jak jej strona zewnętrzna.

- *Tout ce que tu veux.* Jak sobie życzysz. I tyle razy, ile sobie zażyczysz.

Zginając palce, które miały ją niebawem penetrować, przekroczył porzucone w nieładzie ubrania.

Splątane pukle długich włosów łaskotały ją w pośladki. Wciąż miała na sobie podwiązki, trzymające bawełniane pończochy, dochodzące do końca ud. Kiedy stała na wysokich obcasach, z wysuniętymi do przodu biodrami, jej uda ocierały się o siebie, wydając jedwabisty szelest. Nigdy jeszcze nie była aż tak świadoma swej kobiecości ani też wszelkich ewentualnych konsekwencji tego, co ma się wydarzyć.

Majaczące w półmroku mosiężne łoże z odchyloną gościnnie kołdrą wydawało się nieprawdopodobnie wielkie. Ciężka, słodka woń róż w powietrzu przytłaczała.

Michel otworzył szufladę w dębowym stoliku nocnym i wyjął z niej metalową puszkę z wizerunkiem premiera Gladstone'a na wieczku.

Zdjął pokrywkę i podał Anne pudełeczko.

Przypomniała sobie, że jej puszka ozdobiona jest wizerunkiem królowej Wiktorii. Monarchini miała równie poważną twarz jak Gladstone. Anne od niechcienia wyjęła z puszki zwinięty ciasno rulonik.

Michel, jakby było ogólnie przyjętym zwyczajem ofiarowywanie kobiecie kondoma, zamknął niedbale puszkę i odstawił ją na stół, obok kryształowej wazy z różami.

Anne pochyliła głowę, włosy opadły jej na ramiona i okoliły twarz.

Jej żądze toczyły walkę z panięską skromnością.



Odrzuciła w końcu wszelkie skrupuły, postanowiwszy okazać się godną wszystkich innych kobiet, jakie ten mężczyzna miał przed nią.

38

Michel bez najmniejszego zażenowania skierował swą męskość w jej stronę.

Na widok jego nabrzmiałej krwią, purpurowoczerwonej korony, pulsującej w rytm bicia serca, coś rozkosznie skurczyło się w jej waginie. Na czubku penisa pojawiła się, lśniąca w blasku naftowej lampy, kryształowo czysta kropla.

Podręcznik do nauk medycznych nie wspominał, że podnieceni mężczyźni również stają się wilgotni.

Delikatnie, z wahaniem, dotknęła go.

- Jesteś wilgotny!

- *Podobnie jak ty, mademoiselle.*

Ignorując zażenowanie, w jakie wprowadziła ją uwaga Michela, bo było już za późno na zażenowanie, Anne podjęła niezdarne próby naciągnięcia kondoma na penisa.

Ale główka członka była zbyt duża.

Choć robiła, co mogła, wykonany na miarę kondom Michela nie chciał wejść na męskość.

Anne zaprzestała wysiłków. Łzy, które stanęły jej w oczach, sprawiły, że widziała jak przez mgłę penisa, który wciąż pulsował w jej dłoni.

Choć czuła się upokorzona, wciąż rozpaczliwie go pragnęła.

Jej włosy owiał gorący oddech mężczyzny. Uwagę Anne przykuł jakiś

ruch - Michel sięgnął prawą dłońią między jej uda. Długi, twardy i  
pозnaczoney bliznami palec zatonał między jej dolnymi wargami.

Naparł czołem na jej pochyloną głowę i zaczął łagodnie zataczać  
palcem małe kółka, sprawiając, że Anne w jednej chwili stała się  
kompletnie mokra. Po chwili cofnął dłoń.

Ujrzała jego środkowy palec błyszczący od jej kobiecych soków.

- Należy go zwilżyć, *cherie*. - Michel mokrym palcem rozsmarował  
po koronie swego penisa jasną kroplę własnego soku. - Ściśnij w  
palcach czubek kondoma - poleciał szorstko – by zostawić miejsce na  
spermę. A teraz zacznij go rozwijać.

Anne powoli, z wielką ostrożnością, bojąc się głośniej odetchnąć,  
naciągnęła cienką osłonę na główkę w kształcie śliwki.

Kondom nie był w stanie ukryć pulsowania członka ani stłumić  
woni piżma jego męskości; zapach ten mieszał się ze słodką wonią  
róż.

Czując się osobliwie bezradna, naciągnęła resztę kondoma na  
penisa, aż do czarnych skręconych włosów o takiej samej barwie i

39

gęstości jak zarost na torsie i brzuchu Michela.

- Skończyłam - oświadczyła niepotrzebnie.

Bała się spojrzeć mu w oczy. Jego twarz z całą pewnością była  
wykrzywiona w ironicznym uśmiechu.

Michel ciepłymi, stwardniałymi dłońmi rozdzielił jej rozpuszczone,  
opadające na twarz włosy, tworząc jakby dwie grube liny. Kiedy

odgarnął je na boki, Anne nie miała innego wyjścia i musiała na niego spojrzeć.

W jego źrenicach płonął fioletowy ogień, ogień pożądania, a nie rozbawienie jej staropanieńską niezręcznością.

- O nie, *cherie* Dopiero zaczęłaś. Wszystko przed tobą. Nie skończysz tak długo, aż staniesz się zbyt opuchnięta i wycieńczona, by mieć kolejny orgazm. Ale ja wciąż będę robić swoje, nawet gdybyś błagała, bym już skończył.

Popatrzyła mu śmiało w oczy.

- Nie będę cię o nic błagać, *monsieur*. Bez względu na to, ile podarujesz mi orgazmów.

Po powrocie do Dover zdecydowała się na ten krok, wiedząc, że jest już w pełni dojrzałą i rozwiniętą kobietą.

Usta wykrzywił mu lekki uśmiech. Miał cudowne usta. Górna warga była wyraźnie zarysowana, dolna - delikatna, a zarazem rozkosznie twarda.

- Jesteś bardzo pewna siebie, *cherie*.

Powoli, delikatnie ciągnąc za włosy, zmusił Anne, by odwróciła się w stronę lampy. Jej blask jeszcze ostrzej uwypuklał blizny na prawym policzku Michela.

Serce Anne zaczęło mocno bić.

- Jestem przygotowana na ból, *monsieur* - odparła zuchowato.

Przeciągnął palcami po jej włosach i położył dłonie na gołych ramionach. Ciepło emanujące od jego skóry zniewalało kobietę.

- Jesteś też przygotowana na rozkosz?

- Tak.

„O, tak!” - dodało dźwięcznym echem całe jej ciało. Pochylił głowę, usta Anne owiał podmuch jego oddechu.

- Jak możesz być przygotowana na rozkosz, którą zamierzam ci dać, *mademoiselle*, skoro nie wiesz, o co prosić?

- Ależ wiem - odparła szeptem.

Pragnęła całym sercem, by wprowadził ją w świat aktów

40

seksualnych, o których od zawsze marzyła, a o których istocie dowiedziała się dopiero tej nocy.

Nagle kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Zaczęła osuwać się, szukając rozpaczliwie czegoś stałego, o co mogłaby się oprzeć.

Znalazła to, lecz spadała dalej...

W jakiś nadprzyrodzony sposób łoże uniosło się i litościwie zagarnęło jej pośladki.

Michel uklęknął przed nią na dębowej podłodze. Pod opuszkami palców czuła gruzły blizn pokrywających jego przedramiona.

Delikatne włosy porastające śniade ciało mężczyzny rozkosznie łaskotały jej skórę. Kondom na jego członku ekscytująco trącał jej kolana.

- Powiedz mi - odezwał się Michel schrypniętym głosem. –

Powiedz, *cherie*. Pokaż mi, że jesteś kobietą. Powiedz mi, czego pragniesz, a doznasz rozkoszy.

Serce boleśnie zaczęło kołatać jej w piersi.

- Chcę... chcę, byś mnie posmakował.

- Rozłóż uda.

Rozsunęła obejmujące ją ramiona Michela i zacisnęła palce jednej dłoni na jedwabiu, a drugiej na aksamicie pościeli.

- Czy nie możemy zrobić tego pod kołdrą? - zapytała strachliwie.

- Nie! - burknął i ujął jej uda tuż nad białymi koronkowymi podwiązkami. - Mnie już obejrzałaś. Teraz ja chcę obejrzeć ciebie.

- Z pewnością widziałeś już niejedną kobietę.

- Widziałem wiele kobiet - przyznał. - Ale nie widziałem jeszcze kobiety, którą jesteś ty. Nie widziałem Anne Aimes.

Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie oglądał jej tak dokładnie.

Anne posłusznie rozsunęła uda.

Michel, siedząc na piętach, ujął jej kolana i rozsunął je szerzej, szerzej i szerzej, aż jej mięśnie się napięły, a w najbardziej intymnej części ciała wdarło się chłodne powietrze.

I znów jej serce zaczęło się boleśnie obijać o żebra.

W tej pozycji widział wszystko.

Stała przed nim otworem, zdana na jego łaskę i niełaskę.

Zdana całkowicie.

Bezwarunkowo.

- No, nie stawiaj oporu... Szerzej!

Czarne, jedwabiste włosy porastające jego tors pieściły jej uda nad

pończochami. Delikatne niczym płatki kwiatu wargi ocierały się o siebie... szept dotyku.

Anne ciężko złapała powietrze. Dreszcz rozkoszy przeszył jej ciało, przechodząc przez brzuch aż do piersi.

- Posmakowałem cię. - Jego gorący oddech owiewał jej usta. - Czy masz jeszcze jakieś życzenia, *mademoiselle*?

Wszystkie zmysły Anne skierowane były na jego głowę między jej nogami, na usta Michela, odległe zaledwie o centymetry od krańcowej rozkoszy, jakie mogły jej dać.

- Chcę, byś mnie lizał.

Pałący żar wyzwał soki wypływające z niej leniwie, zupełnie jakby były mlekiem, które Michel, niczym kot, łapczywie spijał. Lizał wilgotną, śliską dolinę między jej napuchniętymi wargami, zatrzymując się co chwila na łechtaczce, by znów lizać... lizać... lizać...

Anne zamknęła oczy, zapadała się i zapadała w coraz głębszą otchłań...

- Co jeszcze, *cherie* Czego jeszcze pragniesz?

Anne z trudem rozpoznała własny głos - głos kobiety, która bezwstydnie domagała się orgazmu.

- Chcę poczuć w sobie twój język.

Wstrząsający żar. Napór nie do zniesienia.

Wdarł się językiem w pochwę, pałące preludium - zupełnie jakby w ten sposób chciał odebrać jej dziewictwo.

Napięła mięśnie.

Lizał i penetrował, lizał i penetrował niewielką, naprężoną błonę, która ją chroniła. Trwało to tak długo, aż Anne nie wiedziała, czy to, co czuje, to ból czy rozkosz.

W najdzikszych snach nie wyobrażała sobie, że mężczyzna będzie robić z nią coś takiego... że będzie ją smakować... będzie ją lizać, będzie językiem dotykać jej dziewiczej błony...

W pełen żaru nacisk wdarł się przeszywający ból... poczuła ostre zęby Michela...

Doprowadzona do rzeczywistości, otworzyła szeroko oczy i chwyciła głowę mężczyzny. Na ułamek sekundy jego usta zamknęły się na jej łechtaczce, zacisnął na niej zęby i ssał. Ostry ból przeszedł w oszalamiającą rozkosz, kiedy jego język szalał w miejscu, gdzie Anne była najbardziej czuła i wrażliwa.

42

Nigdy nie przysłoby jej do głowy, że mężczyzna ssący łechtaczkę kobiety może być jak niemowlak - głodny niemowlak o ostrych zębach - ssący i ssący pokarm matki.

Michel nieoczekiwanie wyprostował się. Jego usta były wilgotne, lśniły... nią. Biodrami rozpychał jej uda, napierał swymi włosami łonowymi na jej futerko. Jego okryty kondomem, sterczący członek napierał na jej dolne wargi, które jeszcze przed chwilą lizał i drażnił zębami.

Objął lewą dłonią jej prawy policzek i pochylił się nad nią. Jego

usta były gorące, śliskie i pachniały... nią.

Pachniały żądzą i jej sokami.

- Anne, możesz krzyczeć - mruknął.

Anne głośno przełknęła ślinę.

Coś wielkiego, okrągłego i parząco mokrego wdarło się w usta jej kobiecości, dźgając wrota jej pochwy.

Przypomniała sobie panią Kildairn i jej nagradzane na wszystkich wystawach śliwki. Największe w całym Dover, stanowiące jej największą dumę. Dochodziły do dziesięciu centymetrów w średnicy.

Tyle samo, co przypominająca kształtem tamte śliwki głowa jego penisa.

Anne zacisnęła palce na barkach mężczyzny. Błysnęło jej w głowie, że teraz, gdy leżała na plecach, odbierze jej dziewictwo; dokładnie tak samo, jak wyobrażała to sobie, spoczywając samotnie w swym pustym, zimnym łożu... Tak, jak oświadczył jej w dorożce.

- Czy zrobimy to... w taki sposób?

- Owszem. - Wargi Michela ocierały się o jej usta, delikatne i śliskie, podstępne jak wąż, który kusił Ewę. - Jeśli tylko tego chcesz. A chcesz?

Pragnęła wszystkiego, na cokolwiek on miałby ochotę.

- Tak - odparła bez tchu.

Musnął lewą dłonią jej policzek, przesunął palce na pierś - naprężona brodawka dźgnęła go w dłoń; szalone pożądanie ścisnęło jej pierś - przeciągnął ręką po talii, rozwartą dłonią pieścił przez chwilę krzyż, a



następnie zamknął w ręku krągłość jej pośladków. Przygarnął Anne do siebie, sprawiając, że przylgnęła doń swą kobiecością.

- Odpręż się, *cherie*. To będzie jak pocałunek... Najpierw cię smakowałem. - Poczula na ustach jego wargi, gorące i wilgotne. Między

43

nogami pulsowało jej coś wielkiego, coś, co próbowało bezlitośnie się w nią wedrzeć. - Później lizałem. – Gorące liźnięcie po wargach.

Kulista głowa jego męskości napała na jej naprężoną kobiecość. -

Następnie wszedłem w ciebie językiem. - Ukoił ją gorącym pocałunkiem.

-

A

teraz

zamierzam

wejść w ciebie cały.

Nieoczekiwanie wdarł się językiem w jej usta, przełamując

opór zębów. Jednocześnie napór między jej nogami zmienił się w ostre pchnięcie.

Anne zapomniała o godności, straciła wszelką kontrolę nad sobą.

Krzyczała... A przecież nigdy dotąd nie krzyczała.

Głos był stłumiony, gdyż Michel nie odrywał ust od jej ust. Wydarł powietrze z jej płuc, a w zamian oddał powietrze ze swoich.

Anne mimowolnie próbowała odepchnąć go od siebie, by uniknąć bólu, by odzyskać kontrolę nad zmysłami.

On jednak chwycił ją prawą ręką za biodro, a lewą wsunął pod pośladki.

- Nie ruszaj się - mruknął.

Czuła się upokorzona, odnosiła wrażenie, że naruszono jej podstawowe i niezbywalne prawa, czuła się bezbronna i podatna na ciosy; zupełnie jakby jej ciało przestało należeć tylko do niej.

A przecież nie za to płaciła. Nie miała zamiaru płacić za tak brutalne wtargnięcie w jej intymność, które pozostawiło ją w poczuciu całkowitej bezradności.

Bezradne są dzieci.

Bezradni są inwalidzi.

Ona jednak nie chciała być bezradna.

Zazgrzytała zębami. Pod powiekami zakłuły ją łzy.

- To boli.

- Popatrz na mnie. Opuść nieco biodra. Czuj, co robię. -Chwycił jej dłonie i wsunął je między ich ciała. - Jeszcze nie wszedłem w ciebie całkiem. Ból szybko minie, *cherie*. Czuj, jak wchodzę między twoje wargi... O, tak.

Wielki Boże, on naprawdę wchodził między wargi Anne! Gorące, wilgotne i śliskie zamknęły się wokół jego twardości w miłosnym uścisku.

- Anne, nie zamykaj oczu. Chcę, byś na mnie patrzyła. A ja chcę oglądać malującą się w twoich źrenicach pasję. - Blizny na policzku

Michela posiniały. - Starczyło ci odwagi, by wyznać, czego pragniesz.

Teraz pokaż mi, jak bardzo tego pragniesz.

Anne wzięła głęboki wdech. Zdołała wyartykułować tylko jedną, spójną myśl.

- Kondom. Czuję... czuję, jakby był zrobiony z gumy.

- Bo to jest guma.

- Nie... wiedziałam. - Czuję... coś obcego w moim ciele. Wybacz!

Wybacz mi, że krzyczałam.

Jego twarz spowijał mrok.

- Nie prosz o wybaczenie... nie mnie. Nigdy mnie o to nie prosz. Chcę, byś krzyczała. Jęczała. Stękała. Chcę, byś oddała mi się bez reszty. Chcę, byś mnie pożądała.

Przez ułamek sekundy odnosiła wrażenie, jakby opuściła swe ciało.

- Czy myślisz, że stara panna nie chce być pożądana? A może chcę, byś i ty jęczał i stękał? Może chcę, byś i ty krzyczał?!

Oparł czoło o jej czoło. Przywarł do Anne całym ciałem. Skórę miał gorącą, lepka od potu. A może to tylko jej skóra była gorąca i lepka od potu?

- A więc spraw, bym krzyczał - odezwał się schrypniętym szeptem. -

Unieś biodra. Masuj mego penisa swą lechtaczką. Pozwól, bym dał ci rozkosz, *cherie*. Pozwól, bym doprowadził cię do szczytu. A kiedy już go osiągniesz, chwyć mnie mocno za konia, a zacznę krzyczeć razem z tobą.

Anne zagryzła usta, męskość Michela pulsowała w niej. W przód.

W tył. Wargi. Pochwa.

- Za konia...? Masz na myśli penisa?

- Penis, koń, *ma bitte*. - Wbił palce w jej pośladki. - Unieś biodra...

Wyżej.

Łechtaczka Anne odpowiedziała dojmującą rozkoszą, omdlewające

gorąco oblało wargi jej kobiecości, które objęły jego męskość

ponownie wchodzącą w jej boleśnie rozciągniętą pochwę.

Nigdy jeszcze nie doświadczała takiej bliskości. Mężczyzna i kobieta,

dwa odrębne ciała, które miłosny akt połączył w jedno.

On to wszystko doskonale zna - błysnęło jej w głowie. -Wszak swój

przydomek zdobył dzięki temu, że potrafił zadowalać kobiety.

- Co mam teraz robić?

Jego twarz zastygła w grymasie. Napiął mięśnie, zacisnął usta.

45

- Po prostu czerp rozkosz.

Anne zacisnęła na jego członku mięśnie pochwy.

Michel wszedł o centymetr głębiej, po czym cofnął się. I znów pchnął.

Kolejny centymetr... Jak głęboko będzie w stanie przyjąć go w siebie...? I

znów się cofnął. Wszedł w rozkosznie palący rytm, na który ona

instynktownie odpowiadała - ujeżdżała jego włócznię, ślizgała się po

niej, masowała i uporczywie spoglądała mu w twarz szeroko

rozwartymi oczyma. Jego oczy stały się nieprzyzwoicie wręcz

fiołkowe.

- Masz w sobie tyle pasji, *cherie*. - Zakrył oczy rzęsami i nie

ustawał w rytmicznym ruchu. W przód i w tył, w przód i w tył... -

Wiem, że pragniesz już szczytu. - Całował gorączkowo jej twarz, przytulając kobietę coraz mocniej i mocniej do siebie... - Krzyczałaś z bólu. - Wszedł w nią o trzy centymetry głębiej. - Teraz krzycz z rozkoszy.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Anne eksplodowała... Zaczęła krzyczeć z nieprzytomnej rozkoszy, która rozdzierała ją od środka.

Wraz z Anne eksplodowało całe łóżce.

Michel głośno chrząknął i poderwał się. Lewą ręką z całych sił przyciskał jej pośladki tak, że wciąż pozostawała nadziana na jego włócznię. Machnęła nogami. Ze stopy spadł jej pantofel; po chwili jego los podzielił drugi. Męczyzna ponownie opadł na skraj łóżca, tak że Anne, z całych sił obejmująca go ramionami w pasie, z impetem siadła na pościeli.

Zadarła wysoko głowę, gwałtownie wciągnęła w płuca powietrze w pełnej udręki ekstazie.

Tkwiał w niej cały.

Całe dwadzieścia pięć centymetrów.

Fala gorąca zalała jej gardło, spłynęła na piersi... Michel zaczął gwałtownie ssać jej pierś, wykonując jednocześnie ruchy biodrami, tak że nasada jego członka uderzała równomiernie w jej wargi sromowe i łechtaczkę. Anne jeszcze bardziej odrzuciła głowę do tyłu i wygięła grzbiet w łuk. Sama już nie wiedziała, co czuje: rozkosz czy ból. Michel położył silną, szorstką dłoń na jej krzyżu i trzymając

kobietę w krzepkim objęciu, nie odrywając ust od jej piersi, wchodził głębiej i głębiej. Niemożliwe, by mógł wejść jeszcze głębiej; a jednak wszedł. Z jej ust ponownie dobył się głośny krzyk nieprzytomnej

46

rozkoszy, jaką niósł ze sobą orgazm.

Gdy znów wydała z siebie krzyk, pokój wywinął koziołka i Anne wylądowała na plecach na chłodnym jedwabiu; pod pośladkami poczuła dotyk równie chłodnego aksamitu. Unieruchomiły ją jej własne włosy - uwięzione między plecami kobiety a pościelą nie pozwalały wykonać żadnego ruchu.

Spoglądała bezradnie z miejsca, w którym Michel położył ją na łóżku. Czuła skurcze mięśni macicy po przeżytych orgazmie; szykowała się na następny.

Pochylił się nad nią. Między udami czuła jego biodra, a w pochwie, bardzo głęboko, naprężonego penisa. Michel nakrywał ją niczym rozgrzany, włochaty koc, jego tors przylegał do jej piersi, brzuch - do jej łona.

Czuła gorąco napływające od nóg.

Desperacko próbowała złapać powietrze.

Mogła złapać jedynie powietrze płynące z jego ust. Obdarował ją orgazmem. Czuła, że nadchodzi kolejny.

Fiołkowe oczy Michela rozbłysły.

- A teraz, *cherie*, pokażę ci anioły.

Michaela zbudził głośny jęk. Na sufit padały pierwsze, różowe jeszcze promienie świtu.

To jęknęła kobieta.

W chwili, kiedy wyrwany ze snu, spostrzegł jej obecność, Anne przeciągnęła się i usiadła w pościeli. Długie, jedwabiste włosy spadały miękką falą na jej plecy. W półmroku zalegającym pokój, w mętnym świetle lampy naftowej, jej pukle lśniły żywym złotem i srebrem.

Michael uświadomił sobie nagle, że pachnie zaschłym potem, a sypialnię przenika intensywna woń seksu i róż. Łoskot bijącego mocno serca odbijał się gromowym echem w jego uszach.

- O co chodzi? - wymamrotał.

Stężał od środka. Znał przecież odpowiedź. Anne Aimes zażyła zeszłej nocy rozkoszy, a teraz zamierzała już wracać do domu.

Nie mogła jednak wrócić do domu.

Dał jej osiem orgazmów, celowo oszołomił ją nadmiarem

47

cielesnych rozkoszy, którymi nasączył jej ciało i umysł. Nie powinna się była jeszcze obudzić.

Anne odwróciła twarz w jego stronę i omiotła go spojrzeniem.

Wzrok miała trochę mętny, źrenice matowe, pod oczyma sinawe kręgi.

- Zaspałam. Muszę już wstawać. Potrzebują mnie. Mam odebrać

lekarstwa...

Jej rodzice nie żyli od dziesięciu miesięcy. Matka szybko poszła śladem męża - zaledwie dwa dni później.

Helen i Henry Aimesowie osiągnęli sędziwy wiek, przeżywając bliskich i krewnych. Anne, ich jedyne dziecko, przyszła na świat, kiedy byli już w średnim wieku.

Została samotną, starą panną, która właśnie przestała być dziewczyną.

Michael również był sam na świecie.

Na tę myśl ostry ból przeszył mu serce.

- Wcale nie zasnęłaś, *cherie*. - Delikatnie, z ogromną czułością przygarnął ją do siebie, objął ramionami i przytulił. Jego ręce oplótł jedwabista pajęczyna długich włosów Anne. - Sza, uspokój się. Już wszystko dobrze.

Ona jednak wciąż sztywno tkwiła w jego objęciach, zdecydowana w każdej chwili wyrwać się, by zanieść medykamenty rodzicom, którzy od dawna nie żyli.

- Lekarstwa...

- Już wszystko dobrze, *cherie* - powtórzył Michael. Odgarnął z czoła Anne kosmyk delikatnych jak u dziecka włosów i owinał go wokół swych stwardniałych od blizn palców. Przysunął twarz do jej skroni i zaczął chłonać aromat zmieszanych zapachów potu i zaspokojonych żądz. Przez wszystko to przebijała woń mydła, szamponu i jej ciała... Woń pełna słodyczy i tak różna u różnych kobiet. - Już wszystko dobrze. Nie musisz wstawać. Nikt na ciebie nie czeka. Spij.



Anne ciężko westchnęła i zaprzestała oporu.

- Umarli - wymamrotała. Zamknęła oczy, oddech zaczął się jej uspokajać. - Jestem taka zmęczona...

Przez chwilę Michael chciał nią potrząsnąć, obudzić ją, a następnie wyrzucić ze swego domu i życia. Jednocześnie dotarło doń, co naprawdę wyrwało kobietę ze snu.

Trzask klamki we francuskich drzwiach.

48

Ktoś próbował dostać się do sypialni.

Za szybko - pomyślał w przyływie naglej energii. Spoczywająca w jego ramionach kobieta była zbyt ponętna.

Potrzebował więcej czasu.

Metalowe kraty w drzwiach zagrzechotały.

Ilu po niego przyszło? Jeden? Dwóch? Trzech?

Ogarnęło go szaleństwo. Zamarło mu serce; przez chwilę nie wiedział, czy jest gotów walczyć, czy uciekać.

Dotąd odczuwał wyłącznie palący wstyd, teraz ogarnął go niepohamowany gniew.

Nie będzie uciekać! Nigdy więcej.

Delikatnie wyplątał się z pasm włosów Anne i zsunął z ramienia jej głowę. Wyślizgnął się z łoża i przykręcił lampę, tak że żółty blask knota zamienił się w czerwony języczek maleńkiego płomyka.

Za zasłonami w oknie majaczyła niewyraźna sylwetka.

Przysłali tylko jednego. Tym razem!

Chłodne powietrze zmącił szmer naoliwionych zawiasów drzwiczek szafki nocnej.

Dla Anne przygotował w niej najcieńsze kondomy, ale był również przygotowany na wizytę intruza.

W jego rękę załśnił sztylet o rękojeści z kości słoniowej. Bronią posługiwał się równie sprawnie jak kondomem, jedno służyło do zabijania, drugie do seksu.

Nie stanowiło dla niego różnicy, co robi. Nie wezmą go żywcem...

Chyba że sam będzie tego chciał. Kucnął na zimnej podłodze i przekręcił klucz w zamku. Przygotował się do zadania śmiertelnego ciosu.

- Michael, albo go użyj, albo odłóż - dobiegły go, niczym tchnienie wiatru, słowa.

Gabriel!

Odruchowo spojrział w stronę łóża, by upewnić się, że Anne wciąż pogrążona jest w głębokim śnie. Leżała tak, jak ją zostawił, na plecach.

Zapomniał ją przykryć kołdrą i teraz w przyćmionym świetle jej jasne piersi majaczyły niczym wyrzeźbione z alabastru. Prawe ramię z wyprostowaną dłonią spoczywało na białym prześcieradle.

Michael nie był przygotowany na taką burzę uczuć, jaką wzbudziła w nim ta kobieta.

Kobietom służył od czasu, gdy skończył trzynaście lat... Nie mógł

Anne Aimes.

Należał do każdej kobiety, którą stać było na jego usługi...

Nie miał żadnego prawa do tej właśnie starej panny.

A jednak czuł, że ma.

Nie chciał, by Gabriel zobaczył ją obnażoną, taką, jaką on ją widział.

- Poczekaj! - polecił szeptem.

Dźwignął się na nogi i przyniósł aksamitny płaszcz Anne, który tak niedbale cisnął wieczorem na podłogę, i narzucił go na swe nagie ciało.

Sięgał mu do połowy łydki. Wyszedł na balkon. Pod wpływem zimnej drewnianej podłogi skurczył palce stóp. Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Niebo barwiły chmury koloru różowych pereł, kalanych brudnym dymem unoszącym się z londyńskich kominów. Pięć milionów mieszkańców stolicy przygotowywało śniadania. W znajdującym się niżej ogrodzie śpiewały ptaki.

Michael i Gabriel stali oko w oko, jeden ciemno-, drugi jasnowłosy.

Z ich ust wydobywały się obłoczki pary.

- Gabrielu, mogłem cię zabić.

- Niewiele by mnie to obeszło.

- A mnie wręcz przeciwnie - odparł Michael, któremu minął już pierwszy gniew.

- Myślisz, że ja bym po tobie nie płakał? Uratowałeś mi życie.

Chciałbym ci się jakoś odwdzięczyć za tę przysługę.

W chwili gdy Michael znalazł go skutego łańcuchami na strychu domu jednego z zamożnych klientów, Gabriel wcale nie uważał tego za przysługę. Walczył o życie równie zajadle jak Michael o jego wolność.

- Dlaczego nie wszedłeś frontowymi drzwiami? - zapytał łagodnie

Michael. Dał krok do tyłu, wychodząc z obłoków pary, jaką tworzyły ich oddechy. - Przecież masz klucz.

- Chciałem osobiście sprawdzić, jak przygotowałeś się na spotkanie z ludźmi, którzy mogą po ciebie przyjść. Te francuskie drzwi nie stanowią żadnej ochrony. Dlaczego nie wstawisz krat w okna?

- Ponieważ wtedy nie mogliby mnie wziąć - wyjaśnił cicho

Michael.

50

- A gdyby przyszli nie po ciebie, lecz po nią?

Michael przypomniał sobie, jak Anne otworzyła przed nim swe dziewictwo, a on w nią wszedł.

Krzyczała, najpierw z bólu, później z rozkoszy. Tak, jak obiecał.

Bezlitośnie odepchnął od siebie to wspomnienie.

- Sprawiłoby mi to tylko radość. Może by umarła, a może nie. Ale tak czy siak, zabiłbym go. Albo sam bym poległ.

- Pachniesz nią.

- Okryłem się jej płaszczem.

- Pachniesz jej seksem, Michaelu. Jej rozkoszą. I swoją. Nie przyszła do ciebie jako wabik. Czy pozwolisz, by uczynił jej to samo,

co uczynił Dianę?

Michael zamknął oczy, jakby w ten sposób chciał uchronić się przed dotarciem do niego sensu słów Gabriela.

Przez ułamek sekundy znów był z Dianą, kobietą, która odeszła od swego bogatego, utytułowanego męża tylko po to, by być z nim, z człowiekiem, którego uważała za zwykłą francuską męską dziwkę. Pamiętał jej niepohamowany śmiech, jej niepowstrzymaną pasję, jej upartą żądzę życia.

Kiedy tamten człowiek ją zabrał, wszystko było już kwestią dwóch miesięcy.

Tylko w śmierci znalazła ukojenie.

Przeklęty Gabriel!

Michael kochał Dianę.

A jej zabójca wciąż cieszył się wolnością.

Otworzył oczy.

- Tak. Tak, pozwolę mu zabrać Anne Aimes.

Spoglądali sobie w oczy. Dwa upadłe anioły, które chciały zbyt wiele, które odważyły się na zbyt wiele i które zapłaciły za to.

Gabriel cofnął się o krok, na jego bladej, wypielęgnowanej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

- On już wie.

Michael nie umiał kłamać.

- Tak - odparł bezbarwnym głosem.

Od pięciu lat wiedział, że wśród jego służby jest szpieg. Ale

wiedział też, że dopóki tkwi w swym prywatnym piekle, jest bezpieczny.

I wtedy w progu jego domu pojawił się prawnik.

51

Michael ruszył za szpiegiem, który szedł za prawnikiem.

Prawniki zaprowadził ich obu do Anne Aimes.

Niewątpliwie to on nastęrczył Anne usługi Michaela. Wiedział, że ta kobieta jest samotną, starą panną, po której nikt nie będzie płakać.

- A kiedy go już zabijesz, Michaelu...? Jak będziesz żyć ze świadomością, że swą zemstę opłaciłeś życiem jeszcze jednej kobiety?

Michael wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- A kto mówi, że go zabiję? Może to on zabije mnie?

- Pozwól mi ją zabrać. On wie, że nie przyjechałeś tu bezinteresownie. Okłamujesz samego siebie, jeśli sądzisz, że kobiety już cię nie pożądają. Teraz, gdy wróciłeś, pojawi się ich cały tłum.

Nie potrzebujesz Anne Aimes. Przynętą jest twoja seksualność, nie ta kobieta.

Michaela ogarnął dziki gniew, stracił zimną krew. Walnął na oślep, chciał zranić, a wiedział, jak to zrobić.

- Już ty najmniej wiesz o kobietach, *mon frere*.

Okrutne słowa długo dźwięczały w powietrzu.

Obaj wiedzieli, że to nieprawda. To nie oni wybrali życie, jakie musieli prowadzić.

Gabriel zmrzył oczy. Jego źrenice lśniły czystym srebrem w pierwszych blaskach porannego słońca. Nie próbował nawet zaprzeczać.

- Michaelu, jesteś po prostu głupi. Kup sobie lustro i popatrz w nie. To nie on skazał cię na piekło; skazałeś się na nie sam.

Michael zacisnął usta.

- Gabrielu, trzymaj się od tego z daleka. Tym razem nie popuszczę.

- Boisz się, że ją ostrzegę? - zakpił przyjaciel.

W Gabrielu nie było już nic z trzynastoletniego chłopca, jakim go

Michael pamiętał, nie było śladu jego radosnego śmiechu ani łez.

Michael nie musiał kupować nowego zwierciadła; raz już popatrzył w lustro.

Lodowate zimno przeszło go od stóp i ulokowało się gdzieś głęboko w brzuchu.

- Tak, Gabrielu. Tego się właśnie boję.

- A jeśli naprawdę ją ostrzegę?

Michael bez słowa odwrócił się na pięcie i wszedł do sypialni.

Zamknęła się wokół niego ciemność.

52

Zbyt dużo śmierci.

Prawie zagroził śmiercią swemu przyjacielowi. Chciał zabić jedyną kobietę, która odpowiedziała rozkoszą na jego dotyk.

Nagłym ruchem podkręcił lampę. Potrzebował światła, bo w przeciwnym razie byłby jak pies do księżyca.

Kiedy rozbierał Anne, prosiła, by zgasił światło.

Gdyby był innym człowiekiem, uszanowałby jej skromność, jej pierwszy raz.

Ale nie był innym człowiekiem.

Istniało tylko jedno, czego bał się bardziej niż ognia. Była to ciemność.

Michael popatrzył na leżącą w jego łóżu kobietę.

Pogrążona była w głębokim śnie, nieświadoma obecności mężczyzny, który ją obserwował, nieświadoma losu, jaki ją czekał.

Na jej jasnych, pełnych piersiach rozlewały się falą pukle włosów. Spośród nich wyłaniały się ciemne, napęczniałe brodawki - niczym przejrzałe truskawki.

Bardzo wrażliwe... Kiedy je ssał, Anne była bliska orgazmu.

Na długich, smukłych palcach, o krótko obciętych, różowych paznokciach nie miała pierścionków. Gdy się kochali, jej dłonie błędziły mu po plecach i barkach.

W niczym nie przypominała beznamiętnej, anemicznej kobiety, która pojawiła się w „Domu Gabriela”, a już na pewno nie sprawiała wrażenia osoby skazanej na śmierć.

Pamiętał doskonale jęki, jakie wydawała, gdy po raz pierwszy doprowadził ją do orgazmu.

W dorożce oświadczyła, że nigdy nie widziała nagiego mężczyzny, lecz nie okazywała skromności i bojaźni, jakie przystawały dobrze urodzonej dziewczycy.



Niejednokrotnie miał do czynienia z mężatkami, które nawet nie wiedziały, jak nazywają się ich narządy płciowe. Skąd taką wiedzę nabyła ta stara panna?

Z drugiej strony, jak mogła nie wiedzieć, że będzie krzyczeć z rozkoszy... albo z bólu?

Michael wciągnął w płuca ciężkie, przepelnione odurzającą wonią powietrze. Zapach róż nie potrafił jednak stłumić odoru rozkładu.

Ogarnął go nagły gniew.

53

Bolały go mięśnie od ciężkiej harówki, jaką było zaspokojenie tej kobiety, ale po stokroć wolałby wypruć z siebie żyły, pracując na jednej ze swych farm w Yorkshire. Tamta praca przynajmniej wyczerpywała tylko ciało, pozostawiając w spokoju umysł. Anne zaś angażowała zarówno jego umysł, jak i ciało.

Niech piekło pochłonie człowieka, który użył tego środka, aby mnie zniszczyć!

Przez chwilę zastanawiał się, czy Anne Aimes nie została specjalnie wynajęta, by sprowadzić go znów do Londynu.

Ten człowiek był do tego zdolny. Znał wszystkie słabe strony Michaela.

Gniew opuścił Michaela równie nagle, jak nadszedł, zostawiając po sobie jedynie smutek.

Nie było takiej sumy pieniędzy, której warta byłaby pasja widoczna w oczach Anne.

Ogarnęło go dobrze znane drzenie, którego nienawidził. Istniał

tylko jeden sposób, by je stłumić.

Wyjął z blaszanego pudełka kondom, rozchylił poły aksamitnego płaszcza i z wprawą naciągnął gumową osłonkę na swą nabrzmiałą męskość. Napłynęło nieproszone wspomnienie, jak Anne niezdarnie nakładała mu gumę.

Tak bardzo starała się sprawować nad sobą kontrolę, kiedy stała przed nim nago, drżąc od przenikającej ją żądy. Tak bardzo chciała sprawować władzę, której nie miała.

Michael wślizgnął się pod kołdrę. Pościel była gorąca, zapraszała, wabiła rozkoszą.

Upłynęło pięć lat od chwili, kiedy po raz ostatni kobieta ogrzała jego łóżko, pięć trudnych, pełnych udręki lat od czasu, kiedy obdarzył kobietę ekstazą.

Michael przewrócił się na bok i sięgnął...

Serce zabiło mu gwałtownie, ciało przeszył zimny, a jednocześnie gorący dreszcz.

Anne wpatrywała się w niego jasnoniebieskimi oczyma.

Obserwowała go uważnym wzrokiem, nie zmaconym ani sennymi majakami, ani wspomnieniami przeszłości.

Czy nie spała, kiedy nad nią stanął?

Czy słyszała, jak wyszedł na balkon?

54

Czy podsłuchiwała jego rozmowę z Gabrielem?

- Ptaki już się zbudziły.

- Tak - odparł, nie ruszając się z miejsca w obawie, że ją wystraszy.

- Wstaje dzień - odezwała się obcym, rozsądnym głosem, jakże

innym od głosu, jakim w nocy wyrażała swą pasję. - Muszę wracać do domu.

Michael poczuł się nagle zmęczony całą tą komedią.

On pożałował.

Ona pożałowała.

Dlaczego to nie wystarczało?

Nie był już Michelem, bez względu na to, jak by udawał czy pragnął. Człowiek, jakim był przed pięciu laty, umarł. Umarli wszyscy, których kochał.

Michael ujął twarz Anne w dłonie - w dłonie Michaela, nie Michela.

W dłonie, które budziły raczej wstręt niż sympatię.

Ale w niej nie budziły odrazy.

Z niezmaconym spokojem przyjęła jego dotyk. Jej twarz była pogodna, choć w oczach malowała się czujność.

Gabriel grubo się mylił. Nie było kobiety, która zagarnęłaby

Michaela bez reszty, tak jak uczyniła to Anne Aimes.

Była tak otwarcie szczerą, mówiąc o swych żądzach. I zasługiwała na taką samą szczerą z jego strony.

- Tam... w dorożce... nie powiedziałem ci o czymś, o czym powinienem był powiedzieć - szepnął.

W jej wzroku pojawiła się niepewność.

Miała jasne, przejrzyste oczy... wyrażające jej uczucia. Mówiły o samotności, o cierpieniu i ogromnym pragnieniu, by ktoś jej dotykał... trzymał w objęciach... bez reszty akceptował...

Był to wszakże punkt widzenia Michaela, nie Michela.

- O czym? - szepnęła.

Jej oddech był gorący i słodki; pełen woni szampana, proszku do zębów i słodkiego ukojenia.

- Nie powiedziałem ci, że kiedy mężczyzna jest w kobiecie... -

Łagodnie pieścił kciukami jej delikatne usta, a pozostałymi palcami masował konchy uszu. - ...ich oddechy stanowią jedno. Nie powiedziałem ci, Anne Aimes, że cię pożądam. Że pragnę, byś mnie dotykała. I że... ja za to zapłacę.

Zesztywniała. Nie była przygotowana na Michaela Anglika.

55

Nie była świadoma tego, że to on właśnie odebrał jej dziewictwo, nie Michel, francuski *courailleur*.

- Nie musisz traktować mnie protekcyjnie ani roztaczać nade mną opieki, *monsieur*. Doskonale wiem, że mężczyzna taki jak ty nie potrzebuje kobiety takiej jak ja.

Michael przeczesywał palcami jej miękkie jak u dziecka włosy.

- Sądzisz, że pokryty bliznami mężczyzna nie potrzebuje dotyku kobiety? - spytał.

Była nienaturalnie sztywna, jak tam, w domu schadzek, gdzie otaczali ją kobieciarze i dziwki. Tak samo jak w dwukołowej dorożce, gdzie

towarzyszył jej mężczyzna, którego wynajęła, by odebrał jej dziewictwo.

Tak samo jak w chwili, kiedy ją rozbierał, a ona była sparaliżowana strachem i pożądaniem.

- Wcale tego nie powiedziałam.

Palcem uniósł jej podbródek, tak że ich usta i nosy prawie się stykały.

- Pomyślałaś tak. Sądzisz, że skoro jestem męską dziwką, nie potrzebuję niczyjego dotyku.

Przysunęła się bliżej niego, tak że jego uścisk zelżał. Chwyliła go za przedramiona.

- Tego

też

nie

mówiłam!

W jej oczach pojawił się lęk.

Miała wszelkie powody, by się go bać. Michael, w przeciwieństwie do Michela, będzie ją eksploatować i eksploatować, tak długo, aż nie będzie miała już nic do zaoferowania. W przeciwieństwie do Michela, nie miał zwyczaju zalecać się i prawić gładkich słówek, udając, że szanuje jej dziewiczy wstyd i skromność. Miał na to za mało czasu.

Znów unieruchomił dłonią jej głowę, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy.

- A zatem co powiedziałaś, Anne Aimes?

Zaczęła szybko oddychać, dyszała mu w usta.

- Chodziło mi tylko... Wiele kobiet przychodzi do ciebie... pięknych kobiet. Młodszych ode mnie.

Jak mogła być aż tak naiwna?

Czyżby potrzebowała widowni? Czy naprawdę nie wiedziała, kim on jest?

- Od pięciu lat nie miałem żadnej klientki - oświadczył bez ogródek, aż do bólu świadom swego pulsującego, nabrzmiąłego krwią penisa i

56

wyznania, które mogło zmienić wszystko.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, rozluźniła palce zaciśnięte na jego rękach.

- Dlaczego?

- Ogień - odparł szorstko, obawiając się bardziej współczucia z jej strony niż odrazy.

- Nie chciałeś zadawać się... z kobietami, ponieważ zostałeś poparzony?

Dlaczego ból Michela, mężczyzny, który przez ostatnich pięć lat był martwy, tak bardzo bolał i ją?

- Kobiety mnie nie chciały... ponieważ byłem poparzony.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć, *monsieur*.

- Dlaczego? - Wpił palce w skórę jej czaszki; nie za mocno, ale i nie delikatnie. - Czy tak trudno zrozumieć, że kobiety niechętnie płacą męskiej dziwce oszpeconej bliznami?

- Przecież wciąż jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego

widziałam w życiu.

Po plecach Michaela przebiegł lodowaty dreszcz. Szczebiot ptaków dobiegający z ogrodu stał się nagle nieznośnie głośny i dokuczliwy. Z odległego o dziewięć mil centrum Londynu dobiegło stłumione odległością bicie Big Bena - raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

- Czy już mnie kiedyś spotkałaś?

- Tak. Osiemnaście lat temu. Na balu.

- Nie przypominam sobie.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbyś mnie pamiętać? Nie było ważne, czy spotkała go przed ogniem. Pamiętała go.

- Jestem już zupełnie kimś innym.

- Nie zgłaszam zażaleń.

Po plecach Michaela przeszedł zimny dreszcz. Dlaczego ta stara panna zaakceptowała go, skoro inne kobiety odrzucały z pogardą?

Wypuścił Anne z objęć i tylko gładził delikatnie jej włosy -jedwabiste i jakby pełne życia.

- Zapytałem cię tylko, czego pragniesz... jeszcze zanim odebrałem ci dziewictwo.

- A ja ci powiedziałam, czego chcę.

- Nie! - Michael delikatnie masował skórę czaszki Anne, odpędzając

ból... Jej i własny. - Powtórzyłaś tylko moje słowa. Mówiłaś o tym, co ci

57

powiedziałem, że z tobą zrobię.

- Naprawdę tego chciałam - odrzekła stanowczo.

- Nie wiedziałaś, że mężczyzna może całować kobiecie łechtaczkę -  
odparł z kamienną twarzą. - Nie wiedziałaś, że mężczyzna smakuje  
kobietę, liże ją, wchodzi w nią językiem. O tym wszystkim  
dowiedziałaś się dopiero dzisiejszej nocy. Prawda?

Oczy Anne rozblęły pożądaniem.

Napawała się jego słowami, dosadnymi, ociekającymi seksem.

Soczyste słowa i zdania, które sprawiały, że między kobietą i mężczyzną  
nawiązywała się pełna intymności więź.

- Nie wiedziałam - odparła z wahaniem.

Michael chłonał jej zapach, zapach jej seksu, słodycz jej nie  
uparfumowanej skóry i kobiecej żądz.

- Gdybym ci o wszystkim nie powiedział, skąd mogłabyś  
wiedzieć, o co prosić?

Jakże trudno było się Anne przyznać do własnej ignorancji, jednak  
wrodzona uczciwość nie pozwalała jej kłamać.

- Nie wiem. Nie sądziłam, że zapytasz mnie... – Zamknęła oczy,  
próbując w ten sposób ukryć swą bezradność. - Nie wiedziałam, o co  
prosić.

I wciąż tego nie wiedziała.

- Ale wiedziałaś, że mężczyźni dotykają kobiet. Że z nimi sypiają.

Powiedz szczerze, czego się spodziewałaś? - zapytał cicho.

- Myślałam... że mnie pocałujesz... pocałujesz w usta.

- A czy wiedziałaś, że mężczyźni uwielbiają ssać kobiece piersi?

- Nie.



- A czy kiedykolwiek wyobrażałaś sobie, że jakiś mężczyzna będzie ssał twoje piersi?

- Tak - odrzekła, ściągając w zakłopotaniu usta.

Opuszkami kciuków przeciągnął po jej długich, sztywnych rzęsach. Anne gwałtownie otworzyła oczy.

- Powiedz, jak to jest- szepnął, pragnąc dzielić z nią jej żądze.

Chciał zapomnieć, choćby na chwilę, o całym złe, jakie ludzie wyrządzają innym ludziom. Kobietom. Dzieciom.

- Widziałam matki karmiące piersią swe dzieci i myślałam... i myślałam, jakie by to było wspaniałe uczucie, gdyby mężczyzna ssał moje piersi. Jak szczególną bliskość musiałyby to stwarzać.

58

Oddech Michaela przyspieszył; jej pełna niewinności namiętność rozpaliała go do białości.

- Czy kiedy o tym myślałaś, dotykałaś swych piersi?

Poczuł, że się od niego odsuwa.

- Nie. - Michael przyciągnął ją do siebie, zmuszając, by przekręciła się na bok i przyłgnęła do niego całym ciałem. – Nie odsuwaj się ode mnie.

Odwróciła się w jego stronę, a naprężone brodawki piersi prawie kłuły go w tors. Jego nabrzmiała męskość napierała na czarny trójkąt między jej udami.

- Masz zimne stopy - rzekła bez tchu, nie odrywając od

niego ciała.

Czuł, jak mocno bije jej serce, zupełnie jakby to było jego własne. W skroniach pulsowała mu krew.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

- Nie wiem, co chcesz usłyszeć.

- Prawdę, Anne Aimes. Tylko prawdę. Ty też możesz pytać mnie o

wszystko, a ja nie będę kłamał. - Nie w łóżku i nie po seksie, jaki

przeżyliśmy. - Zapytałaś mnie, czy kiedykolwiek tak bardzo

potrzebowałem kobiety, że byłem gotów za to zapłacić. Tak. Przez

ostatnich pięć lat płaciłem kobietom za rozkosz. Wiedziałem, że nawet

dziwki brzydzą się mego dotyku. Ale musiałem do nich chodzić.

Chciałem ich dotykać i chciałem być dotykany.

Czasami leżałem we własnym łóżku, zabawiałem się sam ze sobą i

zastanawiałem się, dlaczego mi to nie wystarcza, dlaczego muszę

chodzić do kobiet, które wcale mnie nie pragną. Zamykałem oczy,

wyobrażałem sobie, że istnieje kobieta, która mnie pragnie... kobieta,

której nie napęlniają odrazą moje blizny... i w końcu spuszczałem się

sobie na rękę.

W oczach Anne malowały się sprzeczne uczucia, przepływając przez

jej twarz jak chmury po błękitnym niebie. Była poruszona do żywego

tym, że mężczyzna tak otwarcie mówi o swych żądzach. Jednocześnie

doskonale rozumiała, że bawiąc się ze sobą, pragnie czegoś więcej.

Ona, stara panna, знаła to uczucie aż za dobrze.

- Pragnę cię, Anne. Chcę być dla ciebie czymś więcej niż wynajętą

męską dziwką. Chcę zostać twoim kochankiem. - Potarł wargami jej usta i na chwilę zatonęli w namiętym pocałunku. - Zostań ze mną.

59

Teraz. Jutro. Zostań ze mną cały miesiąc. A ja ci podpowiem, o co prosić. Dam ci to wszystko, czego kobieta ma prawo się domagać.

Wszystko to rzucę ci do stóp. Każdy dotyk. Każdy pocałunek. Każde liźnięcie. Coś, o czym nigdy nie śmiałaś nawet marzyć. Stosunki miłosne, jakich sam nie odbywałem od pięciu lat.

W oczach Anne pojawił się ból.

- Ty nie krzyczałaś, kiedy... kiedy doznałaś orgazmu.

Michel by krzyczał, Michael - nie.

- Czy tego chcesz? - odparł martwym głosem. - Moja profesja każe mi spełniać każdą twoją zachciankę. Dzwonka zawsze krzyczy, gdy klient za to płaci... bez względu na to, czy osiąga orgazm, czy nie.

- Nie jesteś dziwką! - zaprotestowała gwałtownie. Uśmiechnął się ponuro. Wiedział, że to nieprawda.

- Jestem.

Dzwonka. *Courailleur*. Ogier. *Macqueral*. Najmita babskiej kiecki.

Zarówno w języku angielskim, jak i francuskim istniało wiele określeń na mężczyznę jego pokroju.

- Kim jesteś teraz?

Kim jest teraz?

A kim jest mężczyzna, który żeruje na kobiecej potrzebie doznania przyjemności oraz na potrzebie bycia pożądaną?

Nie istniało żadne usprawiedliwienie tego, co teraz robił.

Jeśli nie uda mu się jej zatrzymać, ona umrze.

Jeśli ją zatrzyma, pochwyca ją.

Jedynie głupcy sądzą, że nie ma nic gorszego od śmierci.

Michel nie był głupcem, był jedynie nierozsądny. Michael nie był ani taki, ani taki.

Kiedy wymawiał słowa, które miały przywiązać do niego tę podstarzałą pannę, odnosił wrażenie, że zatraskuje się nad nimi wieko trumny.

- Jestem mężczyzną - oświadczył ochryple - który w przeciągu miesiąca pragnie zawrócić czas. Mężczyzną, który pragnie znów słyszeć krzyk kobiety osiągającej szczyt i wiedzieć, że ona nie udaje. Pragnę jeszcze raz poczuć się mężczyzną, jakim byłem przed pięciu laty.

Spełnionym. Atrakcyjnym i pociągającym. Jak tej nocy, kiedy raz za razem doprowadzałem cię do orgazmu. I później, kiedy ukojona spałaś w moich ramionach. Anne, pragnę dzielić z tobą rozkosze ciała, ale nie mogę

robić

60

tego jako wynajęta męska dziwka. I nie będę twoim kochankiem, jeśli zamierzasz mnie zatrudniać od czasu do czasu, dając tylko godzinę czy dwie.

Jego pragnienia odbijały się dźwięcznym echem w uszach Anne

Aimes. Jej pragnienie, by być ponętą i atrakcyjną. Być pożądaną i

adorowaną. Doświadczając owej szczególnej bliskości, jaką daje seks.

- Nie mogę zostać - wymamrotała. - Muszę iść...

Ale nie mógł przecież jej wypuścić.

- Obudziłaś się... za wcześnie... i powiedziałaś, że jesteś spóźniona. -

Delikatnie przeciągnął językiem po jej ustach, chłonąc jej smak i zapach, dając jednocześnie w zamian smak i zapach własnego ciała. -

Mówiłaś, że zapomniałaś o lekarstwach. Czy masz kogoś na utrzymaniu... Czy kimś się opiekujesz?

Twarz oblał jej gorący rumieniec. Anne szybko jednak znów skryła się w swej skorupie podstarzałej panny.

- Nie. Już nie.

Wcale nie chciał mnie zranić - błysnęła jej myśl.

- A więc nikim się nie opiekujesz - szepnął. - Nikt na ciebie w domu nie czeka.

Aż skurczył się w środku na widok tępego, pozbawionego wyrazu wzroku Anne.

- Nie mam nikogo.

- Moi rodzice umarli, gdy miałem jedenaście lat.

Zdumiało go tak szczere własne wyznanie.

Kobiety jednak, która wynajęła go do cielesnych uciech, nie zdziwił wcale fakt, że mężczyzna rozmawia z nią o swej rodzinie.

- Jak umarli?

- Na cholere - skłamał.

- Doskwiera ci samotność?

- Tak.

Istniało tyle innych spraw, w których by jej nie okłamywał.

- Co

byś

zrobił,

gdybym

jednak

została?

Przeszył go ból idący od jąder do serca.

Obejmując lewym ramieniem głowę Anne, prawą dłonią przeciągnął po

linii jej barków. Delektował się delikatnością wystających kości,

wcięciem talii, ponętą krągłością bioder.

- Chcesz zostać ze mną... teraz? Lekko się zaczerwieniła.

61

- Tak.

Wilgotne gorąco jej sromu niemal parzyło mu męskość. Stała przed

nim otworem. Bezbronna.

Niczego nieświadoma ofiara.

Najwyższym wysiłkiem woli odrzucił od siebie wspomnienie tego, co

tamtę osobę mu uczynił. Co uczynił Dianę.

I to samo mógł zrobić Anne.

- I nie będziesz mnie okłamywać? - zapytał, pragnąc jej uległości,

otwartości, jej nieskrywanej pasji.

Anne nieśmiało ujęła go za ramię, wciąż bojąc się, że ją odrzuci.

- Dlaczego miałabym to robić?

Chwytając mocno jej udo, przysunął usta do jej napęczniałych warg i wyciągnął lewe ramię spod jej głowy.

- Czasami kłamstwo jest jedyną naszą obroną. - Wsunął rękę pod pulsujące, gorące ciało Anne i ujął dłonią pośladki. Tam skóra była jeszcze bardziej aksamitna niż na twarzy i piersiach. - Tym razem jednak nie musisz kłamać... Nie mnie. – Przesuwał palce między jej pośladkami, aż dotarł do rdzenia jej kobiecości. - Oboje chcemy... oboje pragniemy tego.

Pochwa była gorąca. Mokra.

Anne drgnęła, kiedy poczuła dotyk jego palców.

- Nie wiem, czy teraz dam radę. Jestem... małej.

Michael nie mógł przysiąc, że jej nie skrzywdzi. W końcu oboje mogą zostać mocno poranieni. Albo nawet zginąć.

Zamknął oczy, by kobieta nie wyczytała w nich całej prawdy, i leciutko pocałował jej usta.

- Ufasz mi? - zapytał cicho.

- Czy gdyby było inaczej, leżałabym z tobą w łóżku? Niewidzialna pięść ugodziła go boleśnie w brzuch. Powinienem był jednak oddać ją Gabrielowi - pomyślał. Zacisnął palce wokół jej łechtaczki i warg sromowych. Anne zeszywniała i gwałtownie poruszyła ciałem, ale tkwiła

w twardym uścisku mężczyzny, który jednocześnie unieruchamiał jej głowę, trzymając za włosy.

- Co robisz?

- Obiecałem ci w „Domu Gabriela”, że zanim skończy się ta noc, poznam każdą twoją szczelinę, każdy twój otwór.

Jezu Chryste!

62

Palce Michaela przeszywał żar - większy niż tamten, który drążył jego ciało całe wieki temu. Nie odrywał warg od ust Anne.

Kobieta próbowała odwrócić głowę, próbowała wsunąć rękę między dwa szczipione ciała, chciała uciec, wycofać się...

Lecz nie miała drogi ucieczki.

- Wpuść mnie w siebie, Anne.

- Przecież...

- Na sposób francuski... Rozluźnij się... Przyjmij mnie... Za pierwszym razem wiele rzeczy wydaje się dziwacznym. Od pięciu lat nie dotykałem w taki sposób kobiety. A ty masz takie szczególne miejsce, które chcę pieścić. Anne, pozwól, bym dał ci rozkosz.

- Nie

chcę...

Ale pozwoliła.

- I co? - przerwał jej brutalnie. - Nie chcesz dotrzeć do granic rozkoszy? Nie chciałabyś doświadczyć wszystkiego... każdego dotyku... każdej przyjemności... wszystkiego, co mogą sobie wzajemnie dać kobieta i mężczyzna?

Anne, rozdarta między nakazami przyzwoitości a kobiecią



ciekawością, przygryzła wargi.

- Oczywiście, że chcę. Po to do ciebie przyszedłam. Nie kłamała.

- A więc weź mnie. Wprowadź mnie w siebie.

Pomógł jej. Prawą dłonią poprowadził drżące palce kobiety tak, że zacisnęły się na jego męskości, którą ogarnął inny żar niż ten, w którym kapał się jego środkowy palec lewej ręki.

Konwulsyjnie przycisnęła udo do jego talii, odruchowo wciągając w siebie jeszcze głębiej jego palec, tym razem z członkiem.

- O rany!

Michael zaczął gorączkowo całować zamknięte powieki Anne.

Choć ją skrzywdził, kobieta wciąż ufała, że doprowadzi ją do nieziemskich rozkoszy.

- Poruszaj się w moim rytmie. - Jej rzęsy łaskotały mu usta.

Rozpoczął rytmiczne ruchy biodrami, które musiały nieuchronnie doprowadzić do spełnienia. - Czuj rozkosz.

Pozwól zapomnieć...

Jej ciało nieświadomie naśladowało jego ruchy, tak samo jak w nocy, kiedy odbierał jej dziewictwo.

Michael wpatrywał się w jej twarz i nie myślał o mężczyźnie, który na niego czekał. Myślał jedynie o Anne Aimes.

63

Ściągnęła lekko brwi - były ciemniejsze niż rzęsy i barwą przypominały jej włosy łonowe - w oczekiwaniu szczytu. On czuł, jak ciało kobiety drży, czuł własną żądzę poprzez cienką błonę

oddzielając jego środkowy palec od męskości.

Mimika jej twarzy mówiła wszystko: czego, gdzie i jak dotykać.

Kiedy zwolnić... Kiedy przyspieszyć... Jak głęboko wejść... Pod jakim kątem... Kiedy być delikatnym... Kiedy szorstkim...

Anne otworzyła jasnoniebieskie oczy, w których płonęła nieprzytomna namiętność.

Do niego. Z nim.

- Chcę...

Gdy Michael wszedł w nią głębiej, odruchowo wygięła plecy w łuk.

On też chciał. Tylu rzeczy...

Z całych sił ścisnęła go nogami i Michael z trudem utrzymywał rytm. Zaciskał zęby, ze skroni i czoła spływały mu grube krople potu.

- Kiedy

tryśniesz... - Jej gwałtowny oddech wtórował

przyspieszonemu oddechowi mężczyzny. - Chcę... byś krzyczał... tak jak ja... Krzycz!

Nie krzyczał, kiedy tamten mężczyzna go brał.

Czy to by pomogło?

Czy pomogłoby Dianę?

Czy pomoże Anne?

W jej rozszerzonych źrenicach odbijała się twarz pełna

nieskrywanych żądz, twarz mężczyzny dążącego do jednego celu.

Otwarte usta łapczywie chwytające powietrze, podobnie jak nozdrza.

Poruszony do głębi, Michael rozpoznał własną twarz.

Nie chciał, by takim widziała go Anne.

Z pomocą przyszło mu wspomnienie instrukcji i nauk wyniesionych od *madame*.

- Razem... jednocześnie! - wychrypiał, wykonując mocne pchnięcie biodrami. - Teraz!

Anne wykrzywiła zaczerwienioną twarz w dziwnym grymasie, odrzuciła do tyłu głowę i wydała krzyk rozkoszy.

Michael wtulił twarz w gorące, wilgotne zagłębienie jej szyi.

Mięśnie pochwy Anne zaciskały się kurczowo na jego męskości i palcu, sprawiając, że ich ciała stopiły się w jedno. Przez ułamek sekundy mężczyzna był Anne Aimes, zatopiony w jej rozkoszy. Z gardła

64

wydobył mu się bolesny jęk, a na szyi uwypukliły się żyły...

Trysnęło z niego nasienie, zalewając wewnątrz kondoma; gorąca kąpiel w spermie.

Wraz ze spełnieniem wrócił rozsądek.

Odbierając kobiecie niewinność, wcale nie zwracał tej niewinności sobie.

Chłonał zapach róż, seksu i potu uwięziony we włosach podstarzałej panny, wymieszany z falami orgazmów przechodzących przez jej ciało.

Zastanawiał się, ile jeszcze czeka ich małych śmierci, zanim przyjdzie ta wielka.

Anne zbudziła się w pokoju wypełnionym słonecznym światłem i zapachem róż. Wymalowany na biało sufit był okolony gzymsem utworzonym ze złotych liści. Ściany pokrywał jasnozielony jedwab.

Lśniły mosiężne słupki baldachimu.

Przeciągnęła dłonią po chłodnym, miłym w dotyku, śliskim prześcieradle. Jej palce dotknęły biodra.

Nagiego biodra.

Jej biodra.

- Dzień dobry.

Po ciele Anne przeszedł dreszcz. Zrozumienie przyszło natychmiast.

Poczuła, jak bardzo boleśnie opuchnięte są partie jej ciała między udami.

W jednej chwili zapach seksu i potu zdominował woń róż wypełniającą pokój.

Anne przekręciła głowę spoczywającą na poduszce w jedwabnej poszewce.

W oślepiającym blasku słońca zalewającym sypialnię dostrzegła pomalowane na biało drewniane ramy i wprawione w nie szyby - francuskie drzwi. Ujrzała też pośród drobin unoszącego się w powietrzu kurzu czarną głowę mężczyzny - Michel des Anges.

Na twarz wystąpiły jej krwiste rumieńce.

Oświadczył, że zmusi ją do krzyku.

I zrobił, jak obiecał.

I to nieraz.

Zacisnęła z całych sił dłonie na chłodnym jedwabiu pościeli,

65

powstrzymując gwałtowną chęć wyskoczenia z łóżka i czmychnięcia gdzie pieprz rośnie.

Podręcznik medyczny nie wspominał o skutkach spółkowania. Nie było w nim wzmianki o wstrząsie psychicznym i uczuciowym, jaki wywoływał wspólnie przeżyty orgazm. Nie mówił też o szeptanych wyznaniach, kiedy to ludzie przyznawali się do dręczącej ich samotności i spalających ciało żądz.

Na to wszystko Anne nie była przygotowana.

Penetracja - oczywiście. Posiadanie - proszę bardzo. Ale nie to!

Obudzić się w łóżu mężczyzny, który pozbawił ją zahamowań i zasad, jakim dotąd hołdowała, i ukazał ją taką, jaką naprawdę była: kobietą rozpaczliwie spragnioną miłości.

- Dzień dobry - odrzekła sztywno, aż do bólu świadoma swej nieumytej twarzy, potarganych włosów i nieświeżego oddechu.

Michel schludnie złożył gazetę, odłożył ją na bok i wstał z obitej żółtym jedwabiem kanapki.

Miał wilgotne włosy. Ich końce opadały na kołnierzyk białej lnianej koszuli.

Zeszłej nocy również miał wilgotne włosy. Od potu.

Oboje mieli wilgotne włosy.

Ogarnęła ją fala wspomnień. Podchodzi do niej Michel, nagi, jego

potężny, nabrzmiały krwią członek kołysze się na boki.

„Jak głęboko mnie spenetrujesz, *monsieur*?”

„Dwadzieścia pięć centymetrów, *mademoiselle*”.

Kiedy się do niej zbliżał, odruchowo popatrzyła w kierunku jego krocza.

Uszyte z szarej wełny spodnie miał zapięte.

„Czy zawsze doznajesz erekcji w obecności kobiety?”

„Tak”.

Natychmiast uniosła wzrok.

Stał przy brzegu łóżka, wyższy i potężniejszy, niż go zapamiętała.

Tylko jego penis...

Pamiętała, że w nocy był równie okazały.

Blizny na jego prawym policzku ściągnęły się.

- Gorąca kąpiel złagodzi twój ból.

Anne siłą woli zmusiła się, by nie odwrócić wzroku od jego

fioletowych oczu, oczu, które widziały ją nagą i trawioną żądzą.

66

- Dziękuję, ale wykapię się już u siebie w domu. Skrzywił usta.

- Czyżbym cię nie zadowolił? Anne głęboko wciągnęła powietrze.

Skoro odważyła się prosić go o stosunek w mroku nocy, powinna mieć na tyle śmiałości, by ponieść wszelkie tego konsekwencje w świetle dnia.

- Przecież wiesz, że tak.

- Ale nie na tyle, byś uznała mnie za swego kochanka...? Serce zaczęło

boleśnie objąć się jej o żebra.

Nie była już tamtą kobietą, która domagała się, by ją smakował, lizał i dał jej niebiańską rozkosz.

Podobnie jak on nie był już tamtym mężczyzną, który wyznał, że pragnie być dotykany, a następnie wbił się w nią.

W jaskrawym świetle dnia znów ujawniły się drobne zmarszczki wokół jej oczu i pasma siwizny we włosach. Na powrót stała się podstarzałą panną, która musi płacić za rozkosz. A on wyglądał jak monumentalny, pokryty szczerbami posąg, któremu obce już są rozkosze ciała.

Lucyfer strącony do piekieł.

Zapewne nawet wcale nie chce być jej kochankiem.

- Czy... - Nie, przecież powiedział wyraźnie, że od pięciu lat żadna kobieta nie żądała jego usług! - Czy jest uświęconym zwyczajem, że... klientka... zostaje u ciebie?

Pytanie to zadała chłodnym, obojętnym tonem, maskującym całe jej zmieszanie i niepewność.

- Jeśli ją zapraszam, to tak.

Na twarzy Anne pojawił się wyraz zadowolenia. Po chwili jednak wróciła do smutnej rzeczywistości. Nie było kobiety, której nie przyjąłby pod swój dach za dziesięć tysięcy funtów miesięcznie.

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu - odrzekła sztywno.

- Nie sprawiasz żadnego kłopotu. Mój dom i moja służba są do twojej dyspozycji.

Niejasne przeczucie sprawiło, że zjeżyły się jej włosy na głowie.

- Jesteś właścicielem... tego domu?

Wykonane ręcznie gzymsy ze złoconych liści, które wieńczyły pokryte zielonym jedwabiem ściany i pomalowany na biało sufit, stanowiły istne dzieło sztuki. Podobnie jak marmurowe schody o unikalnych żeliwnych poręczach, schody, po których wspinali się zeszłej nocy.

- Mam też posiadłość w hrabstwie Yorkshire - wyjaśnił, doskonale

67

zdając sobie sprawę z kierunku, w jakim zmierzają jej myśli.

Ale to by świadczyło... - pomyślała.

- Skoro jesteś właścicielem tego domu i posiadłości w... - urwała.

Jakże niemądra była w swych pierwotnych wnioskach na temat tego człowieka!

Michel des Anges niewątpliwie dorobił się fortuny. Został spadkobiercą wielu zamożnych kobiet, którym przez lata świadczył usługi.

Przy karcianym stoliku pozbawił majątku niejednego gracza.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

- Co rozumiesz, Anne Aimes? - zapytał, przysłaniając oczy czarnymi rzęsami.

- Że najwyraźniej przyszły na ciebie ciężkie czasy.

- I twoim zdaniem dlatego wziąłem cię zeszłej nocy? - spytał jedwabistym tonem.

W wyrazie jego twarzy nie było jednakże nic delikatnego ani



jedwabistego. Jedynie arogancja i wyzwanie.

I świadomość, że poznał jej najtajniejsze sekrety.

„Krzyczała” - mówiły jego fiołkowe oczy. - „Pragnęła pełnego spełnienia. Znow chciała być młoda. Piękna. Dotykana. Pragnęła mężczyzny”.

Pragnęła jego.

Mężczyzny, który przełamał jej kobiecą samokontrolę i spełnił najdziksze fantazje.

Zrobił to.

Za pieniądze.

Schroniła się za murem szorstkości.

- Proszę, wyjdź. Muszę się ubrać.

Michel usiadł na skraju łóża. Materac zapadł się pod ciężarem jego ciała. Anne przycisnęła do siebie kołdrę, zasłaniając piersi, i odsunęła się na drugą stronę łóżka.

Przeszył ją nagły ból. Tylko chwilę zajęło jej oddzielenie bólu promieniującego od ud od bólu płynącego z głowy. Uwięziła plecami swe włosy, przyciskając je do poduszki.

Dlaczego kazał jej rozpuścić kok? Teraz trudno będzie poradzić sobie ze splątanymi włosami.

I jak śmiesznie muszę wyglądać z lokami rozpuszczonymi jak u

68

dzierlatki - pomyślała smętnie.

Muskularna, pokryta bliznami dłoń odgarnęła pasmo włosów z

lewego policzka kobiety.

- Anne, nie odchodź - poprosił.

Opuszkami gorących, chropowatych palców czuł, jak w Anne pulsuje krew. Nacierał biodrami na jej ciało. Po chwili uciszył ból kobiety, sprawił, że znów zalała ją fala rozkoszy.

Miała ściśniętą krtani. Z gardła mężczyzny dobył się jęk.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Gładził jej policzek, a Anne nachodziły gorączkowe wspomnienia:

jego gorący oddech wypełniający jej płuca, jej gorący oddech wypełniający jego płuca, ciała splątane w miłosnym uścisku.

- Boisz się - rzekł.

Anne zeszywniała. Próbowwała go odepchnąć, próbowała też powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Tak.

- Mnie?

Tak - błysnęło jej w głowie.

- Nie jestem... - Skupiła uwagę na czarnych włosach w rozcięciu jego

koszuli. Doskonale pamiętała ich twardość i delikatność zarazem;

pamiętała ich szorstkość na swych piersiach, pamiętała, jak rozkosznie,

niczym włochaty koc, pieściły jej ciało. - Nie jestem taka.

- Jesteś.

Jego palce parzyły, jego biodra parzyły, jego ciało między jej udami parzyło.

- Nie.

Trzydziestosześcioletnia stara panna, która mogła już jedynie niańczyć cudze dzieci, nie krzyczy i nie płacze.

- Czy chcesz, bym powiedział ci, co tak bardzo ujęło mnie w tobie, kiedy spotkaliśmy się w „Domu Gabriela”?

Anne uniosła głowę i popatrzyła prosto w jego fiołkowe oczy.

Wcześniej oświadczył, że nigdy by jej nie skłamał. Nie chciała jednak znać prawdy.

- To niekonieczne.

Promienie słońca padały na jego lewy policzek i końce czarnych rzęs zdawały się nabierać złocistej barwy. W kątku oka widać było linie zmarszczek.

- Konieczne.

69

- Nie chcę...

- Oboje tego chcemy - odparł szorstko. - Dlatego właśnie wybrałaś mnie. I dlatego tam na ciebie czekałem.

Ale naprawdę nie na nią czekał.

Nie znał jej.

Nawet jej sobie nie przypominał.

Anne zeszywniała; oboje byli poirytowani jego słowami.

- *Monsieur des Anges*, oświadczyłeś, że zawsze będziesz ze mną

szczerzy. Łączy nas tylko interes. Czekałeś na mnie zwabiony

dziesięcioma tysiącami funtów. I tylko pieniądze cię skusiły. Nic dodać,

nic ująć.

Jego dłonie znieruchomiały.

W sypialni jakby pociemniało, jakby nadciągnęła zza horyzontu złowroga chmura.

Jego ciało jednak wciąż pulsowało żarem.

Na jej policzku. Na jej piersiach. W jej pochwie.

Każdy centymetr ciała Anne pamiętał jego dotyk i odpowiadał na ten dotyk.

- Nic nie jest proste. - Michel ciężko westchnął. - Ani pożądanie, ani samo życie. Pograżyłaś się w śmierci... Sama o tym wiesz najlepiej.

Serce Anne łopotało, jakby swym galopem próbowało zagłuszyć lęk.

Skąd wiedział...? Zaszło jej w ustach.

- Skąd wiesz, że pograżyłam się w śmierci?

- Sama mi powiedziałaś.

Rozpaczliwie próbowała zebrać rozbiegane myśli. Przypomnij sobie! - myślała gorączkowo. - Przypomnij sobie...

Gorące liźnięcie języka. Ogarniający ją żar. Jej pierś wtulona w jego tors, jego męskość dotykająca sekretnych rejonów jej ciała.

„Obudziłaś się za wcześnie i powiedziałaś, że jesteś spóźniona.

Mówiłaś, że zapomniałaś o lekarstwach. Czy masz kogoś na utrzymaniu...? Czy kimś się opiekujesz?”

„Nie, już nie”.

- Anne Aimes, oświadczyłem ci, że nie będę kłamać. - Michel

zaciśnął szczęki. -I nie zamierzam tego robić. Zeszłej nocy czekałem na ciebie w nadziei, że kobieta, która mnie wynajęła, zobaczy moje blizny,

a mimo to będzie mnie pożądać.

Widziałam i pożądałam - westchnęła w duchu. Nieoczekiwany

70

promyk słońca jakby potwierdził jej myśli.

- Ale gdyby nie pieniądze, nie czekałbyś - odrzekła z uporem, z

całych sił koncentrując uwagę na naturze ich związku, a nie na

niepokojącym biciu serca, które zapowiadało więcej.

Jeszcze więcej pasji. Jeszcze więcej rozkoszy.

Jego oczy pociemniały.

- Gdyby nie twoja oferta, na pewno bym się tam nie zjawił -

przyznał.

Szczerłość nie powinna ranić.

- Mężczyznę bardziej pociąga uroda kobiety niż jej namiętność -

warknęła.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Tylko głupiec ceni urodę wyżej niż

namiętność.

- A jednak przed osiemnastu laty nie zwróciłeś na mnie uwagi.

Zacisnęła usta, by powstrzymać te słowa. Za późno. Ich gorycz przez

dłuższą chwilę odbijała się echem pośród połączonych liści gzymsu.

Szorstki, poznaczony bliznami palec palącym szlakiem przesunął się

po jej policzku i zatrzymał na zaciśniętych ustach.

- A

jednak

tu

jesteś.

Wargi Anne zadrżały.

- Pamiętam... - Kobieta, z którą tańczył... Co chwila wybuchali

radosnym śmiechem. - Chyba łatwiej ci wywiązywać się z

obowiązków, kiedy kobieta jest... ładna?

- Każda kobieta ma niepowtarzalną urodę. Czy wiesz, jak się

wyrabia aksamit?

Obojgu bardzo mocno biły serca, trudno powiedzieć, komu mocniej.

- Tak... Tkany jest z różnych materiałów.

- Istnieje również aksamit wyrabiany z jedwabiu, welur.

- Wiem. Najdroższy.

- W domu schadzek obserwowałem cię, gdy siadałaś przy moim

stoliku. Pragnąłem cię dlatego, że ty pragnęłaś mnie. U wyjścia z

domu dotknąłem twego policzka. - Przeciągnął palcami po jej twarzy.

- Pomyślałem wtedy...

Anne zeszywniała. Czekwała ze wstrzymanym oddechem.

- Pomyślałem wtedy, że nie dotykałem nigdy czegoś tak delikatnego...

jak jedwab... dopóki nie dotknąłem twych pośladków. Ich skóra była jak

jedwabny aksamit.

Wcale nie poczuła się rozczarowana.

71

- Mężczyzna nie ocenia urody kobiety wedle delikatności

skóry na jej... pupie.

Jego oczy rozblęły.

- Pragnę cię zapewnić, że pupa kobiety jest dla mężczyzny bardzo atrakcyjna.

Anne poczuła, że zaciskają się mięśnie w jej pochwie. Na wspomnienie... Z pożądania...

Przesunęła językiem po wargach i napotkała jego szorstki, słonawy kciuk.

- Co jako kochanek możesz mi dać, czego dotąd nie dałeś?

Padł na nią cień. To Michel pochylił się nad nią, zasłaniając słońce.

- Całkowitą intymność i bliskość - mruknął.

Jego oddech pachniał kawą.

Delikatnie przeciągnął językiem po jej ustach. Kiedy zamknęła oczy i rozchyliła wargi, wszedł językiem głębiej, docierając do miejsc, których jeszcze nie dotykał.

- Przyjaźń

-  
wychrypiał

szeptem.

Anne nigdy nie miała przyjaznej osoby.

Zajmowała się nią guwernantka, skutecznie chroniąc przed kontaktem z wioskową dzieciarnią, która tylko czekała, by podkraść pieniądze należące do jej rodziców.

Trzymała oczy mocno zamknięte, napawając się wonią kawy płynącą z ust Michela. Była upajająca.

- Przyjaźni nie można kupić - zaprotestowała Anne.

- Wszystko można kupić...

Michel przygryzł jej dolną wargę, a następnie zaczął ją lekko ssać.

Tak jak przedtem gryzł mój język - pomyślała. - Moje piersi. Moją łechtaczkę...

Warga Anne zaczęła pulsować, a wraz z nią pulsował język, brodawki piersi i łechtaczka.

W domu nikt na nianie czekał oprócz służby i prawnika, który sprokurował tę miłosną przygodę.

Jak by to było - zastanawiała się - mieszkać z mężczyzną... z tym mężczyzną?... Choćby tylko przez miesiąc?

Jak by to było... cały wolny czas poświęcać na docieranie do głębi rozkoszy i doświadczanie wszystkiego, czego mężczyzna i kobieta mogą ze sobą doznać?

Tego wszystkiego, czego ona w życiu nie zaznała? Miłości, jakiej

72

on nie uprawiał od pięciu lat?

Odrywając wargi od jego ust, które odbierały jej wolę, desperacko powtórzyła słowa wypowiedziane przez Michela w dorożce:

- Przyjemność seksualna.

Michel chwycił ją za szyję, nie pozwalając odwrócić głowy.

- Zamierzam dać ci więcej. Intymność. Seks. Przyjaźń. Żądza. Anne z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wiesz nawet, o co mnie prosisz.

Ich nocna schadzka pozostałaby intymną tajemnicą, lecz jeśli



otwarcie zamieszka z nim, służba zacznie gadać. Plotki rozniosą się po całym Londynie, dotrą do Dover.

Straciłaby cały szacunek i poważanie, tak jak zeszłej nocy straciła dziewictwo.

- Dobrze wiem, o co cię proszę. - Namiętne słowa paliły jej wargi. -

Proszę cię, byś podarowała mi to, co chcę dać tobie. Pełny dostęp do mego ciała w zamian za pełny dostęp do twego ciała.

Słowa „pełny dostęp” odbijały się dźwięcznym echem w jej ustach, drżały na języku.

- Czy kobiety, które tu zapraszałeś... czy przyjmowały twoje propozycje?

Pocierał wargami jej usta, dzieląc się z nią własną śliną.

- Żadnej z nich nie proponowałem tego, co proponuję tobie.

Anne odniosła wrażenie, że tonie. Tonie w ciepłe bijącym od jego ciała. W jego zapachu. Jego oddechu. Smaku.

Dzień mieszał się z nocą, poranek z pełnią dnia, minioną rozkosz zlewała się z obecną.

Potrząsnęła głową, wracając do rzeczywistości.

- I nigdy nie doświadczyłeś prawdziwej miłości czy przyjaźni z kobietą?

Odsunął się od niej gwałtownie i Anne ogarnął chłód.

- Wybacz - bąknęła. - Nie miałam prawa o to pytać.

- Już mówiłem, że możesz pytać, o co zechcesz. - Wyraz jego twarzy złagodniał. - Doświadczyłem. Kiedyś. Dawno, dawno temu.

Poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

- I co się stało?

- Umarła- odrzekł pozbawionym wszelkich emocji głosem.

Kochał ją- pomyślała Anne.

73

- Przykro mi.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, jakby nie był przyzwyczajony do

tego, że kobiety składają mu wyrazy współczucia.

- Naprawdę jest ci przykro?

- Naprawdę.

Musiała być kobietą wyjątkową, skoro pokochał ją taki mężczyzna.

- I naprawdę nie jest ci przykro, że zależało mi na innej kobiecie?

- Nie. Oczywiście, że nie. Dlaczego miałoby mi być przykro?

- A czy tobie kiedykolwiek zależało na innym mężczyźnie?

Anne spoglądała na niego nieruchomym wzrokiem. Serce biło jej jak młotem. W pochwie czuła nieznośną wilgoć. Oczy zachodziły mgłą.

- Kiedyś. Dawno, dawno temu.

Po jego twarzy przebiegł cień smutku.

- Co się z nim stało?

- Nie wiem.

Naprawdę nie wiedziała, co działo się z Michelelem des Anges przez ostatnich osiemnaście lat.

Prawnik nie zająknął się słowem, że Michel pokryty jest bliznami.

Nie wspomniał też, że został on właścicielem wielkiego domu w Londynie i rozległej posiadłości w Yorkshire.

Nie powiedział, że mężczyzna, który cieszył się sławą kochanka umiejącego zaspokoić każdą fantazję erotyczną kobiety, od pięciu lat nie pracuje w branży.

Zanim zdążyła zrozumieć, o co Michelowi chodzi, ściągnął z niej kołdrę.

Zareagowała instynktownie. Gwałtownie sięgnęła po jedwabne prześcieradło, ale wyslizgnęło się jej z rąk.

Leżała nieruchomo. Nie próbowała nawet ulegać swemu skrępowaniu czy poniżeniu, zasłaniając rękami to wszystko, co fizycznie było nie do ukrycia.

Z całych sił zacisnęła ręce, wbijając boleśnie paznokcie w dłonie.

Nie ma prawa! - coś w niej krzyczało. - Nie ma prawa tak patrzeć na mnie w bezlitośnie jaskrawym świetle dnia.

Spod zmrużonych, czarnych rzęs Michel bacznie studiował jej nagość.

Ona spontanicznie podążyła za jego wzrokiem.

Miała ciemne, napęczniałe brodawki, w porównaniu z którymi piersi

74  
sprawiały wrażenie śnieżnobiałych.

W niczym nie przypominały sutków starej panny. Miała piersi dojrzałej kobiety, która wie, czego chce mężczyzna.

„Czy wiedziałaś, że mężczyźni uwielbiają ssać kobiece piersi?”

Michel wyciągnął rękę i dotknął jej ciała; uczynił to tak delikatnie, że niemal sprawił tym Anne ból. Jakby stanowiła kruchą porcelanę, coś drogiego.

Jakby nie była jego klientką, a najcenniejszym skarbem.

Pod dotykiem jego dłoni serce Anne zaczęło gwałtownie kołatać.

Widziała i czuła jego blizny, twarde i gorące. Równie twarde i gorące jak jej brodawki, które pieścił palcami. Jego dłoń wznosiła się i opadała w rytm coraz szybszego oddechu kobiety.

Delikatnie dotknął opuszką kciuka jej napęczniałej brodawki, a następnie wcisnął ją we wzgórek piersi.

Uwielbia delikatność - pomyślała Anne. -I twardość.

Przeszył ją rozkoszny ból.

Michel nieoczekiwanie cofnął kciuk z brodawki, która uniosła się jeszcze twardsza, jeszcze bardziej nabrzmiała, jakby miała eksplodować.

Anne otworzyła oczy; jej podniecenie znikło.

Twarz Michela była mroczna, zawzięta, ciemne rzęsy ocieniały mu oczy. Czarne jak atrament włosy zakrywały blizny na skroni, muskały szramy na policzku. Zalewające sypialnię światło tworzyło wokół jego czupryny niebieskawe halo.

- Widziałaś matki karmiące piersią swe dzieci. Wyobrażałaś sobie mężczyznę ssącego twoje piersi. - Jego głos był osobliwie cichy, jakby dobiegał z daleka. - Musi to wytwarzać szczególną więź.

Niewidzialna obręcz ścisnęła jej klatkę piersiową.

Michel sprawiał wrażenie tak straszliwie samotnego.

Mężczyzna, którego oczy wciąż wyrażały niemy, żaloszny smutek jedenastoletniego chłopca.

Mężczyzna, który nie chciał być oszpecony, mężczyzna, który chciał, by wciąż pożądały go kobiety.

- Mężczyźni również pragną takiej więzi. Dlatego ssą kobiece piersi.

Michel uniósł powieki. W jego wzroku malował się tłumiony głód, jakby jego również wypełniały emocje, nad którymi tracił kontrolę.

- Czulaś bicie mego serca. Czulaś je piersiami. Czulaś je swymi

75

dłońmi.

Pamiętała, jak nocą jego gorąca męskość pulsowała w jej dłoni, pulsowała własnym życiem.

- Czuję je i teraz. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Dzisiejszego ranka znów je czułem. Torsem. Ustami. Językiem. Palcem zagłębionym w tobie.

Wspomnienie tamtych chwil wzburzyło w niej krew. Gra wstępna... później mocne pchnięcia...

- Mówię ci słowa, jakich nigdy nie mówiłem innym kobietom. -

Promień słońca padł na jego gładki lewy policzek, prawy spowijał głęboki cień. - Wyznałem ci, jak bardzo chcę, by dotykała mnie kobieta.

Zataczał palcem delikatnie kręgi po jej sutku.

- Wyznałem ci, jak bardzo chcę być pożądanym mimo mych

blizn. Wyznałem ci moje najskrytsze pragnienia, których nigdy

już nie zaspokoi kobieta.

Jego słowa odbijały się w ciele Anne srebrzystym echem -czułym i pierwotnym zarazem, raniącym i rozkosznie dźwięcznym, niczym naprężony drut zaciskający się coraz ciaśniej i ciaśniej na jej ciele, w miarę jak Michel zataczał rozkoszne kółka swym kciukiem.

- Jestem tylko męską dziwką. To mój fach. A ty jesteś starą panną.

Taki jest twój status społeczny. Gdybyśmy nie byli tym, kim jesteśmy, nie znaleźlibyśmy się tutaj. Aleja pragnę więcej. Chcę, byśmy przez pewien czas byli po prostu kobietą i mężczyzną, kochankami... Osobami, które ze sobą żyją... dzielą seks, sen i śmiech.

Anne nie mogła złapać tchu.

- Anne Aimes, nie będę cię prosił po raz drugi. Zostań ze mną albo oboje do końca życia będziemy żałować swej decyzji.

Żal.

Jakże okrutne słowo. A przecież ślubowała, że nigdy już nie podda się emocjom.

- Rzadko miałam okazję do śmiechu.

- Ja też.

- Wcale nie chciałam zostać starą panną.

Palec na jej piersi zatrzymał się. We wzroku mężczyzny pojawił się ból.

- A ja twoją męską dziwką.

- Czy naprawdę tak bardzo pragnęłaś kobiety, że musiałaś się bawić

sam ze sobą? - zapytała niepewnie.

- O, tak. - Znów pieścił jej pierś, aż ta omal nie eksplodowała. -

Wiele razy.

Erotyczne doznania, które nie były ani bolesne, ani rozkoszne, krążyły między jej piersią a macicą.

Obiecując coś więcej, jeśli ona się na to odważy. Jego fiołkowe spojrzenie złagodniało.

- Mężczyzna

ma

takie

same

potrzeby

jak

kobieta.

Dotykać. Być dotykany.

Być pożądanym.

Bez względu na przeszłość. Bez względu na aparycję.

Anne jak zahipnotyzowana wpatrywała się w zdeformowany kciuk na swej piersi, na nabrzmiałą, brązową brodawkę, którą pocierał męski palec.

Wyobrażała sobie, że dotyka go tak samo, jak on dotykał jej.

Smakuje go.

Całuje.

Ssie.

Ustami... językiem wyczuwa bicie jego serca.

- Czy jako kochanka mogę zrobić wszystko, co zechcę?

- Wszystko.

Z najwyższym trudem zapanowała nad swym oddechem. W jednej chwili uporczywe doznania jej piersi i macicy weszły w crescendo.

- Czy Francuzi naprawdę robią to, co ty zrobiłaś dzisiejszego ranka?

Ogarnął ją nagły chłód, bo Michel cofnął rękę. Rozkoszny żar przeniósł się jednak na łono wraz z palcami mężczyzny.

Anne instynktownie otworzyła się. Rozsunęła nogi, owiało ją chłodne powietrze.

Jego wygięty nadgarstek białł na tle ciemnego trójkąta jej włosów łonowych.

W miejscu, gdzie wcześniej ją penetrował, wszystko pulsowało.

Cofnęła się. Znow zamierzał w nią wchodzić.

Delikatnie, ale uporczywie torował sobie drogę, po czym ostrożnie się wycofał.

Jego środkowy palec był śliski i wilgotny. Widniały na nim karmazynowe smugi wymieszane z aksamitnymi sokami kobiety.

Nieoczekiwanie poczuła na sobie jego wzrok, jakby szukał w jej

77

twarzy śladu bólu, jaki zadał jej minionej nocy, oraz żądz, jaką w niej wzbudził.

- Francuzi są bardzo praktyczni w zaspokajaniu swych żądz -



odezwał się niskim, schrypniętym głosem. - Nie są tak grymaśni jak

Anglicy.

Nieoczekiwanie materac uniósł się nieco. Michel chwycił prawą nogę

Anne i przekręcając ciało, znalazł się między jej udami. Jego twarz

dzieliły jedynie centymetry od jej kobiecości.

Wstyd walczył w Anne z podnieceniem.

Odruchowo próbowała zacisnąć nogi.

Palce mężczyzny wpiły się w delikatną skórę jej ud.

- Nie rób tego.

- Ale mnie zobaczysz.

- Widziałem cię już w nocy.

- Teraz jest dzień.

Jaskrawe

światło

słoneczne

nie

było

sprzymierzeńcem

trzydziestosześcioletniej, podstarzałej panny. Michel szerzej rozchylił

jej uda.

- Między kochankami nie istnieją rzeczy wstydlive- oświadczył.

Żadnej skromności. Żadnego szacunku, brak miejsca na godność.

Cierpiała.

Od pasji, która znów ogarnęła jej ciało. Od bólu, który wciąż

towarzyszył jej od minionej nocy.

- Muszę... Chcę się wykąpać.

- Nie zabrudziłaś się, kochając się ze mną.

Wsunął twarz między jej uda... Ach, jak blisko, jak bardzo blisko! Z pulsującej pochwy wypłynęło kilka gorących kropli.

W jednej chwili wstyd ustąpił miejsca podnieceniu.

- Ja... - Krwawię - chciała wykrzyknąć w pierwszej chwili. - Chyba nie zamierzasz...?

- Na pewno nie zamierzam... ale czego? - Jego oddech chłodził nabrzmiałe wargi sromowe Anne. - Smakować ciebie? Lizać?

Wchodzić w ciebie językiem?

Z pewnością nie... Nie w świetle dnia! Z pewnością nie... dopóki się nie wykąpię. A jednocześnie chciała wszystkiego, co zamierzał z nią zrobić.

Pragnęła, by całował ją tak samo, jak robił to w nocy.

78

On bardzo dobrze o tym wie - przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl.

- Jednak zamierzam cię smakować. Lizać. Wchodzić w ciebie językiem. - Fioletowe oczy Michela były niczym niezgłębione,

bezdenne jeziora zmysłowości. - Francuz, w przeciwieństwie do

Anglika, zrobi wszystko, by ukoić ból kobiety. Wie, że to on sprawił, że krwawi.

Pochylił głowę i delikatnie przeciągnął językiem po jej otwartym,

wrażliwym ciele. Najpierw po wargach; rozchylił je. Pomału, ostrożnie wszedł w jej pochwę; wdarł się w samo jądro Anne. Lizał, wodził i drażył językiem tak długo, że doskwierający jej ból minął bez śladu; zastąpiła ją wszechogarniająca rozkosz, tak dojmująca i zaborcza, że kobieta prężyła ciało w niemym krzyku, domagając się więcej i więcej...

Gwałtownie wyciągnęła ramiona...

Zacisnęła dłonie na włosach.

Były jedwabście miękkie i prawie parzyły; mogły należeć jedynie do Michela des Anges.

Michel uniósł głowę. Jego usta lśniły od soków jej namiętności.

Ciało Anne zalała gorąca fala pobudzenia, zadziwienia, obłądnego strachu i podniecenia.

- Czy istnieje jakaś rzecz, której byś nie zrobił?

- Nie istnieje - odparł chrapliwie. - Dlatego daję kobietom rozkosz.

Dygoczącymi dłońmi - a może to tylko dygotało łoże pod ciężarem

ich ciał - ujęła głowę Michela. Jego uszy, niczym rozpalone piętna,

parzyły skórę Anne. Nie chciała, by ten mężczyzna był jedynie jej

dziwką, krzyczącą, całującą w zapamiętaniu, dając jej rozkosz

jedynie dlatego, że ona się tego domagała.

- Lubisz robić te rzeczy?

- Tak.

Powiedział prawdę - pomyślała Anne.

- Ja też to uwielbiam.

Wtulił twarz w jej sztywne, skręcone jak sprężynki, brązowe włosy  
łonowe.

- Wiem - mruknął cicho. Jego gorący oddech owiewał jej obrzmiałe  
ciało, które domagało się względów. - Jesteś namiętą kobietą, a  
każdy mężczyzna tą właśnie miarą mierzy urodę niewiasty.

79

Anne prawie mu uwierzyła.

Mogła zresztą uwierzyć we wszystko, patrząc na jego długie,  
smukłe palce zaciśnięte na udach, na męskie paznokcie, krótkie i  
pięknie utrzymane, na nieco dłuższe paznokcie kciuków.

I niewątpliwie niezliczone kobiety w to wierzyły.

- Nie wyobrażam sobie, by jakaś kobieta mogła cię nie pożądać -  
szepnęła.

Jego ciemne, pobrużdżone bliznami palce boleśnie wpiły się w ciało  
Anne.

Odrzucając wszelkie uprzedzenia i konwenanse, popatrzyła mu  
śmiało w oczy.

- Chcę, byś był mym kochankiem. Pragnę zaznać całej tej bliskości  
i intymności, o których mówisz. Chcę z tobą żyć. Po prostu, jak  
kobieta z mężczyzną. Przez cały miesiąc. Jeśli, oczywiście, ty tego  
chcesz.

Nigdy jeszcze nie czuła w życiu tak dużego podniecenia  
erotycznego, a sprawił to Michel.

Jego oczy... Tak naprawdę to ich wyraz spowodował, że w Anne

zamarło serce.

Jego twarde jak granit barki napierały na jej uda.

Pochylił głowę i zatonął w głębokim, jedwabistym delikatnym  
pocałunku złożonym na jej łechtaczce.

- *Plus que la mort elle meme* - mruknął.

Zanim zdążyła w myślach przetłumaczyć jego słowa - nie wiedziała  
nawet, czy dobrze je usłyszała, stłumione ogłuszającym tętnem jej  
serca - Michel wdarł się w centralny punkt jej ciała. Przyszłość  
zaczęły wyznaczać jedynie jego usta... jego język...

I orgazm, który lśniącym blaskiem zaćmił wszystko.

Każdy podskok dorożki na wyboju przynosił wspomnienie.

Krzyk Michela, namiętny i ochryply.

Penis Michela, twardy, nabrzmiały.

Długie, pokryte bliznami palce Michela, zbrukane jej dziewiczą krwią.

I nieustannie też słyszała jego słowa: *Plus que la mort elle meme.*

Nie potrafiła ich dobrze zinterpretować, a może ich nie dosłyszała...?

80

Mężczyzna nie pragnął niczego bardziej niż samej śmierci.

Pojazd zatrzymał się.

Anne wyjrzała przez niewielkie, kwadratowe okienko, noszące ślady brudnych palców jakiegoś dziecka.

Ceglana kamienica wyglądała inaczej niż zwykle.

Starzej, skromniej.

Sama Anne czuła się inaczej.

Młodziej. Mniej pewnie.

Poprzedniego dnia sądziła, że kupi rozkosz, jaką może jej dać

Michel des Anges. Nie zaświtała jej nawet myśl, że i on da jej dostęp do swego ciała.

Do swego życia.

Wysiadając z dorożki, potknęła się.

Ty niezdarna stara panno - skarciła się w duchu.

Jej dłonie skryte w rękawiczkach były zimne i lepkie od potu.

Z lęku.

W oczekiwaniu.

Miniona noc odmieniła jej ciało.

A obecność Michela odmieni jej życie.

Zapewne nie wróci już do szacownego kręgu ludzi, którzy byli rówieśnikami jej rodziców.

Anne wręczyła woźnicy o posępnej twarzy sześć pensów.

Ile zapłacił zeszłego wieczoru za dorożkę Michel? - błysnęło jej w głowie idiotyczne pytanie. Czy więcej niż ona teraz?

Drzwi jej miejskiego domu otworzyły się w chwili, gdy do nich podeszła.

- Panno Aimes... - powitał ją grzecznie szef służby i odsunął się na bok.

Był przystojnym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o przerzedzonych włosach koloru piasku i o sztywnych manierach. Anne próbowała wyobrazić go sobie, jak robi z jakąś kobietą to, co z nią zeszłej nocy robił Michel.

Nie udała się jej ta sztuka.

W nienagannym czarnym surducie, z krawatem, lokaj stanowił wzorowy przykład angielskiej moralności.

Nie okazywał ani zdziwienia, ani dezaprobaty trwającą ponad dwanaście godzin nieobecnością pani domu. Jego twarz była maską,

pod jaką wszyscy służący kryją swe prawdziwe uczucia w obawie, by nie narazić się na niezadowolenie chlebowców.

- Czy mogę prosić o płaszcz, panno Aimes?

Służba w Dover, która w większości pracowała u jej rodziców, zanim jeszcze Anne przysłała na świat, zwracała się do niej „panienko Anne”, a nie tak oficjalnie „panno Aimes”.

Twarze tamtych służących również nie wyrażały emocji czy uczuć.

Poczuła nagle, jak bardzo jest samotna, a po chwili ogarnął ją wstyd.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad życiem seksualnym służby.

- Dziękuję, nie trzeba - odparła krótko. - Proszę przysłać mi do sypialni pokojówkę.

Lokaj ponownie sztywno się skłonił.

- Wedle życzenia, panno Aimes.

Kiedy Anne wspinała się po wychodzonych drewnianych schodach, towarzyszyła jej woń starzyny i pleśni.

Jakże znajome zapachy, jakże kojące i bezpieczne.

Niczym skrzyp wypaczonej deski w schodach, niemiłym zgrzytem odezwały się w niej wątpliwości i wyrwały Anne z letargicznej otoczki seksualnego zaspokojenia.

A jeśli Michel, twierdząc, że pożąda kobiety, której i on nie jest obojętny, powiedział to wyłącznie dlatego, że właśnie to chciała usłyszeć?

A jeśli prosił ją, by z nim została, to czy jedynie w tym celu, by



wydusić z niej jeszcze trochę grosza?

Ściany korytarza wyłożone były mahoniową boazerią; korytarz w domu Michela pokrywały tapety z jasnoniebieskiego jedwabiu.

Drzwi wykonano tu z ciemnego drewna; drzwi u Michela pomalowano na biało.

Ona prowadziła przykładowy tryb życia; jego życie było bezwstydne i rozpustne.

A jednak nasze drogi się zbiegły... - pomyślała z zadumą.

Cisnęła płaszcz i torebkę na drewniane łożo z baldachimem wspartym na czterech słupkach, przeszła po dywanie o barwie kasztanów i stanęła przed staroświeckim lustrem w ramie.

Gorset mocno uciskał jej obolałe piersi, wełniane majtki ocierały się boleśnie o delikatne partie ciała. Wszystko to stanowiło dowód, że nie jest już tą samą kobietą, która dwanaście godzin wcześniej

82

ubierała się przed tym lustrem.

Jednak jej wewnętrznych zmian zwierciadło nie ukazywało.

Wychodziła z sypialni jako podstarzała panna i wróciła jako podstarzała panna.

Czy dlatego mężczyźni nie chcą mieć kochanek takich jak ona? Nie chcą z nimi sypiać? Nie chcą się obok nich budzić? Jadać z nimi śniadań?

Z zadumy wyrwało ją lekkie pukanie do drzwi.

- Proszę wejść.

Anne nie odrywała wzroku od lustra. Szukała... szukała...

Ujrzała jedynie odbicie trzydziestosześcioletniej kobiety o kędzierzawych, ciemnych włosach stojącej w drzwiach mrocznej, wilgotnej sypialni.

Zaświtało jej w głowie, że ani w sypialni, ani w łazience Michela nie było luster.

- Jestem do usług, panno Aimes.

Anne popatrzyła na majaczące w lustrze cienie. Czarna suknia pokojówki wtapiała się w ciemną płaszczyznę zamkniętych mahoniowych drzwi.

- Proszę przygotować mi kąpiel.

Oczy pokojówki, przypominające przepastne, czarne dziury, skierowane były na plecy Anne.

- Czy to wszystko, proszę pani?

Kobieta w lustrze, która zewnątrz przypominała Anne, była blada i dobrze ułożona; kobieta tkwiąca w niej dygotała, spalał ją strach przed zrealizowaniem doniosłej dla niej decyzji.

- Spakuj jeszcze mój kufer. Wyjeżdżam na miesiąc.

Po to, by mężczyzna, któremu zapłaciła dziesięć tysięcy funtów, mógł przez ten czas być jej kochankiem, a nie męską dziwką.

Nie, nie męską dziwką. Nie traktowała przecież Michela w ten sposób.

Pokojówka dygnęła.

- Wedle życzenia, proszę pani - odrzekła i ruszyła w stronę

łazienki.

Anne, szeleszcząc suknią, gwałtownie odwróciła się w jej stronę.

- Jane...

Pokojówka zatrzymała się w pół kroku.

- Tak, proszę pani?

83

- Czy wyglądam jakoś inaczej?

- Nie, proszę pani - odparła uprzejmie z nieruchomym wyrazem twarzy. - Czy jeszcze coś, proszę pani?

- Nie - odparła Anne, nagle czując się śmiesznie. - To wszystko.

Dziękuję.

Pokojówka pracowała u niej dopiero od tygodnia, więc nie mogła zauważyć w swej chlebodawczyni żadnej zmiany.

Anne oparła się pokusie, by znów zwrócić się do lustra w poszukiwaniu zmian, jakich w jej wyglądzie dokonał Michel.

Przecież była odmieniona.

Zapłaciła mężczyźnie, by odebrał jej dziewictwo.

Zebrała odwagę na tyle, by wypowiedzieć, czego naprawdę chce.

I pokazała w jasnym świetle dnia spalającą ją żądzę.

Zgrzytanie w zardzewiałych rurach w niesamowity sposób

komponowało się z reumatycznym tykaniem francuskiego zegara,

zawieszzonego nad mahoniowym okapem od dawna wygasłego

kominka.

Nieważne, dlaczego Michel chce być moim kochankiem! -

zbuntowała się raptem Anne.

To ona chce spędzić z nim cały miesiąc. Dzielić z nim łóżko. Budzić się obok niego. Jeść z nim śniadania.

Intymność.

Rozkosz, jakiej nie zapewniłby jej nawet mąż.

Jakiś ruch za plecami uświadomił Anne, że nie jest już sama.

W drzwiach łączących sypialnię z łazienką stała Jane. Kiedy Anne spojrzała w jej stronę, uniosła głowę.

- Czy mam panią rozebrać?

- Tak, proszę.

Pokojówka z wprawą rozpięła maleńkie guziczki.

Równie zgrabnie jak ona rozbiera i ubiera kobiety Michel -

pomyślała Anne i na jej policzki wypełzły rumieńce.

Powoli, metodycznie Anne wyswobadzała się z sukni, turniury, gorsetu i halek. Oprawiony w marmur zegar zawieszony nad kominkiem wybił kwadrans.

Minęło piętnaście minut. Tyle czasu potrzebował przestarzały piec gazowy, by zagrzać wodę na kąpiel.

Taki sam zegar odmierzał w ciele Anne minuty, liczył czyhające na

84

nią niebezpieczeństwa.

Zafurkotała czarna wełniana suknia Jane, kiedy pokojówka

energicznie ruszyła do łazienki. Ciszę zalegającą w pokoju zmącił

donośny szum lejącej się wody.

Po pięciu minutach wanna była pełna.

W sypialni znów pojawiła się Jane.

- Poślę lokaja po kufer, panno Aimes - oznajmiła.

Świadomość ostateczności podjętej decyzji przygniotła

Anne.

- Doskonale - powiedziała i najwyższym wysiłkiem woli

zmusiła się, by nie pobiec za oddalającą się pokojówką i nie odwołać polecenia.

Małą łazienkę wypełniały kłęby pary. Pachniało gazem.

Pomalowany na zielono piec i kocioł oraz wychodzące z nich lśniąco mosiężne rury wciąż wydzielały intensywne ciepło.

Szybko umyła zęby, wypłukała usta wodą i wypluła ją do

żółtawego porcelanowego klozetu. Klozet Bramaha - przestarzały, jak

wszystkie inne urządzenia w jej miejskim domu - czknął i zbulgotał,

kiedy pociągnęła za miedziany łańcuszek rezerwuaru zawieszony na

ścianie. Niedbałym ruchem stopy odrzuciła płaczące się między

nogami wełniane majtki i popatrzyła na ślady palców na swych udach.

Były ciemnoczerwone.

Skurczyły się jej mięśnie pochwy.

Dotknęła lekko jednego ze śladów.

Opuszki jej palców były mniejsze od opuszków Michela, a

pulsujący ból, jaki poczuła w miednicy, świadczył o tym, że Michel

był w ogóle większy... Wszędzie.

Usiadła na niewielkim drewnianym taborecie. Ściągnęła podwiązki

i zdjęła pończochy, rolując je.

Michel zrolował je, a następnie znów naciągnął. Najpierw zdjął je po tym, jak po raz pierwszy pokazał jej anioły, a nałożył niecałą godzinę temu.

Wstała ze stołka i owinęła koszulą głowę.

Przy pierwszym kontakcie z wodą poczuła nieprzyjemne szczypanie. Przewycięzając niechęć, zanurzyła się w wodzie, wypełniającej wąską miedzianą wannę. Ciepła ciecz z chlupotem liznęła jej biodra.

85

Dokładnie tak samo, jak Michel liznął mi dolne wargi - przebiegło jej przez myśl.

Ale dotyk jego ust trudno uznać za ciepły. Jego język wprost parzył.

Zanurzyła w wodzie myjkę, a następnie tak długo nacierała ją kostką mydła, aż mokra bawełna zaczęła się pieniść.

Przybrała konsystencję gęstej śmietany.

Jak wymieszane ze sobą soki podnieconej kobiety i podnieconego mężczyzny.

W łazience Michela nie widziała pieca gazowego. Nie dostrzegła też żadnych instalacji doprowadzających gaz do lamp w sypialni.

Czyżby poparzył się podczas jednego z licznych wybuchów gazu, które zabiły i okaleczyły tylu mieszkańców angielskich miast - zarówno bogaczy, jak i biedaków?

Przesunęła bawełnianą myjką po swych wrażliwych sutkach.

Gałganek był śliski, a jednocześnie chropawy, delikatny i drapiący.

Jak palce Michela, których dotyk pogrążał Anne w otchłań najrozkoszniejszych doznań.

Przez chwilę zastanawiała się, co by czuła, biorąc kąpiel razem z mężczyzną.

Łazienka Michela była bardzo obszerna, a porcelanowa wanna odpowiadała jej rozmiarom. Dwie osoby z łatwością by się w niej zmieściły.

Wypuściła myjkę i ujęła w dłonie piersi, wyobrażając sobie, że ściskają je ręce Michela, że sterczące brodawki odczuwają pieśczoć jego palców, nie jej własnych. Wyobrażała sobie, że jest w niej... większy niż jego palec... że wchodzi głębiej niż językiem...

A wokół nich burzy się woda.

- Proszę pani...?

Anne gwałtownie cofnęła dłonie z piersi i objęła się ramionami.

Płynny żar zalewający jej ciało nie miał nic wspólnego z gorącą wodą, w której leżała.

- Tak...?

Jane zbliżyła się do miedzianej wanny. Strzelała wokoło oczyma, unikając jedynie widoku nagości swej pani. W wyciągniętej ręce trzymała blaszaną puszkę.

- Myślę, że powinna pani dodać do wody soli Epsoma. Naprawdę usuwa zmęczenie i ból.

Anne znieruchomiła. Skąd służąca wiedziała...? Próbowała się rozluźnić.

A niby dlaczego miałyby nie wiedzieć? - przyszła jej do głowy rozsądna myśl.

Anne zniknęła na całą noc i pół następnego dnia. Pokojówka zebrała jej odzież, a ciało Anne pachniało potem, zarówno własnym, jak i Michela.

Nie powinna jednak krępować się służącą.

Niebawem przecież dowie się o wszystkim cały Londyn.

- Dziękuję, Jane. Zaraz wychodzę z wanny. Pakujecie kufer?

- Właśnie kończymy, proszę pani. W czym zamierza pani pojechać?

Co kobiety nakładają na siebie, kiedy jadą do kochanka?

- W szarym wełnianym stroju spacerowym z czarnym aksamitnym kołnierzem. I w czarnym grenadynowym płaszczu.

- Bardzo dobrze, proszę pani.

Pokojówka obrzuciła szybkim spojrzeniem porozrzucaną po łazience bieliznę Anne i opuściła pomieszczenie.

Przez krótką, szaloną chwilę Anne chciała zawołać, by Jane wróciła, i zapytać ją, czy to „bardzo dobrze”, iż stara panna zamieszka pod jednym dachem z mężczyzną, który nie jest jej mężem.

Roześmiała się na sam pomysł takiej rozmowy.

A kiedy uświadomiła sobie, iż Jane z powagą i obojętnym głosem odpowiedziałaby: „bardzo dobrze, proszę pani”, pod powiekami zaszczypały ją łzy.



Zaczęła się energicznie myć.

Czy coś jest ze mną nie tak? - zapytywała się w duchu.

Straciła dziewictwo, ale dokładnie, z wszystkimi szczegółami to zaplanowała.

I wcale nie żałowała swojej decyzji.

Istniało zbyt wiele innych rzeczy, których żałowała. Wyborów, jakich nie dokonała. Obowiązków, z których się nie wywiązała.

Nieszczęście karmi żal. Nie rozkosz.

Wstała gwałtownie, rozpryskując wodę, i owinęła się wilgotnym ręcznikiem. W sypialni, ukryta za parawanem, nałożyła pończochy, majtki i koszulę. Pojawiła się Jane z gorsetem. Anne wykrzywiła boleśnie twarz - piersi wciąż miała opuchnięte i bardzo wrażliwe.

Weszła w krąg sztywnych halek. Pokojówka szybko, mechanicznie przywiązała turniurę wypchaną końskim włosiem i naciągnęła swej

87

pani szarą wełnianą suknię.

Najlepszą pokojówką damy jest Michel - pomyślała trzpiotowato

Anne. - Dużo, dużo lepszą niż Jane czy podręczna w Dover.

Być może to właśnie mężczyźni powinni sprawować funkcję podręcznych?

Ostrożnie usiadła przed lustrem toaletki. Michel sprawił, że nie czuła już bólu, ale wciąż w pewnych rejonach ciała pozostawała bardzo wrażliwa.

- Panno Aimes, wróci pani pod koniec miesiąca?

Wpatrzona w Anne niebieskie oczy służącej, odbite w zwierciadle, były szeroko otwarte ze zdumienia. Po raz pierwszy ktoś ze służby wyrażał zdziwienie wyjściami i powrotami swej pani.

- Oczywiście, że wrócę.

Pokojówka rozpuściła włosy Anne, po której kręgosłupie przebiegł rozkoszny dreszcz. Przypomniła sobie, z jaką wprawą zajmował się nimi Michel.

- Zostawi nam pani swój adres? - dopytywała się Jane.

Anne zmarszczyła brwi. Jeszcze poprzedniego dnia przyjęłaby z rozbawieniem zainteresowanie pokojówki, teraz tylko ją irytowało.

Natychmiast jednak poczuła wyrzuty sumienia; to nie wina pokojówki, że jej pani wdała się w awanturę.

- Zostawię adres u mojego prawnika.

Ostre włosie szczotki do włosów wbiło się w skórę głowy Anne, kiedy Jane rozczesywała pukle.

- A jeśli prawnik będzie nieosiągalny?

Odwróciła wzrok od lustra, które odbijało pasma siwizny we włosach. Ile jeszcze czasu upłynie, nim te jasnobrązowe włosy całkiem zbieleją? Ile jeszcze czasu upłynie, nim trudno jej będzie poznać się w lustrze?

- To niemożliwe, ale jego gospodyni ma przecież dostęp do kartotek. W razie potrzeby powie, gdzie jestem.

Pokojówka szybko upięła włosy Anne, która obserwowała w lustrze zgrabne ruchy jej długich, smagłych palców.

- Każę lokajowi wezwać powóz.

Policzki Anne zalały krwiste rumieńce, aż za dobrze widziała je w lustrze.

Stangret był jedynym służącym z Dover, który towarzyszył jej w wyjazdach do Londynu.

88

Nie chciała go w nic mieszać.

Jeszcze nie teraz.

- Jadę niedaleko - wyjaśniła pośpiesznie. - Wystarczy dorożka.

Jeszcze jedna spinka wpięta w kok, który ściśle przylegał do czaszki. Pokojówka cofnęła się. Jej ciemne oczy napotkały w lustrze wzrok Anne.

- Czy

przed

odjazdem

zje

pani

lunch,

panno

Aimes?

Ostatni raz jadła poprzedniego dnia. Nie przyjęła poczęstunku

Michela; głód zagłuszyło w niej seksualne zaspokojenie, a później wstyd, który pojawił się poniewczasie.

- Chętnie. Dziękuję.

- Bardzo dobrze, proszę pani. Anne zgrzytnęła zębami.

- Zanieś lokajowi moje czarne jedwabne rękawiczki, wyszywaną perełkami czarną torebkę i czarny toczek. Nie będę cię już potrzebować.

W jadalni czekały na nią zapieczone w kokilce ziemniaki, yorkshirski pudding oraz krótko smażony befsztyk wołowy; z płata mięsa sączyła się krew.

Czy będę krwawić, gdy Michel znów we mnie wejdzie? - pomyślała odruchowo.

Czy zdoła go tej nocy przyjąć w siebie? Była przecież opuchnięta i obolała.

Może lepiej poczekać?

Poczeka na następną noc.

Na inny raz.

Odsunęła talerz.

Lokaj przybrany w czarną liberię bez słowa sprzątnął naczynie. Kiedy Anne nieoczekiwanie wstawała od stołu, drugi lokaj usłużnie odsunął krzesło.

Wszyscy oni ubrani są na czarno - błysnęło jej w głowie. Zaczny kolor dla zacnych ludzi. Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że zamiast pograć się w żałobie po rodzicach, spotyka się z mężczyzną, który zbił fortunę kosztem bogatych kobiet.

Z mężczyzną, który zarzeka się, iż od pięciu lat nie uprawia swej profesji.

Ale ona go pragnie. Jego blizny nie budzą w niej odrazy.

Czy nie spotkał nigdy kobiety mego pokroju? - pomyślała.

89

W foyer ciemnowłosy lokaj dyskutował o czymś z szefem służby domowej, pochylonym nad jej kufrem. Na widok zbliżającej się chlebodawczyni obaj wyprostowali się z uszanowaniem.

- Doróżka

czeka,

proszę

pani.

James,

zanieś

kufer.

James zarzucił ciężar na plecy.

Był nad podziw silny. I na swój sposób przystojny, mimo złamanego nosa.

Kolejny dowód na to, że Anne popada w dekadencję.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad urodą swoich służących, nie mówiąc już o zainteresowaniu się ich obyczajami seksualnymi.

Szef służby otworzył przed nią drzwi. Do pogrążonego w wiecznym półmroku domu wdarł się jasny promień słońca.

- Czy ma pani dla nas jakieś szczególne zlecenia? - zapytał. -

Zrozumiałem, że wyjeżdża pani na miesiąc. Czy zostawi nam pani adres, pod którym moglibyśmy się z panią kontaktować?

Jego sztuczna grzeczność grała jej na nerwach. Poczła się nagle we własnym domu jak gość.

Kiedy dotykał jej Michel, czuła się we własnym ciele jak gość.

- Adres zostawiłam panu Little'owi, mojemu doradcy prawnemu - odparła krótko. - Będzie tu zaglądać od czasu do czasu. W razie czego wszystkim się zajmie.

Szef służby podał jej czarny grenadynowy płaszcz. Anne wsunęła ramię najpierw w jeden rękaw, a następnie w drugi. Lokaj bez słowa podał jej rękawiczki, czarny, okrągły kapelusz z białą egretą, w niczym nie przypominający skromnego toczka, o który prosiła, oraz wyszywaną perełkami czarną torebkę.

Czyżby Jane nie zrozumiała poleceń?

Z posępną miną Anne nałożyła eleganckie nakrycie głowy, wokół nadgarstka owinęła pasek torebki i wciągnęła rękawiczki.

Majordomus nie ustępował jej z drogi.

- Adres, proszę pani... Gdyby była pani tak łaskawa... Serce Anne wywinęło koziółka.

- Słucham?

Promień słoneczny załśnił w szklanym oku, nadając wypchanej sowie stojącej na stoliku pozór makabrycznego, groteskowego życia.

- Adres, panno Aimes - powtórzył lokaj, podając jej zabójczo ostrą, długą na piętnaście centymetrów szpilkę do kapelusza. - Muszę podać woźnicy.

Anne popatrzyła na szpilkę.

Po raz pierwszy zastanowiła się nad tym, jak słaba i krucha jest ludzka skóra okrywająca mięśnie. Jak łatwo było ją przebić.

Ciałem.

Stalą.

Po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz.

To śmieszne, ale odczuła nagle strach przed tym jasnowłosym służącym, który sprawiał wrażenie, jakby jeszcze nigdy w życiu nie dotknął nagiego ciała kobiety.

Natychmiast jednak porzuciła te niedorzeczne myśli.

Szefa służby wynajął prawnik. Z pewnością służący miał jak najlepsze referencje i był godny zaufania.

Anne oderwała wzrok od ostrej szpilki.

- Jadę do mego prawnika - odparła i niechętnie podała adres.

Szef służby skłonił się.

- Szpilka do kapelusza, panno Aimes.

- Dziękuję.

Anne wyciągnęła rękę i lekko drżącymi palcami odebrała przedmiot.

Ostrożnie wpięła szpilkę w kapelusz i wyszła na zalaną słońcem ulicę.

Lokaj ruszył za nią i usłużnie otworzył drzwiczki dorożki, tak jak uczyniłby to każdy lokaj na świecie.

Dlaczego nie mogła zapanować nad bijącym gwałtownie sercem?

W pojeździe unosiła się woń wilgoci i wytartej skóry. Nieszkodliwe zapachy. Kiedy dorożka włączyła się w ruch uliczny, Anne wciąż jeszcze

nie wiedziała, czy skurcze, jakie czuła w żołądku, spowodowane są ulgą czy strachem.

Każdy podskok dorożki na wyboju powodował nieprzyjemny ból w miednicy. Anne przysunęła twarz do okna i obserwowała mijane ulice i powozy.

Nigdy jeszcze nie widziała biura swego prawnika.

Jednopiętrowy budynek był stary i bezpretensjonalny, podobnie jak sam prawnik. Po obu stronach budowli wznosiły się jeszcze bardziej zaniedbane ceglane domy.

Na lśniącej frontowej witrynie widniał wymalowany czarną farbą duży napis: MR. LITTLE - PRAWNIK. Białe żaluzje chroniły wnętrze domu przed niepożądanym okiem.

Anne głęboko wciągnęła powietrze i wyszła z dorożki.

91

- Proszę poczekać - poleciła woźnicy. - Pojedziemy jeszcze w inne miejsce. Tutaj mam tylko do załatwienia pewien interes.

Dorożkarz o pobrużdżonej zmarszczkami twarzy, na której malował się wyraz znudzenia i przepracowania, w milczeniu dotknął runda melonika.

Kiedy Anne nacisnęła kłankę i otworzyła drewniane masywne drzwi, prowadzące do biura prawniczego, rozległ się dźwięk niewielkiego dzwoneczka. Anne uderzył zapach świeżo upieczonego chleba i bzu.

- Czym mogę służyć?

Zajęło jej dłuższą chwilę przyzwyczajanie się wzroku do panującego



w pomieszczeniu półmroku. Wzdłuż pomalowanej na biało ściany ciągnęła się w górę, wykonana z wypolerowanego drewna, poręcz schodów. U ich stóp przycupnęło małe biurczko z wielką metalową maszyną do pisania. Za biurkiem siedziała niewiasta w białym koronkowym czepku. W ocenie Anne dobiegała sześćdziesiątki.

- Pani Huttchinson? - spytała zaskoczona.

Prawnik, ilekroć wspominał o swej gospodyni - której zajęcie nie było ani chlubne, ani ambitne - zawsze mówił, nie wiadomo dlaczego, „urzędniczka”.

- Pan Little niewątpliwie powiadomił panią, że jestem jego gospodynią. - Kobieta uśmiechnęła się. Linie zmarszczek okalających jej usta i oczy nadawały pewien charakter obliczu, które wciąż zachowywało ślady urody. - I rzeczywiście jestem nią. Ale obawiam się, że pana Little'a nie ma. Może ja będę mogła pani pomóc?

Anne ścisnęła torebkę.

- Nazywam się Anne Aimes. Kiedy mogę spodziewać się powrotu pana Little'a?

Wyraz brązowych oczu pani Huttchinson złagodniał.

- Witam panią, panno Aimes. Pan Little opuścił biuro wczesnym rankiem. Pojechał pociągiem do Lincolnshire, gdzie umówiony był z klientem.

- Rozumiem.

Niczego jednak nie rozumiała.

Pan Little nalegał, by Anne po pierwszej schadzce z Michelem des

Anges natychmiast się z nim skontaktowała. Oświadczył, że musi mieć pewność, iż ten kontakt ją usatysfakcjonował.

Podejrzewała, że prawnik po prostu chciał się upewnić, że po zaaranżowanym przez niego spotkaniu klientka bezpiecznie wróciła do

92

domu.

- Czy mówił, kiedy wróci?

- Nie. Wyjechał, kiedy jeszcze spałam. Zostawił tylko kartkę z wiadomością, że wyjeżdża. To wszystko.

Prawnik pojawił się w Dover po śmierci rodziców Anne. Przejrzenie wszystkich niezbędnych dokumentów zajęło kilka dni. Po upływie dwóch miesięcy ponownie go wezwała. Pozostał na noc, następnego dnia wyjechał, po czym wrócił z podpisanym przez Michela kontraktem i znów przenocował w jej domu.

Anne nie była jego jedyną klientką.

Zapewne niedługo wróci.

- Czy mogłabym zostawić dla niego wiadomość?

Pani Huttchinson zerwała się z miejsca. Anne owiał zapach jej perfum.

- Naturalnie, panno Aimes. Proszę za mną.

Była szczupłą, schludną kobietą tego samego wzrostu co Anne; na sukni nosiła biały, wykrochmalony fartuch.

Anne błysnęła dziwaczna myśl, że pan Little również był wzrostu swej gospodyni. Klientka, prawnik i gospodyni liczyli po około metr

sześćdziesiąt pięć centymetrów.

Kroki pani Huttchinson tłumił długi, zielony chodnik wełniany, którym wyłożona była podłoga korytarza. Wykonana z orzecha boazeria jakby pochłaniała całe światło w wąskim korytarzyku.

Gabinet pana Little'a - zajmujący praktycznie cały parter budynku - był obszerny i komfortowo urządzone. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki wypełnione oprawionymi w skórę książkami. Posadzkę pokrywał wytworny zielony dywan. Przy długim, nakrytym szkłem biurku stały dwa obite brązową skórą, przepastne fotele.

Pokój przesączała osobliwa woń przypieczonego mięsa. Palenisko kominka zalegała gruba warstwa siwego popiołu. Na ruszcie leżały lśniące mosiężne szczypce.

- Proszę usiąść, panno Aimes.

Pani Huttchinson wskazała biurko i równo ułożone na nim materiały piśmiennicze.

Anne przysiadła na brzeжку jednego ze skórzanych foteli, ściągnęła z prawej dłoni rękawiczkę i sięgnęła po papeterię. Znieruchomiała. Z całych sił ścisnęła w palcach pióro w miedzianej oprawce. Pod ścianą za

93

biurkiem ujrzała skórzany kufer.

Za każdym razem, kiedy prawnik odwiedzał Dover, miał ze sobą taki sam kufer.

- Pani chlebowca... Rozumiem, że nie wybrał się nigdzie na dłużej?

Pani Huttchinson podażyła za wzrokiem Anne.

- Och... Pan Little zapewne zabrał walizkę, mniejszą. Zatem niebawem wróci. Napisał mi, abym kufer przekazała jego koledze, również londyńskiemu prawnikowi.

Anne zanurzyła stalówkę w kałamarzu i popatrzyła z namysłem na czystą welinową kartkę.

W jaki sposób ma przekonać prawnika, że z nią wszystko w porządku, skoro sama nie wiedziała, co się z nią dzieje i co naprawdę czuje?

Na końcu stalówki zebrała się kropla atramentu i spłynęła kleksem na biały papier.

Czerń zamiast czerwieni - pomyślała Anne. Znow przypomniła sobie ból, jaki zadał jej Michel; ból, a jednocześnie nieprzytomną rozkosz.

Szybko skreśliła kilka słów, posypała kartkę piaskiem, a następnie złożyła ją i zalakowała w kopercie.

- List proszę zostawić na biurku, panno Aimes - odezwała się pani Huttchinson. - Nikt go nie ruszy. Koperta będzie pierwszą rzeczą, którą zobaczy pan Little po powrocie. W tych sprawach jest nadzwyczaj skrupulatny.

- Dziękuję. - Anne przez chwilę zastanawiała się, czy starsza kobieta była naprawdę zamężna; może tylko przyswoiła sobie tytuł „pani”, by zdobyć dobrą pracę? Taką taktykę stosowało wiele kobiet. - Pan Little wyraża się o pani bardzo pochlebnie - powiedziała z uśmiechem.

W brązowych oczach gospodyni zapaliły się figlarne ogniki.

- O pani, panno Aimes, pan Little również wyraża się w samych superlatywach. Twierdzi, że nie spotkał w życiu tak dzielnej i odważnej młodej damy.

Anne zamrugła oczyma.

Z całą pewnością prawnik nie wspomniał pani Huttchinson o Michelu des Anges.

Szybko odrzuciła taki pomysł.

Cnotliwa i szanowana pani Huttchinson nie byłaby tak serdeczna w

94

stosunku do Anne, gdyby wiedziała o jej nielegalnym kontrakcie.

Prawdę znali wyłącznie: Michel, sama Anne i jej prawnik.

Anne naciągnęła rękawiczkę i ruszyła za panią Huttchinson do wyjścia. Starsza niewiasta uprzejmie otworzyła drzwi i przepuściła ją przodem. Powitał je chłodny podmuch świeżego powietrza i promienie słońca.

Anne zatrzymała się na chwilę w progu. Bardzo potrzebowała zachęty, potwierdzenia, że to, co robi, jest słuszne. Ale jak mogła prosić tę obcą kobietę, by aprobowала jej postępowanie?

- Proszę przekazać panu Little'owi wyrazy szacunku.

- Nie omieszka, panno Aimes - odparła z serdecznym uśmiechem pani Huttchinson.

Anne niechętnie przekroczyła próg. Za nią z głuchym łoskotem zamknęły się masywne drzwi.

Wóznica obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Melonik miał nasunięty głęboko na oczy.

- Gdzie teraz pani sobie życzy?

I nagle znikł Anne z oczu zarówno dorożkarz, jak i jego nakrycie głowy. Ujrzała natomiast czarną suknię swej pokojówki odbitą w lustrze garderoby.

„A jeśli prawnik będzie nieosiągalny?” - odbiło się echem w uszach Anne.

Po drugiej stronie ulicy koń, wystraszony widokiem człowieka, który wyszedł nagle zza słupa ogłoszeniowego, stanął dęba.

Nieopodał, oparty o latarnię, stał jakiś mężczyzna. W słońcu lśniła gałka jego laski. Włosy miał tak smoliście czarne, że ich barwa w słonecznym świetle wydawała się prawie granatowa.

Anne zaschło w ustach.

Takie same włosy ma Michel.

Jakby czując na sobie wzrok kobiety, czarnowłosy mężczyzna szybko odwrócił się w przeciwną stronę.

Na drodze stanął mu pucybut. W jednej chwili Anne zrozumiała, że nie jest to Michel, lecz jakiś inny londyńczyk, który postawił nogę na stołeczku i pochylony spoglądał, jak chłopiec ściera z jego obuwia błoto londyńskich bruków.

Nieoczekiwanie dotarło do jej świadomości, że Michel, Francuz, tylko raz odezwał się do niej po francusku, zaraz po tym, jak odebrał jej dziewictwo.

Rosę Huttchinson spoglądała przez uchyloną żaluzję. Widziała, że Anne Aimes zawahała się przed wejściem do dorożki, jakby niepokorna, dokąd ma jechać.

Całym sercem współczuła tej starej panie wyboru, jakiego ta dokonała.

John Little nieustannie mówił o Anne Aimes. Najpierw o jej poświęceniu. Następnie o jej samotności. A w końcu o dziwacznej decyzji, jaką podjęła.

Rosę zastanawiała się, co powiedziała by Anne, gdyby wiedziała, że ona kiedyś również stanęła przed podobnym problemem.

Gdy jej mąż, kancelista adwokata, zmarł, ona została bezdzietna i pozbawiona środków do życia. John zaoferował jej posadę gospodyni, a następnie miejsce w swoim łóżku.

Oboje dobiegali średniego wieku i obojgu doskwierała samotność.

Byli jeszcze na tyle młodzi, by pożądać, lecz za starzy, by wszystko zaczynać od nowa. On bez reszty oddawał się swej pracy; ona bała się, by śmierć nie zabrała jej następnego mężczyzny.

Działo się to przed dziesięcioma laty. Teraz John miał lat sześćdziesiąt pięć, a ona pięćdziesiąt dziewięć.

Jakby podejmując ostateczną decyzję, Anne Aimes weszła w końcu do dorożki i zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

Rosę nigdy nie żałowała swojej decyzji. Miała tylko nadzieję, że Anne Aimes również znajdzie ukojenie w łóżku Michela des Anges.

Czasami kobieta musi chwycić szczęście za ogon i pozwolić, by

wszystko potoczyło się swoim torem.

Ulicą przejeżdżał omnibus, zasłaniając Rosę widok odjeżdżającej dorożki.

Kobieta zmarszczyła brwi.

Ostatnio John skarżył się na bóle w klatce piersiowej.

Nie miał w zwyczaju wyjeżdżać bez powiadamiania mnie wcześniej

- pomyślała z niepokojem. Za dużo pracował. Nie powinien zarywać

nocy, pracując nad tym testamentem, a następnie wyjeżdżać bez

uprzedzenia.

Sześćdziesięcioletni mężczyzna był za stary, by ruszać w świat

na kaprys każdego klienta. Kto ogrzeje mu stopy, gdy będzie daleko od

domu?

A kto ogrzeje moje stopy? - pomyślała z zadumą.

96

Na samą tę myśl na jej twarzy pojawił się pogodny uśmiech.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy John niejednokrotnie podejmował

temat prawnych aspektów małżeństwa. Zapewne jeśli w końcu odważy

się na oświadczyzny, ona na nowo przemyśli swoją decyzję pozostania

kobietą niezależną.

A już z całą pewnością oduczy go wyjeżdżania bez uprzedzenia i

zostawiania jej samej.

Chichocząc, wróciła do biurka i maszyny do pisania, która stanowiła

dumą i radość Johna Little'a.



Miała jeszcze tyle do zrobienia. Musiała przepisać testament. Musiała usunąć popiół z kominka w gabinecie Johna i wywietrzyć pokój.

Co on tam takiego palił?! - pomyślała z irytacją. W gabinecie po prostu śmierdzi.

Wkręciła papier w maszynę i pochyliła się nad stosikiem kartek zapisanych ręką Johna.

W zostawionej notatce polecił jej, by zapakowała tekst do walizki i dostarczyła ją pewnemu prawnikowi.

Dziwne. Nigdy wcześniej nie słyszała nazwiska tego człowieka.

A John zawsze mówił jej o swoich kolegach prawnikach.

Na rękopis padł cień człowieka.

Rosę zadrżała.

Przecież dzwonek u drzwi frontowych nie dzwonił. Było wprawdzie jeszcze wejście kuchenne, ale klucz do tamtych drzwi miała tylko ona i John.

Majająca nad nią postać była masywna - dużo rośniejsza niż mężczyzna, którego Rosę pokochała i postanowiła z nim zostać.

Chwyciła się za bijące mocno serce i uniosła głowę...

Wyżej... wyżej...

Wpatrywała się w przybysza jak zahipnotyzowana.

- Czym mogę służyć? - wydukała.

Mężczyzna uśmiechnął się rozbrajająco.

Serce Rosę zatrzepotało.

Nieznajomy był bardzo przystojny.

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy ujrzała swego męża. Stało się to w słoneczny wiosenny dzień... taki sam jak dzisiejszy. Po parku przechadzały się roześmiane, zalotne panienki, nie zwracając uwagi na łakome spojrzenia młodzieńców...

I to była ostatnia myśl Rosę.

Michael, stojąc nieruchomo, wyglądał przez okno swego salonu na piętrze. Pod palcami czuł delikatny jedwab jasnoniebieskich zasłon.

Włosy Anne Aimes również przylegały do opuszków jego palców.

Były jednak dużo, dużo delikatniejsze niż jedwabne zasłony.

Stara panna wysiadła z dorożki. Miała na sobie prosty, czarny płaszcz i

czarny kapelusz z białą egretą z piór, które tańczyły w blasku

słonecznych promieni. Raoul, główny lokaj Michaela, gorączkowo

gestykulując, nakazywał dwóm służącym zająć się kufrem gościa.

Serce Michaela biło jak młotem po gwałtownym wysiłku. Po

szaleńczym biegu, by wrócić do domu przed przybyciem Anne.

Zachował się bardzo nierozważnie. Anne zobaczyła go przed biurkiem

swego prawnika.

Co by było, gdyby go rozpoznała? Podeszłaby do niego, by

utwierdzić się w przekonaniu, że śledzi każdy jej krok?

Pamiętał poranny blask słońca... i Anne w jego łóżku.

Pogrążoną w głębokim śnie.

Spała cicho i skromnie, tak jak żyła.

Do chwili, gdy osiągała orgazm.

W jej spełnieniu nie było ciszy ani skromności.

Anne i Raoul zniknęli pod sklepieniem bramy wejściowej.

W nocy smakował jej niewinność. Rano smakował kobietę, którą z

niej uczynił. Słoność ich potu, słodycz rozkoszy, miedziany posmak

jej dziewiczej krwi.

Michael nigdy jeszcze nie sprawił, by kobieta krwawiła.

Powinien czuć wyrzuty sumienia.

Ale nie czuł.

Przez czas, jaki im pozostał, będzie należała do niego.

Do męskiej dziwki.

Do zabójcy kobiet.

Dwóch służących niezgrabnie wywlekało z dorożki brązowy skórzany kufer.

Niewątpliwie wypełniony był bezbarwnymi, pozbawionymi wszelkiej fantazji strojami, tak bardzo podobnymi do bezbarwnej, pozbawionej wszelkiej fantazji starej panny.

Trzymając bagaż z dwóch stron, służący zniknęli pod sklepieniem bramy, przez którą niedawno przeszedł lokaj i Anne.

98

Michael popatrzył na jedwabną materię, którą miał w palcach, na jasnoblękitny jedwab, tak bardzo przypominający barwą oczy Anne.

Wyobraził ją sobie przyodzianą w wytworne suknie. W porywające szaty. Ubraną w strój podkreślający jej zmysłowość, a nie szarość staropanieństwa.

Poczuł bolesne ukłucie w sercu.

Stało się dla niego jasne, kim był ten mężczyzna, którego „dawno, dawno temu” pokochała nad życie.

Przystojny, zarozumiały i pewny siebie Michel des Anges.

Francuski *courailleur*, który uciekł przed wojną z Prusami, by

angielskim damom zapewniać ekscytujące przygody.

Był święcie przekonany, że nikt nie wpadnie na jego trop. Ani przez chwilę nie wątpił, że dokończy dzieła, którego nie mógł dokonać jako chłopiec.

Michael żałował mężczyzny, na którym tak bardzo zależało Anne, mężczyzny, który umarł w piekle płomieni, podczas gdy ona nie poświęcała ani chwili uwagi kobiecie, która nawiedzała jego przeszłość.

W naturze Michaela nie leżała wielkoduszność ani życzliwość.

A Anne to właśnie hojnie mu ofiarowywała.

Od strony marmurowych schodów dotarł do niego odgłos kroków; dźwięk odbijał się echem od ścian korytarza prowadzącego do salonu, w którym Michael czekał na Anne.

Ta stara panna miała duszę wojownika.

Dianę była śliczną kobietą, która namiętnością i radością życia dorównywała jego żywotności i żądom. Garściami czerpali rozkosz z życia. Dzielili ze sobą radość. Pili szampana. Kochali się bez pamięci.

Nic innego się nie liczyło.

Kiedy tamten człowiek zniszczył pasję i namiętność Dianę, została jej już tylko niewyobrażalna pustka.

Natomiast Anne była zarówno silna, jak i przepełniona żądzą życia.

Była mądra. Wiedziała, co to śmierć i cierpienie.

Ona mogła przetrwać.

Skoro udało się jej to aż do teraz, zasługiwała na zaufanie i

szacunek Michaela.

A on był gotów jej to ofiarować.

Poczuł za sobą czyjąś obecność. Raoul. Ale czuł też obecność Anne.

W żyłach żywiej popłynęła krew.

99

Doznał natychmiastowej erekcji.

- *Mademoiselle Aimes, monsieur.*

Michael wypuścił z ręki zasłonę i odwrócił się w stronę jedynej

niewiasty, która była najświęciej przekonana, że nie istnieje na

świecie kobieta, która mogłaby go nie pragnąć i nie pożądać.

W jej jasnoniebieskich oczach malowała się czujność, ramiona

miała wyprostowane. Nie pozwoliła Raoulowi zdjąć sobie płaszcza.

Jedynie siłą woli powstrzymywała się przed tym, by odwrócić się na

pięcie i uciec od przenikających jej ciało pragnień.

Nocą pasja Anne stała się jego wrogiem, a nad ranem stała się

również wrogiem Dianę.

Musiał okłamywać Anne, ponieważ w przeciwnym razie oboje

wkroczyliby na drogę, którą żadne z nich nie chciałoby pójść.

Michael uśmiechnął się.

- Przybyłaś.

- Jak widzisz.

Widział, ale nie wiedział, jak daleko ma się posunąć, by utrzymać ją

w ryzach.

Nie wiedział, na ile Anne odważy się w tej seksualnej odysei, w

którą rzuciły ich wzajemne pragnienia.

Nie wiedział, kiedy kobieta poskłada w całość kawałki jego  
oszukańczej gry i pokus, jakimi ją mamił, i jej pasja zamieni się w  
śmiertelną nienawiść.

Z wyrachowaniem wykorzystywał jej dobroć, podobnie jak  
wcześniej jej zmysłowość.

- Anne Aimes, czy zgodzisz się pokazywać ze mną w mieście?

Pytanie zaskoczyło ją. Takie zresztą było zamierzenie Michaela.

Ale i wyraz jej twarzy kompletnie go zaskoczył. Podobnie jak ból,  
który przeszył jego ciało.

Najwyraźniej nie miała zamiaru pokazywać się publicznie w  
towarzystwie mężczyzny znanego powszechnie ze swej profesji.

Anne buńczucznie zadarła brodę, mimo że na jej twarzy na ułamek  
sekundy pojawił się wyraz przerażenia. Jakby chciała ukryć swe  
kobiece zalety. Ale one istniały, a przede wszystkim jej uroda, którą  
chciała mu ofiarować.

- Oczywiście.

Pójdę

z

tobą

wszędzie

-

powiedziała.

Michael wzruszył ramionami, jakby chciał otrząsnąć się

z przenikającego go cierpienia. Co miał uczynić, by Anne doznała jeszcze większego bólu, niż ona zadawała jemu?

- Skoro tak, chcę ci coś pokazać - powiedział wyzywająco. - Coś niezwykłego. Jeśli tylko zechcesz.

Anne pocierała w palcach dłoni okrytych jedwabnymi rękawiczkami próbkę aksamitu o tęczowych barwach i przeklinała w duchu zarówno samą siebie, jak i Michela.

Gdyby wiedziała, że zaprowadzi ją do krawcowej, nigdy by się na to nie zgodziła.

Czuła się upokorzona.

Oszukał ją. Gorzej - zawstydził.

Odrzuciła z obrzydzeniem materiał.

- Wolałabym coś mniej krzykliwego. Może granat?

Michel i *madame* Renę - drobna, autokratyczna niemłoda kobieta, o szokująco rudych włosach i w perłowej, godnej królowej, kolii na szyi - wymienili spojrzenia.

Anne doskonale je rozumiała.

Ich oczy wyraźnie mówiły, że mają oto przed sobą nieskomplikowaną, pozbawioną fantazji kobietę, która nie zna się na modzie.

Cóż, naprawdę się nie znała.

Wiedziała jednak, jak surowo świat ocenia niezamężne kobiety.

Doskonale też zdawała sobie sprawę, że nawet tęczowy aksamit nie



zdejmie z niej piętna staropanieństwa.

Nie sprawi, że będzie wyglądać młodziej.

Nie uczyni jej bardziej powabną.

Co za diabeł ją podkusił, że zgodziła się związać z mężczyzną, o którym nie wiedziała nic poza tym, że ma wspaniałe ciało i znakomicie wie, co zrobić, by kobieta zapomniała o swoich niedoskonałościach.

- *Mademoiselle*,

najpierw

weźmiemy

miarę,

a

później

zdecydujemy, co dalej. *Ouil* - Modniarka wyciągnęła smukłe ramię.

Na środkowym palcu prawej dłoni zaśnił ogromny brylant. -

Claudette, weź torebkę *mademoiselle*. *Angelique*, zajmij się jej

rękawiczkami. *Babette*, tobie zostawiam płaszcz... *Mademoiselle*,

proszę niczym się nie przejmować. *Monsieur Michel* wszystkiego

dopilnuje.

101

Anne poczuła się nagle bezbronna. Zgodnie z poleceniem *madame*

odebrano jej torebkę, ściągnięto z dłoni rękawiczki, zsunięto płaszcz.

- *Voila* - powiedziała pełna animuszu *madame Renę*. - Proszę tutaj,

*s' il vouspla it.*

Anne wprowadzono do maleńkiej, przyprawiającej o klaustrofobię przymierzalni za kotarą kasztanowej barwy. Zawieszony pod sufitem kryształowy kandelabr gazowy syczał i strzelał płomieniem.

- Nie musi pani brać miary, *madame* Renę. Mogę pani wszystko to powiedzieć.

Modniarka, niższa od Anne o dobrych dziesięć centymetrów, wyciągnęła rękę i skubnęła klientkę w brodawkę piersi. Anne skamieniała. Z oburzenia straciła dech.

- Jak pani śmie...?!

- *Non, non*, to nie tak, *mademoiselle*. Ta suknia nie jest dopasowana *ici... tu...* Widzi pani? Wełna wzdyma się na piersiach. Claudette! A... jesteś, *ma chérie*. Przynieś nowy gorset, ten francuski, który przysłano wczoraj. A teraz, *mademoiselle*, zdejmujemy suknię.

Anne szybko się cofnęła, zanim ruchliwe ręce modniarki zdołały wykonać kolejny skandaliczny ruch. Oparła się plecami o ścianę.

- *Madame*, przyślę pani swoje wymiary. *Monsieur* i ja mamy umówione spotkanie, na które i tak jesteśmy już spóźnieni. Proszę o wybaczenie, ale...

*Madame* Renę była jednak nieustępliwa. Zadarła głowę, w jej brązowych oczach pojawił się konspiracyjny błysk.

- To *monsieur* Michel, *oui?* - szepnęła. - Jest bardzo tajemniczym mężczyzną. W jego towarzystwie ubiera się pani skromnie, *non!* Żeby nie zwracać powszechnej uwagi? Żadna kobieta nie chce popularności, kiedy jest z takim człowiekiem jak on, *ouil*

Anne zachnęła się.

- Myli się pani, *madame*.

- *Non*, nie sędzę, *mademoiselle*. W przeciwnym razie nie chciałaby pani być dla niego *la belle*. Nie chciałaby pani, by wszyscy mężczyźni spoglądali na panią, kiedy idzie obok niego, i mówili *quelle unefemme incroyable*, cóż za nieprawdopodobna kobieta! Jakież to musi być mężczyzna, skoro udało mu się zdobyć taką kobietę!

- *Monsieur des Anges* jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną - odparła lodowatym tonem Anne. Mimo szpecących go blizn - dodała w duchu. - Bez względu na towarzystwo zawsze jest sobą.

102

- Skoro tak pani mówi, *mademoiselle*. Plotki z kolei głoszą, że zbudowany jest jak *un etalon*, jak ogier. - Usta *madame* wykrzywił grymas niesmaku. - Ale te jego blizny...

Przez ciało Anne przeszła fala gorąca. Michel był zbudowany jak ogier.

- Nie wstydzę się *monsieur des Anges* - odparła hardo, kryjąc upokorzenie pod wyniosłością.

*Madame* wzruszyła ramionami. Jej gaelicki gest mówił więcej niż słowa.

Najwyraźniej nie ufała swej klientce.

- *Madame Renę*, nie jestem... - Z trudem wydobywała z siebie słowa bolesnej prawdy. - Nie jestem kobietą atrakcyjną.

Na zasuszonej, pomarszczonej twarzy kobiety rozlał się szeroki

uśmiech.

- Było tak, zanim przyszłaś do mnie, do utalentowanej *madame*

Renę. Kiedy wyjdiesz stąd, *mademoiselle*, będziesz *tresmagnifique*

Anne uniosła brew.

- A ile sobie pani zażyczy za tę cudowną przemianę?

- Fortunę, *mademoiselle*, ale jeśli pani się na to nie zgodzi, straci

pani *monsieur* Michela, *non*?

Anne nabrała tchu. Nie da się upokorzyć.

Modniarka mówiła jej prosto w oczy to, co inni będą mówić za jej

plecami.

Miała w rękach skarb. Gdyby nie pieniądze, nie wynajęłaby

mężczyzny znanego z tego, że potrafi każdą kobietę doprowadzić do

orgazmu.

„Wszystko można kupić - oświadczył Michel. - Zaspokojenie

seksualne. Intymność. Przyjaźń”.

Dlaczego nie iluzję urody?

- Doskonale, *madame* Renę.

Modniarce nie wystarczyło to, że Anne zdjęła z siebie suknię.

- *Tout, mademoiselle. Tout.*

Zdjęła więc wszystko: turniurę, sztywne halki, gorset, koszulę, a

nawet majtki.

Krawcowej obca była angielska skromność. Bardzo przydatna cecha

w jej fachu - pomyślała zgryźliwie Anne.

Równie przydatna jak w fachu Michela.

Na jej ciele pojawiła się gęsia skórka.

103

Zadrzała, ubrana jedynie w kapelusz, opadające pończochy i wysokie buciki, których obcasy sprawiały, że musiała wysunąć miednicę do przodu; dokładnie tak samo jak wtedy, gdy rozbierał ją Michel.

Istniała jednak wielka różnica między tym, gdy rozbierała ją kobieta, a tym, kiedy robił to mężczyzna. Gdy zajmował się tym Michel, czuła podniecenie, lecz *madame* Renę oceniała ją, jakby była klaczą. Najpierw obejrzała ją dokładnie z przodu, a następnie z tyłu.

Anne czuła się jak wielka, niezgrabna kobyła, z kitką piór sterczących u kapelusza.

Centymetr krawiecki owinał się jej wokół szyi, przez chwilę dławiąc, a następnie zsunął się śliskim ruchem na ramiona.

- Rozłóż ręce, *mademoiselle*.

Kiedy modniarka mierzyła rozstaw jej ramion, Anne czuła pod pachami dotyk jej gorących palców i zimnej metalowej taśmy krawieckiej.

Od wielu, wielu lat nikt jej tak upokarzająco nie traktował. Żywiła jednakże absurdalną nadzieję -jak przed osiemnastoma laty, kiedy brano jej miarę w sławnym londyńskim sklepie odzieżowym - iż modniarka dostrzeże w niej doskonałość, której ona sama nie potrafiła dostrzec w lustrze.

Ze stoickim spokojem spoglądała na czubek głowy *madame* Renę

pochylającej się nad jej odkrytym łonem. Ciszę w pomieszczeniu  
mącił jedynie syk gazowej lampy.

Nie musiała patrzeć w dół, by wiedzieć, co stara modniarka widzi.

Ewidentne dowody jej nocnych miłosnych uniesień -piersi i łono  
wypieszczone przez mężczyznę czekającego po drugiej stronie grubej  
zasłony.

Centymetr krawiecki owinał się wokół jej torsu, przylgnął do  
napęczniałych, posiniaczonych sutków.

- Trochę za drobne piersi. - Modniarka szybko zapisała coś w  
niewielkim kajecie i schowała go do kieszeni fartucha. Uklękła  
przed Anne i zaczęła mierzyć ją w talii. - Tutaj jest pani trochę za  
szeroka, *mademoiselle*. Zalecam mniej słodczy.

Anne zgrzytnęła w duchu zębami. I tyle z mojego udawania! -  
pomyślała cierpko.

Modniarka zaczęła z kolei mierzyć biodra, jej głowa znalazła się  
niebezpiecznie blisko miejsc, którymi zazwyczaj inne kobiety nie

104

wykazują zainteresowania. Miejsc, które - wrażliwe i obolałe po  
nocnych zabiegach mężczyzny - zmysłowo sterczą do przodu.

- Biodra również odrobinę za szerokie – zawyrokowała modniarka.

Zmierzyła lewą nogę Anne, a następnie zaczęła z wprawą  
rozsnurowywać bucik.

- Proszę unieść stopę, *mademoiselle*. - Anne niezgrabnie wypełniła  
polecenie i dla utrzymania równowagi mocno oparła się o

nieskazitelną fryzurę niebywale rudych włosów modniarki, kiedy ta szarpnięciem zdjęła jej trzewik. - *Maintenant. Le droit.* - Modniarka poklepała ją po prawej stopie. - W górę.

Anne stała w pończochach na wełnianym dywanie i całą uwagę koncentrowała na brązowej zasłonie, starając się ignorować drobną dłoń dotykającą wewnętrznych stron jej ud, w tych samych miejscach, gdzie dotykał Michel. Dotyk wywołał całą spiralę rozkosznych doznań i wspomnień; Anne była aż do bólu świadoma pulsowania między udami i czekającego na nią za aksamitną kotarą mężczyzny. Modniarka skończyła pomiary i zręcznie jak dziecko poderwała się z podłogi.

- Claudette!

Zaskoczona Anne spojrzała na kolejną drobną, nerwową niewiastę, która obrzucała ją taksującym wzrokiem, dokładnie tak samo, jak robiła to *madame* Renę.

- Claudette, przymierz *mademoiselle* gorset... O, tutaj wszyje-my wyściółkę,  
*ici.*

-

Anne

zesztywniała,

kiedy

modniarka

bezceremonialnie wepchnęła dłoń w stanik gorsetu, boleśnie urażając

krogulczym kciukiem obolałą pierś. - No i wzmocnimy wszystko

fiszbinami, co sprawi, że piersi podniosą się i będą sprawiać wrażenie

większych, *oui*?

- *Oui, madame.*

- *Vite*, potrzebujemy całej sztuki materiału... Angelique, przynieś

*velours* pawiego koloru.

Zasłona uniosła się na chwilę i Anne mignął Michel. On również ją

ujrzał.

„*Un etalon*” - oświadczyła *madame* Renę. Ogier.

„Czy istnieje jakaś rzecz, której byś nie zrobił?”

„Nie istnieje. Dlatego daję kobietom rozkosz”.

Jego fiołkowe oczy załśniły, lecz natychmiast zasłoniła go wysoka,

105

koścista niewiasta niosąca belę zielononiebieskiego materiału.

Kasztanowy aksamit opadł za jej plecami.

Pałący się w oczach Michela żar nadal jednak towarzyszył Anne.

*Madame* owinęła materiałem biodra i nogi klientki.

- Musimy podkreślić nogi, są w miarę zgrabne, *norp*. Przód musi

być bardzo obcisły, aż przesadnie obcisły. Do *une robe de jour* damy

fałdy, by *mademoiselle* mogła się swobodnie poruszać. *Ouil*

Odpowiedział jej zgodny chór: „*oui*”.

Jak na gust Anne, przymierzalnia była stanowczo za bardzo

zatłoczona. Woń francuskich perfum i zapach gazu napływający z

zawieszzonego pod sufitem żyrandola przyprawiała ją o zawroty



głowy.

Co może mi jeszcze zrobić, czego nie zrobił dotąd? - pomyślała  
mgliście.

O czym będzie z nim rozmawiać przez nadchodzące godziny, dni,  
tygodnie?

Stanowił istną anomalię: wyrafinowany mężczyzna, odznaczający  
się zarówno nienagannymi manierami swych francuskich przodków,  
jak też chłodną uprzejmością Anglika.

A jeśli moje zdrowie nie wytrzyma jego zabiegów? - pomyślała.

Nagle materiał i gorset zniknęły.

- Bez obaw, *mademoiselle*. Gdy tylko się ubierzesz, dołączysz do  
*monsieur* Michela. Ja też tam będę czekać.

*Madame* Renę zniknęła za aksamitną zasłoną, a Anne zajęły się jej  
dwie, jakże różniące się od siebie pomocnice: jedna niziutka o  
kręconych włosach, druga wysoka i niezgrabna.

Zaczęły ją ubierać.

Beznamiętnie. Metodycznie. Jakby była manekinem, a nie żywą  
kobietą, która po raz pierwszy w życiu odważyła się zlekceważyć  
zasady i konwenanse, jakimi kierowała się jej sfera.

Anne mgliście uświadomiła sobie, że ma lodowate dłonie.

Bała się.

A tak nienawidziła owego uczucia.

Odnosiła wtedy wrażenie, że ma zaledwie osiemnaście lat, nie  
trzydzieści sześć.

Kiedy już ubrana wyszła z przymierzalni, ujrzała siedzących obok siebie *madame* Renę i Michela. Otaczały ich stosy materiałów. Na obitej złotym brokatem kanapie i na podłodze wyłożonej dywanami

106

aubusson walały się barwne tkaniny. Niektóre odcienie widziała po raz pierwszy w życiu, inne podziwiała, ale nigdy nie odważyłaby się włożyć stroju uszytego z takiej materii.

Głowy Michela i modniarki prawie się ze sobą stykały. W ich włosach lśniło światło popołudniowego słońca. Czupryna mężczyzny pobłyskiwała granatem, fryzura kobiety - najbardziej jaskrawym odcieniem mosiądzu. Pochyleni nad szkicami, o czymś żywo rozprawiali.

Nie zwrócili na wchodzącą kobietę uwagi; zupełnie jakby Anne nie istniała.

Zupełnie jakby klientka, która zapewniała im pokaźny zarobek, w ogóle się nie liczyła.

W jednej chwili cały lęk i podniecenie, jakie towarzyszyło jej od chwili podjęcia decyzji zostania z Michelelem, znalazły ujście.

To nie on będzie nosić stroje w egzotycznych, tęczowych barwach. I z całą pewnością nie on za nie zapłaci.

- *Madame*, obawiam się, że szczegóły powinna pani konsultować ze mną- odezwała się lodowatym tonem.

*Madame* Renę popatrzyła na nią, jakby Anne była małą dziewczynką, która w towarzystwie odezwała się nie pytana. Anne ogarnął gniew.

- Życzę sobie sukni z granatowej serży. A jeśli pani taka miła, najpierw chcę przejrzeć żurnal.

*Madame* Renę zeszywniała, najeżyła się jak karłowata kura. W naszyjniku z pereł otaczającym jej szyję zaśnił promień słońca.

- Jestem *couturiere, mademoiselle. Artiste*. Kwestionuje pani mój talent?

- *Mademoiselle* pragnie tylko wiedzieć, kiedy będzie gotowe twoje arcydzieło, *madame* - wtrącił łagodząco Michel. - Chciałaby mieć tę suknię na jutro.

- To niemożliwe.

W jakiś przedziwny sposób modniarka straciła nagle francuski akcent.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, *madame* - przypomniał cicho i łagodnie Michel.

W lśniących złocistobrązowych oczach modniarki pojawił się błysk chciwości.

- Czy jest pan gotów zapłacić każdą cenę, *monsieur* Michel?

107

Mężczyzna skupił wzrok swych fiołkowych oczu na Anne. Odbijało się w nich każde słowo, jakie wymienili, każdy dotyk, każdy najintymniejszy gest. Był w nich każdy ruch jego palca. Upajający dotyk jego ust.

„Całkowity dostęp...”

Nieoczekiwanie do małego, wytwornego sklepu wdarł się pulsujący

bieganiną i hałasem Londyn.

Uliczni sprzedawcy bułek potrząsali dzwonekami. Sprzedawcy zachwalali swój towar. Skrzypiały koła powozów. W panujący powszechnie hałas i gwar wdarł się przenikliwy gwizd - to uliczny sprzątacznik zatrzymał jeden z powozów w nadziei zarobienia dodatkowej półpensówki.

- Oczywiście, *madame* - odrzekł zdecydowanym głosem Michel. -

Jestem gotów zapłacić.

- Umowa stoi. - *Madame* Renę wstała z kanapy, wyprostowała dumnie plecy. - Była to dla mnie czysta przyjemność, *mademoiselle. Monsieur*, proszę zachodzić do mnie częściej. Claudette! Angélique! Babette!

Przynieście kupony materiałów. Czekają następne klientki.

Klientki, które nie okazały się tak niewdzięczne jak podstarzała panna, *mademoiselle Aimes* - nasunęła się Anne refleksja.

Żeńska armia *madame* pośpiesznie zaczęła zbierać porozkładane bele materiałów.

Wyszywana perełkami torebka Anne leżała na niewielkim stoliku w stylu Ludwika XVI, obok niej czarne rękawiczki. Czarny grenadynowy płaszcz wisiał na mosiężnym haczyku. Obok niego stała oparta o ścianę laska Michela - jej złota gałka lśniła odbitym światłem.

W niewielkim, prywatnym saloniku nie było miejsca na niedomówienia.

Dla takiej pawicy nie było miejsca w krajobrazie Francji.

Prawda ta była również oczywista dla Michela.

Wszak niejednokrotnie siedział w tym sklepie, na tej samej zapewne kanapie.

Zaspokajając kaprysy wielu kobiet.

Anne założyła ręce na piersi.

- Dlaczego

mnie

tu

przyprowadziłeś?

-

zapytała.

Oczy Michela pozostawały bez wyrazu.

- Tak naprawdę *madame* Renę jest *la Comtesse de l'Aguille*.

lej dziadkowie uciekli do Londynu podczas rewolucji. Straci-

108

li wszystko - posiadłości, majątek, kosztowności. Jak głupcy wierzyli,

że ich jedyna córka, która ocalała z masakry, poślubi angielskiego

arystokratę godnego jej urodzenia. Ale dziewczyna zadała się z hulaką,

który nie miał zamiaru się z nią żenić. Podczas porodu umarła.

Dziadkowie całe swe ambicje ulokowali we wnuczce- ślicznej, o

tycjanowskich włosach dziewczynie, która z pewnością zwabi swymi

wdziękami utytułowanego zamożnego arystokratę.

Dziewczę jednak okazało się osobką bardzo praktyczną. Postanowiło

zostać kurtyzaną, i to nie przypisaną jednemu angielskiemu

arystokracie. Kiedy dorosła, otworzyła własny interes. Najpierw

rządziła mężczyznami, a następnie kobietami. Niewiasta, która nie nosi stroju zaprojektowanego przez *madame* Renę, nie jest niewiastą modną.

Anne wciąż spoglądała wyzywająco na Michela.

Nie czuła współczucia dla *madame* Renę.

Przez minione lata pogodziła się z faktem, że do końca życia

pozostanie starą panną. Tak w każdym razie myślała. Jedno spotkanie z modniarką pokazało jej, jak niewiele różni się od tamtej osiemnastoletniej

dziewczyny, której nie udało się wejść w grono ślicznych panien

londyńskiego wielkiego świata.

- Anne, ona nie zajmie się pierwszą z brzegu kobietą- dodał Michel. -

Bez względu na to, jak wygórowane ceny chciałyby jej płacić ślicznotki z najwyższych sfer.

- A czy ty brałeś każdą kobietę, którą stać było na zapłacenie ci odpowiedniej stawki? - zapytała chłodno.

Wiedziała, że nie powinna o to pytać, ale nie zdołała poskromić języka.

- Początkowo tak - odparł otwarcie.

- A później?

- Tylko te, które spełniały moje kryteria. Podobnie jak *madame* Renę.

- Na Boga, jakimż ona może kierować się kryteriami poza ceną?!

- Takimi samymi jak ja.

- To znaczy?

- Oboje

wymagamy, by kobieta miała w sobie pasję.

Przez ulotną chwilę Anne wierzyła, że Michel uznał ją za atrakcyjną.

Bardzo zresztą chciała w to wierzyć.

Gdyby jednak nie miała pieniędzy, Michel nie zwróciłby na nią

109

uwagi, podobnie jak i *madame* Renę.

Znów poczuła pulsowanie między nogami.

- Powiedziałeś, że nigdy byś mnie nie okłamał.

- Bo nie.

- A gdybym sama tego chciała?

Gdzieś w głębi domu zatrzasnęły się drzwi, tłumiąc hałasy gwarne

Londynu napływające do sklepu.

Twarz Michela skrzywił grymas bólu. A może był to tylko żal? Lub zawód i zniechęcenie tym, że Anne brak doświadczenia życiowego?

- Też nie. Nie okłamałbym cię w żadnych okolicznościach. Anne z trudem powstrzymała napływające do oczu łzy.

- Dlaczego? - zapytała przez ściśnięte gardło.

- Ponieważ cię lubię, Anne Aimes.

Nikt dotąd nie powiedział, że ją lubi. Że jej pragnie. Że jej potrzebuje.

Pochyliła głowę, by ukryć rumieniec zadowolenia, jakie sprawiły jej te słowa.

A zatem inne kobiety okłamywałeś?

- Oczywiście - odparł bez ogródek.

- Nie lubiłeś ich?

- Niektóre lubiłem, ale nie wszystkie. Sympatia nie ma nic wspólnego z żądzą.

A czy te kobiety, które lubiłeś, okłamywałeś? Naturalnie - odparł twardo i bez oznak wyrzutów sumienia. A mnie nie okłamiesz? -

Kawałek wołowiny, której kęs zjadła na śniadanie, palił jej żołądek. -

Dlaczego? Dlaczego nie miałby jej powiedzieć, że jest ładna? Bo i tak by nie uwierzyła.

Zrozumiałaby powód, dla którego się nią interesuje: pieniądze.

Wiedziałyby, jak się zachować. Czego innego może oczekiwać?

Wiedziałyby dobrze, czego on oczekuje od niej.

Michel podniósł się z obitej złotym brokatem kanapy i podszedł do niej.

Dotyk jego szorstkich palców zelektryzował jej ciało. Dotykały miejsc, których nie dotykał nikt inny. Jej piersi. Jej łechtaczki. Jej pośladków.

Ujął w dłonie twarz Anne. Owiał ją upajający zapach jego oddechu.

- Ponieważ tego nie chcesz - wyjaśnił.

110

Popatrzyła na węzeł jego krawata. Bijący z jego palców żar przenikał jej ciało. Jego zęby. Jego kości.

- Skąd wiesz?

- Bo znam cię, Anne.



To niemożliwe! - pomyślała rozpaczliwie. - Skąd mógłby mnie znać?

Moje żądze, tak - dodała w duchu. - Z całą jednak pewnością nie zna mnie jako kobiety, która wolała poświęcić życie opiece nad starymi rodzicami, niż narazić się na śmieszność.

Nie, z pewnością nie mógł znać niewiasty, która na przekór swej słabości i bojaźliwości bezlitośnie przedłużała drażący ją ból i cierpienie.

Popatrzyła mu śmiało w oczy.

- Wolałabym, żebyś mnie pożądał niż lubił.

Twarz Michela pojaśniała. Uśmiechnął się, prezentując olśniewającą biel zębów.

- Pożadam cię, Anne. Pożądanie i sympatia to wprawdzie dwie różne rzeczy, ale wcale się nie wykluczają.

Odważnie dotknęła jego wełnianych spodni, chcąc w ten sposób sprawdzić, czy mówi prawdę. Jej dłoń przeszły zar. Był już twardy.

Gotowy.

Czuła jego pulsowanie. Jego? A może swoje...?

- Czy przyprowadziłeś mnie tu dlatego, że wstydzisz się pokazywać ze mną?

Słowa te wypowiedziała zbyt pochopnie. Przerazona, cofnęła dłoń.

Nie chciała już nic więcej wiedzieć; i tak zdobyła zbyt wiele wiedzy jak na jeden dzień.

- Przyprowadziłem cię tu po to, byś poznała *madame* Renę - odparł,

nie zwracając uwagi na jej śmiały gest. - To wspaniała i dzielna kobieta, która rozkwitła w sytuacji, w jakiej wszystkie inne by zwiędły. A ty mi ją przypominasz.

To prawda - pomyślała. - Obie mamy już wszystko za sobą.

- Czy byłeś jej kochankiem?

Skuliła się na dźwięk własnych słów. *Madame* Renę musiała dobiegać siedemdziesiątki.

- Nie, ale mógłbym nim zostać. - Miał uważny i czujny wzrok, którym zachęcał ją, by go oceniała, jego, mężczyznę dostarczającego rozkoszy cielesnych kobietom takim jak ona. - oczywiście, gdyby

111

mnie chciała.

I byłoby ją na to stać - dodała w duchu Anne.

Skupiła uwagę na wygięciu jego dolnej wargi. Czuła się nieprawdopodobnie naiwna w tym doskwierającym jej świecie egzotycznej urody i rażącej zmysłowości.

- *Madame* powiedziała, że mam za małe piersi. - Czuła się w tej chwili równie mała jak te piersi. - I że jestem za gruba w talii, ale nogi mam w miarę zgrabne. Nie przejmuj się. Ona wszystko ukryje pod odpowiednim strojem.

Uniósł palcem jej podbródek tak, że musiała spojrzeć mu prosto w źrenice.

Mnie powiedziała coś innego - mruknął cicho.

Ani w jego wzroku, ani w tonie głosu nie było potępienia.

- Tak? - wykrztusiła z trudem Anne. - Nigdy bym jej nie

podejrzewała o taką delikatność.

Na twarzy mężczyzny pojawił się cień uśmiechu niczym promień

słońca odbijający się w toni jeziora. Jasny. Oślepiąłby.

Oświadczyła, że masz wyniosłe i jędrne piersi, jak u młodej

kobiety. Że twoja talia jest giętka. A nogi masz jak wyścigowa klacz arabska.

Anne przypomniała sobie podmuch chłodnego powietrza i utkwiony

w nią parzący wzrok fiołkowych...

- Widziałeś mnie... - szepnęła bez tchu. - Kiedy *madame* mierzyła...

Znów stała niemal naga, mając na sobie jedynie pończochy i

kapelusz z tą idiotyczną kitką z piór, który sprawiał, iż czuła się jak wielka, niezgrabna krowa.

- Widziałem.

W świetle lampy. I w świetle dnia.

Rozłożone szeroko uda. Rozwarte kobiece wargi.

- Nie nałożę kreacji *madame* Renę. Zacisnął usta wciąż czułe, wciąż wabiące.

- Dlaczego?

- Jestem w żałobie. - Gardło kobiety ścisnął ból, który od dawna jej towarzyszył. - Moi rodzice umarli zaledwie dziesięć miesięcy temu.

Twarz Michela złagodniała.

Trudno zrozumieć tak skomplikowanego mężczyznę - pomyślała

Anne. Kogoś, kto utrzymuje, że pożąda jej równie silnie jak ona jego.

- Czy nie przyszłaś do mnie... - Pokryte bliznami kciuki pocierały jej policzki, a palce pieściły uszy. - Czy nie przyszłaś, by zapomnieć o żalobie?

- Nie. - Oblała ją fala gorąca. Była świadoma dotyku jego palców na ciele, pulsującej w skroniach krwi. - Przyszłam do ciebie ze strachu, że pewnego dnia stanę się równie samotna i nieszczęśliwa jak oni.

Popatrzył na jej usta, jego wzrok był prawie namacalny, jakby fizycznie dotykał jej warg.

- Opiekowałaś się nimi - stwierdził sucho.

- Nie

mieli

nikogo

innego.

I ona nie miała.

- Nie chciałaś pojawić się dziś w mieście w moim towarzystwie. -

Popatrzył jej prosto w oczy. - Wstydziałaś się?

Czyżbym słyszała *couturierel* - błysnęło jej w głowie. Nie lubił, kiedy się gapią na niego ludzie. Gadają o nim.

Czy istnieje kobieta, która nie uważałaby go za przystojnego?

- *Monsieur des Anges*, kobiety nie płacą dziesięciu tysięcy funtów mężczyźnie, którego towarzystwa się wstydzą - oświadczyła szorstko.

Popatrzył na nią bezlitosnym wzrokiem.

- Dlaczego więc tak wzdrygnęłaś się na myśl, że masz pokazać się ze

mną na spacerze?

Nie bierze pod uwagę mojej godności - pomyślała. - Skromności.

Dumy.

Co takiego powiedział?

„Czasami kłamstwo jest jedyną naszą obroną. Ale tym razem nie musisz kłamać. Oboje chcemy, oboje pragniemy...”

Anne dumnie uniosła głowę.

- Wzdrygnęłam się na myśl, że zobaczą mnie z tobą na spacerze, ponieważ... ponieważ każdy by wiedział, że jesteś ze mną za pieniądze.

Wykrzywił lekko swe zmysłowe usta.

- Anne...

- I ponieważ wiem, iż nasze społeczeństwo nie rozumie fizycznych potrzeb dojrzałej kobiety tak jak ty czy *madame* Renę. Będą plotki.

Ludzie zaczną gadać. I skończą się nawet te nieliczne zaproszenia, które czasami dostaję.

Ciszę zmaćił wybuch czyjegoś przenikliwego śmiechu - kolejnej klientki rozkosznie ukrytej w prywatnym saloniku modni arki.

Być może to jedna z dawnych klientek Michela - pomyślała Anne.

113

Natychmiast jednak odsunęła tę myśl.

Nie mogła pozwolić, by takie myśli zaburzyły krótki czas, jaki mieli dla siebie. Musiała być odpowiedzialna. Inicjatywa należała do niej.

Nieśmiało ujęła w dłonie jego ręce. Jego zdeformowana bliznami skóra była gorąca i szorstka.

- Jestem jednak gotowa zapłacić tę cenę.

- A więc tak długo, jak będziemy razem, musisz nosić suknie, które uszyje dla ciebie *madame* Renę.

Michel przysunął twarz do jej twarzy, ale niewystarczająco blisko.

W daremnym oczekiwaniu na pocałunek przeciągnęła językiem po ustach.

- Dobrze.

- I później, kiedy już minie okres żałoby?

- Tak - skłamała.

Suknie zostaną schowane w bawełnianych pokrowcach, zapakowane do kufrów i wyniesione na strych, gdzie dołączą do waliz pełnych pamiątek z jej dzieciństwa i niepotrzebnej już garderoby.

Michel przeciągnął językiem po wargach Anne.

- Wracajmy do domu - powiedział.

Do domu Michela - przebiegła jej przez głowę myśl. - Do domu przesączonego wonią kwiatów, a nie pleśni. Rozkoszy, a nie bólu.

Zaczęła oddychać szybciej.

- Nie mogę cię jeszcze przyjąć. Jestem cała obolała.

Jego usta muskały jej wargi; nie mogła oderwać wzroku od jego fiołkowych oczu.

- Sama już najlepiej wiesz, że istnieją inne sposoby.

Na wspomnienie rozkoszy, jaką jej sprawił, natychmiast zwilgotniała.

Rozluźniła się, ale ból pozostawał.

- Tak

jak

to

robiłeś?

-

wysapała

bez

tchu.

Ustami... Językiem...

I zębami.

Nieustannie pocierał delikatnie wargami usta Anne, wpatrując się w jej oczy.

- Zamierzam wyrwać z twego kapelusza pióra i drażnić ci

nimi łechtaczkę tak, że zaczniesz krzyczeć i błagać, bym przestał.

Ale ja nie przestanę.

Przez chwilę Anne nie mogła złapać tchu. Jak żywy stanął jej przed

oczyma obraz białych piórek, które teraz zdobiły kapelusz, ściskanych w

114

długich, pokancerowanych palcach, wędrujących upajająco między jej rozłożonymi udami.

Poczuła lekki skurcz w podbrzuszu.

Z całych sił zacisnęła palce na ramieniu Michela w daremnej próbie zapanowania nad żądzą.

Chciała jednak czegoś więcej niż tylko własnej przyjemności.

Pragnęła, by serca ich obojga były w jednym rytmie, by ich oddechy

łączyły się, by ich ciała stały się jednością.

- Chcę, byś i ty dzielił ze mną rozkosz - powiedziała drżącym głosem.

Kiedy już myślała, że eksploduje nabrzmiałą w niej rozkoszą, do jakiej doprowadzał ją jego wzrok, dotyk, obietnica pocałunku, opuścił okolone czarnymi rzęsami powieki. Musnął językiem jej usta; było to jak liźnięcie płynnego ognia, który błyskawicznie przemieścił się na jej policzki, dłonie i wbił się parzącym płomieniem między uda.

- Pokażę ci, jak mężczyzna i kobieta mogą osiągnąć szczyt - szepnął. - Razem.

Niezbadane rubieże namiętności.

Oczekiwanie. Lęk.

Nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, jak te dwa skrajne uczucia nierozzerwalnie się łączą ze sobą.

Przeciągnęła językiem po wargach, smakując jego ślinę, napawając się jego oddechem i własną niepewnością.

- Czy kobieta przyjmie mężczyznę wszędzie tam... gdzie wejdzie mu palec?

Michel powoli uniósł powieki.

Po ciele Anne przeszła kolejna fala gorąca.

Nie wiedziała, czy brało się to z jej skrępowania, śmiałości czy też jego wzroku pełnego pasji i nieskrywanej namiętności.

- Kobieta przyjmie mężczyznę w każdy otwór – oświadczył ochryple, błędząc palcami po jej policzkach, parząc jej usta swym oddechem.



Jego nacisk powinien był mnie boleć - pomyślała mgliście. - Ale nie bolał. Wszystko to zależało od jego fiołkowego wzroku, od magnetycznej siły dotyku. I od tworzonych przez wyobraźnię obrazów, w których widziała, jak Michel bierze ją wszędzie tam, gdzie wcześniej błędziły jego palce.

Wspomnienia spadły na nią niczym kaskada krystalicznej wody.

115

- Powiedziałeś, że pokażesz mi, czego każda kobieta powinna oczekiwać od mężczyzny. Czego jednak mężczyzna ma prawo oczekiwać od kobiety? - Czy jestem w stanie odpłacić mu taką samą rozkoszą, jaką on mi daje? - pomyślała. - Michel, czego oczekujesz od kobiety?

Cofnął dłonie. Anne poczuła na twarzy podmuch chłodnego powietrza.

- Od ciebie oczekuję wszystkiego, Anne.

Zamrugła oczyma, zaskoczona tym, że nieoczekiwanie zabrał ręce z jej ciała.

Odwrócił się i cofnął o kilka kroków. Anne stała jak słup soli, próbując odzyskać kontrolę nad swym oddechem. Nad ciałem.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała, że podszedł do niej z tyłu.

- Wyciągnij prawą rękę.

Niezdarnie uniosła ramię, a następnie drugie, by wsunąć je w rękaw płaszcza. Ruch sprawił, że jej prawa pierś wysunęła się do przodu, a lewa boleśnie otarła o lnianą koszulę.

Poczuła na ramionach ciężar grenadynowego płaszcza. Jego waga sprawiła, że z trudem złapała oddech.

Co takiego powiedziałam, że się ode mnie odwrócił? - myślała z rozpaczą.

Nieoczekiwanie znów się przed nią pojawił. Podał jej czarne rękawiczki i wyszywaną perełkami torebkę.

Nie patrząc mu w oczy, obojętnie sięgnęła po wręczone przedmioty.

Michel cofnął ramię i przyłożył je do swego krocza.

Szare wełniane spodnie wybrzuszały się między trzymanymi przez Michela przedmiotami.

Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- To dla ciebie, Anne. - Z nieruchomą twarzą podał jej rękawiczki i torebkę. Kobieta zacisnęła palce na śliskim jedwabiu rękawiczek i lśniącej perełkami torebce. - Rozkosz można kupić, ale żaden pieniądz nie sprawi, że mężczyzna osiągnie gotowość. Kiedy wyjdziemy na ulicę i ludzie na nas popatrzą, zobaczą jedynie moją erekcję, a nie transakcję finansową. Anne bacznie popatrzyła mu w oczy.

- Nie będzie cię krępować, że wszyscy zobaczą twoje podniecenie?

- Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? - pomyślała absurdalnie.

Przez całe życie ukrywała swe pragnienia w obawie przed tym, co

116

pomyślą ludzie.

Michel podał jej ramię. Pod wełną zakietu poczuła jego męskie,

prężne ciało.

Ulice były zatłoczone. Ludzie śpieszyli do domów, do sklepów, gdzie sprzedawcy zachwalali swe towary. Nikt nie zwracał uwagi na Anne Aimes i towarzyszącego jej mężczyznę, który bezwstydnie okazywał zainteresowanie podstarzałą panną.

Anne poczuła na sobie wzrok obcych, ciemnych oczu. Nadchodzący z przeciwka młody człowiek z uznaniem obrzucił wyrzuczone spodnie Michela, a następnie popatrzył na nią.

W jego wzroku nie było kpiny czy potępienia.

Jedynie męskie uznanie.

Powietrze Londynu, zanieczyszczone dymem, fetorem bijącym z kanałów i zwierzęcych odchodów, wydało się jej nagle krystalicznie czyste.

Pomyślała o egrecie na kapeluszu i o tym, jak może zostać użyta.

Pomyślała o członku Michela, twardym, nabrzmałym. I o tej jego uwadze... śmiałej, bezwstydniej.

Ich kroki brzmiały unisono na kamiennym chodniku. „Każdy otwór wór” - dudniło echem w jej uszach.

Michel uniósł rękę i przy krawężniku zatrzymała się dorożka.

Przez chwilę Anne nic nie widziała w mrocznym wnętrzu.

zaskrzypiały sprężyny pod ciężarem jej ciała; zaskrzypiały ponownie, gdy miejsce zajmował Michel.

Zamknął drzwiczki.

Anne owinęła się szczelniej płaszczem, robiąc miejsce dla jego

ramion, bioder i nóg.

- Najwyraźniej przyciągnęłaś uwagę woźnicy, *monsieur des Anges* -  
zauważyła.

W ciasnocie dorożki Michel podskoczył jak rażony piorunem. Lewą  
dłonią chwycił klamkę drzwi, jakby chciał je otworzyć i wyskoczyć z  
pojazdu. Prawą zacisnął na złotej gałce laski tak mocno, że pokrywające  
jego rękę blizny zbieleły. W tej samej chwili dorożka ostro ruszyła.

Anne zbyt późno uświadomiła sobie, co spowodowało taką reakcję  
jej towarzysza.

Michael nie brał w ogóle pod uwagę możliwości, że mogą go wziąć na zatłoczonej ulicy w środku dnia. I że może zrobić to dorożkarz.

Nieświadomi niczego przechodnie mijali ich obojętnie, uliczni handlarze zachwalali towar, a ta głupia pyta stała mu i pulsowała, jakby była odrębną osobą, której nie zagrażało niebezpieczeństwo, jakie zawisło nagle nad głową Michaela.

Ścisnęło go poniewczasie w brzuchu. Powinien był wiedzieć, że uderzenie przyjdzie w chwili, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał.

Nacisnął metalową klamkę u drzwi, ale dorożka nie zatrzymała się.

Duszący zapach perfum, zastarzała woń cygar i wilgotnego siana, którym wypchane były siedzenia, sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Poprzez ostre wonie zostawione przez poprzednich użytkowników pojazdu, którzy nie mieli się nigdy dowiedzieć o losie, jaki spotkał pewną samotną starą pannę i mężczyznę, którego wynajęła, by odebrał jej dziewictwo, przebijał zapach nafty, mydła, szamponu i słodkiej woni Anne.

- Wybacz. - Cichy, spokojny głos kobiety wdarł się w jego uszy niemal dudnieniem. Jej ramię rytmicznie objało się o jego prawą rękę, rozcierając jego naprężone z emocji mięśnie. - Nie wiedziałam, że twoje... pojawienie się... wzbudzi nadmierną uwagę.

Dorożka mogła pojechać w dwa miejsca. Michael miał więc dwa

rozwiązania.

Mógł chwycić Anne, wyważyć drzwi i wyskoczyć z pędzącego pojazdu. Mógł też zaczekać i zobaczyć, dokąd jadą.

Na śmierć.

Czy do jego miejskiego domu.

Jeśli wyskoczy, obydwójce mogą się poranić, a nawet zabić.

A przecież zaledwie kilka minut wcześniej kobieta marzyła o rozlicznych sposobach, w jakie mogą wzajemnie sprawić sobie rozkosz, o otworach w ich ciałach, które rozkosz tę mogą zwiększyć.

To on powinien prosić ją o wybaczenie.

- Mówiłem ci już zeszłej nocy. - Jego oddech osiadał mgiełką na szybie dorożki, za którą pojawiały się znajome budynki.

I znikały. Pojawiały się i znikały. „Śmierć. Pożądanie. Śmierć.

Pożądanie". Niezmienny wzór. - Nie musisz mnie przeproszać. Nigdy i za nic.

W witrynie mijanego sklepu odbił się promień słońca; na chwilę

118

oślepił Michaela.

Poczuł, jak w lewą rękę uderza go metal; zacisnął prawą dłoń na gałce laski, złocistej i ciepłej jak ciało Anne.

Miał jeszcze inną możliwość.

Laska, jak też nóż i kondomy, które trzymał w szufladzie nocnego stolika, zrobione zostały na zamówienie. Jeśli przekręci gałkę laski, będzie mógł wyciągnąć krótki, zabójczy sztylet.

Lepiej, jeśli to on ją zabije. Szybko, by nie musiała błagać o śmierć.

Tak, jak błagała Dianę.

- Wiem, co znaczy być obiektem powszechnej ciekawości - dodała Anne.

Współczucie bardzo go rozdrażniło. Gwałtownie odwrócił w jej stronę głowę. Jej twarz w mrocznej ciasnocie dorożki pałała osobliwym blaskiem, jasne oczy lśniły.

Jeszcze nie dotarło do jej świadomości, że woźnica był zdolny do uprowadzenia ludzi, do zabicia ich, a co więcej, że do tego samego jest zdolny mężczyzna wynajmowany do dawania niewiastom rozkoszy.

W skroniach mu pulsowało. Takie samo nieznośne pulsowanie czuł w kroczu.

Stara panna, która dopiero miała się wszystkiego nauczyć, dotykała go. Dotykała delikatną, nieskazitelną dłońią jego pokrytej bliznami skóry i nie cofała z odrazą palców. Pozwalała też, by on jej dotykał.

To on do tego doprowadził.

- A skąd ty niby masz wiedzieć, jak to jest być obiektem powszechnej ciekawości? - spytał szorstko.

Co ona wie o zakłamaniu, oszustwach i zabijaniu? - pomyślał.

- Starą pannę traktuje się jak dziwadło. - Jasne oczy kobiety pociemniały. Kitka piór u kapelusza kołysała się do wtóru pojazdu podskakującego na wybojach. - Zwłaszcza w kraju, w którym ludzie nie mają innego tematu do rozmów jak bliźni i sąsiedzi.

A jednak zgodziła się zostać z nim, przystała na to, że będą widywani razem, choć zdawała sobie sprawę, że ten związek zniszczy jej reputację.

Do środka dorożki wdarły się dźwięki hałaśliwej muzyki. Za oknem po stronie Anne wszczął się wzmożony ruch. Za szybą załśniły trąbki, dobiegł grzechot bębnow.

119

Wszystko to szybko zostało w tyle za pędzącą dorożką- orkiestra ulicznych oberwańców.

Michael nigdy nikomu nie wyznał imienia i nazwiska tamtego człowieka. Nie powiedział tego nawet Gabrielowi. Ani *madame*, która ich przyjęła i wyedukowała na swych aniołków. Gdyby to uczynił, zszedłby ze świata, który i tak sądził, że Michael nie żyje.

W ten sposób cykl śmierci, a następnie pożądania, zostałby przerwany.

Nie byłoby więcej strachu. Minałby zmysłowy, cielesny głód najbardziej prymitywnych żądź, który spalał zarówno duszę, jak i ciało Michaela.

Nikt nie pomógłby Anne.

Czy może pozwolić, by ten człowiek ją zabrał?

Dorożka gwałtownie skręciła, pojazd pochylił się, zaskrzypiały drewniane wiązania. Anne wyciągnęła rękę, chcąc złapać skórzaną rączkę.

Za późno.



Z impetem oparła się na Michaelu. Mimo grubego grenadynowego płaszcza i fiszbin jej gorsetu poczuł dotyk krągłych, jędrnych piersi. Przeklinał w duchu swego członka, który w wiadomy, niekontrolowany sposób zareagował na ten dotyk. Przeklinał tamtego człowieka, przed którym lęk wzmagał jedynie jego żądzę. Przeklinał wspomnienia, które paliły jego umysł niczym ognie i fajerwerki w dniu Guya Fawkesa.

Aż za dobrze wiedział, co by się stało, gdyby schwytano go w towarzystwie Anne. Żadne z nich nie uszłoby z życiem. Instynktowne pragnienie walki lub ucieczki wyrażało prymitywną potrzebę prokreacji.

Zarówno Michael, jak i tamten człowiek byli ostatnimi mężczyznami ze swych rodów. Gdyby umarli, nazwiska ich nie miałyby kontynuacji.

Anne również była ostatnia ze swej linii.

Przez jedną szaloną chwilę Michael pragnął wypełnić ją swym nasieniem i brzemienną wypchnąć z pojazdu, w nadziei, że przeżyje. Byłaby zapewne kochającą matką. Ich syn lub córka ssaliby ni piersi, tak jak robił to on, by korzystać później z dobrobytu, jak i zapewniłaby im matka, nieświadomi grzechów ojca. A dzięki potomkowi mógłby kontynuować...

120

Moja krew - pomyślał.

Najwyższym wysiłkiem woli zapanował nad pragnieniem

stworzenia nowego życia w celu dalszej, niekończącej się i

bezsensownej destrukcji. Nie wolno mu było zostawiać na Anne

takiego piętna.

- To nie twój stan cywilny powodował tyle plotek - powiedział

beznamiętnym głosem. Kobiety i mężczyźni często gardzą tym, czego

chcą, a jednocześnie chcą tego, czym gardzą. - Prawdziwym

powodem jest twój majątek.

- Czy to ważne, z czego rodzą się plotki? - odparła cicho. -I tak

zawsze ranią.

Tylne lewe koło dorożki napotkało głęboką dziurę i pojazd zapadł

się, po czym gwałtownie podskoczył. Zatrzeszczała skóra foteli, na

których siedzieli. Wstrząsy powozu jeszcze boleśniej stymulowały

nieustanną erekcję mężczyzny.

Nie mógł powiedzieć Anne, że słowa nie ranią, bo raniły. Nie mógł

też jej powiedzieć, że nadejdzie dzień, kiedy stanie się nieczuła na ból.

Jeśli dorożka zawiezie ich do człowieka, o którym myślał, Anne nie

będzie miała szans zaznać pełni miłości, radości.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się domy z czerwonej cegły.

Napawało go to pewną nadzieją, gdyż dorożka nigdzie nie skręcała,

wciąż zmierzając w stronę jego miejskiego domu. Rósł w nim gniew

na myśl, że tamten człowiek igra z nim jak kot z myszą. A on nie

mógł temu zaradzić.

Mógł tylko patrzeć.

I czekać.

- Dotykałam się.

Michael odwrócił głowę i spod przymrużonych powiek popatrzył na

Anne. Jej prawy policzek spowijał głęboki cień.

Mężczyzna poczuł, iż pierś ściska mu niewidzialna obręcz.

Anne pragnęła mu się zwierzyć, próbowała złagodzić jego ból,

sądząc, że to ona mu go zadała.

- Rano zapytałeś mnie, czy dotykałam swych piersi, wyobrażając

sobie mężczyznę ssącego moje brodawki... Tak, dotykałam się.

Poruszyła torebką. Perełki rozbłysły niczym brylanty.

- Leżąc w nocy w łóżku, często wyobrażałam sobie, jak mnie ssiesz.

- Wzrok miała nieruchomy, czujny. Nie była pewna, jak mężczyzna

przyjmie wyznania o sekretnych tęsknotach starej panny. - I wtedy

121

właśnie się dotykałam.

To śmieszne być zazdrosnym o człowieka, który nie żył, ale

Michael czuł zazdrość.

Ogarnął go nagły gniew.

Anne Aimes wyobrażała sobie, że ssie ją Michel, nie Michael.

Żadna kobieta, osiągając szczyt, nie wykrzykiwała jego

prawdziwego imienia.

Zawsze był to Michel.

Nigdy Michael.

Nigdy nie mógł być to Michael.

- Nie mogłaś myśleć o mężczyźnie, jakim byłem? – zapytał

brutalnie, chcąc ją zranić, chcąc ją na wszystko przygotować, chcąc ją chronić. - Może udajesz tylko, że moje bliźny nie istnieją?

Jego szorstkie słowa komponowały się z nieustannym, hałaśliwym stukotem kół pojazdu.

- Nie - odrzekła Anne, nie spuszczać z niego wzroku.

- Co „nie”? - zapytał bezlitośnie. - Nie, że nie udajesz, czy nie, że nie udajesz, że mają znaczenie?

Nie spuszczała z niego baczego wzroku. Nie była świadoma losu, jaki ją czekał.

- Nie, wcale nie chcę, byś był mężczyzną, jakim byłeś. Przez straszną ulotną chwilę Michael chciał ciągle być Michelelem. Już tylko przez wzgląd na Anne.

Pragnął nie znać ceny, jaką ona zapłaci. Już tylko przez wzgląd na siebie.

Pragnął nie wiedzieć, czego oczekuje Anne. W ciągu najbliższej godziny. W ciągu najbliższego dnia. W ciągu miesiąca. Tamten człowiek nadejdzie.

- Dlaczego? - zapytał bezceremonialnie.

Mimo że upłynęło już tyle lat, ciągle nie wiedział dlaczego...

- Ponieważ teraz sprawiasz, że czuję się atrakcyjna i pożądana.

Przed osiemnastu laty Michel ją ignorował.

Ranił ją jeszcze wtedy, gdy nie wiedział nawet o jej istnieniu.

Jego napięte jak stal mięśnie zadrżały - z żalu, że wepchnął ją w takie piekło, z wiedzy, czym w innych okolicznościach mogłoby

zaowocować to spotkanie.

Echa, które już tylko przez sam wzgląd na nich dwoje należało zignorować.

122

Tego wszakże również nie mógł zrobić.

- Jesteś niebywale atrakcyjną kobietą, Anne. Widziałem, jak spoglądał na ciebie mijający nas młody człowiek. Pożądał cię.

Tak samo, jak pożadam ja.

Jasne oczy kobiety rozblęły. Pamiętał jej zawstydzenie, a zarazem radość z zainteresowania, jakie okazał tamten obcy mężczyzna.

Z całej duszy pragnęła być atrakcyjna.

Wciąż jednak nie mogła uwierzyć, że naprawdę jest pociągająca.

Chciała ma wierzyć, duszą i ciałem.

Jednocześnie nie potrafiła się z tym pogodzić.

- Od chwili, gdy odebrałaś mi dziewictwo, tylko raz odezwałeś się do Jimie po francusku. - Zadarła buńczucznie głowę, chcąc pokryć tym gestem zawstydzenie, jakie czuła, słysząc własne śmiałe: słowa.

Dorożka pędziła do miejsca swego przeznaczenia. A ja nie jestem w stanie niczemu zapobiec - skonstatował z rozpaczą

Michael.

- Dlaczego? - spytała Anne.

Najwyraźniej doszła już do siebie i zaczęła wszystko składać sobie kawałek: po kawałku.

Michael zazgrzytał zębami.

Ponieważ pragnął jej bardziej, niż pragnęłaby Anne sama śmierć.

Teraz jednak chodziło jej o coś zupełnie innego.

W nocy, kiedy powiedział do niej *mon amour*, poprawiła go na

„moja miłości”. Ale nie zareagowała, kiedy nazwał ją *cherie*.

Anne chciała poznać francuskie czułe słówka, którymi obdarzał jej poprzedniczki, którymi i ją obdarzał wcześniej, zanim zrozumiał, że bez sensu próbuje udawać, że jest kimś innym, niż naprawdę jest.

- Czy chcesz, bym częściej używał francuskich zwrotów? - zapytał.

Czy śmierć zadana przez Michela będzie mniej bolesna?

- Chcę, byś nauczył mnie francuskiego.

Michael gwałtownie cofnął głowę. Dorożka zakołysała się. Nie mogę

przecież być Michelelem - pomyślał. - Nawet gdyby było to ostatnie

życzenie tej starej panny.

- Przecież mówisz po francusku.

Każda kobieta z wyższych sfer znała gramatykę francuską.

- Nie tak... - Anne śmiało wytrzymała jego wzrok. - Chcę znać

wszystkie określenia, słowa używane w podręcznikach medycznych.

123

Naukowcy definiują orgazm jako umieszczenie w kobiecie spermy celem

zapłodnienia. Lechtaczkę określa ją jako wypustkę, stanowiącą

odpowiednik męskiego penisa, która jednak nie osiąga takich

rozmiarów, z jakich dumny bywa mężczyzna. Chcę poznać słowa

wyrażające piękno stosunku seksualnego, nie tylko te zaczerpnięte z

oficjalnej fizjologii.

Michael był zadziwiony. Chciał wiedzieć, skąd dobrze urodzona panna znała seksuologiczną terminologię. Łechtaczka. Penis. Określenia, które w kulturalnych sferach ukrywano przed kobietami w obawie, że słowa te splugawią ich dusze.

Do licha! Teraz już nie chciał tego wiedzieć.

Z pewnością przestudiowała jakieś książki medyczne. Jej słowa tchnęły śmiercią i chorobami.

- W języku angielskim istnieje wiele słów, które nie mają nic wspólnego z oficjalną terminologią medyczną- oświadczył sucho.

- Wiem. Angielskie słowa mogą być wulgarne. Ale nie sądzę, by to, co robiłeś... co robiliśmy... było wstrętne czy wulgarne.

Spółkowanie to rzecz naturalna. I podstawowa. Nigdy nie czułam takiej bliskości drugiego człowieka jak wtedy, kiedy byłeś we mnie.

Francuski to przepiękny język. - Chciała powiedzieć to lekkim tonem, ale jej się to nie udało. Nie była przyzwyczajona brać życia lekko. -

Lepiej niż angielski oddaje intymność, prawda?

On również kiedyś tak myślał. W tej chwili jednak jego uwagę bez reszty zaprzętał łoskot kół pojazdu na londyńskim bruku i gorąco bijące od ramienia Anne, od biodra i nogi, ocierających się o jego ciało.

Dwa różne rytmy; dwa różne losy.

Dwadzieścia siedem lat wcześniej seks uratował Michaela od popadnięcia w obłąd. Za pomocą francuskiego nauczył się wyrażać potrzebę komfortu. Przyjemności. Pogrążył się bez reszty w rozkoszy,

jaką dawał seks.

Michelowi dany był inny los.

Anne wcale nie prosiła go, by okazał się mężczyzną, jakim był  
niegdyś.

Prosiła tylko o to, by sprawił, że jej życie stanie się bardziej znośne.

- Jakie słowa chciałabyś znać? - zapytał sucho.

- Całowałaś mnie zeszłej nocy - odparła zdecydowanie.

124

- W języku francuskim istnieje wiele słów określających pocałunek.

- Uwagę skupiał na grzechocie końskich podków, starając się ustalić,  
czy pojazd zwalnia, czy też przyśpiesza. - To zależy od tego, kogo  
całujesz. I gdzie.

- Całowałaś mnie między udami. - Oddech Anne nagle  
przyśpieszył. - Całowałaś łechtaczkę.

Łoskot końskich kopyt odbijał się głuchym echem w jego sercu,  
które łopotało ich rytmem. Jakże długą drogę przebyli od czasu, gdy  
Anne po raz pierwszy wsiadła do dorożki w towarzystwie  
nieznajomego mężczyzny. Mężczyzny, którego zresztą nie знаła do  
tej pory.

- Łechtaczka nazywa się *un bouton d'amour*, miłosny guziczek. -

Wróciło wspomnienie jej smaku, jedwabistej, gorącej i słonawej  
słodocy. - A pocałunek nazywa się *le broute-mi-nou*.

Anne odwróciła głowę. Popatrzyła na obitą wytartą skórą ściankę  
dorożki. Rondo czarnego kapelusza z białą kitką osłaniało jej twarz.



Michael popatrzył na szybę po przeciwnej stronie, w której odbijał się jasny, wyrazisty jak kamea profil Anne, nakładający się na obrazy mijanych domów i ulic Londynu.

Byli już bardzo blisko jego miejskiego domu... Dzielilo ich od niego zaledwie kilka przecznic. Wstąpiła w niego nieśmiała nadzieja, choć doskonale wiedział, że za wcześnie na radość... Zdawał sobie sprawę, jak delikatną prowadzi grę...

Pomyślał nagle, że może byłoby lepiej, gdyby tamten człowiek wziął ich teraz, zanim stara panna zbyt się do niego przywiąże... A on do niej.

- Nazwałeś swego... penisa *ma bitte*. Czy istnieją jakieś inne określenia?

Za oknami powozu przemknął park - orgia zieleni, barwnych parasolek i dzieci uganiających się za kółkami. On też kiedyś był mały. Szczęśliwy. Beztroski. A Anne?

- Czy są jakieś inne słowa?

Zaskrzypiała skóra siedzenia. To Anne odwróciła się w jego stronę.

W jej oczach wyczytał pełną niecierpliwości ciekawość.

- Jakie?

Poczuł, że w żyłach zaczyna mu żywiej krążyć krew. Dorożka wjechała na wybrukowaną kamieniami ulicę. Była to ślepa ulica.

- *Bequille*. *Fiut*. *Outil*. *Pyta*. *Bout*. *Dupeńka*.

125

On najczęściej używał słów „fiut” i „pyta”. Co zaś do „dupeńki”...

Anne zmarszczyła brwi, próbując dosłownie przetłumaczyć francuski slang na język angielski, co, oczywiście, nie miało najmniejszego sensu.

Nie słyszał jeszcze, by tak beztrosko się śmiała.

Dianę po tym, jak wziął ją tamten człowiek, nigdy się już nie śmiała, a wcześniej śmiała się bardzo często.

W życiu Anne nie było miejsca na radość. Nigdy się nie śmiała.

Całe swe dotychczasowe życie poświęciła niesieniu innym pomocy i pociechy.

Michael, dopóki będą razem, zamierzał uczynić wszystko, by z jej twarzy nie schodził uśmiech.

- Penis nazywa się też *andouille a col roule* - wyjaśnił lekkim tonem, tłumiąc gwałtowne bicie serca i silny ucisk w kroczu.

Po kręgosłupie przeszedł mu zimny dreszcz.

Anne popatrzyła nań z niedowierzaniem.

- Naprawdę Francuzi nazywają męskiego... parówką z podwiniętym kołnierzem?

Michael bacznie wpatrywał się w jej twarz.

- To takie porównanie - mruknął.

W jej wzroku nie było odrazy, jedynie bezmiar nieskrywanej ciekawości.

I ta kobieta była zawsze tylko poważna? Sama przecież mu się zwierzyła, że nie miała w życiu wielu okazji do śmiechu. A teraz tak łapczywie chciała poznać wszelkie niuanse intymności łączącej

kobietę i mężczyznę.

Istniało wiele określeń, które tłumaczone na angielski były naprawdę zabawne. Wybrał jedno, które Anne z pewnością zrozumie i które ją rozbawi.

- *Cigare a moustache*. Cygaro z wąsami.

Skojarzenie mogło być tylko jedno.

Anne spoglądała na niego przez chwilę z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła perlistym śmiechem. Jej radość jakby rozjaśniła panujący w dorożce półmrok. Mężczyzna znów poczuł nieprzyjemny ucisk w brzuchu.

- A ty, które określenie lubisz najbardziej? - zapytała z rozjaśnionymi oczyma.

Jego penis spęczniał, nabrzmał krwią, wydłużył się na całe

126

dwadzieścia pięć centymetrów. Mężczyzna odniósł wrażenie, że jeśli natychmiast nie znajdzie ukojenia, tryśnie przez skórę, jak przejrzałe winogrono.

- *Bitte* - wychrypiał.

Rozbawienie malujące się na jej twarzy zniknęło jak zdmuchnięte nagłym powiewem wiatru. W szeroko rozwartych oczach pojawił się marzycielski

wyraz

wspomnienia

napuchniętej

lehtaczki,

obejmującej czule obciągniętą gumą męskość. „Mój penis. Moja pyta.

*Ma bitte*”.

I nagle dotarło do obydwójga, że są w dorożce sami. Stara panna i jej pierwszy kochanek.

Nie było tu miejsca na śmierć.

- Dlaczego poprzedzasz słowo *bitte* rodzajnikiem żeńskim?

Powinno być rodzaju męskiego.

- A jednak *bitte* jest rodzaju żeńskiego.

Anne odruchowo popatrzyła w kierunku jego kolan.

Nie musiał podążać za jej wzrokiem, by wiedzieć, że mokra plama na wełnianych spodniach mówi sama za siebie. Zaledwie ostatniej nocy używał swych soków, łącząc je z jej sokami do nawilżenia swej męskości, by łatwiej wszedł na nią kondom.

Ukradkiem popatrzył na twarz Anne. Malujący się na jej obliczu wyraz wyraźnie mówił, że ona też wszystko doskonale pamięta...

Za szybą, za głową Anne, pojawił się wysoki, zbudowany ze złocistej cegły miejski dom w stylu georgiańskim, pierwszy w szeregu budynków, które wyznaczały tę ulicę.

Michael sprężył się.

Teraz - pomyślał.

Albo dorożka zatrzyma się... albo pojedzie dalej.

Anne będzie należeć do niego... albo on do tamtego człowieka.

Stukot kół wypełniał mu głowę, wypełniał ciało, sięgał jąder. Cała

jego istota skupiona była na tym dźwięku.

Czekał... czekał...

Powóz zwalniał. Łoskot kół ucichł.

A zatem nie musieli jeszcze umierać.

Trzymane dotąd na uwięzi siłą jego woli żądze puściły. Popatrzył twardo na Anne.

- Ponieważ został stworzony dla kobiet - wyjaśnił.

127

Zaprzagnął nagle zadrzeć Anne suknię i wziąć ją tu, na miejscu, w dorożce.

Nie stawiałaby oporu. Nie istniało nic, czego nie pozwoliłaby mu ze sobą zrobić.

Szarpnął klamkę, otworzył drzwi i wyskoczył z dorożki. Chłodne wiosenne powietrze owiało jego rozpaloną głowę.

Wcale jednak nie ugasiło pożaru zmysłów.

Na ziemię sprowadziło go dopiero skrzywienie sprężyn.

Odwrócił się i patrzył jak zahipnotyzowany.

Anne wysunęła z kabiny dorożki głowę - puszysta kitka u jej kapelusza chwiała się na wietrze - i małym trzewikiem próbowała natrafić na schodek.

W jednej chwili stanął mu przed oczyma jej obraz w przymierzalni *madame* Renę - miała na sobie tylko pończochy, trzewiki i kapelusz.

Powinna ubierać się w jak najcieńsze jedwabie i najdelikatniejsze aksamity - pomyślał, ogarnięty dziką pasją.

Wyciągnął rękę, ujął Anne za nadgarstek i pomógł jej wysiąść z dorożki. Okrytą gorsetem pierś uderzyła gałka jego laski... Tylko laski. Nie narzędzia zabójcy.

Tym razem...!

Oszołomiona kobieta szeroko otworzyła oczy i łapiąc równowagę, wsparła się na ramionach Michaela.

Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do tego, że mężczyzna podaje jej ramię, kiedy wysiada z pojazdu. Nie znała takiej uwagi.

Choć zawsze podświadomie jej pragnęła.

Ale jemu na niej zależało. Nawet nie wiedziała jak bardzo.

Umyślnie przyciągnął ją do siebie tak blisko, że jej piersi przylgnęły do jego torsu, łonem dotknęła penisa.

Miała napęczniałe piersi.

On też był twardy.

- Sperma... - tchnęła mu prosto w usta. W promieniach słońca jej krótkie, brązowe rzęsy lśniły złotawo. - Jak to jest po francusku?

Michael poczuł, że cierpną mu jądra.

Wiedział, do czego to wszystko zmierza.

Wiedział, że powinien powstrzymać zapędy Anne. Ale nie był w stanie.

- *Came.* - Przeniósł ręce na jej piersi, napawając się ich kształtem...

Napierając jednocześnie biodrami na jej podbrzusze... Napierając swą

128

twardością... dając sygnał, że jest gotowy... Poprzez płaszcz i

wębianą suknię kobiety docierał do niego przenikający jej ciało żar.

Na twarzy czuł jej gorący oddech. - *Sauce. Blanc.*

- *Blanc.* - Dłuższą chwilę smakowała to słowo; była rozgrzana do czerwoności. - Czy twoja sperma jest... biała?

- Biała - odparł schrypniętym z emocji głosem. - Gorąca. Gęsta.

Zabuzowało mu w jądrach, które skurczyły się...

Wóznica głośno chrząknął.

Na policzki Anne wystąpiły krwiste rumieńce. Pozwoliła mężczyźnie na taką poufałość w miejscu publicznym. Żadna przyzwoita kobieta nie powinna była na to pozwolić.

Wyszarpnęła się z objęć Michaela. Zapanowała nad uczuciami, znów stając się kobietą, która sprawuje nad sobą kontrolę.

Ale Michael wiedział swoje.

Zgodziła się dać mu pełny dostęp do siebie i on nie zamierzał z tego prawa rezygnować. Nie było na jej ciele miejsca, którego by nie dotknął i którego znowu nie dotknie.

Wypuścił ją z objęć tylko na chwilę, by podać wóznicy pieniądze.

Zanim Anne zdążyła całkowicie dojść do siebie, ponownie ją objął i skierował w stronę domu. Celowo położył rozwartą dłoń na jej krzyżu, w miejscu, gdzie trzymał ją w nocy, kiedy rozkładała przed nim nogi i pokonana jego rozmiarami i własnym orgazmem, krzyczała.

Oboje doskonale pamiętali wydarzenia ostatniej nocy. Mężczyzna czuł przez grubą odzież, jak ciało Anne pulsuje rozkosznymi

wspomnieniami.

Mosiężna klamka w promieniach słońca rzucała złociste błyski; na drzwiach nie było tabliczki mówiącej, że mieszka tu Michael czy Michel. Pomalowane białą farbą drzwi nie były zamknięte na zamek; otworzyły się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach. Powitał ich zapach hiacyntów.

Słodki zapach ma również śmierć. Czai się pod odorem zgnilizny, czyha na nierozważną istotę.

Ale w samej śmierci nie było piękna.

Podobnie jak w zabijaniu.

Anne weszła do domu, a Michael zatrzymał się na chwilę, by zamknąć drzwi. Poczul chłód owiewający mu palce, które jeszcze przed chwilą ogrzewało ciepło emanujące z ciała kobiety.

129

Zamknął dokładnie drzwi, choć wiedział, że przed tropiącym go człowiekiem nie ochronią go żadne zamki, i odwrócił się w stronę Anne.

Stała sztywno. Między kołnierzem jej płaszcza a jasnobrązowymi włosami, nakrytymi czarnym kapeluszem, jaśniało pasmo białej skóry.

Jak wyglądała przed osiemnastu laty? - zadał sobie pytanie.

Jak mógł ją przegapić w tłumie uśmiechających się sztucznie, wyfiokowanych i skropionych zbyt obficie perfumami młodych panien debiutujących na bankietach?

Pochylił głowę, tkliwym ruchem dłoni odsunął delikatne jak u dziecka



pasma włosów Anne i zaczął napawać się zapachem nafty, szamponu i mydła.

Kobieta zeszywniała.

Michaela przeszył ostry ból łowcy odrzuconego przez ofiarę.

Zamknął na chwilę oczy, wszystkimi zmysłami chłonąc zapach jej ciała.

- Obiecałaś, że nie będziesz się mnie wstydzić.

- Nie wstydzę się - odparła szeptem, jakby w obawie, że ściany staną się świadkami jej nieskromnego wyznania.

Może zresztą były.

- Wstydzisz się mnie dotknąć? - ciągnął nieustępliwie, cofając się o krok niczym wzgardzony kochanek. - Nie chcesz mnie?

Przez foyer przeleciał powiew chłodnego powietrza.

- Nie wstydzę się - powtórzyła.

Skłamała.

- Jeśli nie, popatrz na mnie. Podejdz do mnie. Odrzuć uprzedzenia.

Odwróciła się w jego stronę. Wstyd walczył w niej z pożądaniem, wyraźnie widocznym w jasnych oczach. Uczciwość z instynktem samozachowawczym.

- Czy o to ci właśnie chodziło, kiedy powiedziałeś, że oczekujesz ode mnie wszystkiego?

Nie zamierzał nawet myśleć o tamtym człowieku. Nie teraz. I nie tej nocy.

- Tak.

Zadarła z uporem brodę, zaokrągloną już trochę.

- Jak mówi się po francusku, kiedy kobieta pragnie pocałować mężczyznę

*bittel*

Michael spodziewał się tego pytania w dorożce. Teraz jednak

130

kompletnie go zaskoczyło.

Dosadność jej słów zbiła go z tropu. Był jak sparaliżowany...

Jej chęcią tak intymnego posmakowania pokrytej bliznami męskiej

dziwki.

Upłynęło pięć lat od chwili, kiedy po raz ostatni kobieta wyraziła chęć

wzięcia do ust...

Przez chwilę czuł, że spuści się w spodnie; jak wtedy, gdy *madame*

po raz pierwszy go pieściła.

- *Bonjour, monsieur.* - Zza ich pleców dobiegł szybki, głuchy dźwięk

kroków. - *Mademoiselle.*

Anne natychmiast przybrała obojętny wyraz twarzy, stając się

pryzwoitą, przestrzegającą konwenansów starą panną.

A przecież mieli tak mało czasu...

Michael czujnie patrzył na Anne, kiedy Raoul zgrabnie odbierał jej

torebkę. Czytał jej myśli równie wyraźnie, jakby wypowiadała je na głos.

Jej twarz miała ten sam wyraz jak w chwili, kiedy przedstawiał ją

*madame* Renę.

Lokaj z całą pewnością wie, że wynajęłam usługi Michela - mówił

jej wzrok.

Spuściła oczy na mokrą plamę na spodniach Michaela.

Jej twarz oblał ciemny rumieniec, ale tym razem nie miał nic wspólnego z podnieceniem seksualnym.

Raoul wziął od Michaela laskę; okryta białą rękawiczką dłoń służącego musnęła pokryte bliznami palce pana.

- *Monsieur,*

czy życzy pan sobie wieczorem kolację?

Anne gwałtownie uniosła głowę.

Dopiero w tej chwili dotarło do niej dosłowne tłumaczenie słowa *sauce*; w zawodowym żargonie Michaela oznaczało ono spermę.

Tak, jest jadalna - potwierdził fiołkowy wzrok Michaela.

- Naturalnie - odparł roztargnionym tonem. - Zjemy z *mademoiselle* kolację.

Anne przeciągnęła językiem po spierzchniętych nagle wargach.

Michael zeszywniał.

- Czy mogę prosić o kapelusz, *mademoiselle*!

Odruchowo uniosła rękę, by odpiąć nakrycie głowy. Zamarła w pół ruchu, kiedy napotkała wzrok Michaela.

Teraz już twarz miała czerwoną jak rak.

131

Zadrzały jej usta, wrażliwe, oczekujące dotyku jego warg.

Zmysłowe ugryzienia. Lizanie. Pocałunki.

Będą równie wrażliwe na muśnięcie piór.

Pocałować jego penisa.

Powoli opuściła ramiona.

- Nie,

dziękuję.

Chwilowo

zostanę

w

kapeluszu.

Michael spontanicznie wciągnął powietrze w płuca. Niebawem - pomyślał, czując, jak mu penis jeszcze bardziej twardnieje.

- *Tres bien.* - Lokaj ze stoickim spokojem wyciągnął rękę w białej bawełnianej rękawiczce, by odebrać czarne jedwabne rękawiczki

Anne. - *Czy mademoiselle życzy sobie przejrzeć menu?*

- Nie, dziękuję.

Oderwała wzrok od Michaela i popatrzyła na czarny krawat Raoula, a następnie na pomalowaną na kremowy kolor ścianę za jego plecami. Lokaj spoglądał obojętnie na jej kapelusz, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej nagłe zakłopotanie.

- Jestem pewna, że kucharz stanie na wysokości zadania - dodała, niezdarnie rozpinając płaszcz lekko drżącymi palcami.

- *Tres bien.* - Raoul odebrał od niej czarny grenadynowy płaszcz. - *Merci.*

- Raoul, kolację prosimy na dwudziestą- odezwał się oschłym tonem Michael, nie spuszczać wzroku z Anne.

- Przekażę polecenie kucharzowi, *monsieur.*

Michael wyciągnął rękę, zmuszając tym Anne do ujęcia jego dłoni.

Otwarcie. W jasnym świetle dnia. Bezwstydnie.

Przez dłuższą chwilę spoglądała spod randa ocieniającego jej twarz kapelusza na pokrytą przerażającymi bliznami rękę, która tak rozkosznie ją pieściła. Patrzyła na palce, które dotarły w najskrytsze głębiny jej ciała.

Podąła mu dłoń.

Jej dotyk był elektryzujący.

Przyjaciele. Kochankowie.

Więź była całkowita.

Nie mogła się już od niego odwrócić. On... on ją ochroni.

Nie wiedział jeszcze jak. Jakoś...

Zadowolony - odczuwający delikatność jej doznań, wiedząc, że już go nie odrzuci - puścił jej dłoń i przeniósł rękę na jej plecy. Delikatnie nakierował Anne w stronę schodów. Biciem serca odmierzał każdy

132

krok.

- *Monsieur*, nadeszła przesyłka - rozległ się za ich plecami głos

Raoula, odbijający się dźwięcznym echem od ścian i pokrytego

freskami sufitu. - Zaniósłem ją do gabinetu.

Michael nie zwolnił kroku.

- Dziękuję, obejrzę ją później.

Dużo później. Śmierć była zbyt blisko. Najpierw musiał ocalić swoją starą pannę.

Jeszcze tylko jeden dzień...

Anne pochyliła głowę, egreta przy jej kapeluszu zakołysała się.

Panna Aimes położyła dłoń na fantazyjnie powyginanej żeliwnej poręczy schodów.

Przed pięciu laty poręcz była drewniana. Dianę zjeżdżała po niej prosto w ramiona Michela, który wchodził w nią naprężonym członkiem.

Anne ukradkiem zerknęła na wielkie wybrzuszenie na jego spodniach.

Zastanawiała się... nad czym?

Jak będzie smakować?

Czy zdoła przyjąć go w siebie innym otworem?

Jak białe pióra będą pieścić najdelikatniejsze części jej ciała?

Michaela ogarniało pożądanie nie do opanowania.

Teraz już nic nie zakłóci im spokoju.

Anne da mu to, czego potrzebuje: kilku godzin odpoczynku, by wzmocnił swe siły przed nadchodzącą nocą.

On da jej to, czego ona potrzebuje: zintensyfikowanych wspomnień ubiegłej nocy.

- *Monsieur*\*. Jest jeszcze list - dobiegł go głos Raoula. Niech go szlag!

Lazł za nami. - Posłaniec nalegał, by przeczytał pan jak najszybciej.

Oświadczył, że jest to list od człowieka, którego pan ostatnio poznał, ale którego nie ma już z nami.

„Nie ma już z nami”. Słowa te odbiły się donośnym echem w uszach

Michaela.

Zapach hiacyntów zaczął go nagle dusić. Żył wypełnił mu płynny lód.

Ile ich jeszcze umrze, zanim ten koszmar się skończy?

Ciepło ciała Anne przenikające przez jej wełniane ubranie zaczęło parzyć mu dłoni; żywy dowód, że stanie się kolejną ofiarą tamtego

133

człowieka.

Michael gwałtownie zdjął dłoni z pleców kobiety i odwrócił się na śliskiej i błyszczącej jak zwierciadło posadzce.

Raoul trzymał w dłoni srebrną tackę z korespondencją.

W jego słowach nie było niczego złowieszczonego. Wypełniał po prostu swe obowiązki.

Anne znieruchomiała.

Michael, zachowując kamienną twarz, sięgnął po zalakowaną kopertę i złamał pieczęć.

Najpierw z koperty wypadł kluczyk. W środku znajdowała się druga, mniejsza koperta. Była zaadresowana.

Drobnym, schludnym pismem kobiecym.

List został skreślony na arkuszu z nazwiskiem prawnika. Nie napisano go ani drobnym, ani schludnym, ani kobiecym pismem.

List prawnika do prawnika.

Czarne litery zatańczyły przed oczyma Michaela.

- Nie kłopotz się mną - dobiegł go, niczym z głębokiej, czarnej studni,

głos Anne. - Rozumiem, że masz... sprawy... Osobiste sprawy do załatwienia.

Osobiste sprawy - odbiło mu się echem w głowie.

O tak, śmierć to sprawa jak najbardziej osobista.

Napisany na białym welinowym papierze tekst widział jak przez mgłę.

Wszystko byłoby prostsze, gdyby nie czuł do Anne Aimes takiej sympatii.

A czy czuł sympatię do kobiet, które w przeszłości odpędzały od niego koszmary?

Czy czuł sympatię do Dianę?

- Dziękuję - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

W oczach Anne odbijały się jak w zwierciadle dwa oblicza: Michael, Michel. Michel, Michael. Nakładały się na siebie.

- Zajmie mi to kilka chwil. Raoul, zaprowadź *mademoiselle* Aimes do biblioteki - polecił.

W domu nie było żadnych dywanów, które tłumilyby odgłos jego kroków. Dywanów, które mogłyby stać się zarzewiem pożaru, nie było ani w jego londyńskim domu, ani w domu w Yorkshire.

Dom tamtego człowieka był również ogołocony z wszelkich kobierców.

134

Przed dwudziestu dziewięciu laty, gdy wkraczał do gabinetu tamtego człowieka, nie wiedział, czego się spodziewać. Teraz, kiedy już



wiedział, kim jest, wkraczał tam przepełniony lękiem i gniewem.

Emocje impotentą.

Ale w przeciwieństwie do tamtego człowieka Michael impotentem nie był. Jego nabrzmiała krwią męskość pulsowała.

W gabinecie, obok pokrytego marmurowym blatem biurka, stał duży, czarny kufer.

Nie zdziwiła go jego zawartość, tak samo jak nie zdziwiła treść listu w mniejszej kopercie:

*Drogi panie Little!*

*Moje spotkanie z Michelem des Anges okazało się bardzo owocne i satysfakcjonujące.*

*Wiem, że niepokoił się Pan o moje bezpieczeństwo. Pragnę rozproszyć Pański niepokój. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.*

*Na podstawie naszego kontraktu proszę wypłacić monsieur des Anges jedną czwartą honorarium.*

*Podaję Panu mój obecny adres. Jeśli pozostanę tu przez wyznaczony miesiąc i nie będę wracać do swego domu, byłabym głęboko zobowiązana, gdyby Pan od czasu do czasu odwiedzał moje londyńskie mieszkanie, by upewnić się, że wszystko w porządku.*

*Oddana AnneAimes*

Michael ponownie popatrzył na swój adres, schludnie napisany u dołu welinowej kartki. Odłożył list i spojrział na szeroko rozwarte, wypełnione śmiertelnym strachem, nieruchome oczy Little'a.

Nie było depozytu. Kontrakt został spalony.

Jego zwęglone szczątki sterczały z poczerniałych, pokrytych pęcherzami ust.

Śmierć nie przyniosła prawnikowi ukojenia.

Nie wiedział nawet, dlaczego umiera. Nie wiedziała też tego Anne.

Michael nie odrywał wzroku od zwłok niewysokiego człowieczka, za którego śmierć winę ponosił on. I nie czuł nic.

Ani smutku.

Ani żalu.

Tylko pulsowanie w sterczącym członku, twardym i sztywnym,

135

podczas gdy krew w jego żyłach zamieniała się w lód.

Gdy spoglądał tak w nieruchome źrenice Little'a, wyobraźnia

zaczęła podsuwać mu inne obrazy. Egreta wieńcząca czarny

pilśniowy kapelusz. Jasne oczy pełne zmysłowego żaru. Ciemne,

nabrzmiące brodawki. Kremowej barwy piersi. Złociste włosy łonowe.

Prowokacyjnie napuchnięte, różowe wargi. Białe podwiązki. Cielistej

barwy pończochy. Czarne pantofle na wysokich obcasach.

Jakże łatwo poczucie człowieczeństwa, towarzyszące Michaelowi

przez całe życie, zamieniało się w upiora, który z łatwością wnikał w

odrażającą, czarną otchłań jego przeszłości.

A śmierć Little'a najdobitniej świadczyła o zamiarach tamtego

człowieka.

Nie spocznie do chwili, aż Anne nie popatrzy mu z przerażeniem w

oczy. Nie ustanie, aż jej ciało nie stężeje po śmierci.

Dopóki nie spocznie w grobie.

Tamten człowiek darował życie Dianę. Michael żywił nadzieję, że tak samo postąpi z Anne.

Ale przecież nie mógł.

Nie zamierzał darować Anne życia, bez względu na to, czy razem z nią zginie Michael.

Ciszę zmąciło lekkie pukanie do drzwi.

Michael, poruszając się jak automat, zamknął pokrywę kufra i przekręcił w zamku kluczyk. Włożył go do kieszeni.

- Wejść.

Raoul wsunął do gabinetu posiwiałą głowę. Skrzywił z obrzydzeniem nos.

- Czuć spalenizną, *monsieur*...

Splonęło już' dwóch doradców prawnych. Prawnik nie żył. A on, męska dziwka, wciąż cieszył się dobrym zdrowiem. On czy ona?

- To towar, który nadpalił się w ostatnim pożarze - powiedział obojętnie Michael. - O co chodzi, Raoul?

- Kolacja gotowa, *monsieur*. Czy życzy pan sobie to, co zwykle?

Jedzenie.

Martwe mięso dla żywych.

Żywe robaki dla martwych.

- Zadowolę się tym, co zamówiła *mademoiselle* Aimes.

- *Tres bien, monsieur*.

Posiwiła głowa lokaja zniknęła za drzwiami.

- Raoul!

Lokaj natychmiast znów się pojawił.

- *Monsieur...*

Georgiański dom w Londynie Michael zakupił przed dziewiętnastu laty, a Raoul służył jeszcze u poprzednich właścicieli. Michael pozwolił mu poślubić gospodynię, a w zamian za życzliwość Raoul i Marie przykładowo spełniali swe obowiązki.

Nigdy nie zadawali pytań. Nie roznosili plotek. Kiedy miejski dom spłonął w niewyjaśnionym pożarze - a wraz z nim Dianę - oni zajęli się jego odbudową, pełniąc obowiązki nadzorców.

Michael nieoczekiwanie uświadomił sobie, jak mało jednak wie o dwojgu swych głównych służących.

- Prześlij wiadomość do Gabriela. Powiedz, że koniecznie muszę się z nim zobaczyć. Jeszcze dzisiejszego wieczoru. I... Raoul...

Lokaj popatrzył posłusznie swemu panu w twarz.

- Chyba nie muszę dodawać, że nie chcę, by nam więcej przeszkadzano.

Raoul skłonił się i dyskretnie wycofał z pokoju.

Michael dłuższą chwilę wpatrywał się w drzwi gabinetu.

Nie mógł pozwolić, by tamten człowiek zabrał Anne Aimes. Gdy będzie umierać, musi umierać, odczuwając rozkosz. Ostatnią osobą, którą zobaczy, będzie Michael. Nie tamten człowiek.

Anne ze zniecierpliwieniem przeglądała, rząd za rządem, oprawione w skórę książki, zalegające półki ustawione wzdłuż ścian biblioteki:

„Beowulf”, „Opowieści kanterberyjskie” i *Le Mort D'Arthur*, poemat o mężczyźnie i kobiecie, którzy zdradzili króla.

W uszach wciąż dźwięczały jej słowa lokaja: „nie ma już z nami”.

Eufemizm określający śmierć, zupełnie jakby zmarli umiejscawiali się gdzieś indziej, nie dbając o swe dawne ciała.

Przeciągnęła lekko palcem po złożonych grzbietach dzieł Szekspira, Charlesa Dickensa. „Wichrowe wzgórza” Emily Bronte... W książce tkwiła zakładka.

Anne nie sądziłaby, że Michel czytuje romanse.

Nie mieściło się jej w głowie, że człowiek, który swój przydomek

137

zyskał dzięki temu, że potrafił dogodzić każdej kobiecie, może być tak wrażliwy.

Na punkcie tego, co mówiła podstarzała panna.

Na punkcie jej ciała.

Jej potrzeb.

Na punkcie śmierci.

Dobiegł do niej zapach drogiej skóry i świeżo ściętego bzu.

W domu wypełnionym wonią bzu i rozkoszy nie było miejsca na śmierć.

Anne odwróciła się na pięcie. Nie myślała ani o przeszłości, ani o

chwili obecnej. Śmierć i tak była nieunikniona.

Na lśniąca dębową podłogę padały smugi słonecznego światła, lśniły w obitych granatowym jedwabiem kanapkach i zdobionych pozłacanym brązem stoliczkach stojących usłużnie obok salonowych krzeseł, pamiątek dawnej epoki i dawnej kultury. Wykonane z półprzezroczystej chińskiej porcelany lampy o jedwabnych abażurkach z wyszytymi na nich granatowymi i złotymi liliami burbońskimi dyskretnie rozświetlały pogrążone w lekkim półmroku pomieszczenie.

Stanęła jak wryta, oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia, skryte pod ubraniem piersi zafalowały od schwyconego gwałtownie oddechu.

W progu, oparty ramieniem o futrynę drzwi, stał Michel; patrzył na nią spod opuszczonych rzęs.

Zabrakło jej tchu.

Nie sprawiał wrażenia człowieka, który wyznaje kobiecie swe uczucia, czy kogoś, kto ponagla ją, by szybciej wchodziła po schodach w wiadomym celu.

Jego fiołkowe oczy były puste. Martwe. Jak wykonane ze szkła oczy wypchanej sowy stojącej na stole w foyer domu jej rodziców.

Sprawia wrażenie mężczyzny, który nigdy nie zaznał ukojenia w ramionach kobiety - pomyślała.

Przypominał lokaja, którego najął jej prawnik.

Nieubłagany. Groźny.

- Wciąż masz na głowie kapelusz - stwierdził szorstko, nieprzyjaźnie.

Anne w jednej chwili przypomniała sobie o białych piórach  
zdobiących kapelusz, uświadomiła sobie, co on o tym myśli.

- Tak.

138

- Mężczyźni nie spodziewają się, że kobiety będą ich całować.

Zdziwiona Anne uniosła głowę.

- Słucham?

- Chciałaś wiedzieć, czego spodziewam się po kobietach.

- To chyba proste - odparła ostrożnie. - Mężczyźni chcą, by kobiety  
ich całowały.

- Nie - odparł bezbarwnym tonem. Anne przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

Powietrze w bibliotece naładowane było elektrycznością jak przed  
nadchodzącą burzą.

- Nie chcesz wiedzieć, czego oczekuję od kobiety, *mademoiselle*

Aimes?

Anne aż skurczyła się w środku, słysząc, w jak oficjalny sposób się do  
niej zwraca.

- Przeciwnie - odparła sucho. - Chcę. W innym razie bym nie pytała.

- Chcę, by kobieta mnie lizała. Ssała. Gryzła. - Mówił osobliwie  
ochrypłym, a jednocześnie beznamiętnym głosem. - Tak, jak ja to  
robiłem ubiegłej nocy. I rano, kiedy doprowadziłem cię do szczytu.

To już było otwarte wyzwanie.

W nocy pieścił ją ustami, językiem i zębami. W ten sam sposób

usatysfakcjonował ją rano.

Wiedział, co zrobić, by zadowolić kobietę. Ona zaś o męskich potrzebach nie wiedziała nic.

Próbowała pogodzić ze sobą obraz dwóch mężczyzn: tego, który stał w tej chwili przed nią, i tamtego, który nalegał, by uznała go za kochanka.

Nie umiała.

W dorożce był szorstki, rozgniewany z powodu tego, że nie panuje nad sytuacją, lecz gotowy na zmianę swego życia.

Tak jak Anne; doskonale to rozumiała.

Teraz jednakże nie wiedziała, co powiedzieć mężczyźnie, którego miała przed sobą.

Wbiła swe krótko obcięte paznokcie w dłonie. Przypomniała sobie, jak zeszłej nocy wbijała je w plecy Michela. Czy zostawiły ślady? - błysnęła jej mglista myśl.

- Któryś z twoich znajomych... odszedł? - zapytała niepewnie, nienawidząc siebie za ten eufemizm, ale nie była w stanie wykrztusić

139

słowa „umarł”.

- Tak.

- Bardzo mi przykro. Zrozumiem, jeśli zapragniesz teraz chwili samotności, ja...

Dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Mogłem się tego spodziewać - odparł w końcu.



Na sztywnych nogach ruszył w stronę białego marmurowego kominka i przykucnął przed paleniskiem.

Anne przypomniała sobie stertę siwego popiołu na ruszcie żeliwnego kominka pana Little'a. Była wówczas zdziwiona, bo człowiek pokroju jej prawnika nie powinien ulegać takim dziwactwom jak palenie w kominku w kwietniowy dzień.

A przecież nie zdziwiła jej biblioteka Francuza wypełniona wyłącznie angielskimi tytułami!

Ale Michel był dziwakiem.

Ostry trzask zapalki przeciął zalegającą w bibliotece ciszę. Lekki zapach siarki wymieszał się z wonią skóry i bzu.

Michel zerwał się z podłogi tak gwałtownie, że aż się zachwiał, po czym odwrócił się plecami do żółtych płomyków ognia, które zaczęły lizać brykiety.

Przez jedną ulotną chwilę dawne przeżycia odbiły się na jego twarzy; ból, jaki przecierpiał przed pięciu laty, kiedy jego ciało trawił ogień; strach i groza, jakich doświadczał od tej chwili, ilekroć rozpalał w kominku.

Stracił kogoś bliższego niż tylko znajomego - pomyślała Anne.

Świadomość nieuchronnej śmierci towarzyszyła jej na wiele lat przed tym, zanim rzeczywiście przyszła, by zabrać rodziców. Kiedy więc to nastąpiło, Anne odczuła to bardziej jako zdradę niż prawdziwe odejście dwojga ludzi, których naprawdę kochała. Ale Michel najwyraźniej nie był na to przygotowany.

To dopiero on ukazał jej, jak bardzo była samotna. To on zapewnił jej

komfort - słowami, rozkoszą. Nauczył ją śmiechu.

Nie mógł cierpieć samotnie.

Zaoferowała mu zatem jedyne pocieszenie, jakie w jej mniemaniu

mógłby od niej przyjąć.

- W jaki sposób kobieta powinna pytać mężczyznę, czy ma go lizać...

ssać... gryźć?

140

- Mężczyźni nie są wstydliwi - odparł hardo. *Madame* Renę nazwała

go ogierem. - Jeśli kobieta pożąda mężczyzny, musi mu tylko o tym

powiedzieć.

Serce gwałtownie jej zabiło.

- Michel, pragnę cię.

W palenisku trzasnęły rozpalone głownie. Michel drgnął, jakby

przeszył go ból. Przymknął oczy i chwycił się za krocze.

- Anne, w jaki sposób mnie chcesz?

- Przy oknie - odrzekła śmiało. Na myśl, że da rozkosz mężczyźnie,

któremu płaciła za to, że dawał rozkosz jej, lekko ugięły się pod nią

kolana. - Masz stać twarzą do słońca. Chcę cię widzieć.

Rozdał nozdrza, jego pokryte bliznami palce znieruchomiały.

- Branie penisa do ust to coś całkiem innego niż przyjmowanie

języka mężczyzny. Możesz nie polubić smaku seksu. Nie wszystkie

kobiety to lubią.

- Ale ty lubisz całować sekretne miejsca kobiet - stwierdziła cicho.

- Lubię.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiem, że kobietom sprawia to przyjemność. Seks ma smak rozkoszy.

Nie musiał mówić, że upłynęło już pięć lat od chwili, kiedy kobieta w taki właśnie sposób sprawiła mu rozkosz. Kiedy smakowała go.

Wszystko to odbijało się w jego mrocznych, fiołkowych oczach.

- Chcę cię smakować, Michel. Czuć ustami bicie twego serca, czuć językiem pulsowanie twojej krwi. Chcę też otworzyć się dla ciebie w inny niż dotąd sposób.

Upływały długie niczym wieki sekundy. Ciszę mącił jedynie trzask płomieni w kominku, bicie serca Anne i wspomnienie głosu mężczyzny, kiedy mówił, że czuje ustami bicie jej serca, że jego język...

Kiedy już myślała, że wycofa się, bez słowa podszedł do ogromnego okna, przez które wlewały się potoki słonecznego popołudniowego światła. Na złotym stoliku stała ogromna waza z epoki Ming, wypełniona wodą i gałązkami bzu. Zatrzymał się przed oknem, odwrócony do Anne prawym profilem. Jego postać pławiła się w złocistym blasku.

Serce Anne załopotało. Stukając obcasami po pocętkowanej słonecznymi promieniami podłodze, przeszła przez pokój i stanęła między oknem a Michelelem.

141

Podmuchy ciepłego powietrza pieściły łagodnie jej odkryty kark. W

ostrym światłem unosiły się w powietrzu złociste drobiny kurzu.

- Nie pozwolę, byś żałowała czasu spędzonego ze mną - oświadczył napiętym głosem Michel.

Blizny na jego prawym policzku i skroni stawały się jeszcze bardziej wyraziste w promieniach słońca.

Anne nie zwracała jednak na nie uwagi.

- Nie żałuję swej decyzji.

Michel zaczął odpinać guziki spodni. Anne oświadczyła osobliwego *deja vu*.

- Nie! -zaprotestowała.

Palce mężczyzny znieruchomiały, wbił w nią wzrok.

- Nie...? - zapytał cicho.

Zeszłej nocy zachęcił ją, by sama rozpiniała mu spodnie, ona, dziewczica, która nie miała zielonego pojęcia, czego się spodziewać.

Teraz wiedziała już, jaka czeka ją niespodzianka.

- Proszę, pozwól mi.

W jednej chwili zapragnęła pogrzebać na wieczność wszelkie wspomnienia o chorobie i śmierci.

Rozpinając guziki, nie była już tak niezgrabna jak w nocy.

Twardość, którą czuła pod palcami, była jej przyjazna... przyzywała ją...

„To dla ciebie” - powiedział sobie niedawno.

I to nie dlatego, że mu płaciła...

Dlatego, że naprawdę jej pożądał.

Przyklękła. Halki owinęły się wokół jej nóg, a ona sięgnęła w rozpięte spodnie, odnalazła twarde, sztywne włosy, owiało ją wilgotne gorąco.

Lekki powiew czegoś - czegoś, co prawie ją sparzyło - owiał jej nozdrza. To coś natychmiast zniknęło, pozostawiając po sobie tylko czysty piżmowy zapach męskiego ciała i przenikliwą słodycz bzu.

Słońce tańczyło po wielkim, nabrzmiętym penisie Michela, ujawniając każdą żyłę, każdy odcień jego skóry. Skręcone, czarne włosy. Ciemną fałdę, z której wykwitała zroszona śliwka.

Delikatnie ujęła go w dłoń w połowie długości. Cieniutka smuzka srebra zaśniła na jego przekrwionej, purpurowej główce, tkwiącej w uwięzi jej palców.

Wcale nie przypominał parówki. Ani cygara.

142

W niczym nie przypominał wyschłego, zwiędłego ciała jej ojca.

Michela zapamięta już do końca życia.

Anne przeciągnęła palcem po wilgotnym śladzie; śliwkowatego kształtu korona Michela był gładka i śliska. Członek lekko pulsował.

Pełna emocji zbliżyła do niego usta.

Lizać... ssać.

Ścisnęła lekko dłoń i z uwagą przyglądała się niewielkiej szczelinie, przypominającej kształtem oko, z którego spływała pojedyncza łza.

- Czy mam go wziąć w usta na całą długość?

- Nie! - Czowała na sobie jego wzrok. Głos miał spięty, wciąż

ochrypiły, ale już nie obojętny. - Tylko kilka centymetrów.

Powoli, ostrożnie objęła ustami pulsującą główkę.

Zadrżał.

Anne szarpnęła się do tyłu.

Michel przyciskał zaciśnięte pięści do boków. Miał zadartą głowę, ścięgną szyi napięte niczym postronki -jak w agonii lub straszliwej ekstazie.

Znów pochyliła się i zaczęła pieścić go ustami, tak jak on pieścił ją.

Wdychała jego woń tak, jak on wdychał jej woń.

Nie było w tym nic odpychającego.

Zamknęła oczy i napawała się nim, smakowała go, członek pulsował niczym serce.

Smakował... czysto. Trochę słonawo.

Anne nieśmiało wsunęła pulsującą, nabrzmiałą śliwkę w usta; rozchyliła szerzej wargi... jeszcze szerzej... aż wzięła w siebie całą koronę.

Bolały ją żuchwy, ale wrażenia były rozkoszne.

Pulsował w obręczy jej palców.

Anne zaczęła mruczeć z narastającą w niej rozkoszy.

Długie, stwardniałe palce mężczyzny zacisnęły się na jej szyi.

Anne drgnęła, cofnęła głowę i popatrzyła w górę.

Michel nie puszczał jej szyi.

Miał opuszczone powieki, ocienione czarnymi rzęsami. Jego źrenice przypominały czarne punkciki pochłaniające całe światło, fiołkowe

tęczówki lśniły dziwnym blaskiem.

- Lubisz to?

- Tak - odparła szczerze.

143

- Czy wiesz, co się stanie, jeśli będziesz robić tak dalej? Popatrzyła na purpurową koronę, która drżała i pulsowała pod jej dotykiem, wydzielając coraz więcej srebrzystych łez.

- Doznasz ejakulacji.

- Prosto w twoje usta - dodał.

Słowa te powinny wzbudzić w niej odrazę.

Nie wzbudziły.

Znów pochyliła się i pocałowała jedwabisty czubek *bitte* - cudowne francuskie słowo określające cudownego Francuza... I wzięła go w usta tak głęboko, jak tylko mogła.

Michel oderwał od jej szyi jedną dłoń. Poczowała ciężar jego ręki na głowie, a po chwili na skórze chłód szpilki do kapelusza.

Po kręgosłupie przeszedł jej lodowaty dreszcz.

Głowa Anne wykonywała gwałtowne ruchy w przód, i w tył.

Michel trzymał w dłoni szpilkę. Światło błyszczało w jej srebrzystym stalowym ostrzu, rzucając migotliwe lśnienia na jego spocone ciało.

„Zaufaj mi?” - powiedział niedawno.

Wcale mu nie ufała.

Trudno było mu wierzyć, skoro przez całe życie słyszała jedynie, że

nie wolno ufać nikomu.

Anne wzięła głęboki wdech.

- Powiedz mi, co mam robić. Jak to robić?

Błysnęła szpilka od kapelusza.

Jego twarz się ściągnęła, szpecące ją blizny pobieleły.

- Weź do ust.

- Powiedz to po francusku. - Jej własne słowa zagłuszyły

gwałtowne dudnienie serca. - Mów do mnie tak, jak mówiłeś

do innych...

Pięknych kobiet. Wesołych. Frywolnych. Których ona w niczym nie

przypominała. Przez długą chwilę panowała martwa cisza. Serce

Anne przestało niemal bić. Promienie słońca otulały oboje złocistą

aureolą,

skrząc się w jego nabrzmiętym członku, szarej wełnie spuszczonej

spodni, białym lnem i połyskliwym metalu.

Płonący w kominku węgiel syczał i trzaskał.

I wtedy...

- *Prends-moi*

*dans*

*la*

*bouche*

(weź

do

buzi).



Zamykając oczy, wzięła do ust. Oczyma wyobraźni wciąż widziała lśniąca stalową igłę do kapelusza.

- *L'eche-moi* (liź mnie). Zaczęła lizać.

- *Mords-moi* (ugryź mnie). Delikatnie zaczęła naciskać go zębami.

- *Suce-moi* (ssij mnie). Ssała.

- *Plusprofond* (głębiej).

Wzięła go głębiej, wargami doszła do własnych palców obejmujących członka.

- *Plus fort* (mocniej).

Wciągnęła w siebie jego aksamitną twardość, napawając się nią tak, jak on napawał się jej piersiami, które mocno i boleśnie ssał.

Kobieta wysysająca z mężczyzny jego życiodajne soki.

Przez chwilę zastanawiała się, czy i on czuje tak niesamowitą bliskość, kiedy ssie kobietę.

Czy czuł to samo, kiedy był z nią?

Zacisnął palce na tyle jej głowy.

- *Plus vite* (szybciej).

Czuła męską siłę, z jaką naciskał jej kark, i kobiecą potęgę swego dotyku.

Jej ruchy stały się szybsze, bez reszty zatraciła się, smakując całą słodycz, jaką dawał jej Michel des Anges.

A on jeszcze bardziej stwardniał, urósł.

I coś się wydarzyło. Coś wprost niewiarygodnego.

Odniosła wrażenie, że eksploduje w jej ustach.

Zza pleców dobiegł ją dziwny świst i ostry dźwięk. Mgliście uświadomiła sobie, że to szpilka do kapelusza upadła na drewnianą podłogę. Jednocześnie Michel jeszcze mocniej ścisnął ją za kark i wykrzyknął ochryple:

- *N'arretepas* (Jezu, nie przestawaj!)

Poczuła, jak do gardła wpływa jej ciecz.

Gorąca. Gęsta.

Radosna. Podniecająca.

Istota rozkoszy Michela.

Anne instynktownie ją przełknęła.

O, tak... Bardzo jej smakowała.

*Sauce. Blanc. Came.*

Odpowiednik francuskich terminów spływał jej po języku.

Z głowy Anne spadł kapelusz. Zaskoczona, wyprostowała się i

145

zamrugła oczyma. Silne palce, wplątane w jej włosy, wyciągały szpilki z koka. Włosy szeroką falą spłynęły na plecy.

Michel miał poczerwieniałą twarz, jego przymknięte oczy przypominały fiołkowe jeziorka.

- Nie pozwolę cię skrzywdzić - szepnął zarliwie.

- Nie skrzywdziłeś - zapewniła go drżącym głosem, oczarowana zarówno samym jego orgazmem, jak i skutkiem, jaki na niej wywarł. -

Ja...

Pochylił głowę. Przykładając do ust kobiety wargi i wsuwając między jej zęby język, najpierw skradł Anne słowa, a następnie oddech.

Jego uścisk zniewolił ją. A może tylko zmroził lęk?

Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz.

To jest właśnie różnica między kochankiem a mężczyzną wynajętym, by dać kobiecie rozkosz - pomyślała.

Był to mężczyzna, nad którym nie sprawowała kontroli.

Mężczyzna pełen pasji.

- Nie pozwolę cię skrzywdzić - powtórzył ochryple prosto jej usta.

Kolejne pasma włosów opadały jej na plecy; odgłos szpilek spadających na podłogę wtórował jego gorączkowemu oddechowi i gwałtownemu biciu serca Anne. - Obiecuję. Bez względu na wszystko, nie pozwolę cię skrzywdzić. A teraz całuj mnie. Oddawaj mi pocałunki. Ssij mój język tak, jak ssiałaś *bitte*.

Anne pocałowała go, wciągnęła w usta jego język i ssiała tak, jak ssiała jego męskość.

Michel rozpiął jej suknię i rozluźnił gorset...

- Służba... - szepnęła. Położył dłoń na jej krzyżu.

- Nie będzie nam przeszkadzać.

Cienka bawełniana koszula nie tłumiała żaru bijącego od jego ciała.

Taki sam żar Anne czuła w brzuchu.

Było to, oczywiście, śmieszne, ale odnosiła wrażenie, że czuje w żołądku jego spermę. Była równie gorąca jak jego dłoń spoczywająca

na jej plecach. Policzki paliły ją żywym ogniem. Usta miała pełne

jego języka. Męskością napierał na jej podbrzusze.

Odnosiła wrażenie, że prawie bolesne gorąco wdziera się w jej

pochwę, mija macicę i przechodzi przez całe ciało aż do gardła.

Poczuła, że się dusi. Potrzebowała świeżego powietrza. Oderwała

146

wargi od rozpalonego pieca, jakimi były jego usta.

- Czy spuszczałeś się kiedyś w kobietę, bez kondoma?

Słowa te wyrwały się z jej ust, zanim zdążyła poskromić język.

Michel znieruchomiał. Jego oczy straciły swój świetlisty blask.

Odzyskał nad sobą kontrolę.

- Tak.

Anne załopotало serce.

Jak szybko zdołał zapanować nad swymi emocjami - skonstatowała

w myślach.

Zadziornie uniosła podbródek.

- Czy istnieją jakieś inne sposoby, by zapobiec poczęciu?

Jego tęczywki w słonecznym blasku przypominały barwione szkło,

zwężone źrenice były niczym czarne perły.

- Oczywiście.

- Jakie?

- Rzeczy, które w siebie wkładasz. Możesz ich użyć.

- Czy to boli?

- Nie.

- A czy zmniejsza przyjemność, jaką odczuwa kobieta?

- Mówiono mi, że nie.

- A gdzie można dostać coś takiego?

- U lekarza.

Anne zmarszczyła brwi.

- Nie w aptece?

- Najskuteczniejsze wymagają konsultacji lekarza, który przepisze stosowny rozmiar.

Anne nie musiała pytać, które części jej ciała będzie badać lekarz, by przepisać odpowiednie środki.

Nie potrafiła wyobrazić sobie takiego medyka i bólu, jaki jej sprawi, kiedy zacznie badać jej wnętrze.

Spuściła wzrok. Czuła, jak gwałtownie pulsuje w jej żyłach krew.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za szczerość.

Krew coraz mocniej w niej tętniła. Michel najwyraźniej zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale ona nagle nie chciała tego usłyszeć.

- I za rozkosz, jakami dałeś - dodała szybko. W krtani czuła lekkie pieczenie, jakby napiła się morskiej wody. - Było to bardzo pouczające.

147

I zbawcze.

Nigdy już nie pomyśli, że sperma mężczyzny służy jedynie do zapłodnienia kobiety.

- Jeszcze nie skończyliśmy - mruknął ochryple, przeciągając palcami po jej kręgosłupie. Anne ogarniała kolejna burza uczuć. - Zamierzam edukować cię dalej.

Poczuła nagle, że włosy palą skórę jej czaszki. W jaskrawych promieniach słońca widać było przecież każdy siwy włos.

- Proszę, nie czuj się dłużej zobowiązany. Jestem zaspokojona.

- Czuję się zobowiązany. - Trącił ją w brzuch sterczącym członkiem.

- Już ci mówiłem. Tak długo, aż ja będę zaspokojony.

Obiecał, że będzie drażnić piórami jej łechtaczkę tak, że zacznie krzyczeć i błagać, by przestał. Ale on nie zamierzał przestać.

Na Boga! Wcale nie chciała, by przestał.

Nie teraz.

Nigdy.

Ale musiała zapłacić pełną cenę za swój romans.

Musiała płacić przez cały miesiąc.

- Co teraz? - zapytała, patrząc na rozpalonego żądzą mężczyznę. -

Pokażesz mi, jak wchodzisz we mnie od drugiej strony?

- Nie dzisiaj.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

Michel wbił w nią nieruchomy wzrok.

- Są inne rzeczy, na które mam ochotę. Inne sposoby.

Anne śmiało wytrzymała jego spojrzenie, choć czuła, że spala ją na popiół.

- Czyżby jedna z tych otoman miała posłużyć nam za łóżko?

- A co mnie obchodzą otomany?

Wpiła się palcami w jego barki w ogromnej żądzy dotknięcia jego skóry, pragnęła, by on dotykał jej skóry. Była gotowa na wszystko.

- Michel, co mam zrobić?

- Usiądź na tym bujanym fotelu. Nago. O, właśnie tak. Twarzą do słońca. Nogi zarzuć na poręcz. Otwórz się, bym mógł pieścić cię piórkiem. W środku. I na zewnątrz.

Raz... dwa...

Michael stał na balkonie, spoglądał zamyślonym wzrokiem na

148

gazowe latarnie Londynu i liczył dobiegające z oddali bicie zegara.

Wyobrażał sobie Anne śpiącą w jego łóżku, z dłońmi przytulonymi do twarzy.

Wróciło wspomnienie upojnych chwil, kiedy klęczała przed nim...

Zza pleców dobiegł go jakiś ruch. Po chwili ktoś cicho zamknął drzwi.

- Dałeś jej narkotyk - stwierdził cicho i rzeczowo Gabriel.

Michael nie odwrócił się. Nie odpowiedział też na pytanie, które zresztą nie było pytaniem.

Nie miał innego wyjścia. Żeby nie spotkała Gabriela, musiał do jej kieliszka wina po kolacji dodać kilka kropel laudanum. Później, zanim zapadła w głęboki sen, jeszcze raz się z nią kochał.

- Posłużyłeś się kluczem - powiedział, nie okazując gniewu, że

Gabriel wszedł nieproszony do sypialni, gdzie spała Anne, śniąc o rozkosznych doznaniach, jakich dostarczył jej Michel.

I o rozkoszy, jaką dała mu ona.

Michael z Michel. Michel z Michael.

Na mgnienie oka podstarzała panna połączyła ich w jedno.

- Nie wezwałeś mnie chyba po to, bym ją zabrał? - zapytał Gabriel, jak zwykle czujny. - A może...?

Było za późno, by odsyłać Anne.

Pierzaste chmury zakryły na chwilę księżyc płynący po bezgwiezdnym niebie.

- Wezwałem cię, byś zabrał zwłoki prawnika - wyjaśnił obojętnie Michael.

- Zabiłeś go?

- Musisz pytać?

Gabriel podszedł do poręczy balkonu, na której Michael kurczowo zaciskał dłonie.

- Dlaczego sam ich nie wyniosłeś?

- Bo nie mogłem zostawić Anne.

- Dlaczego?

Promienie słońca odbijają się od księżyca, użyczając mu blasku.

Stalowa igła od kapelusza Anne również odbijała słoneczne światło.

Radość, jaką kobieta odczuwała, dając mu rozkosz, rozjaśniała jej twarz tajemnym, wewnętrznym światłem, równie jasnym jak promienie słońca padające na tarczę księżyca.



Smakowała go.

Smakowała jego spermę.

Napawała się myślą, że sprawia niebiańską przyjemność pokrytej bliznami męskiej dziwce.

A on od pięciu lat nie smakował siebie w kobiecie.

Michael wyobraził sobie słonawość swej spermy wymieszanej ze słodyczą jej soków. Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się, by nie wrócić natychmiast do sypialni i dzielić z Anne upajającą woń wzajemnej satysfakcji.

- Ponieważ by ją zabił - odparł pośepnie po chwili. - A ja tego zrobić nie mogłem.

Z ciemności dobiegło wściekłe ujadanie.

Dłuższą chwilę nasłuchiwał gryzących się ze sobą bezpańskich psów - o żarcie? o terytorium? o sukę? - wiedząc, że sam niczym nie różni się od tych parszywych kundli.

Przez ostatnich dwadzieścia siedem lat Michael szukał domu.

Szukał kobiety.

Szukał pożywienia, na którego widok nie przewracałby mu się żołądek.

Kochał radość i namiętność Dianę.

Dianę uwielbiała jego doświadczenie i wigor.

Nigdy nie oczekiwał z jej strony słów podzięki. A ona nie dziękowała.

Koniec psiej walki oznajmiło przeciągłe, bolesne skomlenie.

- Idź na policję - poradził cicho Gabriel.

Michael zgrzytnął zębami. Odwrócił głowę i popatrzył Gabrielowi prosto w oczy.

- Zwłoki Little'a zapakowano do kufra, który w jakiś sposób znalazł się w moim gabinecie. Sądysz, iż policja uwierzy, że kufer ten przysłano do mnie przez przypadek?

W blasku księżyca źrenice Gabriela były tak jasne jak oczy Anne.

Ale nie było w nich łagodności. Otwartości.

- Michael,

czego

ty

naprawdę

chcesz?

Dotarła doń naraz cała prawda.

Jeszcze poprzedniego dnia odpowiedziałby coś innego. Ale to nie był już poprzedni dzień. A jutro mogło nigdy nie nadejść.

- Chcę Anne. - Wciągnął głęboko w płuca powietrze przesączone cierpką wonią węglowego dymu i wilgocią. - Chcę być

150

z nią dłużej.

- I to wszystko? - zapytał ironicznie Gabriel.

- Nie. Chcę wynająć kilku twoich ludzi. Potrzebuję woźnicy.

Stajennego. Strażników, którzy pilnowaliby mego domu.

- Mogą zginąć.

Kolejne trupy zaczęły piętrzyć się u stóp Michaela.

- Każdego można kupić. Zaoferuj każdemu z nich po tysiąc funtów...

- Za takie pieniądze mogliby zabić ciebie...

- I powiedz im, że jeśli Anne zginie czy zostanie porwana, nie dostaną złamanego pensa... A co więcej, zabiję ich osobiście - dokończył nieubłaganym tonem.

- A jeśli to ty zginiesz?

Na krótką chwilę oczy Michaela buntowniczo rozbłysły. Dla człowieka takiego jak on nie było przyszłości; za późno już, by chcieć żyć.

- Jeśli Anne ujdzie z życiem, weź z mego domu w Yorkshire pieniądze i zapłać tym ludziom. Cały swój majątek zapisałem tobie.

Z mroku dobiegł świst wciągane go gwałtownie w płuca powietrza.

- Michael, czasami mam ochotę zamordować cię własnymi rękami.

Michael roześmiał się szyderczo.

- Gabrieliu, nie możesz zabić człowieka, który jest martwy.

- *Mon vieux*, czy zabiłeś człowieka?

Z jego powodu umarło już wielu mężczyzn, wiele kobiet i dzieci.

- Tak.

- Nie. Mam na myśli zabicie człowieka. Rozmyślne odebranie mu życia. Słuchasz, jak charczy. Czujesz, jak tryska na ciebie strumień jego krwi, gorącej i śliskiej. Jak seks. Wiedząc, że winny czy

niewinny, jest już martwy. I że to ty zrobiłeś.

W mroku widział jedynie poświatę wokół włosów Gabriela. Białą skórę. Arystokratyczny zarys nosa. I lśniąca czerń jego oczu, która nie miała nic wspólnego z otaczającymi ich ciemnościami.

Przez głowę przemknął mu ustęp jednej z książek, jakimi przekarmiano go, aby mógł podjąć naukę w Eton: „Niechaj ci do snu nuca chóry niebian”.

Szekspir. *Hamlet*. Akt piąty, scena druga.

Zapamiętał autora. Zapamiętał tytuł książki. Zapamiętał akt i scenę.

151

Nie pamiętał jednak twarzy guwenera. Nie pamiętał twarzy swoich rodziców. Swoich sióstr.

Ten człowiek odebrał mu nawet wspomnienia.

- Skoro tak drżysz o swoich ludzi, Gabrielu, wynajmę wolnych strzelców.

- Nie możesz mieć obu rzeczy naraz.

Michael zeszywniał. Stał przodem do Gabriela.

- Czegóż to nie mogę mieć, *monfrerel* - zapytał miodowym głosem.

- Twoja śmierć nie uratuje Anne Aimes. Ciało Michaela przeszył zimny dreszcz.

- Skąd o tym wiesz?

- Jestem Gabrielem. - Michael nie musiał widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że maluje się na niej kpiący uśmiech. - Wysłannikiem Boga.

Anne krok po kroku wydobywała się z duszącej ciemności, która niewidzialną obręczą żelazną zaciskała się na jej piersiach i więziła uda. Od gorąca czuła mrowienie w karku. Odnosiła wrażenie, że tonie w ciepłym, przesączonym wilgocią powietrzu. Nieustanny rytmiczny szum w uszach tłumił dochodzący z oddali dźwięk ręcznego dzwonka.

Poprzez jej otępiały snem umysł przemknęły błyskawicą wspomnienia, oślepiające bryzgi kolorów, wdzierające się w szarość zalegającą pod zamkniętymi powiekami.

Karmazynowa krew. Pawi aksamit. Ciemny, pożyłkowany, zwieńczony przypominającą śliwkę koroną członek. Białe, wilgotne pióro. Złoczone naczynia z chińskiej porcelany. Czerwone wino burgundzkie...

W skroniach zaczęło jej pulsować. Mgliste, senne obrazy zaczęły wypływać na wierzch, tłumiąc dręczący ją tępy ból.

Michel drażnił ją winem...

Nie... drażnił ją butelką wina. Chłodne szkło ślizgało się i ślizgało, wchodziło w nią i wychodziło. Napełniało ją trunkiem.

Chłodne, nie gorące. Cienkie, nie grube.

Pił z jej ciała jak z najcenniejszego pucharu.

Anne poczuła rozkoszną lepkość między nogami.

I wiedziała, że to już nie jest sen.

Na języku wciąż miała smak burgunda, ciężki, słodki, z lekkim

odcieniem goryczy.

Otworzyła oczy.

Ramię otaczało jej piersi, noga przylegała do jej podbrzusza.

W jednej chwili pojęła, że to Michel ciężarem swego ciała przygważdża ją do materaca. Pojęła też, że do rzeczywistości przywołała ją własna żądza spełnienia, a nie dźwięk ręcznego dzwonka matki.

Ogarnęła ją czułość, a jednocześnie wróciły jasne jak kryształ wspomnienia widoku mężczyzny w całej okazałości, spojrzeń, jakie wymieniali, każdego słowa i dźwięku, niezmacone ani winem, ani snem.

Smakowała tego mężczyznę. Brała go do buzi. Doprowadziła do orgazmu.

A teraz spał twardo obok niej... Spał prawie na niej.

Nie mogła nawet wtulić się w niego w poszukiwaniu jedynej w swoim rodzaju bliskości. Intymności.

Czując się trochę oszukana, lekko zdezorientowana, zupełnie jakby każda część jej ciała stanowiła odrębną całość, nieśmiało wysunęła się spod ramienia i nogi Michela. Jej ciało i długie rozpuszczone włosy prześlizgnęły się po jedwabnym prześcieradle.

Jak niewiasta, która zawsze nosiła fryzurę upiętą w kok lub zaplecioną w skromny warkocz, może się czuć z rozpuszczonymi bezwstydnie włosami, rozsypanymi po pościeli? - nasunęła się Anne nagła refleksja. Wyzwolona z oszałamiających objęć mężczyzny,

odnosząc wrażenie absurdałnego wyuzdania, popatrzyła chłodnym okiem na Michela.

Na tle kremowego prześcieradła i jasnozielonej kołdry jego masywne ramię zdawało się jeszcze ciemniejsze. Lewy policzek przyciskał do poduszki, prawą stronę twarzy pokrywał poranny zarost. Powieki miał zamknięte, a rzęsy przypominały czarne wachlarze.

Wyglądał... bezbronie. Kusząco. Nie istniała zapewne kobieta, która by go nie pożądała.

A na następnych dwadzieścia sześć dni bez reszty należał do niej.

Kochanek starej panny!

Wstrzymując oddech w obawie, że go zbudzi, delikatnie dotknęła jego policzka.

Był szorstki. Przymilnie męski.

Przeciągnęła ostrożnie palcem po pokrytej bliznami twarzy.

153

Michel skrzywił się przez sen.

Anne cofnęła dłoń.

Nie chciała go budzić.

Miała inne rzeczy do zrobienia. Inne pola do popisu. Gdyby nie

Michel, nigdy nie odważyłaby się podjąć tych wyzwań.

Cicho wyślizgnęła się z łóżka.

Michael zacisnął dłoń na pomiętym prześcieradle, powstrzymując się, by nie wyciągnąć ręki i przyciągnąć do siebie Anne.

Tego ranka miała się po raz pierwszy obudzić w jego ramionach.

Poprzedniego dnia, kiedy już przekonał ją, by z nim została, opuścił sypialnię pod pretekstem, że musi załatwić pewne niecierpiące zwłoki sprawy osobiste.

Tak wielka intymność wciąż była dla niej czymś nowym. Musiała nawyknąć do niej.

Dobrze o tym wiedział, choć wcale nie musiał tego lubić.

Twarz wciąż paliła go żywym ogniem w miejscu, gdzie jej dotknęła. Szczeciny na policzku. Blizn.

Udając, że śpi, słuchał jej prawie bezszelestnych kroków, kiedy przechodziła przez pokój. Cichy szcęk drzwi do łazienki, a następnie kliknięcie zamykanego zamka. Kilka minut później do jego uszu dotarł stłumiony dźwięk spuszczonej wody. Jej cichy szum. Szelest wody w umywalce. Głośne stuknięcie szczoteczki do zębów o porcelanowy zlew.

Zwykłe poranne odgłosy.

Słyszał je już z tysiąc razy, gdy jego kobiety dokonywały porannej toalety.

Dianę podczas porannych ablucji śpiewała.

Anne dokonywała ich systematycznie, planowo, w taki sam sposób, w jaki zajmowała się nim.

Czy w jasnym świetle dnia doznała wstrząsu na wspomnienie dziwacznych praktyk seksualnych, jakim ją poddał?

Czy pamięta wszystkie szczegóły tak jak on?

Kiedy odkryją fakt zaginięcia Little'a?



Czy Anne pogrzeży się w żałobie po śmierci prawnika?

Czy pogrzeży się w żałobie po śmierci Michaela?

Otworzyły się drzwi łazienki.

Michael leżał nieruchomo, spięty, czekał na następny ruch kobiety.

154

Anne przemknęła przez pokój w stronę szezlongu. Zaszleściło ubranie - wełniane majtki, lniana koszula, płócienne halki. Wszystko to, co zdjął z niej, by wykazać zalety najlepszego wina.

Drżał z niecierpliwości.

Anne używała gorsetu, którego nie mogła samodzielnie zasznurować. Co więcej, jej suknia była zapinana od góry do dołu na plecach. Będzie musiała go obudzić, by pomógł się jej ubrać.

Skrzypnęły drzwi garderoby.

Michael nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że reszta jej odzieży, suknia, koszule, halki i stanik wiszą obok jego ubrań.

Szelest materiału.

Dźwięk kroków.

Cichy poświst sprężyn.

Wyobraził sobie Anne na obitym żółtym jedwabiem szezlongu.

Sztywną, podniszczoną suknię ma wysoko podciągniętą i smukłymi dłońmi naciąga cielistej barwy pończochy, a następnie zapina wokół swych kształtnych ud białe podwiązki.

Jego członek, będący dotąd w stanie półerekcji, wyprężył się do całej swej okazałości.

Michael oczyma wyobraźni śledził Anne, kiedy podchodziła do toalety.

Nie skomentowała ani słowem braku luster w jego domu. Nie uskarżała się też na inne niedogodności.

Zapewne kupi jej zwierciadło.

Natychmiast jednak odrzucił ten pomysł.

Anne wcale nie musi przeglądać się w lustrze. On będzie jej lustrem. Jej pokojówką. Wszystkim, czego sobie zażyczy czy będzie potrzebowała.

I nagle ogarnęły go wątpliwości.

Znalazła szczoteczkę do zębów, którą wypakowała Marie, jego gospodyni, ale na serwantce leżała tylko jedna szczotka do włosów.

Jego.

Pragnął, by Anne ujęła w dłoń rączkę rzeźbioną w bursztynie i zanurzyła włosie szczotki w swych bujnych puklach. Chciał, by przypomniała sobie, że ostatni raz tę bursztynową rączkę trzymał on.

Że poprzedniego dnia to on ją cesał.

I zamierzał to uczynić ponownie, kiedy Anne będzie już gotowa wrócić do łóżka, gdzie zaczną się oddawać porannym

155

przyjemnostkom.

Nie usłyszał nawet, kiedy kobieta sięgnęła po szczoteczkę. Dopiero gdy ją odkładała, dobiegł go cichy stuk bursztynu o drewno komódki. Po chwili ciszy rozległo się delikatne skrobanie. Anne zbierała szpilki do

włosów.

Na ustach Michaela zagościł lekki, pogodny uśmiech.

Układała sobie fryzurę bez pomocy lustra.

Może i Anne niewiele znaczyła, lecz z całą pewnością była niewiastą niezależną i samowystarczalną.

Pozwolił jej wyjść z sypialni na korytarz.

Najlepiej będzie, jak śniadanie zje w samotności - zdecydował.

Kiedy już miną skutki miłosnych uniesień i wina, które omroczyło jej umysł, stanie się bardziej ciekawska.

Michael rozluźnił się, pobudzony członek rozkosznie pulsował.

Ludzie Gabriela - oraz jego własna służba - zapewnią Anne bezpieczeństwo do chwili, kiedy on do niej dołączy.

Przewrócił się na plecy i odrzucił kołdrę. Uświadomił sobie nagle, iż jego erekcji nie powodowała tylko żądza.

Na szeszlunku leżał gorset Anne.

Oczy mężczyzny rozblęły rozbawieniem.

Jego nad wyraz poważna i zasadnicza stara panna naprawdę zaczęła przemieniać się w kobietę wyzwoloną.

W łazience zalegał głęboki półmrok, tak że wykonana z drewna orzechowego deska klozetowa była prawie czarna. Leżała płasko na muszli ozdobionej wymyślnymi wzorami z turkusu, wykonanej z porcelany w odcieniu kości słoniowej.

Podniósł deskę, napominając się w myślach, żeby później znów ją opuścić dla wygody Anne.

Dobrze sobie strząsnął, pociągnął za sznurek zakończony mosiężną gałką i podszedł do urny walki.

Obok pudełka z bibułkami leżały zapalniczki. Zaciskając z całych sił zęby, potarł zapalniczkę o draskę i zdjął szklaną osłonę z wiszącego nad umywalką mosiężnego kinkietu. Pośpiesznie przyłożył płomyk do knota i trochę niezdarnie założył klosik. To samo uczynił z drugim kinkietem, znajdującym się po lewej stronie umywalki.

Poprzedniego dnia, kiedy rozpałał w kominku w bibliotece, Anne zauważyła w jego oczach trwogę. Przynosiła mu wielką pociechę i ulgę, nie zdając nawet sobie sprawy z wiszącego nad jej własną głową

156

niebezpieczeństwa.

Zdmuchnął zapalniczkę i wrzucił ją do toalety.

Zatkał otwór w umywalce gumową zatyczką i odkręcił dwa kurki wykonane z kości słoniowej. Z mosiężnych kranów chlusnęła woda. W powietrzu zaczęły unosić się obłoczki pary. W bocznej szufladzie umieszczonej pod umywalką szafki z drewna burgundzkiego dębu znajdowała się miseczka do golenia, pędzel i brzytwa. Zanurzył pędzel w gorącej wodzie i zaczął wyrabiać pianę z kawałka mydła umieszczonego w miseczce. Odstawił naczynie na półeczkę z marmuru pokrytego złotymi żyłkami, zakręcił kurki i zanurzył twarz w wodzie. Z wprawą zaczął namydlać mokre policzki.

Nie zatrudniał osobistych służących. Nie znosił, kiedy ktoś patrzył na niego bez specjalnego powodu.

A raczej bardzo dbał o bezpieczeństwo swej krtani.

Otworzył brzytwę, ustawił ją pod odpowiednim kątem i zaczął golić szyję.

Wyobraził sobie, jak podrzyna tamtemu człowiekowi gardło.

Wyobraził sobie jego krew. Gorącą i śliską... o, tak... ale w niczym nie przypominającą seksu.

Rozkosz stanowiła część życia, nie śmierci.

Ogolił lewy policzek. Później prawy. Tu mógł wykonać jedynie sześć bardzo precyzyjnych pociągnięć ostrzem. Wciągnął usta i ogolił brodę. Przeniósł brzytwę nad górną wargę...

Nieoczekiwanie unosząca się w powietrzu para uformowała się w kształt zwęglonych ust Little'a.

Sukinsyn!

Zaciął się. Poczł łaskotanie krwi.

Ogarnął go nagły niepokój o Anne; musiał natychmiast do niej wracać. Szybko spłukał twarz wodą i wrzucił przybory do golenia do szufladki. Laseczka ałunu paliła ranę, fizyczne przypomnienie ognia, który trawił jego ciało i zabił Little'a.

Taki sam los czeka Anne, jeśli on jej nie obroni.

Szarpnięciem otworzył środkową szufladkę w szafce pod umywalką i skamieniał.

Ścisnęło mu się serce na widok zwykłej szczoteczki do zębów

Anne, szczoteczki z drewnianą rączką, wciąż jeszcze wilgotnej, leżącej obok jego szczoteczki, o trzonku z kości słoniowej.

Szybko umył zęby, wrzucił szczoteczkę do szuflady, zdmuchnął

157

lampy i ruszył w stronę drzwi...

Do licha!!!

Odwrócił się i gwałtownie opuścił deskę sedesu.

We włosiu szczotki zaplątało się pasmo włosów Anne.

Uzucie nieklamanej męskiej zaborczości minęło prawie natychmiast.

Kapelusz Anne zniknął.

Zniknęła również szpilka do kapelusza i spinki do przymocowywania go do włosów.

A przecież Anne, gdyby nie zamierzała opuszczać domu, zostawiłaby to wszystko w sypialni.

Raoul nie wiedział, że na jego pana w wynajmowanej stajni czeka pojazd ze stangretem.

Anne zatem odjechała dorożką.

Nie miała przy sobie nikogo, kto czuwałby nad jej bezpieczeństwem.

Michael pozbierał garderobę, którą po odejściu Gabriela rzucił niedbale na podłogę. Czas, jaki poświęcił na ubieranie się, odmierzało mu bijące dziko serce. Z prawym butem uporał się szybko, ale w lewym nie mógł rozplatać zawiązanego na supeł sznurowadła.

Niech to szlag!

Oczyrna duszy już widział Anne upchniętą w kufrze, choć dobrze

wiedział, że ten mężczyzna wcale nie zamierzał chować jej do kufra.

Supel w końcu puścił. Michael wsunął stopę do buta i znów zaczął w duchu przeklinać sznurowadło, które jak na złość nie dawało się zawiązać. Wybiegł z sypialni, stukot jego obcasów budził dźwięczne echa w pogrążonym w wiecznym półmroku korytarzu.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że stara panna powinna przebywać w pokoiku śniadaniowym. Wszak nie nałożyła gorsetu.

A kobiety pokroju Anne nigdy nie opuszczają domu bez tej części ubioru.

Ostatnie dwadzieścia siedem lat jednak nauczyły Michaela, że zdrowy rozsądek nijak ma się do rzeczywistości.

Zbiegając po schodach, przeskakiwał po trzy stopnie. Poślizgnął się.

Niech piekło pochłonie ten marmur! - pomyślał. Z całych sił chwycił balustradę, by odzyskać równowagę.

W foyer nie spotkał żadnego z lokai.

W niewielkim pokoju śniadaniowym też nikogo nie było.

158

Szarpnięciem otworzył drzwi do biblioteki.

Kompletnie zaskoczona nagłym pojawieniem się pana, Marie

wypuściła z ręki wykonaną z piór zmiotkę do kurzu.

- *Mafoi! Monsieur*, ależ mnie pan przestraszył! Praca zajmie mi jeszcze chwilę. Gdyby zechciał...

- Gdzie jest Anne? - przerwał jej bezceremonialnie.

W oczach gospodyni pojawił się wyraz pełnej dezaprobaty, lecz

natychmiast zastąpił go typowo celtycki stoicyzm.

- *Mademoiselle Aimes?* Tu jej nie ma.

Marie albo nie aprobowała Michaela za jego dawną profesję, albo nie aprobowała Anne.

A może po prostu nigdy nie aprobowała Michaela.

Jej poprzedni pracodawca był szlachcicem, człowiekiem otoczonym powszechnym szacunkiem.

„Każdego można kupić”.

Czy to mężczyznę, czy kobietę.

Na czoło wystąpił mu pot.

- Dokąd poszła?

Marie z godnością podniosła z podłogi zmiotkę i popatrzyła obojętnie na Michaela.

- *Je ne sais pas, monsieur.* Michael ze złością zagryzł usta.

- Czy rozmawiałaś z nią?

- *Non.*

- A Raoul?

- *Je ne sais pas.*

Nie wiem, nie wiem. Michael gotował się w środku ze złości i niepokoju.

Nie był pewien, czy gospodyni mówi prawdę, czy kłamie.

„Nie możesz mieć obu rzeczy naraz” - zakpił sobie z niego nad ranem Gabriel.

Michael odwrócił się na pięcie i szybko ruszył korytarzem. Serce



biło mu szybciej, niż stawiał kroki.

Gdzie się podział ten cholerny Raoul?! - myślał ze złością.

- Raoul! - ryknął, zatrzymując się u góry wąskich schodów prowadzących do kuchni.

Na dole pojawił się lokaj. W rękach trzymał lnianą ścierkę i srebrną tacę. W innych okolicznościach zdumienie Raoula wywołałoby na

159

twarzy Michaela uśmiech. Zawsze uprzejmy, elegancki i

wyrafinowany Michel des Anges nigdy nie podnosił na służbę głosu.

Raoul szybko wbiegł po schodach. W jego oczach malował się nieskrywany lęk.

- *Pardonnez-moi, monsieur*, ale właśnie z jednym ze służących polerujemy srebra i...

- Gdzie jest *mademoiselle Aimes*? - przerwał mu Michael.

- Wyszła

z

domu,

*monsieur*.

Czyżby przekupiono również Raoula?

Z najwyższym trudem Michael zapanował nad sobą.

- Dokąd?

- Nie powiedziała. Wezwałem dorożkę...

Michael na sztywnych nogach ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

Na ulicy nie było ani jednego przechodnia. Nie czaił się nikt

przebrany za ulicznego zmiataacza, obwoźnego tapicera czy domokrążcę.

Jego miejskiego domu nikt nie pilnował.

W pierwszej chwili pomyślał, że ludzie Gabriela zostali zamordowani.

Prawie modlił się w duchu, by tak właśnie było.

Ale nie było.

Zbyt późno dotarł do niego prawdziwy sens ironicznej uwagi

Gabriela, że jest wysłannikiem Boga.

Ale to nie Bóg go zesłał.

Gabriel nie wysłał ludzi, którzy strzegliby zarówno domu Michaela, jak i Anne.

- „Każdego można kupić” - oświadczył Gabrielowi Michael.

Teraz zastanawiał się, jaka była cena Gabriela.

Anne spoglądała na migotliwy krąg światła na suficie i starała się nie myśleć o dotykających jej ciała palcach mężczyzny, który nie był Michele. Panującą w pokoju zabiegowym ciszę mącił jedynie syk i chrobot gazowej lampy. Anne czuła, jak bijące od niej ciepło owiewa części jej ciała, które nigdy nie powinny być aż tak obnażane.

Przysięgała sobie kiedyś, że nigdy nie zgłosi się na wizytę u

160

lekarza. Nie pozwoli, by medyk dotykał jej, poszturchiwał i sprawiał ból, jaki był udziałem jej rodziców.

A jednak leżała na obitym skórą stole, ubrana jedynie w obszerną, białą koszulę, z nogami uwięzionymi w metalowych uchwytach, a lekarz dotykał jej, szturchał, i choć tak naprawdę nie sprawiał bólu, generalnie doświadczenie to było bardzo nieprzyjemne.

- Pani Jones, zamierzam teraz wprowadzić do pani pochwy wziernik. Będzie trochę szczypać. Proszę się rozluźnić. Nie potrwa to długo.

Anne drgnęła i skrzywiła się. O tak, szczypało jak wszyscy diabli.

Przez chwilę zastanawiała się, co by gospodyni jej domu w Dover powiedziała na to, że Anne podszyła się pod jej nazwisko.

Wbiła paznokcie w zimną skórę stołu.

Wziernik był chyba jeszcze twardszy od szkła. I zimniejszy.

Zupełnie nie pasował do wnętrza podstarzałej panny.

Serce rozpaczliwie obijało się jej o zebra. Chciała krzyknąć. Chciała

uciec. Ale nie było ucieczki od poniżenia, jakie ją właśnie spotykało.

Przed oczyma stanął jej Michel. Co sobie pomyślał, gdy po przebudzeniu odkrył, że odeszła?

Przypomniała sobie dawnego londyńskiego lekarza rodziców i jego gwałtowną reakcję, kiedy zapytała go o środki, które umieszczone w ciele kobiety uniemożliwiają zajście w ciążę. Jego asystentka, kiedy wyprowadziła już ją z gabinetu, przyciszonym głosem podała Anne imię, nazwisko i adres ginekologa należącego do nowej generacji lekarzy, którzy zajmowali się intymnymi sprawami kobiet.

Doktor Joseph Atwood.

To, co Michel nazwał rzeczą, ginekolog nazywał diafragmą.

Dawny lekarz jej rodziców wygłosił z patosem tyradę, że tego rodzaju profilaktyka doprowadzi niewieści ród do kompletnego upadku w szczególności, a całe społeczeństwo generalnie. Doktor Atwood natomiast uważał, iż domaganie się środków zapobiegających zapłodnieniu jest niezbywalnym prawem kobiet.

I zapewne miał rację.

Skoro ona, zwyczajna, zaniedbana stara panna poszukiwała środków antykoncepcyjnych, to co dopiero mówić o innych kobietach?

- Może już pani usiąść, pani Jones.

161

Anne wyciągnęła stopy z metalowych uchwytów i usiadła.

Ginekolog pochylił się nad metalowym zlewem obok stołu; jego

tweedowy surdut napiął się na plecach. Zadźwięczał metal o metal.

Szum wody. Po chwili lekarz sięgnął po złożony biały ręcznik i wytarł dłonie. Wrzucił go do kosza z pokrywą i odwrócił się z uśmiechem w stronę Anne.

Miał miłe, pełne ciepła, brązowe oczy i łagodne spojrzenie.

Nieoceniające.

Zupełnie jakby nie dostrzegał, że kobieta nie nosi obrączki.

- Pielęgniarka pomoże się pani ubrać.

Nie potrzebowała pomocy. Przecież nie miała gorsetu.

- Nie trzeba- odrzekła, zaciskając dłonie na krawędzi stołu.

- Doskonale. Kiedy już będzie pani gotowa, proszę do mego gabinetu.

Szybkim, zdecydowanym krokiem opuścił mały pokój zabiegowy.

Anne szybko nałożyła na siebie bieliznę. Wydawało się, że upłynęły całe dni, a nie godziny od chwili, kiedy ubierała się w sypialni

Michela, podczas gdy on, nieświadomy jej zamiarów, pogrążony był w głębokim śnie.

Czy będzie rad z tego, co zrobiłam? - pomyślała.

Pospieszenie zapięła czarny wełniany stanik.

Drżały jej dłonie. Drżało jej całe ciało!

Z radości, że zwyciężyła... że pokonała własny lęk.

A może drżała z upokorzenia, że musiała pokazać swe ciało innemu niż Michel mężczyźnie.

A może drżała z oczekiwania na chwilę, kiedy Michel znów w nią

wejdzie i nie będzie ich od siebie oddzielać guma.

Na drzwiach wisiało lustro.

Anne miała zaróżowione policzki.

Wyglądam prawie pięknie - pomyślała. Z naprędce upiętego koka

wymykało się kilka kosmyków, dodając jej twarzy uroku.

Poprawiła we fryzurze parę wysuniętych spinek, a następnie

nałożyła czarny kapelusz bez piór i przypięła go długą szpilką.

Sięgnęła po czarne rękawiczki i wyszywaną perełkami torebkę,

spoczywające na lśniącym metalowym stoliku. Zaczerpnęła głęboko

tchu i pchnęła drzwi.

Doktor Atwood z pochyloną łysiejącą głową siedział za masywnym

162

biurkiem o blacie z czarnego marmuru. Z sufitu zwieszał się syczący i

parskający gazem żyrandol, a przez okno za plecami lekarza widać

było posępne, szare niebo.

Zanosiło się na deszcz.

Od strony ulicy dobiegało, stłumione szybą w oknie, skrzypienie kół

przejeżdżających pojazdów. W hałas ten wplątały się okrzyki

ulicznych sprzedawców i skrobanie stalówki, którą doktor pisał coś na

kartce papieru.

Obok jego łokcia leżało niewielkie, różowe pudełeczko blaszane, a

dalej woskowy, cielistego koloru model przypominający rysunki z

podręcznika medycyny Anne. Przypominał...

Twarz oblał jej gorący rumieniec.

Był to model wewnętrznych organów kobiety.

Lekarz podniósł głowę.

- Proszę usiąść, pani Jones.

Anne przycupnęła na skraju czarnego, obitego skórą fotela z oparciami i odwróciła głowę, by nie patrzeć na model anatomiczny.

Ginekolog wziął w lewą dłoń kolisty kawałek gumy w oprawce.

- To właśnie jest diafragma. - Palcem prawej ręki wskazał otwór w woskowym modelu. - To jest szyjka macicy. Krążek nakłada się na szyjkę macicy... o, tak. Przylega do niej jak kapturek. Aby uchronił przed zapłodnieniem, należy założyć go przed stosunkiem i musi pozostać na miejscu przez co najmniej sześć godzin po akcie.

Anne zacisnęła dłonie na torebce. Lekarze jej rodziców nigdy nie mówili tak otwarcie.

- Rozumiem.

- Kiedy kobieta unosi nogi, pochwa ulega skróceniu. - Atwood odłożył gumowy krążek na stół. - Najłatwiej włożyć krążek w pozycji kucznej albo stojącej. Wtedy należy unieść kolano, a stopę oprzeć na taborecie lub krześle.

Anne gwałtownie uniosła głowę. Instrukcje ginekologa były dokładne i rzeczowe, ale...

- W jaki sposób kobieta ma umieścić krążek w... sobie?

- Za pomocą palców, pani Jones.

Wydawało się, że w jego brązowych oczach zamigotały wesołe ogniki. Albo też była to tylko gra wyobraźni bardzo skrepowanej i

zawstydzonej Anne.

163

- Tak, rozumiem.

Doktor Atwood wręczył jej różową puszkę.

- W środku jest krążek. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Anne wzięła pudełko i wsunęła je do torebki. Metal zadźwięczał o metal. Puszka z kodomami! Wstała; jej halki i suknia zaszeleściły.

- Nie, już wszystko wiem. Dziękuję, panie doktorze. Okazał się pan bardzo pomocny.

Podał jej kartkę, na której pisał coś, kiedy weszła do gabinetu.

- Oto rachunek. Proszę uregulować go u mojej sekretarki.

W poczekalni ginekologa przebywały cztery kobiety – trzy pacjentki i sekretarka.

Wszystkie były dużo młodsze od Anne. Dwie pacjentki były w widocznej ciąży.

Siedziały sztywno wyprostowane na obitych skórą krzesłach, dłonie miały złożone na torebkach.

Anne próbowała sobie je wyobrazić, jak proszą doktora o krążki.

Nie potrafiła.

Próbowała sobie je wyobrazić w objęciach mężczyzn.

Również nie potrafiła.

Sekretarka o kasztanowych włosach bez śladu siwizny przesłała jej uśmiech. Na palcu jej lewej dłoni lśniła złota obrączka.

- Proszę



do

nas

wracać,

pani

Jones.

Anne stłumiła w sobie poczucie winy.

Brzydziła się kłamstwem. Bez względu na okoliczności.

Skinęła w milczeniu głową i zdjęła z wieszaka płaszcz. W stojaku zauważyła sześć parasoli.

Na końcu mrocznego korytarza otworzyły się druciane drzwi i wyszły z nich dwie kobiety. Pochylając do siebie głowy, rozmawiały cicho.

Anne minęła je. Poczła się nagle bardzo odważna i nowoczesna.

Śmiało weszła do wykonanej z metalowej siatki windy i skinęła na mężczyznę w wiśniowej, bogato szamerowanej złotem liberii.

Kiedy drucziana klatka ruszyła w dół, Anne na chwilę straciła dech.

Minęły całe lata od chwili, kiedy po raz ostatni jechała windą. Z każdym mijanym piętrem czuła się lżej.

Uśmiechnęła się do siebie.

Czuła uniesienie. Duchowo w niczym już nie przypominała

164

podstarzałej panny. Wszystkie te lata, podczas których towarzyszyły jej wyłącznie choroby i śmierć, w jednej chwili starte zostały za pomocą jednej kolistej gumki.

Na dworze powietrze przesączała wilgoć.

Ulice były zatłoczone pojazdami różnych rozmiarów i przeznaczenia.

Na chodnikach mrowił się tłum przechodniów, podążających przed siebie bez rozglądania się.

W przeciwieństwie do Anne, wszyscy mieli parasole. Złożone, lecz gotowe w każdej chwili do otwarcia. Pogoda była bardzo niepewna.

Anne była już przygotowana na przyjęcie mężczyzny, który został jej kochankiem.

Poczuła osobliwy skurcz serca na wspomnienie słów, które napisała w liście do swego prawnika, by rozproszyć jego obawy. Naprawdę jeszcze nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Nagle całą duszą zapragnęła być już z Michelelem, by zastąpić dotyk ginekologa jego dotykiem.

Jeśli się pośpieszy, zdąży przed deszczem złapać dorożkę.

Szybko zbiegła po schodkach. Jej uwolnione z gorsetu piersi falowały w sposób nielicujący żadnej starej pannie. Biegiem wyminęła grupę młodych mężczyzn w ciemnych, poważnych ubraniach, zapewne studentów medycyny. Szpital znajdował się tuż za rogiem...

Straszliwy żar eksplodował jej między łopatkami. Straciła dech.

Anne, jak wyrzucona z katapulty, poleciała na ulicę, wymachując ramionami, próbując w ten sposób złapać równowagę.

Wszczął się ruch, narastał nieznośny hałas. Prosto na nią pędziła dorożka *clarence*. Skądś dobiegł dziki wrzask:

- Dzie liziesz, gupia krowo!

Dzwonił Big Ben.

Ujrzała przerażający widok stojącego na koźle woźnicy, który usta miał rozwarte w krzyku. Nagle był bez kapelusza, jakby porwała go czyjaś niewidzialna ręka.

Rżenie konia.

Anne spoglądała prosto w czarne oczy tkwiące w białym morzu przerażenia.

Ciągnące pojazd zwierzę wiedziało, że zderzenie z kobietą jest nieuchronne, lecz nie mogło się już zatrzymać.

Anne również nie miała możliwości ucieczki.

Stratują mnie końskie kopyta! - pomyślała w paraliżującym

165

rozbłysku pełnej świadomości.

Zgroza nadchodzącej śmierci mieszała się z odrętwiającym niedowierzaniem.

Nie mogła umrzeć. Nie teraz.

Nie miała na sobie gorsetu.

Nie wypróbowała krążka!

Przed oczyma przelatywały jej obrazki z całego życia.

Ujrzała dawnego lekarza swych rodziców, jego nabiegłą z furii krwią twarz: „Obrażasz własną pleć, panno Aimes, obrażasz mnie swoją obecnością”.

Ujrzała Michela i jego twarz oświetloną promieniami porannego

słońca: „Zostań ze mną albo oboje do końca życia będziemy żałować

swej decyzji".

Ujrzała matkę, która wyciągała do niej zdeformowane artretyzmem  
ręce.

Przyzywająco.

Błagalnie.

- Dawaj tu!

Między jednym mrugnięciem oka a drugim, kiedy widziała czarne, nabiegłe krwią oczy konia, została odciągnięta z trasy szarżującego zwierzęcia. Koń przemknął obok, koła dorożki smagnęły poły jej płaszcza. Do szyby pojazdu od środka przylepiona była widmowa twarz;

Anne na ułamek sekundy napotkała wzrok czyichś przerażonych oczu.

I nagle otworzyło się nad nią niebo. Czterokołowy pojazd

znikł. Szary, wymieszany z sadzą wielkiego miasta deszcz rosił twarz

Anne, zmniejszając ostrość widzenia.

A Big Ben bił i bił.

Żałobne dzwony.

Podczas pogrzebu rodziców również biły dzwony wiejskiego kościoła. I również padał deszcz.

Na środku ulicy leżał czarny melonik woźnicy. Koła powozu rozjechały go na placek.

Anne gwałtownie się odwróciła - serce waliło jej jak młotem, coś dławilo w krtani - i stanęła oko w oko z niechlujnym mężczyzną w

166

nieokreślonym wieku. Spod zniszczonego, postrzępionego kaszkietu sterczały mu potargane kosmyki przetłuszczonych, brązowych włosów. Na twarzy pokrytej smugami zastarzałego brudu błyszczały kropelki deszczu.

- Stamtund się już nie wraca, paniusiu - odezwał się surowym

tonem. - Na środku drogi wydarłoby z ciebie bebechy. Tegu chciałaś?

Plecy paliły ją żywym ogniem, pulsowały bólem, płuca domagały się powietrza. Od środka trawił ją żar, rozlewając się falami po całym ciele.

O mało nie została zabita, a ten... ten obdartus myśli, że specjalnie wskoczyła pod rozpędzoną dorożkę.

Anne otworzyła usta, by na niego wrzasnąć, ona, która nigdy w gniewie na nikogo nie krzyczała. W ostatniej chwili poskromiła język, bo ostatecznie człowiek ten uratował jej życie.

Zacisnęła zęby.

Ogłuszające bicie Big Bena nagle ustało. W końcu udało się jej zaczerpnąć powietrza. Drażniący uliczny hałas wypełnił jej uszy.

Anne odzyskała nad sobą kontrolę, znów, jak zawsze, patrzyła czujnie.

Na nieznanego, który chciał wyrządzić jej krzywdę.

Na ludzi, którzy śmieli się z jej niezdarności.

Przechodnie mijali ich pośpiesznie, nie zwracając uwagi na żaloszny spektakl, który dał im jakiś włóczęga i samotna, rozczochrana kobieta.

Twarze osłaniali czarnymi parasolami, które jeszcze przed chwilą były złożone w oczekiwaniu na... na co? Na

deszcz? Na interesujące widowisko? Czy uciekali, by schronić się

przed zimnym deszczem? A może jak najszybciej oddalić się od

miejsca wypadku, który o mało nie zakończył się tragicznie?

Istniała tylko jedna osoba, która znała całą prawdę.

W przymglonym brudnym deszczem powietrzu błysnęło lecące szerokim łukiem srebro. Obdarty zbawiciel Anne z cyrkową wprawą chwycił rzuconą monetę.

- Możesz już odejść. - Głos, który dobiegł z za pleców Anne, był zimny. Twardy. Głos mężczyzny przywykłego do wydawania rozkazów. - Pani jest bezpieczna.

Obdarty wykrzywił twarz w uśmiechu i puścił do Anne oko.

Podniósł z chodnika wytartą miotłę, odwrócił się i szybko odszedł.

167

Anne zaświtało w głowie, że ból między łopatkami mogło spowodować bardzo silne pchnięcie czubkiem parasola lub trzonkiem miotły.

Ruszyła za oddalającym się włóczęgą.

- Ej, zaczekaj...

- Powiedziałem, że jest pani bezpieczna.

Obdarty mężczyzna zniknął za murem ciemnych płaszczy i czarnych parasoli przechodniów.

Anne odwróciła się tak gwałtownie, że zafurkotał jej grenadynowy płaszcz; zafalowały nie podtrzymywane gorsetem piersi. Nieznajomy najwyraźniej nie rozumiał, że została wepchnięta pod pędzący pojazd.

I ktoś to zrobił. Bardzo możliwe, że ów uliczny zamiatacz, którego on nagroził srebrem.

- Tamten człowiek... - zaczęła i słowa uwięzły jej w gardle.

Uroda stojącego przed nią mężczyzny zapierała wprost dech w

piersiach, choć deszcz przemoczył jego modny melonik i osiadał srebrzystymi kroplami na twarzy. Miał na sobie wytworny dwurzędowy płaszcz z szarej wełny najwyższego gatunku. Ale to nie uroda i elegancki ubiór nieznanego sprawiły, że Anne zaniemówiła.

Spoglądał na nią obojętnie srebrnoszarymi oczyma.

- Pani coś mówiła? - spytał uprzejmie.

Chłodny deszcz osiadał na jej rozpalonych policzkach.

Wprawdzie

w

mrocznym,

zadymionym

pomieszczeniu,

rozświetlanym jedynie blaskiem świec, wokół jasnych włosów tego człowieka tworzyła się świetlista aureola, a szare oczy były prawie czarne, to Anne nie miała najmniejszych wątpliwości, kto przed nią stoi.

To ten człowiek powitał ją w progu „Domu Gabriela”, a następnie zaprowadził do stolika Michela.

Serce biło jej jak oszalałe.

Czy ich śledził?

Czy śledził ją?

W okrytych czarnymi rękawiczkami dłoniach trzymał niedbale srebrną gałkę laski.



Czy to on ją popchnął?

- Ma

pani

szczęście,

że

nie

świsnął

torebki.

168

Anne przypomniała sobie, że ma w niej krążek.

Pasek od torebki miała owinięty wokół nadgarstka, w przeciwnym

razie torebka podzieliłaby los leżącego na środku ulicy czarnego

melonika woźnicy.

Kompletnie już rozjechanego przez koła licznych pojazdów.

Przycisnęła czarną, wyszywaną perełkami torebkę do piersi.

- Słucham...?

- Szumowiny często tak robią, ale ten pchnął panią.

Przez krótką chwilę Anne nie wiedziała, czy łaskocze ją w plecy

strach, czy krople deszczu, które dostały się za kołnierz.

Dała krok do tyłu.

- Widział pan to? - spytała.

Siłą woli powstrzymała się, by nie dodać: „I pozwolił mu pan

bezkarnie odejść?"

On dał krok do przodu.

- To powszechny zwyczaj, praktykowany przez takich szubrawców.

Popycha taki kobietę lub starszego dżentelmena, po czym natychmiast ich „ratuje”, a w nagrodę dostaje monetę. Nic nikomu się nie stało, a on kupi sobie dżin i chleb, dzięki czemu przeżyje kolejny dzień.

Ależ ona naprawdę o mało nie zginęła!

Pamiętała lęk malujący się w oczach spłoszonego konia.

Pamiętała przerażenie, jakie ogarniało ją na myśl, że za chwilę umrze.

Nie poddawszy próbie krążka!

Starła się zachować spokój i zdrowy rozsądek, jakim się zawsze chlubiła, zanim rozpoczęła swą przygodę z Michelelem des Anges.

- Rozumiem - powiedziała. Rozmawiał z nią, jakby była to rzecz codzienna, że dobrze sytuowany mężczyzna zagaduje na ulicy nieznajome kobiety. Ale może w Londynie tak właśnie było? - Jeśli pan pozwoli, oddalę się jednak w swoją stronę.

- Doznała pani szoku. W pobliżu jest cukiernia. Proszę, by zgodziła się pani przyjąć zaproszenie na filiżankę herbaty.

Anne znów dała krok do tyłu.

- Dziękuję, ale nie jest to konieczne.

Przystojny, elegancki nieznajomy nieubłaganie za nią podążał.

- Przeciwnie, to jest konieczne.

Teraz już wiedziała, że jej plecy mrozi strach, a nie zimne krople deszczu. Była zdrętwiała z przerażenia.

- Doprawdy, nie musi pan się fatygować...

- *Mademoiselle*, jestem przyjacielem Michela. Byłby bardzo niezadowolony, gdyby dowiedział się, że nie zatroszczyłem się o panią.

*Mademoiselle!*

Mężczyzna nie miał francuskiego akcentu. Dopóki nie odezwał się po francusku.

Michel również nie miał francuskiego akcentu. Dopóki nie odezwał się po francusku.

Na rogu ulicy dwie kobiety i mężczyzna czekali na omnibus.

Unikając wzroku Anne, odwrócili się do niej plecami i zasłonili parasolem.

Anne ponownie cofnęła się o krok. Wyprostowała się. Nie była tchórzem.

- Powiem *monsieur* des Anges o pańskich dobrych chęciach.

Jasnowłosa mężczyzna zbliżył się, w chłodnym powietrzu z ust wydobywały mu się srebrzyste obłoczki pary.

- *Mademoiselle*, czy nie zechciałaby pani dowiedzieć się czegoś o Michelu?

Anne wciąż się cofała.

- Przyjaciele nie rozpowiadają o sobie plotek, *monsieur*. Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

- Ja również go kocham, *mademoiselle*. Mżawka przeszła w ulewę.

Żaden piorun nie zapowiedział zmiany. Żadna błyskawica. Po

prostu coś między nimi zaiskrzyło.

Anne przestała się cofać. Popatrzyła na nieznanego szeroko rozwartymi oczyma.

Nigdy w życiu nie słyszała, by ktokolwiek wyznał komuś miłość.

Ani męż zonie. Ani matka dziecku.

Zimny deszcz zacinał ją w twarz.

- Nie kocham *monsieur* des Anges.

Po jasnych włosach mężczyzny spływały strumyki wody, skapując na twarz o nieskazitelnej urodzie.

- Kobieta, która choć raz była z Michелеm, nie może go nie pokochać, *mademoiselle*.

Nie musiał dodawać, że Michel nie kochał żadnej z nich. Dla niego wciąż istniała tylko jedna.

170

Ale ona już nie żyła.

Krople deszczu kapały z runda okrągłego, czarnego kapelusza pilśniowego, pozbawionego piór. Co Michel zrobił z piórem po tym, jak doprowadził mnie do orgazmu? - pomyślała bezsensownie.

- Czy teraz pójdzie pani ze mną?

Z runda czarnego melonika nieznanego również kapała woda.

- Pójdę.

Wielki Boże!

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że brodawki piersi mogą naprężyć się pod wpływem strachu. A jednak stwardniały.

- Oczywiście, że nie - skłamała.

- A więc wstydy się pani pokazywać publicznie w towarzystwie przyjaciół Michela?

Michel, kiedy wyraził przekonanie, że Annę zapewne brzydzi się dotyku jego spalonej skóry, sądził, że go odrzuci.

Nagle poczuła się śmieszna - stoi oto w deszczu na środku ulicy, bez parasolki.

Na kark opadały jej kosmyki mokrych włosów.

Czego się bała?

Na kobietę w jej wieku nie połakomiłby się żaden mężczyzna, zwłaszcza że była niestarannie ubrana i miała potargane włosy.

Poza tym w miejscu publicznym ze strony nieznanego nic jej nie groziło.

Podobnie jak ze strony ulicznego włóczęgi - zakpiła sama z siebie.

Zadrzała.

Była przemoczona. Zmarznięta.

I paliła ją ciekawość, co nieznanomy ma jej do powiedzenia o Michelu.

- Doskonale, *monsieur*. Chętnie napiję się herbaty.

- Dziękuję. - Nawet nie podał jej ramienia. - Restauracja jest tam.

Jest wzrostu Michela. Może nawet wyższy - pomyślała Annę, próbując dostosować kroki do jego kroku. Obaj poruszali się z takim samym wdziękiem.

Na ulicy było coraz mniej przechodniów. Światło gazowych latarni

padało na wystawy sklepów. Za zmoczonymi deszczem szybami  
majaczyły niewyraźnie twarze sprzedawców i klientów -  
nieświadomych istnienia Annę Aimes, nieświadomych tego, skąd

171

przyszła i dokąd zmierza.

Krople deszczu ściekały jej po twarzy, wpadały za kołnierz.

Ogarnęło ją przerażenie.

Każdy przyznałby, że kobieta nie mająca gorsetu, nosząca w torebce  
krążek i kondomy nie zasługuje na lepszy los. Co gorsza, miałby rację.

Z całą pewnością Michela znało wielu mężczyzn, którzy nie żywili do  
niego przyjaznych uczuć.

Zapewne ten mężczyzna o srebrzystych oczach towarzyszył jej od  
chwili, gdy wróciła do domu, by przebrać się. Towarzyszył jej też, kiedy  
jechała do prawnika.

Zapewne wiedział, kim jest.

Zapewne pan Little dostał już list z żądaniem pieniędzy za swoją  
klientkę.

Nieznajomy przystanął. Po alabastrowej skórze jego twarzy spływały  
strużki wody.

- Boi się pani, *mademoiselle* - stwierdził cicho. - Każda kobieta w  
takich okolicznościach bałaby się obcego mężczyzny.

Annę wstrzymała dech.

Nieznajomy odwrócił się i pchnął masywne drewniane drzwi.

W twarz Annę uderzył zapach świeżo pieczonego ciasta i parzonej

kawy. Zatłoczoną kawiarnię oświetlały gazowe lampy o kulistych szklanych kloszach. Zapłakało jakieś dziecko. Rozległ się dźwięczny śmiech kobiety. Dobiegały ochryple głosy mężczyzn.

Annę stała bez ruchu.

- Jest tu pani bezpieczna, *mademoiselle* - powiedział nieznajomy, taksując ją uważnym spojrzeniem. - Marzę o gorącej herbacie. Myślę, że i pani bardzo się przyda.

Zdesperowana Annę zacisnęła usta i weszła do środka.

Między pomalowanymi na biało żeliwnymi stolikami krążyli kelnerzy w białych fartuchach. Robotnicy zatrudniani za dniówkę, urzędnicy i pracownicy okolicznych firm siedzieli obok siebie. Słysząc było śmiech kobiet. Jakaś niewiasta karmiła niemowlaka. Dwójka dzieci biegała wokół stolika, przy którym ich matki - czy też bony - nad imbrykiem herbaty przeczekiwały deszcz.

Annę nieco się rozluźniła.

Nie był to żaden modny lokal i zapewne nikt jej tu nie rozpozna.

Nieznajomy wskazał wolny stolik w głębi lokalu.

172

Jeśli się odważysz - mówiły jego oczy, spoglądające wyzywająco.

Uprzejmie odsunął krzesło.

- Proszę usiąść - powiedział.

- Dziękuję.

Annę usiadła na skraju twardego metalowego krzesła, po czym niezdarnie uniosła się, by mężczyzna mógł dosunąć krzesło do stołu.

Turniura boleśnie wpiła się jej w pośladki.

Wyprowadzał ją z równowagi nieustanny hałas wywoływany przez rozbrykane dzieci.

Zagryzła wargi. Wciąż czuła na twarzy i szyi krople zimnej wody. Na kark opadały jej kosmyki mokrych włosów, które wysunęły się z koka.

Na blat stolika opadł czarny melonik - mokra czerń na łuszczącej się bieli. Nieznajomy zajął miejsce naprzeciwko niej. Jego włosy, chronione przed deszczem kapeluszem, połyskiwały żywym złotem. Bez słowa podał jej chusteczkę do nosa.

Annę automatycznie wytarła nos i policzki i chciała mu oddać chusteczkę.

Alenie wziął jej.

Annę cofnęła rękę.

- Wypiorę ją i oddam - oświadczyła krótko.

- Mam bardzo dużo chustek, *mademoiselle*. Zapewniam, że stać mnie na stratę jednej z nich.

Nie zwracał uwagi na otaczający ich gwar. Najwyraźniej czuł się dobrze pośród przedstawicieli niższych warstw społecznych Londynu.

Powoli ściągnął skórzane czarne rękawiczki. Miał długie i kształtne palce. Nieskazitelne dłonie, tak samo nieskazitelne jak jego twarz. Z pewnością jego ciało również było nieskazitelne.

Zacisnęła dłoń na mokrej bawełnianej chusteczce. Nie wiedziała, co jest bardziej wilgotne - chustka, którą ścisnęła w dłoni, czy jej czarne jedwabne rękawiczki.



- Czy uprawia pan tę samą profesję co *monsieur des Anges*? -

spytała zadziornie.

Na dźwięk własnego, tak niedelikatnego pytania, poczerwieniały jej koniuszki uszu.

- Obaj lubimy kobiety. - Położył rękawiczki na kapeluszu

i wbił w Annę nieruchomy wzrok swych srebrzystoszarych

oczu. - Mówią, że jestem równie dobry jak Michel. Nie chciałaby pani się przekonać?

173

Na policzkach Annę wykwitły gorące rumieńce. Wzdłuż ciała przeszła jej fala gorąca. Gwałtownie odsunęła stolik, którego nogi zazgrzytały na kamiennej posadzce.

- Pan mi ubliża, sir!

- Po prostu spytałem, *mademoiselle* - odparł spokojnie. - Szukała pani Michela. Dlaczego nie mnie?

„Dlaczego nie mnie!”

Jego słowa dotarły do niej poprzez panujący w kawiarni gwar, poprzez piskliwe śmiechy i szczebiot rozbawionej dziatwy.

W na pozór spokojnym głosie nieznajomego wyczuła bezmiar bólu i goryczy.

Skrzywdzony, piękny i dobry mężczyzna.

Skrzywdzony Michel. Okaleczony ogniem.

Skrzywdzona Annę. Podpierająca ściany panna, kwiat, który nigdy nie rozkwitł.

Nieprawdopodobne, ale cała ta trójka pragnęła tego samego - by ktoś ich potrzebował.

Podłoga zakołysała się pod nią na myśl, że mogłaby być z towarzyszającym jej mężczyzną. Za pieniądze.

Gdyby go pragnęła.

Podłoga natychmiast wróciła na swoje miejsce, gdy Annę uświadomiła sobie, że brodawki jej piersi twardnieją z zimna, nie z pożądania.

- Widziałam Michela podczas mego debiutu towarzyskiego w Londynie - wyjaśniła cicho.

Czekała na odpowiedź, wciąż gotowa do ucieczki.

- A gdyby pani ujrzała wówczas mnie, kogo by pani wybrała?

W głosie nieznajomego wyczuła osobliwy ton. Bądź szczerą - mówił jego głos.

Zasługiwał na uczciwą odpowiedź. Annę odważnie popatrzyła mu w oczy.

- Michela.

- Dlaczego?

- Jego oczy - odparła szczerze. - Ta widoczna w nich pasja... Spoglądał płonącymi oczyma, lecz Annę nie dostrzegła w nich żadnej pasji.

Michel oświadczył jej, że pociągają go seksualne potrzeby kobiety. Nie miała jednak zielonego pojęcia, co pociąga mężczyznę siedzącego

naprzeciwko niej.

- Czego pani sobie życzy, *mademoiselle!* - spytał cicho. Cofnęła gwałtownie głowę na tak dwuznaczne pytanie.

- Już powiedziałam, *monsieur*.

- Ale nie powiedziała pani kelnerowi, czego sobie pani życzy.

Annę nagle zdała sobie sprawę z obecności młodego, jasnowłosego kelnera, który stał w odległości kilku kroków od stolika. Sprawiał wrażenie, jakby bał się podejść bliżej.

Wyraźnie drżał.

Michel zapewnił jej zarówno przyjaźń, jak i najgłębszą intymność.

Rozmawiając o nim z nieznajomym, dopuści się zdrady. Nie rozmawiając, nie dowie się o nim wielu rzeczy.

- Herbatę proszę.

- Służę, proszę pani.

Oczy nieznajomego znów rozbłyły.

- Dla mnie to samo.

Kelner oddalił się pośpiesznie, jakby goniła go sfora psów.

- Czy pan również pokazuje kobietom anioły? - zapytała zuchwale Annę.

Próbowała przeniknąć przez maskę, pod którą krył się człowiek udający przyjaciela Michela, choć tak bardzo się od niego różnił.

- Nie. - Skrzywił usta w parodii uśmiechu. - Tylko jeden człowiek znany jest z tego, że potrafi zadowalać kobiety.

Annę nie zdołała nad sobą zapanować; na policzki znów wypełzły jej

krwiste rumieńce.

- A jednak powiedział pan, że jest w tym równie biegły. Jak się pan nazywa?

Z twarzy nieznanego znikł uśmiech.

- Nazywam się Gabriel, *mademoiselle*. Gabriel!

- Jest pan właścicielem „Domu Gabriela”?

- Tak. Ogarnął ją wstyd.

- A zatem... zatem pan osobiście nie nagonia sobie klientów?

- Już nie - burknął. Nie spuszczał z niej zimnego wzroku. - Interes

kręci się sam. Czy chce pani poznać moje ceny, *mademoiselle*!

Najwyraźniej chciał zbić ją z tropu. Albo jej nie doceniał.

Bo była taka zwykła. Ale miała takie same potrzeby jak ci dwaj

175

wspaniali mężczyźni.

- Dlaczego zwraca się pan do mnie jako do *mademoiselle*! -

zapytała szorstko. - Skąd pan zna mój status?

- Co noc pojawiają się u mnie kobiety rozczarowane swymi mężami.

Pani na taką nie wyglądała.

- A na jaką, *monsieur*!

- Na dziewicę.

Trafił w dziesiątkę, określając ją tym mianem.

- A teraz?

- Pani skóra lśni. Jest pani kobietą, która docenia swą seksualność.

Czy chce pani dowiedzieć się, jak Michel zajął się swą profesją?

Po ciele Annę przeszła fala gorąca.

Tak, bardzo chciała wiedzieć, co sprawiło, iż Michel został tym, kim jest.

Jednocześnie nie chciała okazać tego zainteresowania człowiekowi, który przedstawił się jako Gabriel.

- Od jak dawna *monsieur* des Anges mieszka w Anglii? - zapytała, zmieniając temat.

- Od osiemnastu lat.

Annę na chwilę zaniemówiła. Michel pojawił się w towarzyskim świątku Londynu wtedy, kiedy i ją tam wprowadzono.

Szybko zebrała myśli.

- Od jak dawna zna pan *monsieur* des Anges?

- Od dwudziestu siedmiu lat.

- Zatem znaliście się jeszcze we Francji?

- Tam się poznaliśmy- odparł grzecznie, wpatrując się w oczy Annę.

- Michel to francuska forma imienia Michael. A pan nazywa się Gabriel. Nosicie imiona archaniołów. Czy to wasze prawdziwe imiona?

- Michel to francuska forma imienia Michael - powtórzył cicho. - A ja nazywam się Gabriel.

Annę przez chwilę rozważała w myślach te słowa.

Byłoby niewiarygodnym przypadkiem, by dwóch Francuzów, przyjaciół, którzy świadczyli wiadome usługi kobietom, nosiło imiona archaniołów.

- A pana nazwisko...?

- Nie potrzebuję nazwiska, *mademoiselle* - odparł lekkim tonem,

176

prawie z pogardą. - Nazywam się Gabriel. Proszę zapytać o mnie jakiegokolwiek dżentelmena, jak i liczne damy. Wszyscy mnie znają.

Annę zjeżyła się.

- Nie lubi pan klientów swojego... pensjonatu?

- Grzech jest jak karaluch. Wyłazi nocą.

- Ale pańscy klienci nie traktują tego jak grzechu. Pochylił się nad stolikiem w jej stronę.

- A pani, *mademoiselle*"?

- Nie traktują, prawda? - dociekała zaczepnie.

Na jego jasnej twarzy pojawił się znany Annę wyraz. Taki sam jak na twarzy Michela. Trochę bolesny. Trochę żaloszny. Ale głównie bezlitosny.

- Zadałem

pani

pytanie,

*mademoiselle*.

Serce Annę załopotowało.

- Twierdzi pan, że jest przyjacielem *monsieur* des Anges.

Dlaczego więc chce pan rozmawiać o nim za jego plecami?

- Bo

chcę,

by

pani

zrozumiała.

Zrozumiała co?

Dotarło do niej, że niemowlak przestał wrzeszczeć. Przez

pomieszczenie przebiegł podmuch zimnego powietrza. Wyszedł któryś z klientów. Albo wszedł nowy.

- No dobrze - stwierdziła. - W jaki zatem sposób pan i *monsieur des Anges* weszliście w swoją profesję?

- Spotkaliśmy się na ulicach Paryża. Dwóch uciekinierów bez grosza przy duszy. Nie mieliśmy co jeść. Przyjęła nas *madame*, rajfura, jeśli pani woli to określenie. Nakarmiła nas. Ubrała. I nauczyła sposobu, w jaki moglibyśmy się jej odplacić.

Uciekinierzy!

- Po ile mieliście wtedy lat?

Gabriel miał długie, gęste, czarne rzęsy.

- Trzynaście.

Z twarzy Annę odplynęła krew.

- Byliście dziećmi!

Skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Taki sam grymas widziała na twarzy Michela.

- Michel rozkwitł, *mademoiselle*. Uwielbiał kobiety, uwielbiał seks.

Annę nie mieściło się to w głowie.

- A pan nie?

Pojawił się kelner. Zadźwięczały naczynia, zagrzechotały sztucce.

Jasnowłosy młodzieniec nerwowo postawił najpierw przed Annę, a następnie przed Gabrielem biały spodek z filiżanką. Naczynia były kamionkowe, nie z porcelany, bardziej użyteczne niż wytworne. Na stoliku pojawiały się kolejne.

Annę odchyliła się nieco, pozwalając kelnerowi ułożyć przed filiżanką zwiniętą serwetkę. Gabriel nie ruszył się z miejsca.

Usługującemu człowiekowi wyraźnie drżały dłonie, kiedy stawiał naczynia przed Gabrielem. Zniewieściały młodzieniec bez pytania sięgnął po biały imbryczek, by nalać herbatę.

- Obsłużę się sama - oświadczyła Annę. – Możesz odejść.

Kelner odstawił czajnik na metalową tackę.

- Jak pani sobie życzy.

Czując się niepewnie w roli kelnerki, Annę sięgnęła po imbryczek.

Gabriel usłużnie podniósł spodek z filiżanką.

Jakby nigdy jego domem nie była ulica.

Jak tamtego włóczęgi.

Jakby nie był zmuszony do prostytucji w wieku trzynastu lat!

Zastanawiała się, dlaczego tak bardzo ją to poruszyło.

W myśl angielskiego prawa trzynastoletnia dziewczyna była pełnoletnia. Mogła sprzedać się każdemu, a on wziąłby ją w całym majestacie prawa.

Dlaczego mężczyźni nie są skazani na ostracyzm społeczny w takiej



sytuacji?

Twarz owiał jej gorący podmuch pary. Najpierw naląła herbatę Gabrielowi, a następnie sobie. Ostrożnie odstawiła kamionkowy imbryczek na skraj stołu.

Obrzuciła swego towarzysza ukradkowym spojrzeniem. Nie wyglądał na czterdziestolatka, podobnie jak Michel, skoro jednak spotkali się przed dwudziestoma siedmioma laty jako trzynastoletni chłopcy, obaj musieli mieć po czterdzieści lat.

- Życzy pan sobie śmietanki, *monsieur'*?

- Nie, dziękuję.

- Cukru?

- Tak,

proszę.

Trzy

kostki.

„Dziękuję”.

„Proszę”.

178

Jakże byli układni.

Wrzuciła do filiżanki Gabriela trzy kostki cukru, a do swojej dwie.

Mężczyzna sam sięgnął długimi, wypielęgnowanymi palcami po plasterek cytryny i włożył go do swojej herbaty.

- Nie zależy mi na pani współczuciu, *mademoiselle*. Annę rozwinęła serwetkę i rozłożyła ją sobie na kolanach.

- Wcale panu nie współczuję.

- Wiem. Nie unika pani prawdy.

Annę uświadomiła sobie, że wciąż ściska w dłoni jego chusteczkę do nosa.

Picie herbaty w rękawiczkach stanowiło największe towarzyskie *fauxpas*.

Włożyła chusteczkę do torebki, ściągnęła rękawiczki i wsunęła je pod serwetkę.

- Wcale panu nie współczuję. - Popatrzyła Gabrielowi prosto w oczy. - Podziwiam pana.

- Podziwia mnie pani, *mademoiselle!* - zdziwił się, zatrzymując filiżankę w pół drogi do swych zmysłowych ust.

Po plecach Annę przebiegł zimny dreszcz. Mgliście zauważyła, że mężczyzna trzyma naczynie w lewym ręku.

- Podziwiam pana - powtórzyła zdecydowanie. - W pańskiej sytuacji niewiele osób dałoby sobie radę. A pan prosperuje wspaniale, pańska firma kwitnie.

Jego srebrzyste źrenice nabrały nagle brązowej barwy. Głośno odstawił filiżankę na spodeczek.

- Zdaniem pani powinienem być dumny ze swojej firmy?

Annę nerwowo mieszała herbatę.

- Jeśli chodzi o mnie, cieszę się, że takie firmy istnieją. –

Delikatnie odłożyła łyżeczkę na spodeczek. - Pozornie nikt nie potrzebuje usług, jakie pan oferuje, w rzeczywistości jednak jest

inaczej, w przeciwnym bowiem razie nie utrzymałby się pan. Inna

rzecz, że ta branża przynosi hańbę.

Gabriel nieruchomo spoglądał na Annę.

- Czy wie pani, *mademoiselle*, dlaczego kelner był tak zdenerwowany?

- Dlaczego?

- Jest stałym bywalcem „Domu Gabriela”.

179

- Kelnera nie stać na obowiązujące w pańskim domu ceny.

- Jemu nie chodzi o kobiety.

Annę próbowała ukryć zdziwienie. Najwyższym wysiłkiem woli odwróciła głowę od jasnowłosego kelnera.

- Kobiety nie kupują jego usług? - zdziwiła się.

Gabriel znów pochylił się nad stolikiem, świdrując ją wzrokiem.

Oczy miał lodowate.

- To mężczyźni kupują jego usługi.

Minęła chwila, zanim dotarł do niej sens jego słów.

Długo się temu opierała.

Ale mężczyzna spoglądał na nią bezlitośnie.

Chciał ją zgorszyć.

Chciał wzbudzić w niej odrazę.

Stłumiła w sobie zgorszenie i odrazę.

- Czy on to lubi? - zapytała.

- Pewnie. Są tacy, którzy to lubią.

Prostując mały palec, uniosła do ust filiżankę i piła aromatyczny napój.

Była przyzwyczajona do delikatnej porcelany. Kamionka była grubsza.

Gorąca herbata sparzyła jej usta.

Odstawiła filiżankę na spodek.

- A jeśli nie lubi?

- Czy wie pani, ile kosztuje bochenek chleba? Jej milczenie mówiło wszystko.

- Dwa kilo kosztuje siedem pensów. A wie pani, ile kosztuje wynajęcie pokoju?

Annę zacisnęła usta.

Wiedziała, ile kosztuje dorożka - sześć pensów za milę. Wiedziała, ile kosztują jedwabne pończochy - pięć szylingów. Ale nie wiedziała, za ile można przeżyć.

- *Mademoiselle*, co by pani wybrała: głodną noc spędzoną na ulicy czy wygodne łóżko i pełny brzuch?

Przed oczyma stanął jej uliczny zamiatacz, który pchnął ją pod nadjeżdżający pojazd tylko po to, by zarobić srebrnego szylinga.

Za swoją pracę dostawał miedzianego pensa.

Ona nigdy nie musiała zabiegać o jedzenie, stroje, mieszkanie czy bezpieczeństwo.

- Przecież kelner ma pracę! - zawołała.

180

- Dostaje dwanaście szylingów na tydzień. A bogacze płacą fortuny

za młodych chłopców.

Nagle ją olśniło.

- Za ślicznych, młodych chłopców.

- No właśnie.

Za ślicznych, jasnowłosych chłopców - dodała w myślach.

Takich jak Gabriel.

Jeśli ich potępi, potępi samą siebie. Potępi Michela. Potępi

mężczyznę, który siedział z nią przy stoliku.

Nie była hipokrytką.

W torebce miała krążek i pudełeczko z kondomami - dowody, że nie

zasługuje na powszechny szacunek.

Wyprostowała się. Jej nie ściśnięte gorsetem piersi stanowiły kolejny

dowód jej niemoralności.

- Mam nadzieję, że kelner zarobi w końcu tyle, że nie będzie musiał

wykonywać swej odrażającej profesji. I mam nadzieję, że spotka kogoś,

kto wynagrodzi mu wszystko, przez co musiał przejść.

Alabastrowe policzki Gabriela jeszcze bardziej pobieleały. Odsunął

krzesło i wstał od stolika.

- Musimy już iść, *mademoiselle*. I tak jesteśmy spóźnieni.

Gabriela nie było w domu schadzek. Od północy nikt go tam nie widział.

Michael z impetem otworzył drzwi swego miejskiego domu.

Zaskoczony Raoul zastygł w bezruchu, trzymając w prawej dłoni nożyce, a w lewej uschnięty pęd czerwonej róży. Jego ogorzała twarz pobielała.

- *Monsieur.. .?*

Michael minął go, idąc szybko w stronę marmurowych schodów. Nie zamknął nawet za sobą wejściowych drzwi, bo niebawem znów miał opuścić dom.

Lokaj ruszył biegiem za swoim panem.

- *Monsieur Woda! Monsieur Błoto! Wszystko to było nieważne.*

Miejski dom, Raoul. Ważna była Anne!

- *Monsieur, monsieur Gabriel czeka w bibliotece! Michael*

181

zatrzymał się w pół kroku.

Gabriel. W bibliotece.

Nagromadzona w Michaelu furia znalazła ujście.

Odwrócił się na pięcie. Raoul biegł przed nim, by otworzyć drzwi do biblioteki.

Biblioteka wyglądała tak, jak ją zostawił. Tytuły książek, wypisane na grzbietach, lśniły złotem. Żadnego ognia. Żadnego dymu.

Wszystko było tak samo.

Z cichym trzaskiem zamknęły się za nim drzwi.

Dźwięk metalu uderzanego o metal.

Kątem oka dostrzegł jakiś błysk.

Ogień.

Stał się czystą energią.

Gabriel stał odwrócony twarzą do kominka. W ruchliwym blasku płomieni jego włosy grały całą gamą barw; od najgłębszej czerni po biel.

- Gdzie jest Anne? - zapytał spokojnie Michael.

Mimo że mówił niegłośnie, jego słowa odbiły się dźwięcznym echem od ścian rozległego pokoju.

Gabriel powoli odwrócił się w jego stronę. Na twarzy malował mu się anielski spokój. Prawdziwy wysłaniec Boga.

Bawił się srebrną gałką laski.

Zrobił ją ten sam rzemieślnik, u którego Michael zamówił swoją laskę.

Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Dźwięk bijącego o szyby deszczu mieszał się z trzaskiem płonących w palenisku głowni.

Dźwięki otaczały ich ze wszystkich stron.

Nie było kryjówki. Nie było ucieczki.

Nadszedł Dzień Sądu Ostatecznego.

- Jest na górze - powiedział w końcu Gabriel. - Zmokła, więc zmienia odzież.

Jego głos odbił się dźwięcznym echem w przestronnej bibliotece.

Michael nie dał się zwieść jego spokojnym słowom.

- Nie przysłałeś swoich ludzi.

Postać Gabriela majaczyła na tle pomarańczowych i niebieskich płomieni. Groźna. Nieprzewidywalna.

- Nie.

- Ale ty stanąłeś na warcie?

182

- Tak.

- Czekaleś na Annę?

- Tak.

Czekał. Śledził. Szedł jej tropem.

Michaela przeniknął ostry ból.

Niech go piekło pochłonie - pomyślał.

Gabriel był jego jedynym przyjacielem. A teraz go zdradził.

Zdradził dla kobiety.

- Dlaczego?

Gabriel nie udawał nawet, że nie zrozumiał pytania.

- Chciałem zobaczyć, za co gotów byłeś oddać życie.

Michael poczuł gęsią skórę. Naszło go wspomnienie księżycowej nocy i gryzących się psów - bezpańskich kundli walczących o kość, o terytorium, o sukę... o kobietę.

- Byłeś przekonany, że ją odpuszczę? - zakpił.

- Nie możesz czuwać bez przerwy. - Gabriel nie zwracał uwagi na gniew Michaela. - Sam najlepiej o tym wiesz. W przeciwnym razie



nie prosiłbyś o moich ochroniarzy.

O tak, Gabriel wczekał do ostatniej chwili - pomyślał ogarnięty furią Michael. - Czekał. Niezmordowanie. Czekał, aż Annę opuści jego dom bez eskorty.

I opuściła.

Zacisnął dłonie.

Wiedział, że nie może nad nią czuwać bez przerwy. Ale nie chciał dopuścić do siebie tej myśli.

Chciał myśleć, że jest w stanie ją ochronić. Musiał myśleć, że jest w stanie ją ochronić. Bez tej świadomości nie mógłby żyć.

- Dokąd poszła?

- Tam, dokąd chodzą wszyscy londyńczycy - odparł, wzruszając ramionami Gabriel.

Zakupy?

- W jaki sposób skłoniłeś ją, by wróciła z tobą?

- Uliczny

zamiatacz

pchnął

ją

pod

pędzącą

dorożkę.

I uratował w nadziei na nagrodę - pomyślał Michael.

Ale włączęgom rzadko udawało się ratować swoje ofiary.

Stracił na chwilę dech.

Annę mogła umrzeć, a on nie byłby w stanie temu zapobiec.

Dowiedziałby się o wszystkim, gdy byłoby już za późno. Już było za

183

późno! Zgrzytnął zębami.

- Co jej powiedziałaś?

- Zapytałem, czy chciałaby wypróbować mnie w łóżku. W kominku

trzasnął płomień.

- Ty sukinsynu!

W ciągu wielu lat, które spędzili ze sobą, Michael żywił do Gabriela

różne uczucia. Ale nigdy nie czuł nienawiści.

Aż do teraz.

Nienawidził jego sztuczek i machinacji.

Nienawidził jego pięknej, niepoznaczonej bliznami skóry.

Gabriel bawił się srebrną gałką swej laski, która w razie potrzeby

zamieniała się w zabójczy sztylet.

- Nie chcesz dowiedzieć się, co mi wyznała?

Czy Annę przebierała się, czy też pakowała swe rzeczy, by opuścić

ten dom?

- Chcę - odrzekł napiętym głosem.

- Oświadczyła, że spotkała cię, kiedy po raz pierwszy została

wprowadzona na londyńskie salony.

Przed osiemnastu laty. Na balu.

Przed oczyma Michaela stanęła jak żywa Olivia Hendall-Grayson,

hrabina Raleigh - jego pierwsza rajfura. Uwielbiała młodych

mężczyzn. Podobnie jak jej mąż.

Najwyraźniej wspomnienia tamtych lat naszły również Gabriela.

Różne kobiety. Różni mężczyźni. Lata rozkoszy. Lata

cierpienia. Gabriel skrzywił usta w uśmiechu.

- Nie chcesz dowiedzieć się, o co ją zapytałem? Michael wspiął się na niebotyczne szczyty cierpliwości.

- O co ją zapytałeś, Gabrielu?

- Zapytałem, czy nie wybrałaby mnie, gdyby mnie pierwszego ujrzała.

Michaela ogarnął gniew, a jednocześnie poczuł osobliwy ucisk serca.

Przez dwadzieścia siedem lat, które ze sobą spędzili, Gabriel nie mówił o odebranych im możliwościach ani o decyzjach, jakie podjęli.

- I co ci powiedziała? - zapytał cicho.

- Że ciebie. Wybrałaby ciebie z przyczyny twoich oczu.

Michael ironicznie skrzywił usta.

184

Przez trzynaście lat bawił śmietankę towarzyską Londynu, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego oczy.

- Powiedziałem jej, jak zostałeś męską dziwką.

Za plecami Gabriela trzaskały smolne szczapy w kominku; za plecami Michaela deszcz monotonicznie bębnił w wykuszowe okno.

- Powiedziałeś jej, jak bardzo to lubiłem?

- Oczywiście - bez zmruczenia oka odparł Gabriel.

- Powiedziałeś jej, kim jesteś ty?

- Dobrze o tym wie.

Michael gwałtownie wciągnął powietrze.

- Odprowadziłeś ją do mnie. Dlaczego?

- Wierzy, że jestem dumny z „Domu Gabriela”. – Zachmurzył się. -

Ostatecznie mężczyźni i kobiety bardzo go potrzebują.

Michael znieruchomiał.

Annę w miejscach publicznych nie tolerowała nawet jego dotyku.

Ogarnęła go fala zazdrości.

Od tej strony nie znał swojej starej panny i zapewne nigdy nic  
pozna.

- Dlaczego ci to powiedziała? - zapytał beznamiętnym tonem.

- Zaprosiłem ją do restauracji, gdzie pracuje Timothy.

Timothy, podobnie jak Gabriel, nie znał swoich rodziców i od  
zawsze był bezdomny. Bardziej Anglik niż Francuz. Bękart bez  
nazwiska. Gabriel załatwił mu tę pracę, by nie musiał być dłużej  
męską dziwką.

Czy Annę to poruszyło? Czy wzbudziło w niej odrazę?

Odebrano jej w życiu możliwość wyborów. Czy rozumiała, że  
innym również się to przydarzyło?

Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, co będzie pamiętać?

Potrzebę seksu?

A może potrzebę zemsty?

- Wcale jej do ciebie nie odprowadziłem. Michael nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Wiem.

- Czy wiesz również, co jeszcze powiedziała? Michael popatrzył nań pytającym wzrokiem.

- Oświadczyła, że jest najgłębiej przekonana, iż Timothy spotka kogoś, kto da mu radość. Kogoś, kto wynagrodzi mu

185

wszystkie cierpienia, przez jakie przeszedł.

Michael poczuł, że ściska mu się serce.

Żal - za wewnętrzne rany, jakich nie da się wygoić. Ulga - że Annę

widziała już gorsze rzeczy od tych, które pokazał jej Gabriel. Że

zaakceptowała pokaleczony świat dwóch zmęczonych życiem

męskich dziwek.

- To już koniec, Gabrielu - powiedział cicho. - Wiem, że zabijałeś.

Wiem, kogo zabiłeś. I wiem dlaczego.

- Skąd możesz wiedzieć, kogo zabiłem? - zapytał Gabriel

spokojnym, wypranym z wszelkich emocji głosem.

Napięcie rosło.

- Wiem, ponieważ widziałem, co tobie zrobił. Osobiście bym go

zabił, gdybyś ty tego nie uczynił - odparł obojętnie Michael. -

Sprzedaj dom. Zaczynaj nowe życie.

- Sugerujesz, że mamy zaangażować się w *menage a trois*,

*monfreret* - zakpił Gabriel.

Michael nie musiał odpowiadać. Odkrył się całkowicie. Pragnął.

Pożądał.

Za skarby świata nie podzieliłby się z nikim swoją starą panną.

Nawet z Gabrielem.

- Idź do niej. - Z oczu Gabriela zniknął wyraz kpiny. W jednej chwili jakby postarzał się o kilkadziesiąt lat. Jego nieskazitelna cera przypominała stary pergamin. - Dziś jej nikt nie skrzywdzi.

- A wiesz o tym, gdyż jesteś wysłańcem Boga? - zapytał Michael.

Wiedział, że wszystko ma swoją cenę. Gabriel był mu bliski jak rodzony brat. Żaden człowiek nie mógł mu dać więcej, niż już miał.

Doprawdy?

- Wiem, bo jestem twoim przyjacielem.

Srebrzyste oczy Gabriela zdawały się zimne jak lód. Nie było w nich śladu uczuć.

Wystarczały same słowa.

Musiały wystarczyć.

Michael nie byłby w stanie zabić Annę. Swojej podstarzałej panny.

Nie wiedział, czy byłby w stanie zabić Gabriela. Swego jedynego przyjaciela.

Odwrócił się i otworzył drzwi biblioteki. W foyer Raoul przycinał hiacynta. Pokojówka w białym czepku i białym fartuszką na czarnej

186

sukni energicznie czyściła podłogę. Annę była na piętrze? Co robiła?

Poczuł na policzku dotyk czegoś zimnego, wilgotnego i ośli-złego.

Popatrzył na wyfroterowaną jak lustro podłogę. Poczul na swej

twarzy błoto i wodę z deszczu.

Włosy lepiły mu się do czaszki. Koszula pod płaszczem lepiła się do ciała.

Annę zaakceptowała Gabriela.

A on chciał, by zaakceptowała jego. By to ona wołała do niego „Michael”, nie Dianę.

Chciał jej dotknąć. Upewnić się, że jest bezpieczna.

Jeszcze przez jedną noc.

W sypialni Annę nie było.

Powietrze przesączał zapach róż. Na obitym żółtym jedwabiem szezlongu piętrzyły się pudła ozdobione płatkami róży.

Różane płatki stanowiły firmowy znak *madame* Renę. Symbol odchodzącej młodości i straconej cnoty.

Kiedy nie było go w domu, nadeszły nowe stroje Annę. A jej też nie było w domu.

Chciał z nią robić tyle rzeczy. Chciał robić to j ej.

Gdzie jest?

Przez szparę pod drzwiami łazienki biły obłoki pary.

Michael gwałtownie otworzył drzwi.

Widok Annę zaparł mu dech w piersi. Stała nago, lewą stopę opierała o deskę sedesu, głowę miała pochyloną, prawą rękę trzymała między rozchylonymi udami. Odwróciła głowę w stronę otwieranych drzwi.

W jej oczach pojawiła się nagła świadomość jego obecności. Twarz i

szyję zalała jej gorąca purpura.

Najwyraźniej nie spodziewała się jego nadejścia.

Ciszę mącił jedynie bulgot spuszczonej z wanny wody.

Czyżby aż tak ujęła ją uroda Gabriela? - pomyślał z goryczą, choć jego ciało było gotowe, by dać jej rozkosz.

- Ja... - zaczęła Annę i umilkła. Zwilżyła językiem wargi. Jej różowy język był blady w porównaniu z krwistymi rumieńcami, pokrywającymi jej twarz. - Zakładam właśnie diafragmę.

Pamiętał jej pytania, kiedy już uczyniła mu zadość ustami; spytała, czy spuścił się kiedyś w kobietę bez kondoma. Spytała, czy są jakieś inne środki, które zapobiegałyby zapłodnieniu.

Odczuł straszliwy ból, zupełnie jakby rozjechał go powóz, który o

187

mało nie zabił Annę.

Wcale nie wybrała się na zakupy! Poszła do lekarza.

- Chcesz przyjąć moją spermę w swoje ciało? - zapytał schrypniętym głosem.

- Tak.

Serce Michaela zaczęło bić mocniej. Mogła umrzeć. Tylko dlatego, że pragnęła poczuć w sobie nagiego członka męskiej dziwki.

Nasienie dziwki.

- Czy mogę ci pomóc?

Po jej twarzy przemknęło wspomnienie, jak nieudolnie próbowała nałożyć mu kondom. Zdecydowanie zacisnęła usta.



- Nie, dziękuję.

Najwyraźniej czekała, by opuścił łazienkę. Chciała przygotować się w samotności na spotkanie z mężczyzną, którego uważała za swego kochanka.

Z wanny spłynęły resztki wody.

Michael nie opuszczał łazienki.

W jasnych oczach kobiety pojawił się wyraz niepewności.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłam...

Michael nie mógł powiedzieć tego o sobie. Patrzył już na inną kobietę, która się przygotowywała dla niego: na Dianę.

Kiedy spoglądał na Annę, nie myślał jednak o Dianę.

Długą chwilę trwała walka jego starej panny przyzwyczajonej do dobrych obyczajów z chęcią zachowania się jak kobieta wyzwolona, którą zawsze pragnęła być, czy też potrzebą bezpiecznego schronienia się w szańcach skromności.

Wyboru dokonał Michael.

- Kończ - poprosił cicho. - Teraz. Albo ja to zrobię.

- Naprawdę chce pan być świadkiem, jak kobieta wsuwa w swoje ciało jakieś wynalazki, *monsieur*? - spytała zadziornie.

W innych okolicznościach roześmiałyby się, rozbrojony jej naiwnością.

Ale nie tym razem.

- Naturalnie - odparł po krótkim zastanowieniu. - A ty tego nie chcesz?

Nie odpowiedziała. Nie musiała.

Wszyscy chcieli być pożądanymi: Annę, Michael. I Gabriel!

188

Każdy miesiąc, każdy skrawek ciała Annę skowyczał ze wstydu i skrępowania. Ale kobieta wróciła do swego zajęcia.

Powinien był ją poinformować, że kondomy są pewniejsze od innych środków zapobiegających zapłodnieniu, że gdyby był innym człowiekiem, jej przygoda skończyłaby się dużo gorzej niż niepożądaną ciążą.

Ale wiedział, kim jest i jaki jest.

Annę dała mu bliskość i intymność, o jakich dawno już zapomniał i nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek ich doświadczy.

Zrzucił z siebie wilgotną wełnianą marynarkę i zbliżył się do Annę, która zaciekle walczyła z oporną gumą i własnym ciałem.

Spoglądał na napiętą skórę pochylonych pleców. Na pociemniałe od wilgoci kosmyki włosów przylegające do ciała. Na krągłe pośladki - wilgotne i zaróżowione po gorącej kąpieli.

Ścisnęło go w piersi. Poczuł, jak kurczą mu się jądra.

Widok pochylonej nad deską sedesu, bezbronnej i podatnej na każdy cios Annę chwycił go za serce. Była piękna aż do bólu w swych przygotowaniach, by przyjąć jego spermę.

Nie zdołał powstrzymać się i delikatnie dotknął palcem ciemnej szczeliny między jej pośladkami, a następnie przesunął dłoń na wrażliwą skórę w okolicach krzyża kobiety.

Annę pod jego dotykiem jeszcze bardziej wygięła plecy.

Uśmiechnął się, ale był to raczej grymas seksualnej satysfakcji mężczyzny.

- Skłamałem - powiedział. Jak o wielu innych rzeczach, dodał w duchu. - Nigdy jeszcze nie dotykałem czegoś tak delikatnego jak twoja skóra. Jedwabny welur nie oddycha. Nie pulsuje od żądz. A twoje ciało tak. Ilekroć cię dotykam, czuję przeszywający cię dreszcz rozkoszy i pasji. Annę, powiedz mi, co naprawdę czujesz. Oświadczyłaś, że wyobrażałaś sobie, że ssam ci piersi, i dotykałaś ich wtedy. A czy wyobrażałaś sobie, że bierzesz mnie w siebie? Czy wkładałaś w siebie palce, wyobrażając sobie, że to ja?

Annę zeszywniała w niemym proteście.

Michael delikatnie pieścił kciukiem szczelinę między jej pośladkami.

- Annę, kochankowie robią ze sobą wszystko - mruknął. Z wyjątkiem mówienia sobie prawdy, błysnęła mu myśl. - Czy robiłaś to?

189

- Nie - odrzekła stłumionym, niewyraźnym głosem.

- A chciałybyś?

- Tak.

Czuł pulsowanie krwi w kciuku. W całej dłoni. W penisie.

- Dlaczego tego nie robiłaś?

- Bałam się, że... że mogę stracić w ten sposób dziewictwo.

Zaczynając od kości ogonowej, zaczął masować jej kręgosłup,

posuwając się krąg po kręgu w górę. Przypomniawszy sobie, jak masował delikatnie jej naprężoną błonę, a potem ją przebił. Niecałe czterdzieści godzin wcześniej.

- A kiedy już nasz kontrakt wygaśnie, będziesz wkładać w siebie palce, ilekroć o mnie pomyślisz?

- Nie wiem.

Nie wie... Czy będzie wsuwać w siebie palce, by zmniejszyć ból samotności? - pomyślał z zadumą. A może po prostu nie wiedziała, czy robiąc to, zechce myśleć o nim, o poznaczonej bliznami męskiej dziwce?

- Weźmiesz sobie innego mężczyznę? - napierał.

- Nie - zaprzeczyła zdecydowanie.

Michael nie potrafił stłumić w sobie prymitywnego zadowolenia z tej odpowiedzi.

Nie chciał, by jakiś inny mężczyzna robił z nią to, co robił on. Nie chciał, by wszystko to, co robiła dla niego, robiła dla kogoś innego.

Dotarł do purpurowego śladu na jasnej, gładkiej skórze między łopatkami Anny.

Delikatnie dotknął tego miejsca.

- Uderzyłaś się? Kobieta zadrżała. Z bólu?

- Uderzył mnie włóczęga - wyjaśniła. Włóczęga...

Pulsowanie, które rozpoczęło się w członku, rozlało się po całym ciele, kończąc się w skroniach.

Siad spowodowało uderzenie jakimś tępym narzędziem.

Gabriel twierdził, iż ktoś popchnął Annę.

A przecież ten włóczęga czy zamiatacz nie miał żadnych powodów dopuszczać się tak drastycznego czynu w nadziei otrzymania pensa. A już na pewno bez sensu było uderzanie Annę kijem od miotły, skoro dyskretne popchnięcie ręką nie zwróciłoby uwagi przechodniów.

„Jeszcze jedna noc” - obiecał Gabriel.

190

Wysłaniec. Z pewnością, ale nie Boga...

Wnętrznosci przeszył mu ostry ból.

Czy Gabriel, tak samo jak Michael, nie byłby w stanie zabić Annę

Aimes, podstarzałej panny, której jedyną zbrodnią było to, że pragnęła, by dotykał jej mężczyzna?

Pochylił się i pocałował ślad po uderzeniu, gładząc skórę językiem, przeprasząc w duchu Annę za bolesne przeżycie, którego doznała z winy dwóch upadłych aniołów.

I którzy mogli sprawić, że dozna kolejnych.

Ale skrucha niczego nie zmieni.

Wyprostował się i rozpiął spodnie. Stwardniałą od blizn dłonią musnął jej jedwabistą niczym aksamit skórę pośladka.

- Powiedz, kiedy skończysz.

- A co ty robisz? - zapytała schrypniętym głosem. Gnana żądzą, stawała się niespokojna.

- Przygotowuję się, aby cię osiąść - mruknął, wyjmując na światło dzienne swego nabrzmiałego członka.

Annę gwałtownie wyprostowała się, uderzając plecami w jego tors.

Zimna jak lód, mokra koszula lniana przylgnęła do jej gorącej skóry.

Ręka Michaela błyskawicznie powędrowała po jej lewe udo, zanim

Annę zdążyła zdjąć nogę z sedesu.

- Nie odwracaj się. Jej noga drżała.

- Jesteś zimny. I mokry.

Ale nie wykonała najmniejszego ruchu.

Żądze starej panny... żądze męskiej dziwki...

Miał przed sobą jeszcze jedną noc, by wszystkie je zaspokoić.

Zgrzytając zębami, ugiął nogi w kolanach. Annę była rozpalona.

Mokra. Jedwabiste wargi jej sromu rozchyłały się zapraszająco.

Oddech kobiety stał się chrapliwy.

- Lekarz mówił, że w tej pozycji pochwa ulega skróceniu.

- Zgadza się.

Dotknął członkiem jej kobiecości.

Po krzyżu przeszedł mu dreszcz, ciało wypełnił płynny żar.

Annę napięła mięśnie.

- Uspokój się - szepnął Michael.

- Jestem spokojna - odparła szybko. Po prostu bardzo się bała.

Tak samo jak on.

191

- Nie chcę cię skrzywdzić, Annę. Pomóż mi.

Pomóż mi wytrzymać jeszcze jedną noc - dodał w myślach.

- Jak?

- Dotykaj się. - Krążył główką swego penisa po jej wargach sromowych. Ciało lgnęło do ciała. Ich soki mieszały się. Męskie. Kobiece. Męskiej dziwki i starej panny. - Pokaż, jak się dotykasz, kiedy o mnie myślisz.

Poruszona do żywego kobieta zeszywniała.

- Nie mogę.

- Możesz.

Ujął jej prawą dłoń i przyłożył do jej piersi. W niemym proteście zacisnęła palce w pięść.

- Zamierzam w ciebie wejść - oznajmił szorstko. - A kiedy już to uczynię, życzę sobie, byś się dotykała. Życzę też sobie, byś zapamiętała to sobie na przyszłość. Chcę, byś za każdym razem czuła własną miękkość... - Przyciskając mocno jej dłoń do piersi, gwałtownie wszedł w Annę. Ta głośno sapnęła. Czując ból, odruchowo wyprostowała palce. - I pamiętaj o tej twardości w sobie. Tak jak będzie pamiętać on. Tę chwilę. Ten dzień.

Tamten człowiek zabierze wszystko, wszystko z wyjątkiem leją nocy.

Naciskał dłoń Annę, zmuszając ją, by naciskała swą pierś, a sam, centymetr po centymetrze, wchodził coraz głębiej.

Annę miała napięte wszystkie mięśnie. Stara panna, która doświadczyła już rozkoszy cielesnych, lecz obcy był jej jeszcze ból, jaki przynosi zdrada.

Siedem trupów, niebawem dwa kolejne...

- Czy stwardniała ci brodawka? Powiedz. *Dites moi.*

Francuskie słowa wydobyły się z jego ust w naturalny sposób.

Smętne pozostałości po człowieku, którym kiedyś był.

Członek pławił się w ciepłe i wilgoci pochwy.

- Tak.

- Czy jeśli puszcze twoje udo, nadal będziesz stała przede mną  
otworem?

- Tak.

- I przyjmiesz mnie w siebie całego?

- Spróbuję. Ostrożnie puścił jej udo.

Annę nie zmieniła pozycji. Jej pochwa pulsowała. Przycisnął dłoń

192

do podbrzusza kobiety, napawając się delikatnością skóry, bijącym od  
niej ciepłem i skurczami pochwy.

Mało. Stanowczo za mało.

Objął udami jej pośladki i wszedł jeszcze głębiej.

- Zaczekaj! -jęknęła, zadzierając głowę. Po ciele przeszedł jej  
dreszcz.

Michael wysunął członka.

Zaczął pieścić ustami ucho Annę. Pragnął ukoić lęk kobiety. Ukoić  
własny lęk.

- Co jest?

- Diafragma...

Znieruchomiał. Ogarnęła go nikła nadzieja, że jednak przeżyje.

Choćby tylko w swoim dziecku...



- Czy dobrze ją założyłaś?

- Nie. Tak. Nie pamiętam, czy ją czułam.

Michael wspominał...

Roześmiane, srebrzyste oczy Gabriela, obserwującego, jak obdarty, zamorzony głodem angielski chłopak kradnie bochenek chleba.

Michael wspominał...

Zalewały go siódme poty, gdy pod czujnym okiem *madame* uczył się zadowalać kobietę.

Michael wspominał...

Długie, niekończące się godziny, kiedy siedząc w obskurnym pokoiku, przyciskał głowę do głowy Gabriela, ucząc francuskiego chłopaka czytać i pisać.

Obaj nie mogli nawet marzyć o tym, by zostać dżentelmenami.

Odepchnął od siebie wspomnienia, wrócił do rzeczywistości.

Mięśnie Annę dostosowały się już do pełnej penetracji i teraz jej pochwa chciwie ssała mężczyznę.

Niebo. Piekło.

Objawienia. Objawiona prawda.

Michael przyłożył usta do skroni Annę.

- Ciii. Wszystko dobrze. Kolejne kłamstwo - pomyślał.

- Ja... Czuję cię jakoś inaczej.

On czuł ją cudownie. I było to jedyne ogniwo łączące go z normalnością w świecie, który oszalał.

- Bo to ja - szepnął ochryple. - Moje żywe ciało. Bez gumy.

Powoli odrobinę się z niej wysunął, tworząc w Annę rodzaj próżni.

- Czy czujesz to? - sapnęła bez tchu.

Czuł.

Czuł jej rozkosz, kiedy obejmowała go swym wnętrzem.

Czuł narastający w niej ból, ból niecierpliwości w oczekiwaniu na spełnienie.

Wszystko to odczuwa każdym nerwem swego ciała.

Ponownie zagłębił się w nią cały, sprawiając, że dzieliła z nim wszystkie jego doznania.

Ból. Rozkosz.

Co takiego tamten człowiek dał-Gabrielowi, czego ja nie dałem? - pomyślał z rozpaczą.

Annę przyjmowała go z wdzięcznością. Przyjmowała całego i bez reszty.

- Chciałabym wiedzieć... - wyszeptła między jednym spazmem a drugim.

Popatrzył w dół na szlachetny zarys jej nosa. Na jej rzęsach perliły się kropelki potu. Wilgotne, ciemne włosy łaskotały go w pokryty bliznami policzek.

- Co? Co chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, co czuje mężczyzna, kiedy jest w kobiecie. Tak jak ty teraz.

Na oślep wsunął dłoń między jej uda, zanurzając palce w szorstkie,

wilgotne włosy łonowe. Delikatnie ujął kciukiem i palcem wskazującym jej nabrzmiąłą łechtaczkę. Na zewnątrz była delikatna i jedwabista, w środku twardością dorównywała jego twardości. Wnętrze Annę odbijało lekkim pulsowaniem każde uderzenie jej serca.

Wyczuwał je członkiem. Wyczuwał palcami.

- Annę Aimes, chcesz wiedzieć, co czuję?

- Tak. - Pochyliła się jeszcze bardziej. Ich splecione na piersi kobiety dłonie unosiły się i opadały *unisono*. - Właśnie to.

- To czuję! - szepnął. - Trzymasz mnie w najrozkoszniejszym, pulsującym uścisku. Każde uderzenie twego serca powiększa moją przyjemność.

Delikatnie, rytmicznie pompował jej podpuchnięte wnętrze, okazując tym, co czuje naprawdę.

Ciekawe, jak długo Gabriel mnie zwodził? -pomyślał. - Dni?

194

Tygodnie? Lata?

Czy Annę odczułaby zdradę w taki sam sposób jak ja?

- Trzymaj mój rytm. - Mocnym ruchem bioder wszedł w nią najgłębiej, jak potrafił, tak głęboko jak żaden mężczyzna, głębiej niż Gabriel. Tak głęboko dotarli tam jedynie Annę i on.

- Kiedy ściskam twoją łechtaczkę, ściskaj mego *bitte*. Teraz.

Wyciągam go. Ściskaj!

Ścisnął łechtaczkę, poczuł w palcach puls jej życia. Jak łatwo je zniszczyć - pomyślał smętnie. Annę zadrzała.

- Michel...

- Ciii. Rozluźnij się. I trzymaj mnie, tak jak ja trzymam ciebie...

Chciałaś wiedzieć, co czuję, kiedy jestem w tobie. To właśnie czuję.

Ściskaj mnie. Mocniej, mocniej. O, właśnie tak... O, tak. Teraz puść. I

ściśnij. I puść. Rytmicznie, jak bicie serca. Tak. Boże, tak! To jest

właśnie to. *C'est bon*. - Jęczał, wpadając w rytm ruchów jej dłoni,

poruszał gwałtownie biodrami w górę, w dół, w górę, w dół. Wchodził

w nią i wychodził, a ona natychmiast zaczynała swój obłądny ruch.

Stanowili jedno ciało. Czy czujesz, Annę, jak dobrze mi robisz...?

Zapragnął jej ciepła i bliskości. Przytulił prawy policzek do jej karku

i pocierał nim o skórę Annę tam i z powrotem, tam i z powrotem,

napawając się jej zapachem, delikatnością i miękkością.

Całą istotą Annę Aimes.

Na jak długo?

Ochryply odgłos przyśpieszonych oddechów odpowiadał kadencji

ruchu ich ciał. Jej. Jego. Czuł jej wilgoć. Czuł, jak jego penis pogrąża

się w jej ciele.

Annę poczuła na lewej piersi kroplę wilgoci.

Deszcz? Pot?

Łzy?

Kiedy Michaela wziął mężczyzna, on płakał. Tylko raz.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

Później Michael nigdy już nie płakał.

Obejmując ją jeszcze mocniej ramieniem, jeszcze mocniej

przyciskając jej dłoń do jej piersi, przytulił Annę do siebie i liczyły się jedynie pchnięcia penisa zagłębiającego się w pochwę, pulsowanie łechtaczki w jego palcach. Nie było żadnej przeszłości, żadnej przyszłości...

195

Czas eksplodował.

Czuł to swoim członkiem, czuł to palcami. Czuł to ustami i językiem. Słyszał to w jej krzyku:

- Michel! O Boże! Michel! Boże! Michel, Michel, Michel!

Wbił zęby w szyję Annę, by powstrzymać jej słowa.

Nazywam się Michael! - wrzasnął bezgłośnie.

W snach czekała na Michaela Dianę. Jej ciało czerniało od żaru, jej jasne włosy stanowiły kłębowisko płomieni. Dokładnie tak, jak widział ją po raz ostatni.

- Michel, kocham cię - mówiła we śnie.

- Dianę, nie rób tego. Proszę. Pozwól mi pomóc sobie. Do licha, przecież mogę ci pomóc. Daj mi tylko szansę!

- Nie możesz mi pomóc, *mon amour*, ale możesz do mnie dołączyć.

Możesz dołączyć do nas wszystkich.

Michael rozpaczliwie próbował wyrwać się z jej uścisku, ale palce

Dianę trzymały mocno. A ich dotyk niszczył go tak, jak jego przeszłość zniszczyła ją.

Poczuł ostry zapach dymu... oddech Dianę.

- Michel, czekamy na ciebie.

Za plecami Dianę pojawił się Little. Miał spalone usta, wpatrywał się w Michaela szklistymi oczyma.

Oskarżał.

Michael poczuł, że chwytają go liczne ręce. Obejmują go za kolana, w pasie, ściskają mu ramiona i szyję. Dziecko, dorośli, kobieta, mężczyzna. Obejmowali go wszyscy, których kochał.

Wszyscy byli martwi.

Poczuł na szyi ognisty dotyk -język Dianę.

- Michel, czy wiesz, co on nam zrobił?

Michael chciał krzyżeć. Chciał wymiotować. Chciał zaprzeczyć oczywistej prawdzie.

Ale nie był w stanie zrobić nic.

- Tak, wiem, co ci zrobił.

Wiedział, co tamten człowiek uczynił im wszystkim.

Szczególnie dobrze wiedział, co zrobił Dianę.

Michael był jeszcze dzieckiem, kiedy tamten człowiek go posiadał.

Dianę była kobietą- o kobiecym ciele i kobiecych potrzebach.

Tamten człowiek odebrał jej to wszystko. Tak, jak odebrał

196

Michaelowi dzieciństwo.

I nagle Michaela trzymał Gabriel, nie Dianę. To skóra Gabriela czerniała, to jasne włosy Gabriela zamieniały się w błękitno-pomarańczowe morze ognia.

Przysunął do twarzy przyjaciela ogarnięte płomieniami oblicze.

- Michael, czy wiesz, co zrobiłem? - zapytał.

Przez całe życie kierowała nim nienawiść, bijąca w jego piersi niczym serce zwierzęcia, które wpadło w pułapkę. I tylko ta jedna siła sprawiała, iż przeżył ostatnich dwadzieścia dziewięć lat.

I tylko z tego powodu do tej chwili służył piekłu.

Z wprawą wyprowadził drewniany wózek inwalidzki z metalowej windy. Siedzący na wózku mężczyzna milczał. W przeciwieństwie do nóg, miał sztywne, proste plecy.

Podest schodów znajdował się zaledwie trzy metry za ich plecami.

Na jego czole perliły się krople potu.

W głowie miał tak żywy obraz obracanego o sto osiemdziesiąt stopni wózka, że prawie słyszał w uszach skrzypienie kół i zdumiony okrzyk mężczyzny: „Co ty, do licha, wyprawiasz?!“

„Zamierzam pana zabić, sir“.

W tym miejscu wyobraźnia odmawiała mu posłuszeństwa.

Jego słowa nie wzbudziłyby strachu, jaki wciąż sobie wyobrażał; wzbudziłyby jedynie szyderczy śmiech.

Mężczyzna na wózku doskonale wiedział, jakie mogą być konsekwencje jego czynów - zarówno tych przeszłych, jak i obecnych.

- Trochę za zimno jak na tę porę roku, prawda, bratku?

Zgrzytał zębami, słysząc dobrze sobie znany, kpiący głos.

Człowiek na wózku dobrze wiedział, o czym myśli Michael.

Spoglądając na wypolerowaną mahoniową podłogę, a nie na tył



pokrytej gęstymi, siwiejącymi włosami głowy mężczyzny, odrzekł  
uprzejmie: - Tak, sir.

Z nieruchomą twarzą, nie wyrażającą przepelniającej go, palącej  
nienawiści, odrzucając precz ponętne obrazy zemsty, poprowadził  
wózek mrocznym korytarzem, zostawiając za plecami kuszący podest  
stromych schodów. Mijali wykonane z mahoniowego drewna drzwi po  
197

obu stronach korytarza. Drzwi, jak niemi świadkowie, obserwowały  
jego bezpieczny przejazd. Ostre światło elektryczne padało na bezcenne  
malowidła w pozłacanych ramach. Tu stał stół w stylu chippendale, tam  
znów rokokowy fotel obity różowym adamaszkiem.

Mężczyzna na wózku utrzymywał, iż fotel ten należał do

Napoleona, kolejnego władcy dusz ludzkich. Mebel stał przy  
przedostatnich drzwiach w korytarzu.

Michael zgrabnie zatrzymał wózek inwalidzki i odwrócił się, by  
otworzyć drzwi sypialni.

Ciężkie, kasztanowej barwy draperie wisiały po obu stronach  
kominka o rzeźbionym ręcznie parapecie z mahoniu. W palenisku  
trzaskał wesoło ogień, strzelając w górę żółtymi płomieniami. Brązowa  
jedwabna kołdra była odwinięta, śnieżnobiałe prześcieradło wykonano z  
najdelikatniejszego płótna. Na mahoniowym nocnym stoliku, obok  
lampy od Tiffany'ego, leżała książka. Złoczone brzegi kartek  
połyskiwały w kręgu światła.

Wszystko było tak, jak być powinno. Mężczyzna siedział bez ruchu, tak

jak go przed chwilą zostawił; nie poruszył nawet posiwiałą głową. Bez słowa, z ponurą miną, Michael zwolnił hamulec i przepchnął wózek przez próg.

- Usiądę przy ogniu. Tam mnie umyjesz.

- Wedle życzenia, sir.

Sam nie wiedział, która czynność była bardziej odrażająca: kąpanie go w wannie, czy mycie gąbką.

- Ale

najpierw

potrzebuję

urynału.

Zesztywniał. Poczł mdłości.

Była to czynność zbędna, gdyż mężczyzna siedzący na wózku mógł ją bez trudu wykonać o własnych siłach.

Ale karał go za krnąbrne, samowolne myśli.

Michael zacisnął pięści.

Boże wszechmogący! W takich chwilach jak ta naprawdę nie dbał o to, czy go powieszają, czy nie.

Śmierć niewiele go obchodziła. Przerażało go to, co będzie później.

Przyniósł z przylegającej do sypialni łazienki metalowy urynał i klęknął przed wózkiem stojącym przy kominku.

Czuł na sobie wzrok siedzącego na wózku, czuł jego zwiotczone ciało pod szytym na miarę wełnianym ubraniem. Za jego plecami trzaskały

głównie, a żar parzył mu plecy. Wstrzymując oddech, wyjął przez dwa rozporki, kalesonów i spodni, członka i pochylił urynał, by złapać strumień moczu.

Stojący na obramowaniu kominka zegar w marmurowej obudowie głośno odmierzał sekundy. Nagle strużka żółtej cieczy prysnęła poza metalowe naczynie.

- Obmyj mnie. Zaczny chłopiec\* - odezwał się zadowolony z siebie mężczyzna.

Michael poczuł zawrót głowy.

Stary sukinsyn!

Bawił się z nim jak kot z rannym królikiem. Okrutnie. Umyślnie.

Pewien, że ofiara i tak mu się nie wymknie.

Trzęsącymi się rękami sięgnął do kieszeni po chusteczkę, mazał nią kilka razy po główce penisa mężczyzny, po czym wsunął do metalowego naczynia.

- Nie muszę się dziś myć. Pójdę spać.

Oddychając przez usta, schował mężczyźnie penisa, pozapinał guziki, wstał i czekał, trzymając w ręku urynał.

Mężczyzna zadarł głowę, w jego pomarszczonej, obciągniętej pergaminową skórą twarzy lśniły oczy.

- Czy nie podziękujesz mi za to, że zwolniłem cię dziś z jednego z twych paskudnych obowiązków?

Przez sekundę, która wydawała mu się całą wiecznością, zastanawiał się, czy nie powiedzieć, czego naprawdę pragnie. Pragnął, by stary

zdechł.

Pragnął, by jak najszybciej zakopano go w ziemi. Pragnął, by jego ścierwo zżarły robaki.

- Dziękuję, sir - powiedział drewnianym głosem.

W pomalowanej na biało, bardzo czystej łazience wylał zawartość urnału do sedesu. Na chwilę przyłożył czoło do lustra wiszącego nad umywalką i stojąc w tej pozycji, opłukał blaszane naczynie.

Czasami zastanawiał się, czy choroba ciała nie doprowadziła starego do szaleństwa. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w jego wyblakłe, fiołkowe oczy, by zrozumieć, że tak nie jest.

Ostatnie dwadzieścia dziewięć lat nauczyło go, że Bóg nie istnieje, ale wciąż wierzył w szatana.

Ten człowiek był zły od początku do końca.

199

Po plecach Michaela przeszedł dreszcz.

Nie powinien pozwolić, by ten człowiek go zniszczył. Musiał jednak jeszcze chwilę pocierpieć. Kiedy staruch pójdzie do łóżka, będzie wolny i poszuka sobie pocieszenia.

W milczeniu przygotowywał mężczyznę do snu. Rozebrał go, przez głowę wciągnął mu flanelową koszulę nocną, przeniósł na materac wypchany gęsim puchem, poprawił poduszki pod siwą głową, otulił kołdrą uschnięte nogi. Mężczyzna najwyraźniej był bardzo zadowolony, myślami wciąż krążył wokół swej najnowszej zdobyczy. A on bez reszty skupiał uwagę na wieczornym rytuale, który odprawiał już od

dwudziestu dziewięciu lat, zamiast przycisnąć poduszkę czy kołdrę do wysuszonej, pomarszczonej twarzy i dłuższą chwilę ją przytrzymać.

Wtedy byłby nareszcie wolny.

Kiedy podniósł głowę, ujrzał wbity w siebie lodowaty wzrok.

- Czy wydałeś służbie polecenia przed porannym wyjazdem na wakacje?

Tak.

A trumny? Robił wszystko, by nie okazać lęku i odrazy. Są gotowe.

Czy cieszysz się z powrotu do Dover po pobycie w Londynie?

- Tak, sir.

Starał się być jak najbardziej służalczy i unizony, choć tak naprawdę pragnął tylko zabić starego i położyć wszystkiemu kres. Zabił już tyle osób. Dlaczego się więc waha?

- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, sir?

Bezkrwiste wargi mężczyzny rozchyliły się w szyderczym uśmiechu.

Czy pani Ghetty już ci wybaczyła?

Była to tylko kwestia czasu. Jego tajne schadzki z owdowiałą kucharką szybko wyszły na jaw. Niewątpliwie któryś z licznych służących, skuszony wysoką pensją, poczuł się w obowiązku rozgłosić, iż lokaj nieszczęsnego, kalekiego pana większość czasu spędza w kuchennych spiżarniach.

Pani Ghetty darzyła go uczuciem, zapewne nawet miłością, .ile nigdy nie wybaczyła.

Gdyby tak się stało, nie spełniałby poleceń chlebodawcy.

Teraz, wykonując je wszystkie, pragnął, żeby ten człowiek jak najszybciej umarł śmiercią naturalną.

200

Koła zostały wprowadzone w ruch. Nic już nie było w stanie K li zatrzymać.

Wszystko jest zrobione zgodnie z pańskimi instrukcjami, powiedział bezbarwnym głosem.

Mężczyzna z zadowoleniem rozejrzał się po sypialni. No, możesz już iść pieprzyć moją kucharkę.

Zaskoczony, odwrócił się, trzymając rękę na gałce drzwi. Z ust wyrwało mu się pytanie: Dlaczego?

Nie istniało żadne rozsądne wytłumaczenie kolejności wypadków - ani przeszłych, ani obecnych.

Mężczyzna sięgnął po książkę oprawioną w skórę. Odprawił Michaela. Mimo uszu puścił jego pytanie. Traktował go nie jak człowieka, lecz jak istotę niższą.

Michael nie powinien był spodziewać się odpowiedzi.

Inie otrzymał jej.

Mógł jedynie ślepo wykonywać polecenia i mieć nadzieję, że nie narazi się na gniew tego człowieka.

Na jego powieki padł cień. Dobiegał też odgłos oddechu.

Śmierć czekała.

Michael obudził się. Ujrzał nad sobą twarz Raoula.

Sen minął, ale czujność przyszła poniewczasie.

Nozdrza wypełniał mu zapach seksu, potu i róż.

Przez cienkie, wykonane z żółtego jedwabiu zasłony, sączyło się jasnoróżowe światło świtu.

Podobnie jak deszcz, noc minęła.

Twarz szefa służby domowej była wymizerowana, a jego rysy rozmazywały się w mętnym blasku. Na głowie miał szlafmycę. Białe płótno, z której była uszyta, w osobliwy sposób kontrastowało z ciemną skórą Raoula, który na ramiona zarzucił kraciasty szlafrok.

Nie wyglądał na człowieka, który pojawia się z morderczymi zamiarami. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie ma przy sobie ani pistoletu, ani noża.

- O co chodzi? - zapytał cicho Michael.

Na jego ramieniu spoczywała głowa Anne, na biodrze czuł dotyk jej

201

miękkiego pośladka. Spała głębokim snem, zmęczona, nasycona, wypełniona jego nasieniem.

Nie chciał jej budzić bez potrzeby.

Gdyby jednak okazało się to konieczne... I tak nie zdążyłby sięgnąć do nocnego stolika po broń.

Ostrożnie wysunął ramię, zdrętwiałe nieco od dłuższego bezruchu.

- O co chodzi? - powtórzył szeptem.

Sprawa dotyczy *monsieur* Gabriela, *monsieur*. Raoul również mówił ściszym głosem. Michael stężał.

Co z nim? - Posłaniec przyniósł wieść od *monsieur* Gastona.

Gaston był zarządcą nocnego domu schadzek.

I...?

Posłaniec powiedział, że u *monsieur* Gabriela wybuchł pożar. A *monsieur* Gabriel... On spłonął, *monsieur*. Pod Michaeliem zakołysało się łóżko. Gabriel. W poździe. Gabriel. Spłonął. Gabriel. Ósma ofiara.

Annę śniły się jakieś głosy. Potem śnił się jej Michel, otulający ją kołdrą-jakby była dzieckiem, którym przecież dawno przestała być - i spieszenie całujący ją w policzek. Śniły się jej jego delikatne jak jedwab usta i ciepły oddech. Później zdmuchnął lampę i wyszedł.

To nie był sen.

Prześcieradło było chłodne. Wilgotne. Między udami czuła gorąco.

Wilgoć.

Michel naprawdę wymazał swymi dotknięciami ślady pozostawione na jej ciele przez palce ginekologa. Każdy centymetr skóry palił od dotyku porośniętej gęstymi włosami skóry Michaela. Czuła się też osobliwie pusta w środku, zupełnie jakby mężczyzna wydrążył w niej tunel, prowadzący do najgłębszych zakamarków jej istoty.

Leżała nieruchomo, próbując wyczuć w sobie diafragmę.

Nie czuła nic.



Przez żółte jedwabne zasłony napływało mętne światło słoneczne.

Trzykrotnie już budziła się w łóżu mężczyzny.

Trzykrotnie już Michael napełnił ją nasieniem; trzykrotnie  
zmieszała z nim soki jego rozkoszy.

Wokół panowała piżmowa woń, której nie zdołał stłumić za-  
pach potu i róż. Annę próbowała opuścić łóże, walcząc ze skotłowaną  
pościelą i własnymi rozczochranymi włosami.

202

Pościel również przeniknięta była charakterystyczną wonią piżma.

Annę podniosła się. W zetknięciu z zimną drewnianą podłogą  
podkuliła palce stóp. Poczwała, że po udzie spływa ciepła ciecz.

Michel.

Dotknęła lepkiej cieczy, nabrała jej na palec i zaczęła oglądać w  
mętym świetle.

Substancja była biała i gęsta. *Came. Blanc. Sauce.* Męska sperma.

To ona stanowiła źródło piżmowego zapachu, przesączającego  
pościel i jej ciało.

Położyła dłoń na brzuchu, wspominając strumień wypełniający jej  
wnętrze. Stała się nagle niesłuchanie głodna.

Głodna uciech. Podniecenia. Miłości.

Wszystkiego, czego odmawiano jej aż do teraz.

Kierowana instynktem, zerwała z łóża kołdrę i zaczęła oglądać  
prześcieradło. Ciemne plamy stanowiły oczywisty dowód ich  
namiętności.

Michel smakował ich rozkosz. Całował Annę, napawał się wonią wzajemnych, przenikających się żądz.

Wybredna stara panna powinna czuć odrazę do takich praktyk.

Ale przecież nie czuła się już starą panną. Czuła się jak doświadczone niewiasta, która spełniła wszystkie swe kobiece fantazje.

Delikatnie wytarła palec w jedwab, jakby chciała zostawić na nim pieczęć swej aprobaty.

Na obitym żółtym jedwabiem szezlongu piętrzył się stos pudeł. Na każdym widniała nalepka przedstawiająca płatki róży -z całą pewnością takiego znaku nie zostawiłby mężczyzna.

Zaciekawiona, zdjęła pokrywę pudła stojącego na samym wierzchu.

Zawierało lekko rozkloszowaną, wykonaną z szarego jedwabiu i wełny dwurzędową marynarkę z wysokim, wojskowego typu kołnierzem i dużymi, srebrnymi guzikami.

Annę otworzyła następne pudło. Znalazła sześć par jedwabnych majtek suto ozdobionych koronkami i wstążkami.

Doprawdy! Boże Narodzenie w kwietniu!

*Madame* Renę dołożyła jeszcze jedwabne halki i koszule, czarny atlasowy gorset i jedwabne pończochy, zabawnie frywolną, pozbawioną drutów turniurę z pięcioma fałdami, torebkę, kapelusz, buciki.

203

Stroje dla atrakcyjnej, modnej kobiety, a nie starej panny niewiele uwagi poświęcającej garderobie.

Ostatnie pudło, dłuższe od pozostałych, zawierało rozkloszowaną suknię, uszytą z jedwabiu i wełny, wykończoną falbankami, plisami i obszytą siedmioma rzędami srebrnych galonów.

*Madame* Renę była mistrzynią w łączeniu elegancji z prostotą.

Annę nie miała wątpliwości, że jej stroje kosztowały fortunę.

Zdecydowała, że po kąpieli nałoży kreację *couturiere*.

Podeszła do pozbawionej lustra toaletki. W osobliwy sposób zabiło jej serce. Michael schludnie poukładał tam wszystkie jej szpilki do włosów.

Ile lat zajęło trzynastoletniemu chłopcu, jakim kiedyś był, przekształcenie się w mężczyznę, przed którym seks nie miał żadnych tajemnic?

Rozczesała splątane włosy, po czym spiesznie je poupinała.

Kinkiety w łazience były pozapalane, lecz ich knoty nisko skręcono.

Kolejny wyraz kurtuazji.

O tyle rzeczy powinnam była zapytać srebrzystookiego przyjaciela

Michaela o jasnych włosach - pomyślała, podkreślając lampy.

Jedyne pomieszczenia w wytwornym domu, w których nie było kwitnących kwiatów, to łazienka na piętrze i ubikacja na dole.

Dlaczego Michel tak lubił otaczać się roślinnością?

Dlaczego człowiek, który tak bardzo bał się ognia, sypiał przy zapalanej lampie?

Gabriel w restauracji był bardzo rozluźniony i beztroski. Annę mc potrafiła sobie wyobrazić, by Michel w podobnych okolicznościach

tak swobodnie popijał herbatę z kamionkowej filiżanki.

Jak to możliwe, by tak różniący się od siebie mężczyźni pozostawali w  
zażyłej przyjaźni przez dwadzieścia siedem lat?

Pochyliwszy się nad porcelanową wanną, odkręciła kurek z kości  
słoniowej. I znów zadziwił ją widok strumienia ciepłej wody płynącej z  
kranu.

Kiedy wróci do Dover, natychmiast każe wymienić w domu całą  
hydraulikę.

Wyjęcie krążka sprawiło dużo mniej kłopotu niż jego włożenie.

Wypłukała go w wodzie i wsunęła do małej, różowej puszczyki, którą  
postawiła na marmurowej półce obok umywalki.

204

Gorąca woda rozkosznie szczypała ciało. Annę spoglądała na  
ozdobiony wymyślnymi wzorami z turkusowego porcelanowego sedes w  
odcieniu kości słoniowej. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze  
wejdzie do ubikacji, nie przypominając sobie ostatniej nocy.

Uwielbiała, kiedy Michel na nią patrzył.

Dotknęła palcami szyi.

Kiedy osiągnął szczyt, boleśnie ją ugryzł.

Ale nawet i to bardzo się jej podobało.

Szybko się umyła i wytarła do sucha. Michel zapewne był na dole.

Może po śniadaniu pozwoli\* by to on włożył jej diafragmę? Na jej twarzy  
pojawił się uśmiech zupełnie nielicujący z godnością starej panny. A  
może nie pozwoli...

Przez chwilę rozważała pomysł, by zadzwonić na pokojówkę, która pomogłaby jej się ubrać. Ostatecznie odrzuciła ten pomysł.

Jedyna rzecz, przy której Annę wymagała pomocy, to czarny satynowy gorset. Pomyślała sobie jednak, że będzie miło, jeśli zrezygnuje z krępującego piersi i płuca fiszbinowego pancerza.

Wolność i swoboda - pomyślała - są prawie tak samo upajające jak seksualne zaspokojenie.

Przyszła jej do głowy trzpiotowata myśl, że być może to właśnie gorsety sprawiają, że kobiety są tak uciśnione.

Otworzyła drzwi łazienki, w ostatniej chwili przypominając sobie o blaszanej puszczyce, którą zostawiła obok urny walki.

Krażek był lekki jak piórko.

Sprzątająca łazienkę pokojówka mogłaby pomyśleć, że pudełeczko jest puste, i wyrzuciłaby je do śmieci. A co, gdyby je otworzyła i ujrzawszy okrągłą gumkę, domyśliłaby się, do czego służy?

Wróciła i zabrała puszkę. Otworzyła szufladkę w nocnym stoliku i położyła ją obok kondomów Michela.

Obok wizerunku posępnej twarzy Gladstone'a dostrzegła ostry błysk metalu.

Przypomniała sobie okropne lśnienia na ostrzu szpilki do kapelusza.

Przedmiot w szufladzie był jednak dużo groźniejszy.

Zimny dreszcz, nie mający nic wspólnego z chłodną aurą, przeszył jej ciało.

Ojciec zawsze trzymał na nocnym stoliku rewolwer. Na wszelki

wypadek - wyjaśniał.

205

Tłumaczyła to sobie męską zarozumiałością.

Ale dlaczego Michel trzyma przy łóżku nóż?

Dlaczego nagle zaczęły drżeć pod nią kolana?

Wsunęła dłoń głębiej. Jej palce natrafiły na coś twardego.

Ciężkiego.

Pistolet.

Był to już nowoczesny model, nie staroświecka broń, jak u jej ojca.

Mniejszy. Groźniejszy.

Metal był gładki i śliski, najwyraźniej niedawno czyszczony.

Michel zna broń równie dobrze jak ciało kobiety.

Myśl ta naszła ją nagle i nie chciała jej opuścić.

Przez głowę Annę zaczęły przelatywać wspomnienia ostrzeżeń  
guwernantki.

Dzieci sprawiają wielki kłopot, bo są o siebie zazdrosne.

Mężczyźni wykorzystują kobiety kosztem ich zdrowia.

Włożywszy różową puszczkę, tak mocno zatrzęsnęła szufladę, że  
zakołysała się lampa, a spod sufitu opadł na stół deszcz różanych  
płatków.

Wielu mężczyzn biegle posługiwało się bronią. W Londynie było  
więcej złodziei niż w prowincjonalnym Dover.

Michel z pewnością nie wyrządziłby jej krzywdy.

Sam to powiedział.

Po tym jak rzucił na podłogę szpilkę od kapelusza.

Annę, chcąc jak najszybciej zejść na dół, otworzyła drzwi sypialni, która była świadkiem jej nocnych swawoli. Otworzyła i... stanęła twarzą w twarz z obcym mężczyzną.

Był bardzo przystojny, złotowłosy. Miał zadziwiająco modre oczy.

Otworzyła usta do krzyku, ale szybko je zamknęła.

Człowiek był w czarnej liberii. Lokaj. Nie zabójca.

Złotowłosy służący ustąpił jej z drogi i złożył ukłon.

- Proszę panią o wybaczenie, ale usłyszałem jakieś hałasy. Czy zje pani śniadanie?

- Z przyjemnością. Dziękuję. - Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, choć w gardle wciąż jeszcze dławił ją krzyk, co jednak nie byłoby godne damy. - Czy możesz zaprowadzić mnie do *monsieur* des Anges?

- Nie ma go w domu.

W korytarzu nagle stało się mniej mroczno. Jak śmieszne wydały się

206

jej wcześniejsze lęki.

Jak cienkie były w tym domu ściany.

Skoro lokaj usłyszał, jak Annę zatrząskuje szufladę w nocnym stoliku, z pewnością słyszał też jej krzyki minionej nocy. On i cała służba.

Dumnie zadarła głowę, dając mu tym do zrozumienia, że może sobie myśleć, co chce.

- Proszę więc zaprowadzić mnie do pokoju śniadaniowego.

Służący postąpił krok do tyłu, jego modre oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- Naturalnie, proszę pani. Proszę za mną.

U stóp schodów oczekiwał szef służby domowej. Lśniło srebro - w jego włosach, w jego przybranej w białą rękawiczkę dłoni.

- *Mademoiselle Aimes!*

Poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku.

Raoul trzymał w ręku srebrną tacę na korespondencję. Złotowłosey lokaj stanął obok żeliwnego słupka kończącego poręcz. M i leżący świadek.

W podobny sposób Raoul podawał pocztę Michelowi, a ona była milczącym świadkiem.

Takie nagłe listy nigdy nie wróżyły niczego dobrego.

Zacisnęła dłoń na poręczy schodów. Tak...?

Ten *lettre* przyszedł specjalną pocztą, *mademoiselle*. - Czarne oczy lokaja nie wyrażały żadnych uczuć. - Jest adresowany do pani.

Annę odetchnęła z ulgą. To od pana Little'a. Z pewnością wrócił już z Lincolnshire.

Raoul z ukłonem przesunął tacę w jej stronę.

Wzięła list. Dziękuję.

Zeszła z ostatniego stopnia, odwróciła w dłoni kopertę i popatrzyła na wypisane na niej swoje imię i nazwisko.

Nie było to niedbałe pismo pana Little'a. Co więcej, list adresowany był do jej domu.



Annę zmarszczyła brwi.

Na kopercie był wprowadzić stempel, ale list nie został wysłany w

Londynie. Nie było też adresu zwrotnego. Proszę pani...

Uniosła głowę i popatrzyła na złotowłosego lokaja. Pokój

śniadaniowy jest tam. Dziękuję.

207

Wcale nie musiał jej prowadzić. Kierunek najlepiej wyznaczał

wspaniały zapach smażonej szynki i bekonu, roznoszący się po całym

holu.

Lokaj otworzył drzwi do niewielkiego, kwadratowego pokoju na końcu

korytarza. Promienie słońca lśniły w wypolerowanym drewnie i w

srebrze. Francuskie drzwi wychodziły na prostokątny ogród. Ceglana

ścianę zakrywał rząd kwitnących róż.

Kolejny lokaj - brunet o bursztynowych oczach – wskazał

jej miejsce przy okrągłym dębowym stole. Na dębowym bufecie, na

ogrzewaczach,

stały

różnorodne

potrawy

pod

srebrnymi

przykrywkami.

- Kuchnię mamy dobrą, to rozkosz dla podniebienia. Co pani

sobie życzy, *mademoiselle!*

Lokaj mówił z wyraźnym francuskim akcentem. Literę „r”

wymawiał gardłowo.

Policzki Annę zalał krwisty rumieniec. Czy wszyscy Francuzi tak szczególnie wymawiają słowo „rozkosz”?

- Bekon proszę. I sadzone jajka. Do tego tosty.

- *Tres bien.*

Angielski. Francuski. Doprawdy, służba Michela niczym nie różniła się od jej służących. Może mężczyźni są przystojniejsi, ale tak samo bezosobowi.

Zabawnie byłoby żyć, licząc się ze zdaniem służby, ale im bardziej zależało na dobrych zarobkach niż na rozmowie z pracodawcami.

Miała już na końcu języka pytanie, jak długo ten mężczyzna służy w Anglii.

Rok? Pięć?

Mówił z nienagannym angielskim akcentem.

Dlaczego Francuz miałby tracić swój rodzinny akcent?

Lokaj odwrócił się, zanim zdążyła sformułować pytanie.

Ostrożnie otworzyła list. Datowany był trzy dni wcześniej.

*Droga Panno Aimesl*

*Z całą pewnością nie przypomina sobie mnie Pani, ale byłem bliskim przyjacielem Pani Rodziców. Często składali mi wizyty, zanim zdrowie nie pozwoliło im już opuszczać domu. Proszę przyjąć moje spóźnione, ale jak najgorętsze kondolencje. Obecnie sam nie czuję się najlepiej. Zdrowie nie pozwala mi na dłuższe podróże; w przeciwnym*

*razie z całą pewnością pojawiłbym się u Pani osobiście, by wyrazić swe współczucie.*

*Być może list ten jest niepotrzebny. Inspektor policji, nie chcąc zakłócać Pani wakacji w Londynie, wiedząc, że byłem przyjacielem rodziny, zwrócił się o radę do mnie. Z najgłębszym żalem informuję zatem, iż grób Matki Pani został zbezczeszczony w sposób barbarzyński. Zaoszczędzę Pani szczegółów, powiem tylko, że czegoś takiego dopuścić mogli się jedynie zwyrodnialcy. Czekamy na Pani instrukcje. Proszę mi wybaczyć, ale zanim one do nas dotrą, poczynię pewne kroki, by Pani zacna Matka znów spoczęła w pokoju.*

*W. Sturges Bourne*

Annę gapiła się na podpis pedantycznie wypisany grubą stalówką.

William Sturges Bourne był hrabią z Granville. Nigdy go osobiście nie spotkała, ale jej rodzice często mówili o nim ze współczuciem, że w kwiecie wieku spotkało go nieszczęście. zanim jednak Annę osiągnęła wiek, w którym mogła zostać wprowadzona na salony, jej matka została przykuta do łóżka i wizyty rodziców u hrabiego ustały.

Pojawił się przed nią talerz. Zapach bekonu i jajek sprawił I jej przykrość.

Ogarnęły ją mdłości na myśl, że zbezczeszczono grób matki. O jakich szczegółach hrabia nie chciał pisać? Co należało zrobić, aby matka ponownie spoczęła w pokoju?

W pierwszej chwili chciała skontaktować się ze swoim prawnikiem.

Nie musiała jednak z nim rozmawiać, by wiedzieć, co jej doradzi.

Kawa czy herbata, *mademoiselle!*

Wyrwana z zamyślenia, gwałtownie uniosła głowę. Przystojny, ciemnowłosy lokaj stał cierpliwie obok.

Walczyła z napływającymi mdłościami.

Nie chciała wracać. Nie chciała znów zamknąć się w magicznym kręgu śmierci i żałoby, który otaczał jej posiadłość w Dover.

Rodzice nie żyli od dziesięciu miesięcy.

Kiedy skończy się to wszystko?

Przepraszam, mówiłeś coś? - spytała.

Miała suche usta.

- Pytałem, czy życzy sobie pani kawę, czy herbatę, *mademoiselle*.

Jego bursztynowe oczy mówiły całkiem coś innego. Obowiązek...

209

czy pożądanie? - zdawały się pytać. - Próżna rozkosz... czy rodzinne zobowiązania?

Nie miała wyboru.

Pochowała matkę. I musiała uczynić to ponownie.

- Przyślij, proszę, Raoula.

Lokaj skłonił się i cofnął się krok, znikając jej z oczu.

- Wedle

życzenia,

*mademoiselle*.

Wedle życzenia!

Zza pleców dobiegł ją metaliczny dźwięk. Na twarz padł jej

promień słońca.

Annę ponownie przeczytała list.

Słownictwo było staroświeckie. Dramatyczne. List napisany przez starego człowieka, który z pewnością zwykle figle rozbrykanych uczniów podnosi do rangi zbrodni.

Nie ma powodów do alarmu.

Po przyjeździe do domu Annę zastanie grób matki pochlapany farbą lub coś w tym rodzaju.

Cierpienia i ból matki minęły.

Annę również doznała ukojenia.

Opuściło ją napięcie.

Zdobyła się na odwagę poproszenia kogoś o wyświadczenie przysługi seksualnej. Następnie zdobyła się na odwagę i poddała się badaniom ginekologicznym.

Teraz nadeszła pora pogodzenia się z matką. Obie powinny sobie wybaczyć.

Kontrakt z Michele wciąż obowiązywał. Nie musiała wybierać między obowiązkiem a zaspokojeniem żądz. Na wszystko znajdzie czas.

- Wzywała mnie pani, *mademoiselle!*

W progu drzwi stał szef służby domowej. Ręce miał założone za plecy.

Annę złożyła list i wyprostowała ramiona.

- Kiedy wróci *monsieur des Anges*?

- Nie wiem.

Annę zdawała sobie sprawę, ile czasu zajęłaby podróż do Dover dyliżansem. Stanowczo za długo.

Serce zadrżało jej jak strwożonemu ptakowi.

210

- Potrzebuję rozkładu jazdy pociągów do Dover.

- *Tres bien*. Poślę służącego na stację.

- Nigdy jeszcze nie jechałam pociągiem. - Uniosła hardo głowę, buntując się przeciw wymogom etykiety, zakazującej osobistych rozmów ze służbą. Sprzeciwiając się społeczeństwu, które zakazuje związków między mężczyzną znanym z tego, że zaspokaja potrzeby kobiet, a starą panną, która rozpaczliwie pragnie poznać rozkosze cielesne. - Czy samotna kobieta może bezpiecznie podróżować pociągiem?

- Naturalnie, *mademoiselle*. Odległość do Dover wynosi około stu dziesięciu kilometrów. To niedaleko, a większość pociągów ma przedziały wyłącznie dla kobiet. Osobiście odprowadzę panią do wagonu, a na stację w Dover przyślą konie.

Annę przełknęła resztkę dumy.

- Moja wizyta jest nie zapowiedziana. Jak myślisz, czy znajdę na dworcu dorożkę?

Raoul spoglądał w jakiś niewidoczny punkt nad jej głową.

- Jeśli mogę coś radzić, *mademoiselle*, to uważam, że powinna pani

zorganizować sobie transport, zanim jeszcze wsiądzie pani do pociągu tu, w Londynie. Nie jest bezpiecznie samotnej kobiecie na dworcu kolejowym.

Dover to duże miasto portowe. Jeśli przy dworcu nie ma postoju dorożek, to z całą pewnością znajduje się gdzieś w pobliżu.

- Muszę zaryzykować.

- Może pani wysłać telegram, *mademoiselle*, i zamówić kogoś, kto po panią wyjedzie. Załatwię to, kiedy już wsiądzie pani do pociągu.

Jakie proste!

Jej posiadłość leżała na peryferiach Dover, ale na dworcu czekać będzie dorożka. Nic więc jej nie groziło. Mało, że nie wiedziała nawet, ile kosztuje bochenek chleba, to jeszcze potrzebowała służących, by zadbali o nią w zwykłych sprawach.

Nic dodać, nic ująć.

- Rozumiem. Dziękuję. Wspaniały pomysł! - Przesłała mu ciepły uśmiech. - Czy mogłabym prosić o papeterię?

Jeśli Michel nie wróci przed jej wyjazdem, zostawi mu wiadomość, że musiała wyjechać w niecierpiących zwłoki sprawach, ale wróci za dzień czy dwa.

Nieoczekiwanie poczuła na policzkach rumieniec. Przecież nie mogła

211

jechać do Dover bez gorsetu!

Uniosła głowę. Zdała sobie sprawę, że cała służba już wie, iż Annę ubiera się niestosownie. Podobnie cała śmietanka towarzyska Londynu

dowie się niebawem, że Annę nawiązała kontakty z Michelelem des

Anges.

- Aha! Proszę też przysłać pokojówkę, która pomoże mi się ubrać.

Stojący z tyłu Raoul skłonił głowę.

- *Tres bien.*



Ze zlanych wodą strażackich węży zgłiszcz, jakie pozostały z sypialni, sączyły się smugi dymu i pary. Michael spoglądał na zwęglone ciało, spoczywające w grubej warstwie popiołu wśród poczerniałych sprężyn.

Nie mógł rozpoznać zwłok.

Żadnej srebrzystej aureoli włosów. Żadnego ironicznego błysku srebrzystych oczu.

Skóra i czaszka stopiły się w jedno.

Michael towarzyszył strażakom gaszącym pożar. Towarzyszył im, kiedy wchodzili na pogorzelnisko, które zostało po „Domu Gabriela”.

Za późno.

Gdy wybuchł pożar, Gabriel już nie żył.

Minął ranek. Minęło południe.

Walka z żywiołem była skończona.

Michael zadrżał. Nie wiedział, dlaczego przenika go chłód, skoro od ściany domostwa buchał żar.

- Proszę wyjść, sir. Tu nie jest bezpiecznie. Cała konstrukcja runie lada chwila. Proszę za mną. - Strażak chwycił Michaela za połą płaszcza. -

Nie możemy nic więcej zrobić.

Uczucia, które jeszcze przed chwilą nie docierały do jego otępiałego umysłu, wybuchły nagle gejzerem wściekłości, bólu i żalu. Brutalnie odepchnął rękę strażaka.

- Zabieraj łapy!

- Sir, tu jest naprawdę niebezpiecznie. Proszę. W niczym już nie pomożemy pańskiemu przyjacielowi.

Tak, ale mógł zrobić jeszcze jedno.

212

Nie uchronił Gabriela przed tamtym człowiekiem. Mógł go jednak uratować przed pogrzebaniem w ruinach.

Pochylił się i wziął w ramiona zwęglone ciało.

Żar palił mu ręce, palił przez płaszcz, palił mu tors.

Michael nie czuł bólu.

Dianę była cięższa, kiedy wyciągał ją ze swego domu, z ognistego piekła, w które zamieniała się jej sypialnia. Jednakże Dianę nie zamieniła się w zwęglone szczątki.

Powoli, ostrożnie wyniósł zwłoki Gabriela z pogorzeliiska, w jakie przekształcił się jego dom- dom, który nigdy go nie cieszył i już nigdy nie ucieszy.

Oszołomiony Michael zamrugał oczyma. Poprzez kłęby dymu przebijało słońce. Strażacy odjechali. Na ulicy tłoczyli się gapie.

Rozmawiali, krzyczeli, wskazywali coś palcami, wybuchali śmiechem.

Przy krawężniku zatrzymał się obwoźny stragan z imbirowym piwem.

W powietrzu krążyły miedziane pensiaki i butelki z napojem.

Pojawiło się dwóch mężczyzn z noszami.

- Daj go nam, sir. Jego już tylko gleba wyleczy.

Michael przycisnął mocniej do piersi zwęglone zwłoki.

Zagrzechotały kości. Nie należały już do Michaela.

Wspomnienie.

Dianę. Spalone ciało w jego ramionach. Odbierający mu je mężczyźni. Obcy mężczyźni zabierający zwłoki Gabriela.

Historia się powtarza. Czas mijał.

Michael delikatnie położył Gabriela na noszach. Mężczyźni odeszli.

- *Monsieur*. - Podszedł Gaston. Miał na sobie nocną koszulę wsuniętą w wełniane spodnie. Był boso. Załamał ręce. – Nie mogliśmy go uratować. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nie mogliśmy pomóc.

Uratować mógł go jedynie Michael.

Czuł, jak w skroniach tętni mu krew. Bolały go płuca. Paliły oczy.

Tamten człowiek musiał wiedzieć o Gabrielu. Dlaczego zabił go właśnie teraz?

- Ile osób zginęło? - spytał krótko.

- Tylko *monsieur* Gabriel. Nikt więcej. Ogień... ogień wybuchł w jego *chambre*. Naprawdę zrobiliśmy wszystko, *monsieur*.

Ale Michael nie zrobił wszystkiego, by uratować jedyne

213

przyjaciela.

- Powiedz

pracownikom, że dostaną wynagrodzenie do

końca miesiąca.

Słowo „miesiąca” wykrzyknął głośno, by przekrzyczeć zgiełk gawiedzi.

Sam potrzebował jeszcze jednego miesiąca. Jednej kobiety.

A czego potrzebował Gabriel?

Czy wiedział, kiedy tamten człowiek uderzy?

Kiedy szalał z bólu, czy wiedział dlaczego?

- Nasza firma... Wszystko skończone! - lamentował Gaston. - Nie mamy nic, ani pensa...

- Powiedziałem ci, że wszyscy dostaną zapłatę - odezwał się poirytowany Michael.

Nie był przygotowany na utratę Gabriela. Pokryta sadzą twarz Gastona poczerwieniała.

- Nie mamy dokąd pójść, *monsieur* - powiedział z godnością.

Michael poskromił gniew.

Gabriel dbał o nich, o bezdomnych emigrantów z Francji. W jakiś przedziwny sposób znajdował dla nich pracę, mieszkanie, dzięki Michaelowi, dzięki innym klientom. Teraz Gabriel umarł. Nie było go.

Kto zajmie się jego podopiecznymi, kiedy umrze Michael? Idź do Hotel du Piedmonts. Wszystko opłacę. Powiedz *conicrtfe*, jakich potrzeba wam ubrań. On się tym zajmie.

*Merci, monsieur.* - Gaston wyraźnie odzyskał rezon. - Czy mogę zająć się pochówkiem *monsieur* Gabriela?

Na wypadek własnej śmierci Michael poczynił stosowne zapisy.

Czy Gabriel zrobił to samo?

Czy miało to zresztą znaczenie?

Pogrzeb nie wskrzesi zmarłego. Nie. Zajmę się tym sam.

Jeszcze nie teraz.

Teraz musiał zadbać o własne bezpieczeństwo.

Nie wiedział, w kogo teraz uderzy tamten człowiek. Ani kiedy.

Czy zabójca Gabriela kryje się obecnie w tłumie gapiów, popijając piwo imbirowe?

Czy planuje następną nocną wizytę?

214

Czy spróbuje zabrać Annę? Albo ją zabić?

Michael nie wsiadł do dwóch pierwszych dorożek, które zatrzymał.

Dorożkarze wyzywali go od najgorszych, ale on kazał jechać dopiero trzeciej.

Bijący od niego zapach spalenizny tłumiał woń pleśni, dobywającą się ze skórzanego siedzenia dorożki.

Po cichu wszedł do domu.

Nawet woń hiacyntów nie potrafiła zabić w jego nozdrzach odoru spalonego ciała.

Chciał się wykąpać. Chciał Annę.

Chciał, by wreszcie skończył się koszmar.

Spod marmurowych schodów wynurzył się John, złotowłosey lokaj.

Michael przystanął w pół kroku.

Przykazał Johnowi strzec Annę. Gdy jednak popatrzył w bławatne oczy służącego - w oczy, w których odbijało się zbyt wiele ubóstwa i zbyt wiele perwersji - zrozumiał, że Annę odeszła.

Lokaj sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej czarnej marynarki i wyciągnął kopertę.

- List do pana, sir.

Michael stężał od środka. Do jasnej cholery! Nie może jej stracić!

- Gdzie ona jest? - warknął, dobrze znając odpowiedź.

Tamten człowiek brał wszystko!

- List, sir - powiedział spokojnie John. - Polecono mi go panu przekazać.

Michael nie chciał czytać żadnego głupiego listu. Chciał Annę.

Chciał wiedzieć, dla kogo złoto było cenniejsze niż życie wielu ludzi.

- Gdzie jest Raoul?

- Powiedziano mi, że list wszystko panu wyjaśni, sir.

Przemocą niczego by nie zdziałał.

John nie bał się bólu ani śmierci.

Był taki sam jak Gabriel.

Z jednym wyjątkiem.

Wszedł do interesu, zanim sprzedał swą duszę.

Michael wyrwał kopertę z jego ręki. Charakter pisma był męski.

Znajomy.

Michael poczuł uderzenie krwi do głowy. Gwałtownie rozdarł

215

kopertę.

Widząc pismo, nie miał najmniejszych wątpliwości, spod czyjej ręki

wyszło.

Dzwoniło mu w uszach.

Pamiętał ciało Gabriela. Jak niewiele ważyło!

Pamiętał twarz Gabriela. Spaloną do szczętu.

Zrozumiał, jak chytrze nim i Annę manipulowano.

Michael wpadł w pułapkę równie łatwo, jak teraz wpadała w nią

Annę.

Popatrzył w nie wyrażającą żadnych emocji twarz Johna.

- Kiedy nadszedł list?

- Trzy godziny temu.

Kiedy Michaela nie było w domu, ponieważ próbował ratować

życie przyjaciela.

Kto to przyniósł? John nie musiał odpowiadać. Kiedy ta gra się

wreszcie skończy?

Kiedy Annę wyszła z domu?

- Trzy godziny temu.

Czy w towarzystwie posłańca? - warknął Michael.

- Nie, sir. Towarzyszył jej Raoul. Odprowadzał ją na stację

kolejową.

A więc Annę przybędzie do Dover w porze herbaty.

Po odświeżeniu się tamten człowiek zaoferuje jej napój. A ona go

wypije.

I nie było siły ani na ziemi, ani w niebie, by Michael mógł to

powstrzymać.

- Panna Aimes zostawiła list, sir.

- Gdzie on jest?

- Myślę, że w koszu na śmiecie. Ale to powie panu Raoul.

Raoul!

Szef domowej służby, główny dozorca. Pionek w grze.

„Każdy ma swoją cenę”.

Zastanawiał się, jakie kłamstwo wymyśli główny lokaj, by

usprawiedliwić nieobecność Annę.

Od jak dawna ten człowiek go zwodził?

Michael złożył list i wsunął w kopertę. Schował ją do wewnętrznej

kieszeni marynarki.

Powoli podniósł głowę. Czy Raoul wrócił już z dworca? - zapytał

216

cicho, świdrując lokaja wzrokiem.

Jest w kuchni - odparł z niewzruszonym spokojem John.

Cofnął się o krok.

Michael nie żywił już żadnych nadziei, a jednak jakaś jej iskra się

w nim tliła.

Przez jedną szaloną chwilę wierzył, że przyjaźń okaże się silniejsza

niż zazdrość. Chciwość. Nienawiść.

- Czy posłaniec chciał widzieć się z Raoulem? John spoglądał w

przestrzeń nieruchomym wzrokiem.

- Nie wiem, sir. Ja pilnowałem pani. Albo kłamał... albo mówił

prawdę. Michael wierzył mu.



Nikomu jednak innemu ze swej służby ufać nie mógł. Dowodem był ten list.

Z parteru docierały zapachy pieczonego mięsa - woń wołowiny, a nie spalonego ludzkiego ciała. Pani Banting, kucharka, Marie, gospodyni, i Raoul, szef domowej służby, siedzieli przy długim, wykonanym z klonowego drewna stole. Kucharka, przysadzista, pulchna kobieta o twarzy krasnej jak dojrzałe jabłko, przypominająca podstarzałą wróżkę z dziecięcej książeczki, obierała kartofle. Marie, w oprawionych w stalową oprawkę okularach, zapisywała coś w księdze wydatków. Przed Raoulem stała szklanka i butelka dzinu do połowy opróżniona.

Chlebodawcę pierwsza spostrzegła kucharka. Zerwała się z miejsca jak oparzona. W jednym ręku trzymała kartofla, w drugim nóż.

- Sir...?

Marie popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Stalówka jej pióra głośno skrzypnęła po papierze. Pojawienie się Michaela nie poruszyło tylko Raoula. Bez słowa sięgnął po butelkę i dolał sobie do szklanki dzinu.

Michael rozchylił usta w złowróżbnym uśmiechu.

Ręka Raoula wyraźnie drżała, zadając kłam jego pozornej beztrósce.

Powinien się bać.

- Pani Banting, proszę o pudełko zapalek - poprosił Michael.

- Tak, sir. Oczywiście, sir. Czy nic panu nie jest, sir? Słyszałam o

pożarze. Czy panu Gabrielowi nic się nie stało, sir?

Na klonowy stół chlusnęła struga dżinu. Marie wyrwała z dłoni

217

Raoula flaszkę i z trzaskiem odstawiła ją na blat. Jej również drżała ręka.

Które z tych dwojga, mój główny lokaj czy gospodyni, mnie sprzedało? - pomyślał.

Zapałki, pani Banting. Czekam. Kucharka odłożyła nóż i kartofla do metalowej misy z obierkami. Wytarła ręce o fartuch, przeszła w drugi koniec kuchni i zaczęła nerwowo szperać na półce obok czarnego żeliwnego pieca. Wróciła z pudełkiem zapałek, które podała Michaelowi. Dziękuję - powiedział uprzejmie. - Może pani odejść.

Kobieta zmarszczyła krzaczaste brwi. Ależ sir, obiad...

...gotuje się. Wiem, pani Banting. - Michael przeniósł wzrok na

Raoula i Marie. - Nie zajmę dużo czasu. Mam kilka butelek

wyśmienitego sherry z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego. Niech będzie pani tak miła i przyniesie jedną z piwniczki.

Jestem pewien, że lepiej pani posmakuje niż dżin.

Weź pan... - zaprotestowała pani Banting językiem, który zdradzał jej pochodzenie. Była kolejną osobą z galerii bezdomnych Gabriela. -

Lubię szczelić sobie od czasu do czasu grzdyla na wilgotne mżawkie...

Tak długo, jak wykonywała dobrze swoje obowiązki, Michael nie zwracał uwagi na jej pijaństwo.

Puścił jej słowa mimo uszu. Naturalnie białe policzki niewiasty pokrywała gęsta sieć żyłek, które nadawały jej twarzy niżową barwę.

No, niech pani idzie, pani Banting. Kucharka wyszła.

Michael wyjął zapałkę, zapalił ją i podszedł do stołu. Wrzucił do szklanki z dzinem. Buchnął niebieski płomień. Marie z głośnym okrzykiem odskoczyła od stołu. Uśmiech na twarzy Michaela pogłębił się. Raoul, a teraz cię napoję.

On jej nie skrzywdził! - krzyknęła piskliwym głosem Marie.

Michael miał taką nadzieję. Raoul, co właściwie zrobiłeś?

- Czy posłaniec chciał widzieć się z Raoulem? John spoglądał w przestrzeń nieruchomym wzrokiem.

- Nie wiem, sir. Ja pilnowałem pani. Albo kłamał... albo mówił prawdę. Michael wierzył mu.

Nikommu jednak innemu ze swej służby ufać nie mógł. Dowodem był ten list.

Z parteru docierały zapachy pieczonego mięsa - woń wołowiny, a

218

nie spalonego ludzkiego ciała. Pani Banting, kucharka, Marie, gospodyni, i Raoul, szef domowej służby, siedzieli przy długim, wykonanym z klonowego drewna stole. Kucharka, przysadzista, pulchna kobieta o twarzy krasnej jak dojrzałe jabłko, przypominająca podstarzałą wróżkę z dziecięcej książeczki, obierała kartofle. Marie, w oprawionych w stalową oprawkę okularach, zapisywała coś w księdze wydatków. Przed Raoulem stała szklanka i butelka dzinu do

połowy opróżniona.

Chlebodawcę pierwsza spostrzegła kucharka. Zerwała się z miejsca jak oparzona. W jednym ręku trzymała kartofla, w drugim nóż.

- Sir...?

Marie popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Stalówka jej pióra głośno skrzypnęła po papierze. Pojawienie się Michaela nie poruszyło tylko Raoula. Bez słowa sięgnął po butelkę i dolał sobie do szklanki dżinu.

Michael rozchylił usta w złowróżbnym uśmiechu.

Ręka Raoula wyraźnie drżała, zadając kłam jego pozornej beztrosce.

Powinien się bać.

- Pani Banting, proszę o pudełko zapalek - poprosił Michael.

- Tak, sir. Oczywiście, sir. Czy nic panu nie jest, sir? Słyszałam o pożarze. Czy panu Gabrielowi nic się nie stało, sir?

Na klonowy stół chlusnęła struga dżinu. Marie wyrwała z dłoni

Raoula flaszkę i z trzaskiem odstawiła ją na blat. Jej również drżała ręka.

Które z tych dwojga, mój główny lokaj czy gospodyni, mnie sprzedało? - pomyślał.

Zapałki, pani Banting. Czekam. Kucharka odłożyła nóż i kartofla do metalowej misy z obierkami. Wytarła ręce o fartuch, przeszła w drugi koniec kuchni i zaczęła nerwowo szperać na półce obok czarnego żeliwnego pieca. Wróciła z pudełkiem zapalek, które podała

Michaelowi. Dziękuję - powiedział uprzejmie. - Może pani odejść.

Kobieta zmarszczyła krzaczaste brwi. Ależ sir, obiad...

...gotuje się. Wiem, pani Banting. - Michael przeniósł wzrok na

Raoula i Marie. - Nie zajmę dużo czasu. Mam kilka butelek

wyśmienitego sherry z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego

drugiego. Niech będzie pani tak miła i przyniesie jedną z piwniczki.

219

Jestem pewien, że lepiej pani posmakuje niż dzin.

Weź pan... - zaprotestowała pani Banting językiem, który zdradzał

jej pochodzenie. Była kolejną osobą z galerii bezdomnych Gabriela. -

Lubię szczelić sobie od czasu do czasu grzdyla na wilgotne

mżawkie...

Tak długo, jak wykonywała dobrze swoje obowiązki, Michael nic

zwracał uwagi na jej pijaństwo.

Puścił jej słowa mimo uszu. Naturalnie białe policzki niewiasty

pokrywała gęsta sieć żyłek, które nadawały jej twarzy niżową barwę.

No, niech pani idzie, pani Banting. Kucharka wyszła.

Michael wyjął zapałkę, zapalił ją i podszedł do stołu. Wrzucił do

szklanki z dzinem. Buchnął niebieski płomień. Marie z głośnym

okrzykiem odskoczyła od stołu. Uśmiech na twarzy Michaela pogłębił

się. Raoul, a teraz cię napoję.

On jej nie skrzywdził! - krzyknęła piskliwym głosem Marie.

Michael miał taką nadzieję. Raoul, co właściwie zrobiłeś?

Lokaj popatrzył nań szklistymi, pijanymi oczyma.

- Odprowadziłem *mademoiselle* Aimes na stację kolejową.

Czuwałem nad jej bezpieczeństwem.

Michael zapalił kolejną zapałkę. Po raz pierwszy od pięciu lat nie bał się żółtego płomienia, który z równą łatwością trawił drewno i papier, jak i ciało.

- Zaglądałeś do skrzyni, do której mnie zaprowadziłeś, bym zobaczył człowieka strawionego ogniem. Nie był to miły widok.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Nie zaglądałem do żadnej skrzyni.

Może i nie. Była zamknięta.

Ile czasu tamten człowiek czekał na tę chwilę? Ilu ludzi przeszło przez ten koszmar?

Jeden, dwóch, trzech, czterech? Ogień wciąż płonął.

- Przed pięciu laty. Skąd wiedział, że lady Wenterton jedzie do Brighton?

- Zawiadomiłem go telegraficznie.

Michael wciąż widział roześmianą twarz Dianę. Przesłała mu z wagonu pocałunek.

Wtedy po raz ostatni widział ją roześmianą. Poczuł na palcach liźnięcie ognistego płomienia.

- Czy wiedziałeś, co zamierza jej zrobić? Raoul spoglądał

220

Michaelowi prosto w oczy.

- *Non*.

- Ale *mademoiselle* Aimes wysłałaś do niego. Wiedząc, że lady

Wenterton popełniła samobójstwo po tym, co jej zrobił.

- *Oui.*

- *C'est un mensongel* - syknęła Marie. - Zabiła się, bo była kurwą.

Żadna kobieta nie dojdzie do porozumienia sama z sobą po wyparciu się własnych dzieci.

Michael zignorował jej słowa. Tamten człowiek nie puściłby ich mimo uszu.

- Raoul, dlaczego to zrobiłeś?

Szef domowej służby odwrócił wzrok i nad płonąca szklanką sięgnął po butelkę.

- *Uargent, monsieur.* Nie możemy się bogacić tylko za pomocą sprzedawania własnego ciała.

Szklanka eksplodowała. W powietrze buchnęły płomienie, a jednocześnie błękitny ogień rozprzestrzenił się po stole.

Raoul zerwał się na równe nogi. Krzesło, na którym siedział, poleciało do tyłu. Wiedział, że waży się jego życie. Zaczął gwałtownie gasić płonący rękaw marynarki.

Michael rzucił na płonący stół zapalnik.

- Raoul, wszystko ma swoją cenę - powiedział. – Pomyśl o tym przed snem.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Żaden z nich nie będzie żyć tak długo, by móc w pełni skorzystać z pieniędzy.

Wiedzieć to powinien przede wszystkim tamten człowiek.

Annę słyszała, że posiadłość hrabiego jest strzeżona lepiej niż sam pałac Buckingham, a mimo to zarówno strażnik przy bramie, jak też chudy jak szczapa szef służby domowej nie czynili jej żadnych trudności przy wejściu.

Ruszyła za lokajem po stromych, nie pokrytych chodnikiem, mahoniowych schodach. Jej jedwabne reformy, koszule, halki i pończochy ocierały się o skórę, przypominając szaleństwa minionej

221

nocy. Szeleściła czarna wełna sukni - wspomnienie matki, po której wciąż nosiła żałobę.

Dom hrabiego był wspaniały. Przypominał muzeum wyłożone najdroższym drewnem, na ścianach wisiały bezcenne malowidła, pokoje wypełniały antyczne meble. Z pewnością utrzymanie tak rozległej rezydencji wymaga całej armii służby - pomyślała niespokojnie: koniuszych, ogrodników, lokajów, pokojówek, pomocnic.

Gdzie oni wszyscy się znajdowali?

U stóp schodów czekała otwarta winda. Do ścian przytwierdzono wykonane z kryształu i mosiądzu kinkiety, zalewające korytarz jasnym światłem elektrycznym. Mimo to ich blask nie zdołał rozjaśnić mroku ciemnych boazerii mahoniowych i podłogi z tego samego drewna.

Kroki Annę rozbrzmiewały dźwięcznym echem w niekończącym się



korytarzu. Idziesz prosto na cmentarz - zdawało się ją wszystko ostrzegać. Zanim jeszcze staniesz przed obliczem hrabiego, zobaczysz, jak zdewastowano grób matki.

Za późno - zdawały się odpowiadać kroki prowadzącego ją lokaja.

Hrabia już na ciebie czeka.

W końcu korytarza stał obity różowym adamaszkiem rokokowy fotel. Lokaj otworzył ostatnie drzwi.

- Panna Aimes - zaanonsował i odstepił w bok, robiąc jej przejście.

Annę nerwowo ścisnęła czarna, wyszywaną perełkami torebkę.

Ujrzała siwowłosego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Siedział przy obramionym mahoniowym drewnem masywnym kominku, w którym płonął ogień. Nad jego głową, na parapecie kominka, stały wazy z Sevres, a między nimi zegar w oprawie z rzeźbionego białego marmuru. Przez okna wpadało mdłe światło słoneczne. Między gospodarzem a wytwornym fotelem w stylu chippendale stała na ruchomym stoliku zastawa do herbaty.

Instynkt ostrzegał Annę przed wejściem do sypialni. Zdrowy rozsądek kazał jej kpić z obaw.

Ostatecznie pokój złożonej chorobą osoby nie był jej obcy. Hrabia Granville był stary i kaleki. Nie mógł wyrządzić jej krzywdy.

Był zresztą dawnym przyjacielem jej rodziców. Dlaczegoż miałby jej wyrządzić krzywdę?

222

Przełamując lęk, Annę weszła do pokoju. Cicho zamknęły się za

nią drzwi.

- Witam, panno Aimes. Mam nadzieję, iż wybaczy pani starcowi, że przyjmuje ją w prywatnych pokojach. - Hrabia nie odwrócił nawet głowy. Jego głos był jowialny. - Proszę, proszę, niech pani usiądzie obok mnie.

Annę wcale nie chciała siadać. Pragnęła uciec, wyrwać się z dusznej atmosfery pokoju przesączonego zapachem środków dezynfekcyjnych.

Ogarnął ją wstyd.

Hrabia był kaleką.

- Dziękuję, hrabio Gramdlle. Dziękuję, że mnie pan przyjął.

W rozległym pokoju stukot jej obcasów na drewnianej podłodze rozległ się dźwięcznym echem. Echo zaś to mówiło jej, jak bardzo osamotniona jest posiadłość hrabiego oraz jak bardzo jest osamotniona ona, wyrwana z gwarnego Londynu.

Ostatnie trzy dni spędziła w towarzystwie obcych mężczyzn:

Michela i Gabriela oraz człowieka, który czekał na nią na stacji kolejowej, jak też służącego, który odprowadził ją na dworzec.

Skrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

A teraz trafiła do sypialni kolejnego obcego mężczyzny.

Podeszła do fotela i skromnie przysiadła na brzeжку jego obitego brązowym aksamitem siedzenia.

Hrabia miał bladą, pomarszczoną twarz, na której malował się wyraz bólu i cierpienia. Wyglądał na siedemdziesiąt kilka lat.

Sprawiał wrażenie człowieka, który zaznał w życiu niewiele przyjemności. Spoglądał na nią przenikliwie wyblakłymi oczyma, których barwę w mdłym świetle, jakie panowało w pokoju, trudno było określić. Patrzył tak, jakby chciał poznać reakcję Annę na widok niedołęstwa i kalectwa.

- Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję. Annę odwróciła wzrok.

- Nie musi się pan tłumaczyć, panie hrabio.

Na tacy stały na spodeczkach dwie filiżanki ze złożonymi brzegami.

Obok srebrna tacka, cukiernica, dzbanuszek z mlekiem i zwinięte serwetki. Na drugiej tacce piętrzyły się plasterki cytryny. Ze srebrnego imbryka unosiły się obłoczki pary.

Zupełnie, jakby hrabia spodziewał się wizyty!

Annę znów ogarnął niepokój.

223

Ciche, rytmiczne „tik-tak, tik-tak” zegara, stojącego na okapie kominka.

Popatrzyła na spoczywającą na poręczu wózka inwalidzkiego prawą rękę hrabiego.

Obracał coś w palcach. Coś, co błyszczało jak srebro.

Zobaczyła dwie metalowe kulki, nieco większe od marmurowych,

jakimi grały wiejskie dzieci.

W kominku trzasnęła płonąca głownia, w przewody kominowe trysnął snop iskier.

Annę zwilżyła językiem suche wargi i spojrzała na gospodarza.

- Panie hrabio, dziękuję za list - powiedziała. - Jestem wdzięczna, że powiadomił mnie pan o zbeczeszczeniu grobu mojej matki.

Tik-tak, tik-tak...

- Pani rodzice byli moimi przyjaciółmi. Wiele wieczorów spędziliśmy, grając w pikietę.

Uśmiechnął się. W uśmiechu tym było coś znajomego.

- Czy ma pani ochotę na filiżankę herbaty, moja miła?

- Nie chciałabym nadużywać pańskiej gościnności, panie hrabio.

Najwyraźniej spodziewa się pan gościa. Zajmę panu tylko chwilę.

- Bzdura. Nie nadużywa pani bynajmniej mojej gościnności - odrzekł serdecznie. - Mój gość pojawi się dopiero za jakiś czas. Proszę wyświadczyć mi przysługę i nalać herbatę. Nawet nie wie pani, z jaką niecierpliwością oczekiwałem na panią po wysłaniu tego strasznego listu. Nie opuszczam domu. Jestem stary, schorowany i prowadzę bardzo samotne życie. Chyba się pani tego domyśla, moje dziecko. Większość ludzi, którzy uczestniczyli w pogrzebie rodziców, nie odwiedzała ich od lat.

- Dziękuję. - Zdjęła czarne rękawiczki i sięgnęła po serwetkę. -

Chętnie napiję się herbaty.

Zaczęła nalewać napój. Przypomniawszy jej się inny dzbanek,  
kamionkowy, nie srebrny. I inny mężczyzna, nie siwy. I jego oczy.  
Czujne.

Ostrożnie odstawiła ciężki imbryk na srebrną tacę. Uniosła głowę.  
Napotkała wzrok starego człowieka.

- Czy życzy pan sobie cukru? Mleka? Cytryny?

Rozdzielał ich lekki obłok pary unoszącej się z filiżanek.

Hrabia uśmiechnął się uprzejmie.

224

- Proszę o to samo, co pani będzie piła, moja droga.

Odruchowo ściągnęła usta. Gabriel powiedział to samo w restauracji,  
kiedy kelner przyjmował zamówienie.

Srebrzystooki przyjaciel Michela tropił ją. Dlaczego nieoczekiwanie  
odniosła wrażenie, iż tak samo postępuje lord?

Wrzuciła dwie kostki cukru do filiżanki pana domu, a następnie do  
swojej. On nie tknął herbaty. Jakżeby chciała postąpić tak samo!

Napój smakował tak, jakby dodała do niego nie cukru, lecz gorzkich  
kropeł.

Szybko odstawiła filiżankę z cienkiej chińskiej porcelany na  
spodeczek.

- Napisał pan, że grób matki został zbezczeszczony w sposób  
barbarzyński. Co miał pan na myśli?

Palce, którymi hrabia nieustannie przebierał, znieruchomiały. W  
przedziwny sposób monotonne „tik-tak, tik-tak” marmurowego zegara

przebięło przez huk płomieni w kominku.

- Nie smakuje pani herbata, panno Aimes? Proszę mi wybaczyć,

służba lekceważy sobie kalekiego starca. Zaraz zadzwonię po...

- Nie, naprawdę nie trzeba. Jest dobra. - Annę sięgnęła po filiżankę i

zmusiła się do przełknięcia kolejnego łyku. - Czy inspektor policji...

- Musi pani bardzo brakować matki, moja miła - przerwał jej.

Rytmicznie potrząsał dwiema srebrnymi kulkami. - Umarła zaledwie

dwa dni po śmierci ojca. To straszne. Wprost okropne.

Annę odstawiła filiżankę.

- To prawda - skłamała.

Zarówno ojciec, jak i matka przeszli przez piekło cierpienia. Śmierć

była dla nich wybawieniem.

- Czy podoba się pani Londyn, panno Aimes?

Tik-tak, tik-tak...

Czoło zrosiły jej krople potu. Bijący z kominka żar zdawał się jednak

nie wywierać na hrabim żadnego wrażenia.

- O, tak. To bardzo interesujące miasto.

- Chyba ciężko było pani oderwać się od dawnych przyjaciół i

znajomych. Londyn jednak to wesołe miasto. W niczym nie

przypomina naszej statecznej i trochę zapleśniałej prowincji.

Annę stanął przed oczyma obraz „Domu Gabriela”. Wyzwolonych,

rozpustnych kobiet i zamożnych dżentelmenów.

Starce, wyblakłe oczy hrabiego rozblęły. Zupełnie jakby ich

właściciel odczytał jej myśli. Zupełnie jakby wiedział o tym, co Annę wyprawia w Londynie.

Czyżby plotki zdążyły dotrzeć do Dover?

- Co znaczy, że grób jest zbezczeszczony, hrabio Granville - wróciła zdecydowanie do tematu.

- Proszę mi wybaczyć, myśli starych ludzi czasem błędzą po manowcach. Niech pani pije herbatę. Zadzwonię na służbę, by przyniosła następny imbryk.

Annę przypomniała sobie, jak bardzo samotni czuli się jej rodzice.

Jak tęsknili za towarzystwem innych ludzi, a okazje do spotkań trafiały się rzadko. Jak bardzo byli nerwowi i niespokojni.

Z rezygnacją sięgnęła po filiżankę. Po trzecim łyku smak herbaty nie wydał się jej lepszy.

- Czy była pani kiedyś zakochana, panno Aimes?

- A pan, sir? - spytała.

- Tak, panno Aimes, byłem.

Hrabia Granville był drugą osobą, która wyznała Annę, że kochała.

Mężczyzna. Kobieta. Przyjaciele. Kochanek czy kochanka.

A może hrabia kochał mężczyznę? Miał kochanka?

Chciwie upiła kolejny łyk herbaty.

- Spotkało pana zatem szczęście.

Odstawiła filiżankę.

- Nie sądzę, by w naszym społeczeństwie był to towar pierwszej potrzeby. Ludzie się boją. Towarem pierwszej potrzeby są pieniądze.

Pani się jednak nie boi, prawda, moja miła?

- Tak.

Bała się wielu rzeczy. Samotności. Starzenia się. Śmierci... w samotności. Lecz nie przyjechała przecież do Dover, by rozprawiać o swoich lękach.

Nieustanne „klik, klik, klik” srebrnych kulek zaczynało działać jej na nerwy.

- Rozmawiał pan z inspektorem policji, hrabio. Czy wiadomo już, kto dopuścił się tego czynu?

- Niechętnie mówi pani o miłości. - W oczach starego człowieka pojawił się osobliwy błysk i jeszcze coś, coś mrocznego, czego Annę nie potrafiła określić. - Zastanawiam się dlaczego?

Poczuła na skroniach grube krople potu. Poczuła strużkę spływającą

226

między piersiami.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy rozważać teraz ten temat, hrabio Granville - odparła sztywno. - Może kiedyś...

- Zastanawiam się często nad pewnym wierszem - przerwał jej kategorycznie. - Napisał go Andrew Marvell. Mężczyzna próbuje przekonać swoją damę, by posmakowała w łóżu małżeńskich rozkoszy.

Mówi jej:

Grób, chociaż cichy i dwoje nas zmieści, Przecie nie sądzę, bym chciał cię w nim pieścić.

- To prawie prorocstwo. Czy czytuje pani poezję?



Ciało Annę oblała fala gorąca, nie mająca nic wspólnego z płonącym w kominku ogniem. Dyskusja na temat seksu z przyjacielem Michela to jedno, rozmowa na ten sam temat ze starym lordem to coś całkiem innego.

Otarła serwetką usta i odłożyła ją na tacę obok filiżanki z herbatą.

- Nie, nie czytuję. Powiedziałam służącemu, że zabawię tu tylko kilka chwil. Koń może się znarowić, więc jeśli pan wybaczy...

- Wiosna to taka nieprzewidywalna pora roku, prawda? - przerwał jej gładko. Jego kaprawe oczy rozbliły. – Wyznam pani, że zawsze jest mi zimno. Mój osobisty służący wykorzystał pani wizytę, by wziąć sobie chwilę wolnego. Czy byłaby pani tak uprzejma i przyniosła mi z komody pled?

Uprzejmość nakazywała jej usłużyć gospodarzowi domu przed wyjściem.

- Naturalnie.

Wstała, odłożyła na fotel torebkę i rękawiczki i rozejrzała się po przestronnej, prostokątnej sypialni. Jej ściany wyłożone były taką samą mahoniową boazerią jak ściany korytarza. Ciemne, o czterech słupach, łoże pogłębiało jeszcze przytłaczającą atmosferę.

- Komoda jest po drugiej stronie mego łóżka – poinformował ją grzecznie mężczyzna, jakby nieświadomy gafy towarzyskiej, jaką popełnił, nie zwracając uwagi na to, że niewiasta ma już dosyć jego towarzystwa. - Tam, przy ścianie. Pled jest w najwyższej szufladzie.

Annę przeszła w odległy róg pokoju, gdzie panował błogosławiony

chłód.

Nad komodą wisiał naturalnej wielkości portret. Młody człowiek

227

pochylał się nad koniem. W ręku trzymał harap. Usta wykrzywiały mu ironiczny uśmiech.

Widziała już taki grymas.

Młodzieniec miał czarne włosy, ufryzowane na modłę wczesnych lat trzydziestych. W przyćmionym świetle wydawały się prawie niebieskie.

Nie odrywając od portretu wzroku, wyjęła z szuflady pled.

Rozpoznawała kolor oczu młodzieńca z portretu.

Pamiętała ich spojrzenie.

Roztańczone. Roześmiane. Wplecione w bajecznie kolorowe suknie i czarne fraki, podczas gdy brzmiała muzyka...

- W szczenięcych latach byłem przystojny, prawda, panno Aimes?

Annę gwałtownie odwróciła się od portretu. Hrabia Granville

bezszelestnie podjechał na swoim wózku do łóża. Zapalił wytworną lampę od Tiffany'ego.

- Wiele osób twierdzi, że mój bratanek jest niemal bliźniaczo do mnie podobny. Czy pani również ma takie zdanie?

Pomyślała, że stary człowiek zaczyna bredzić.

Jego bratanek zmarł w dwa lata po wypadku, w wyniku którego lord został inwalidą; tak utrzymywał jego brat, szwagierka i trzy bratanice.

Pławił się teraz w blasku elektrycznego światła. Stateczny, stary dżentelmen, przybrany w wykrochmaloną białą koszulę, czarny krawat, tweedowe, wełniane spodnie i ciemnowiśniową jedwabną marynarkę z czarnymi klapami jedwabnymi. Opuścił ręce i popatrzył z uśmiechem na Annę. Czekał, aż okryje jego bezwładne nogi pledem.

Annę uczyniła to bardzo niechętnie.

Mężczyzna przestał nagle sprawiać wrażenie bezradnego.

Bezbronego.

Jego nogi pod ciemnozielonym pledem sprawiały wrażenie samych kości pokrytych pergaminową skórą. Nieustannie wykonywał palcami rytmiczne ruchy; srebrne kulki grzechotały.

Ujrzała wbity w siebie wzrok.

W świetle lampy elektrycznej tęczęwki hrabiego były półprzezroczyste, jak zabarwione na fiołkowy kolor szkło. Jego źrenice przypominały zaś czarne perły.

Oświeciło ją, czyj uśmiech przypominał jej uśmiech hrabiego.

Oświeciło ją, kogo przypomina młodzieniec z portretu.

228

Wyprostowała się gwałtownie. Serce zabiło jej jak młotem.

- Przepraszam za nagłe najście, panie hrabio. Proszę się mną nie kłopotać. Sama znajdę wyjście.

Jego starczą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Pochlebia mi pani, panno Aimes. Jednak dostrzegła pani podobieństwo.

Nogi miała jak z gumy.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ależ doskonale pani wie, moja miła. - Z jego twarzy nie schodził pogodny uśmiech. Obracał w smukłych palcach srebrne kulki. „Klik, klik, klik”. Palce tej samej długości, zniekształcone bliznami, pieściły jej piersi. Dotykały jej łechtaczki. Wchodziły w pochwę. - Dostrzegła pani moje podobieństwo do mego bratanka. Człowieka, któremu zapłaciła dziesięć tysięcy funtów, aby panią pieprzył.

Zachwiała się i oparła o ścianę pokrytą drewnianą boazerią.

Zadźwięczała porcelana, zadźwięczało srebro.

On spoglądał na nią z niedowierzaniem. Jakby najsłynniejszy ogier w Anglii nie był jego bratankiem. Jakby nie wiedział, że to ona zapłaciła dziesięć tysięcy funtów. Że jego bratanek pieprzy ją za pieniądze.

Ale przecież on nie miał prawowitego bratanka. Chłopiec zmarł dwadzieścia siedem lat temu.

Być może dotarła do Dover wieść o jej związku, ale nikt nie mógł wiedzieć, na jaką kwotę opiewał kontrakt.

Z całą pewnością nie zdradził tego pan Little. Lord mógł się więc o tym dowiedzieć tylko z jednego źródła.

A zatem Michel des Anges... Tylko on wiedział, kim Annę jest.

Po prostu kłamał.

Jego pragnienie przyjaźni. Intymności. Rozkoszy, jaką czerpał ze

związku ze starą panną.

Zwabiono ją do Dover.

- Nie zbezczeszczono grobu mojej matki. - Popatrzyła hardo w oczy pana domu. Zapanowała nad przesywającym ją bólem. - Czy tak, hrabio Granville?

- Skąd pani wie? - odparł uprzejmie.

- Obawiam się, że uznając swego bratanka za bękarta, popełnił pan poważny błąd. - Zerknęła na srebrną zastawę, a następnie popatrzyła

229

hrabiemu wyzywająco w oczy. - Może pan go zniesławiać.

Zapłaciłam Michelowi des Anges dziesięć tysięcy funtów, i więcej nie mam zamiaru płacić.

Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech; po plecach Annę przeszedł zimny dreszcz.

- Niczego innego się nie spodziewałem, panno Aimes.

Kolejne kłamstwo.

- A

zatem

o

wszystkim

zapomnijmy

-

powiedziała.

Wiedziała, że też kłamie.

Nie zapomni tego dnia. Nie zapomni tej chwili.

Czy to właśnie chciał jej powiedzieć Gabriel w cukierni?

Że jej kochankiem jest bękart, będący bratankiem hrabiego?

Rękawiczki... Zostawiła je na fotelu. Schyliła się, by wziąć torebkę i jak najszybciej opuścić ten dom.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce upokorzenia. Dumnie jednak uniosła głowę, pragnąc pokazać, że niewiele sobie robi z lorda i jego bratanka, którzy wyłudźili pieniądze od spragnionej ciepła i miłości starej panny.

- Życzę miłego dnia, sir.

- Jeszcze nie skończyliśmy, panno Aimes. Zignorowała te słowa, ale od drzwi dzieliła ją ogromna

przestrzeń. Wspomnienia sprawiły, że jej nogi stały się ciężkie jak ołów. Brała Michela do ust; on pieścił jej pośladki, kiedy trzymała nogę na desce toalety, gdy wchodziła palcami głęboko w swą pochwę.

Była wtedy szczęśliwa. Te trzy dni i trzy noce... Nigdy w życiu nie doznała takiej rozkoszy.

Nie przyszłoby jej do głowy, że mężczyzna - zwłaszcza taki jak Michel des Anges - mógł pożądać trzydziestosześcioletniej starej panny bardziej niż pieniędzy, jakie mu zapłaciła.

Dlaczego ta prawda tak bardzo ją rani?

Boże, proszę, pozwól mi dojść do drzwi - modliła się w duchu. - Nie pozwól, bym przed tym człowiekiem wybuchnęła płaczem.

Bóg wysłuchał jej modlitwy.

Szczęśliwie dotarła do drzwi.

Za nimi jednakże stał ubrany na czarno mężczyzna, blokując przejście. Miał łysiejące włosy piaskowego koloru.

Annę uświadomiła sobie, że wie, kim jest ten człowiek.

230

Był to służący pana Little'a, który miał dopatrzeć jej londyńskiego domu. Wzór angielskiej prawości.

- Zamknij drzwi, Frank, dobry chłopcze. Panna Aimes nie jest jeszcze na ciebie przygotowana.

Piaskowo włosy mężczyzna o nieruchomej twarzy posłusznie wykonał polecenie. Jego twarz odbijała się w wypolerowanej podłodze. Na głowie miał czarny kapelusz.

Ziściły się najgorsze obawy rodziców Annę; została zakładniczką.

Serce waliło jej jak młotem. Gwałtownie odwróciła się w stronę hrabiego. Czowała zawroty głowy.

- Nie może mnie pan tu więzić. Woźnica...

Zacisnęła zęby.

Przypomniała sobie kpiący głos Gabriela: „Każda kobieta bałaby się przebywać w takich okolicznościach w towarzystwie obcego mężczyzny”.

Igrali jej losem.

W tajemnicy zadała się z Michelelem. Jechała sama pociągiem. W towarzystwie człowieka, który oświadczył jej, że jest współpracownikiem inspektora policji.

Wyblakłe oczy hrabiego rozbliły złośliwie.

- Jest pani bardzo bystra, panno Aimes. Wie pani jednak, że człowiek, który pani towarzyszył, został wynajęty przeze mnie, a raczej przez Franka. Frank w tych sprawach jest nadzwyczaj skrupulatny.

- Hrabio Granville, moja służba mnie oczekuje. Jeśli się w porę nie pojawię, wezwie policję.

- Nic podobnego, panno Aimes. - Machnął lekceważąco ręką. - Już się chyba pani domyśla, że Raoul zatelegrafował do mnie, a nie do pani służby. Czy ma mnie pani za głupca?

Tak łatwo uprowadzić samotną kobietę? - pomyślała ze zgrozą.

Kochanek. Hrabia. Jasnowłosy lokaj, który wcale nie był lokajem. Jane

- pokojówka czy współpracowniczka? Raoul - czy naprawdę tylko szef służby domowej?

Czy Gabriel jest przyjacielem jej kochanka? A może to tylko przystojny mężczyzna, wynajęty po to, by szedł jej śladem i upewnił się, że nie wykręci żadnego numeru, a Michel zainkasuje pieniądze?

Pamiętała ciemnowłosego mężczyznę przed biurkiem prawnika.

Była przekonana, iż to Michel. Wzruszyła ramionami.

231

- Mój prawnik uda się do Scotland Yardu.

- Pani prawnik nie żyje. Jego zwłoki przesłałem swemu bratankowi.

Pan Little! Nie żyje!

W Annę zamarło serce. A zegar na kominku tykał i tykał.

- Postarałem się, by przesyłka doszła w dobrym stylu - chełpił się



hrabia. - „Od prawnika do prawnika". Nie uwłaczając memu  
bratankowi, męska dziwka to męska dziwka. Zachowałem styl, prawda?

Przed oczyma Annę stanął czarny kufer w gabinecie Little'a.

Przypomniała sobie osobliwy zapach spalenizny.

I wiedziała już, co było w tym kufrze.

Dobrze było jej z Michelelem... Nie, nie, nie. Gabriel powiedział jej, że  
Michel to Michael. Wielki Boże, nawet nie знаła imienia mężczyzny,  
którego w siebie brała, którego brała w swoje usta.

A pan Little nie żył.

Ścisnęło się jej serce; zaczęło gwałtownie bić w rytm tykania zegara  
na kominku.

Pomyślała, że to wcale nie pod wpływem strachu stwardniały jej  
brodawki, kiedy na zmoczonej deszczem ulicy podszedł do niej  
Gabriel; brodawki stwardniały od zimna.

Teraz naprawdę czuła lęk, który mroził jej żyły. Wydawało się jej, że  
nie ma już żadnych brodawek, żadnej łechtaczki, żadnych palców. Jej  
ciało przekształciło się w wielkie przerażenie.

- Będę krzyczeć. - Zagryzła policzek, by nie spełnić swej groźby. -

Służba ruszy mi na pomoc. Nie może pan przecież uwięzić kobiety!

- Jestem innego zdania, panno Aimes. Mogę. I uczynię to. Służba nie  
usłyszycie pani krzyków. Dałem wszystkim kilka dni wolnego. A kiedy  
wrócą, będzie już po wszystkim.

- Dam panu pieniądze - rzekła z desperacją. - Oddam cały majątek.

- Nie potrzebuję pani pieniędzy.

Nie potrzebował pieniędzy. A więc czego? Odetchnęła głęboko. Nie wolno wpadać w panikę.

- A więc czego pan chce ode mnie?

- Chcę, by pani zrozumiała.

Jego słowa odezwały się w uszach Annę znajomym echem.

- Żebym zrozumiała co?

- Że nie ucieknie pani od konsekwencji zabicia matki. Annę zamarała.

- Zabicia... matki?!

Nie zdobyłaby się na taki czyn!

232

Matka błagała ją, by skróciła jej cierpienia, ale ona nie zrobiła nic w tym celu.

- Panno Aimes, troszczyła się pani o matkę. Pielęgnowała ją.

Spała w sąsiednim pokoju, by stawić się na każde jej wezwanie. Ale znalazła ją pani na podłodze - zimną i sztywną. Czy nie słyszała pani, jak spadła z łóżka? Jak wzywała pomocy?

Ból, jaki przeszył Annę, był silniejszy niż strach. Już kiedyś słyszała te wioskowe plotki.

Czy dlatego Michel śmiał się z niej ukradkiem, kiedy powiedziała mu, że wie, jak to jest, gdy człowiek zostaje napiętnowany publicznie?

Czy to rzeczywiście stan cywilny Annę powodował plotki, o których wspominał Michel?

Powodem było jej bogactwo!

Dlaczego słyszała tylko to, co chciała usłyszeć, a nie to, co do niej

mówił?!

- Nie! Nie zabiłam matki - oświadczyła ostro.

- Ależ zabiłaś, moja droga. I za to poniesiesz karę. Najpierw jednak musisz zrozumieć kilka rzeczy.

Przed oczyma Annę pojawiły się mroczki. Zakręciło się jej w głowie.

Chwyliła gałkę drzwi, by nie upaść. Torebka i rękawiczki wysunęły się jej z dłoni i z cichym szelestem spadły na podłogę. Całym ciałem oparła się o drzwi.

Ogarnęła ją groza.

- Dodał pan czegoś do herbaty... - wykrztusiła.

- Proszę się tym nie przejmować, panno Aimes. Paraliż niebawem minie.

Z wprawą podjechał do wózka z zastawą do herbaty i zdjął serwetkę z imbryka. Ostrożnie wytarł pokrywkę, jakby bał się tego, co jest w środku.

Postawił imbryk na kolanach i podjechał do Annę. Skrzypienie kół na drewnianej podłodze sprawiło, że po kręgosłupie Annę przeszedł zimny dreszcz.

- Nie będziesz się ani ruszać, ani mówić, ale będziesz wszystko słyszeć. Będziesz mogła o wszystkim myśleć. I wszystko zapamiętasz.

Zatrzymał wózek o metr od Annę. Popatrzył na nią bacznie swymi kaprawymi oczyma.

- O tak, będziesz miała o czym myśleć i co wspominać.

- Pan

oszałał

-

szepnęła.

Cała ta sytuacja była szalona.

Dlaczego hrabia i jego bratanek z nieprawego łoża tak się nad nią pastwili, skoro nie zależało im na jej pieniądzach? Hrabia popatrzył badawczo.

- Czy wiesz, moja droga, że ci, którym odebrano władzę, nieustannie mówią o tych, którzy władzę posiadają. Kiedy człowiek jest przykuty do wózka inwalidzkiego, staje się filozofem. Do czego zmierzam?

Wszyscy mamy cechę, która może prowadzić nas do wielkiej radości bądź też do niezmiernego cierpienia. Dwadzieścia dziewięć lat temu mój bratanek był uroczym chłopcem. W przeciwieństwie do tego, czego nauczyli nas Grecy, wiem, że przewinienie jest inną stroną miłości, nie nienawiści. Wyobraź sobie ból jedenastoletniego chłopca, który wie, że jest winien śmierci swojej rodziny.

Wiedziała, o czym hrabia mówi. Sama jednak nie czuła się niczemu winna.

Śmierć chłopca była przypadkowa. Przypadkowa!

Matka też umarła przez przypadek.

Annę po prostu zasnęła.

Kiedy matka próbowała wstać z łóżka, Annę spała.

Matka upadła.

A Annę spała. Matka umarła. A Annę spała.

- Tak, wyobrażasz sobie, co czuł mój bratanek. Wina to potężne, dojmujące uczucie. Nie zajęło mu dużo czasu, by uświadomić sobie, jak bardzo był samolubny, ciesząc się życiem, kiedy skonfrontowałem go z realnością śmierci. - Hrabia musnął srebrny talerzyk. - Wyobraź sobie też lady Wenterton, piękną, zepsutą kobietę o nienasyconym apetycie seksualnym. Panno Aimes, istnieją środki, które rozbudzają w kobiecie przemożne żądze. Nie wątpię, że mój bratanek doprowadziłby panią do takiego stanu, gdybym dał mu więcej czasu, choć z drugiej strony on zawsze był niesfornym chłopcem.

Ostatnie słowa wymówił z pobłażliwością.

Annę odnosiła wrażenie, że zsuwa się w jakąś otchłań, lecz chciało się jej również śmiać.

Lady Wenterton... Kim ona była? Przepelniona niepohamowanymi żądzami... Niegrzeczny chłopiec wplątany w morderstwo.

Annę poczuła, że jej suknia i halki unoszą się do pasa.

Przeszła jej ochota do śmiechu.

234

Usiadła na podłodze i ujrzała przed sobą jedwabne pończochy na wyciągniętych nogach.

Sparaliżowana.

Rozpaczliwie próbowała zwalczyć działanie narkotyku. By zyskać jeszcze trochę czasu. By zrozumieć to, co było niepojęte.

Hrabia przyjaźnił się z jej rodzicami.

A więc dlaczego robi jej to, co robi?

Zaczynały jej drętwieć usta. Z trudem wydukała:

- Lordzie Granville, dlaczego uważasz, że twój bratanek był niegrzeczny?

- Bo nie zabił cię.

W oczy zajrzała jej śmierć.

Gdzieś na skraju świadomości Annę pojawiły się wspomnienia tańczącego na ostrzu szpilki od kapelusza światła słonecznego.

Michel opierający się o framugę drzwi do biblioteki. Jego fiołkowe oczy były puste. Martwe.

Michel stał nad nią, jego napięty członek lśnił od jej śliny. Ostrze szpilki do kapelusza pobłyskiwało.

Palce Michela mocno trzymały ją za tył głowy, kiedy go pieściła i ssała.

Żarliwość Michela. „Nie skrzywdzę cię. Obiecuję. Bez względu na wszystko, nie skrzywdzę cię”.

Pochylił się nad nią hrabia i zaczął się jej z zainteresowaniem przyglądać, jakby studiował zachowanie owada. Grzech i karaluchy...

- Mój bratanek wie, że jest pani tutaj, panno Aimes. Co do tego nie powinna mieć pani wątpliwości. On nie jest już w stanie pani pomóc, a niebawem dołączy do pani. Proszę pozwolić mi na małą dygresję.

Wyobraź sobie, moja miła, lady Wenterton, o której wspomniałem.

Zawojowała mego bratanka. Niech pani nie zapomina, co powiedziałem o jej nienasyconym apetycie seksualnym. Wyobraź sobie, moja droga, że jesteś spalana przez niepohamowane żądze, ale nie jesteś ich w stanie zaspokoić fizycznie. Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, co to dla tamtej kobiety znaczyło?

Annę go słyszała. Myślała. I wszystko pamiętała.

Lady Wenterton... Kobieta o apetycie...

235

„Czy nigdy nie doświadczyłeś seksu... czy bardzo intymnej przyjaźni... z inną kobietą?”

„Pamiętam takie doświadczenia. Kiedyś. Dawno, dawno temu”.

„I co się stało?”

„Umarła”. Klik. „Umarła”. Klik. „Umarła”. Klik.

Annę spoglądała z nieskrywanym przerażeniem na prawą dłoń hrabiego i dwie srebrne kulki, które nieustannie przemieszczały się między jego palcami.

- Tak więc, panno Aimes, chcę, by uświadomiła sobie pani położenie, w jakim się znalazła. Stanowi pani amalgamat mego bratanka i lady Wenterton. Kochająca córka, również trawiona żądzą. Wyobrażam sobie ogrom winy, jaką pani czuje, bo zabiła pani matkę, by dać folgę swym najniższym instynktom. Pojawiła się pani u mnie w najodpowiedniejszej chwili.

Annę próbowała krzyczeć, polemizować z obłąkańczą logiką

hrabiego.

Nie zdołała jednak nawet otworzyć ust.

- Jest pani zmęczona, panno Aimes. - Błysnęło srebro, zaklekotały

kulki. W oczach hrabiego płonęła złośliwość, która nie miała jednak nic

wspólnego z jego chorobą. - Czy chce pani jeszcze posłuchać Marvella?

Jak

powiedziałem,

jego

wiersze

mają

w sobie wiele z proroctwa. Jestem też przekonany, iż ciekawi panią

kara, jaką przygotowałem.

Annę chciała się poruszyć, odepchnąć wózek na kółkach,

powstrzymać całe to szaleństwo.

Nie mogła jednakże się poruszyć, nie mogła się nawet odezwać.

Ten człowiek zamierzał ją zabić.

A ona nie wiedziała dlaczego.

- Dobra dziewczynka. Niech pani nie walczy. O wszystkim dowiesz

się we właściwym czasie. - Hrabia dobrze wiedział, o czym myśli

Annę, i nie krył swego rozbawienia. - A teraz posłuchaj. To jasne jak

słońce:

Cóż, kiedy za mną pędzi pogoń chyża -Skrzydlaty rydwan

czasu wciąż się zbliża: A tam, przed nami, czekają jedynie



Nieogarnionej wieczności pustynie. Uroda twoja w mrok  
grobu się schowa I nie usłyszysz krypta marmurowa Echa mej  
piosenki; robak niszczyć zacznie Dziewictwo, któreś chroniła

236

tak bacznie; Cała twa cnota prochem wnet się stanie\*

Robaki. Krypty grobowe.

Nie istnieje uczucie bardziej przerażające niż groza. Hrabia  
uśmiechnął się sympatycznie. Współczująco.

- Oczywiście, nie jesteś już dziewicą, ale robakom nie robi to chyba  
różnicy. Czy chcesz dołączyć do matki? Czeka na ciebie.

To nie mogło dziać się naprawdę!

Matka leży w grobie! Annę sama rzuciła na jej trumnę pierwszą garść  
ziemi.

Ten człowiek zamierza pogrzebać ją żywcem! W jej oczach pojawiły  
się łzy. Hrabia pochylił się nad nią.

- Chyba już jesteś gotowa. Musisz pamiętać o jednym: ponosisz

konsekwencje własnych żądz. Gdybyś nad nimi zapanowała i została w

Dover, nie doszłoby do tego. Gdyby mój bratanek zapanował nad

żądzami i pozostał w Yorkshire, byłabyś bezpieczna. I jeszcze jedno,

panno Aimes... Proszę patrzeć na mnie, kiedy do pani mówię. Chcę

sprawę postawić jasno: mój bratanek nie pochodzi z nieprawego łoża.

Jego oczy zalśniły złośliwie.

- Jak się pani czuje, wiedząc, że pieprzył panią człowiek nieżyjący?

Annę w końcu zrozumiała.

Dar.

Michael chwycił się tej myśli jak tonący brzytwy.

List był darem.

Gabriel radził mu, by udał się na policję, wtedy wszakże wydawało się, że to on jest wszystkiemu winien. Teraz Michael miał w ręku dowód,

że William Sturges Bourne, hrabia Granville nie był wcale takim

łagodnym, uszkodzonym przez los kaleką, za jakiego miał go świat.

Dlaczego więc teraz sprawą nie miałyby się zająć inspektor policji?

Wokół inspektora tańczyło światło i cień, odbijające się migotliwie w

szkle pokrywającym blat biurka, oświetlony nocną

lampą.

Inspektor oddał Michaelowi list, zdejmując jednocześnie lewą ręką

okulary w drucianej oprawce. Na głowie miał przekrzywioną

237

szlafmycę.

- Nie rozumiem, dlaczego uznał pan tę sprawę za bardzo pilną. Proszę przyjść do mnie jutro rano do komisariatu. Nie było sensu budzić mnie w środku nocy.

Michael odebrał list i odliczył w duchu do trzech.

- Czy grób pani Aimes rzeczywiście został zbezczeszczony?

- Nic o tym nie wiem.

- Nie powiadamiał pan hrabiego Granville o takim przestępstwie?

- Naturalnie, że nie...

- On ma Annę Aimes.

- Posłuchaj mnie, dobry człowieku. Hrabia Granville to cieszący się

powszechnym szacunkiem dżentelmen, przykuty do wózka

inwalidzkiego. Nie uprowadza żadnych kobiet. Panna Aimes z

pewnością smacznie śpi w swoim łóżku, tak jak śpią o tej porze

wszyscy przyzwoici obywatele...

- Myli się pan - przerwał mu ostro Michael, podnosząc głos. -

Powiadomiła swą służbę, którym pociągiem przyjedzie. Na stacji czekał

na nią służący, który zawiózł ją do hrabiego. Miał wrócić po godzinie, by

zabrać ją do domu. Kiedy się pojawił, nie wpuszczono go do rezydencji.

Od tamtej pory nikt nie widział ani panny Aimes, ani hrabiego.

- Jej posiadłość dzieli spora odległość od domu hrabiego Granville. -

Bujne bokobrody inspektora zjeżyły się z irytacji. - Zapewne została u

niego na noc. Proszę odwiedzić tę posiadłość z rana, a sam się pan

przekona, że miałem rację.

- Rano będzie za późno - odezwał się martwym głosem Michael.

Inspektor popatrzył na niego z nagle rozbudzoną podejrzliwością.

- Skąd ma pan ten list, skoro przeznaczony jest dla panny

Aimes?

Inspektor z pewnością by go odprawił, gdyby Michael wyznał, że

samotna stara panna kupiła jego usługi, by zaznać trochę szczęścia, a

wplątana została w koszmar, ciągnący się od dwudziestu dziewięciu

lat.

- Panna Aimes zatrzymała się w Londynie u naszych wspólnych

znajomych - skłamał Michael. - Kiedy opuszczała ich dom, zostawiła list. Kiedy znajomi zapoznali się z jego treścią, uznali, że powinni skontaktować się ze mną. Inspektorze Drake, proszę tylko o to, by pan i kilku pańskich ludzi udało się ze mną do posiadłości lorda Granville'a.

238

Jeśli pannie Aimes nic tam nie grozi, będzie pan miał satysfakcję, że zrobił wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Tu nie Londyn, sir. Nasza arystokracja nie molestuje kobiet ze szlacheckich rodów. Proszę natychmiast opuścić mój dom albo dopilnuję osobiście, by pańska noga nigdy więcej nie postąpiła w Dover! - powiedział inspektor gniewnie.

A więc nawet list nie pomógł.

Prawda rzadko bywa przekonująca.

Michael złożył list i schował go do wewnętrznej kieszeni płaszcza, a następnie wyciągnął broń, z którą żaden rozsądny człowiek nie dyskutuje.

- Może więc to pana przekona, inspektorze. Policjant osłupiał na moment, a potem rzekł:

- Proszę chwilę zaczekać... Michael jednak czekał już za długo.

Zamysły hrabiego powiodły się. Znowu. Odciągnął kurek broni, co skutecznie uciszyło Drake'a.

- Idziemy - rozkazał. - Natychmiast. Twarz Drake'a pobladła. Wąsy mu zadrżały.

- Kim, do licha, pan jesteś, by myśleć, że możesz wdzierać się do

mego domu?

- Martwym człowiekiem - odrzekł szczerze Michael.

- Na górze jest moja żona.

- Tym bardziej nie powinien pan mi się sprzeciwiać.

- Oczekuję narodzin pierwszej prawnuczki.

- Proszę więc nie pozbawiać jej pradziadka.

Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Stary policjant zerknął w stronę szuflady w biurku.

- Nie zamierzam zrobić krzywdy ani panu, ani pańskiej

żonie, inspektorze Drake. Pragnę tylko upewnić się, że pannie

Aimes nic nie zagraża.

Obszedł biurko, otworzył szufladę i wyciągnął z niej służbową broń

inspektora, też rewolwer. Drake odwrócił wzrok od poparzonej twarzy

nocnego intruza.

Michael wsunął broń policjanta do lewej kieszeni.

- Proszę wezwać służącego, który mnie tu wpuścił - polecił,

wyjmując rękę z kieszeni. - Proszę mu powiedzieć, by przyniósł panu

ubranie, gdyż musi pan wyjść z domu w niecierpiącej zwłoki sprawie.

239

- Dlaczego sam pan nie pójdzie do hrabiego, by przekonać się, czy

pannie Aimes nic nie grozi? - zapytał hardo inspektor.

Bo gdyby tamten człowiek dostał i Michaela, Annę nic już by nie

uratowało.

To właśnie hrabia sobie zaplanował.

- Nie jestem człowiekiem cierpliwym - odezwał się Michael

spokojnie. Rewolwer nawet nie zadrżał w jego dłoni. – Dlatego radzę się pośpieszyć.

Drakę na dłuższą chwilę zajął miejsce za biurkiem. Nie miał najmniejszych szans w walce wręcz z przeciwnikiem młodszym od niego o dobrych dwadzieścia lat.

Wiedział o tym. Wiedział o tym również Michael.

Inspektor podniósł się zza biurka. Michael odstąpił krok, robiąc mu przejście.

- I proszę, inspektorze, żadnych gwałtownych ruchów. Ma pan dużo więcej do stracenia niż ja.

Krok inspektora, któremu do lewej nerki Michael przyciskał rewolwer, był odrobinę chwiejny. Kiedy dotarli do drzwi gabinetu, Michael odstąpił na bok.

- Niech pan pamięta, co powiedziałem, a nikomu nie stanie się krzywda. I proszę nie otwierać drzwi na oścież.

Drakę uchylił skrzypiące drzwi.

- Maynard! - zawołał przyciszonym głosem. - Maynard!

Młody człowiek, który wpuścił Michaela do domu, pojawił się bardzo szybko. Czyżby podsłuchiwał pod drzwiami?

- Słucham, sir.

- Jakieś kłopoty na posterunku, Maynard. Bądź tak dobry i przynieś mi ubranie.

- Tak jest, sir. - Służący był wyraźnie zaskoczony prośbą swojego

pana. - Czy mam obudzić lokaja?

- Nie, nie. Pośpiesz się. Nie mam czasu. - Drake czuł, jak ze strachu kurczą mu się jądra.

- Już idę, sir.

- Maynard... Michael znieruchomiał.

- Tak, sir?

Inspektor był najwyraźniej niezdecydowany.

Czy nowy przybysz go zabije? A może uda się jakoś uciec?

240

Czy Drake ujrzy swoją prawnuczkę, czy też raczej zginie, nim dziecko przyjdzie na świat?

Inspektor nie miał duszy hazardzisty.

- Postaraj się nie obudzić mojej żony - powiedział cicho.

- Oczywiście, sir.

Drake zamknął drzwi. Twarz miał spokojną, choć śmiertelnie bladą.

- Co dalej? - zapytał.

- Weźmiemy kilku pańskich ludzi i złożymy wizytę hrabiemu - odparł rozsądnie Michael.

- Nie ma potrzeby angażowania jeszcze innych osób w tę dziwną awanturę - odparł z przekąsem Drake.

- Przeciwnie, istnieją po temu ważne przyczyny, panie inspektorze.

- Dlaczego?

- Bardzo wątpię, by hrabia wyżej stawiał życie inspektora policji niż życie prawnika.

Drakę znów się zjeżył.

- Hrabia Granville jest obywatelem przestrzegającym prawa. Mogę pana zapewnić, sir!

- Jeśli jest obywatelem przestrzegającym prawa, wybaczy nam nasze nocne najście - odparł sucho Michael.

- Pan nie jest stąd. - Oczy Drake'a przysłonięte krzaczastymi brwiami zwęziły się czujnie. - Pamiętałbym pańskie blizny.

Michael nie zamierzał podejmować dyskusji na ten temat.

- Kiedy zapuka pański służący, proszę uchylić drzwi tylko na tyle, by odebrać odzież. Proszę go odprawić, a ubranie wręczyć mnie.

Gdzieś w głębi domu zegar wydzwonił kolejny kwadrans. Poza tym wokół panowała głucha cisza. Na dźwięk pukania Drakę drgnął. Po raz pierwszy okazał tak jawnie zdenerwowanie. Otworzył drzwi.

- Dziękuję, Maynard. Możesz wracać do łóżka. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Dziękuję, sir.

Michael sprawdził, czy w ubraniu nie ma ukrytej broni, po czym kolejno, sztuka po sztuce, wręczał odzież inspektorowi: szare wełniane kalesony, szary wełniany podkoszulek, wykrochmaloną białą koszulę lnianą, brązowe wełniane spodnie, pomarańczowo brązową kamizelkę, brązowe, wełniane skarpetki, czarne buty. Służący nie zapomniał też o chusteczce do nosa z wyhaftowanym monogramem.



oraz spodnie, i dopiero wtedy zdjął szlafrok i ściągnął koszulę nocną.

Michael ze względu na poczucie godności osobistej inspektora odwrócił wzrok i obserwował tylko jego cień na drzwiach. Kiedy Drake był już ubrany, Michael bez słowa wręczył mu szelki i brązowy wełniany płaszcz.

Kiedy przechodzili przez hall, krok Drake'a był cięższy niż Michaela.

Na pokrytych papierową tapetą ścianach wisiały oprawne w srebrne ramki fotografie, na stolikach leżały koronkowe serwetki. Michael przez cały czas przyciskał lufę rewolweru do lewej nerki policjanta, zasłaniając swym ciałem broń na wypadek, gdyby Maynard okazał się bardziej ciekawski niż posłuszny swemu pracodawcy.

Przed należącym do inspektora skromnym domem z czerwonej cegły czekała dorożka *clarence*. Michael już wcześniej poinstruował woźnicę, co ma robić. Bez słowa wspiał się więc teraz do pojazdu, bacząc, by inspektor nie uciekł mu drzwiami po drugiej stronie i przygotował się na dramatyczną wyprawę, spowodowaną przez żądze starej panny.

Mijane gazowe latarnie napełniały chwilami dorożkę światłem, a ciszę nocną mącił rytmiczny stukot końskich kopyt. Dover było cichsze od Londynu. Panowało też w nim czystsze niż w stolicy powietrze.

Dom...

Upłynęło dwadzieścia siedem lat od chwili, kiedy Michael był po raz ostatni w domu hrabiego. Dwadzieścia siedem lat minęło od czasu, kiedy złożył przysięgę.

- Spotkałem już pana kiedyś - dobiegł go z ciemności głos

inspektora.

Michael milczał.

- Przypomina pan Sturgesa Bourne'a.

- To niemożliwe, inspektorze - odparł obojętnie Michael. - Hrabia jest ostatni z rodu.

- Mężczyźni miewają dzieci ze związków pozamałżeńskich. - Do dorożki wpadło światło mijanej latarni, barwiąc wszystko na blady kolor. Inspektor bacznie popatrzył na Michaela. - Czy jest pan synem hrabiego z nieprawego łoża? Czy przyjechał tu pan trochę pomścić?

Latarnia została w tyle i w pojeździe znów zapadła ciemność.

Tak, był bękartem, ale nie z linii krwi.

W ciemności majaczyły krzaczaste brwi i bujne wąsy inspektora.

242

- Kim pan jest? - zapytał z naciskiem Drake.

I znów wewnątrz dorożki załało nagle światło gazowej latarni, ujawniając blizny Michaela, jego oczy, rysy jego twarzy. Michael uśmiechnął się.

- Już panu powiedziałem, inspektorze. Martwym człowiekiem.

Drake cofnął się.

- Nonsens.

Michael pozwolił, by mówiło za niego milczenie. Prawda niknęła w ciemności.

- Michael Sturges Bourne nie żyje...

Dorożka podskoczyła na wyboju.

- Spoczywa w rodzinnym grobowcu - ciągnął z uporem inspektor.

Minęła ich dorożka nadjeżdżająca z przeciwnej strony i szybko zniknęła w ciemności.

- Dlaczego

hrabia wyprawił panu pogrzeb, skoro pan żyje?

Przed oczyma Michaela stanął marmurowy grobowiec rodziny.

Było wyryte na nim jego imię i nazwisko. Data urodzin i data śmierci.

Epitafium, które na zawsze wypaliło się w jego umyśle, podobnie jak blizny na ciele:

„Ukochani: syn, brat i bratanek”.

Zastanawiał się, czy w jego trumnie jest ciało. A może czeka na niego puste miejsce?

- Dlaczego pan wrócił? Po tylu latach...?

Drakę nie zamierzał dać mu spokoju, dopóki nie doczeka się wyjaśnień.

Michael mógł odpowiedzieć tylko na jedno pytanie.

- Wróciłem,

by

zabić

swego

stryja

-

wyjaśnił.

Posłyszał gwałtowny szelest ubrania i skrzywienie sprężyn.

Drakę najwyraźniej szykował się do wyskoczenia z dorożki. Michael przyłożył rewolwer do jego boku.

- To sprawa między mną a moim stryjem. Obecnie interesuje mnie tylko panna Aimes.

- Skąd ta pewność, że hrabia chce wyrządzić jej krzywdę?

- Ponieważ skrzywdził już wiele kobiet.

Wejście na posterunek było jasno oświetlone blaskiem gazowych latarni. Dorożka zatrzymała się przed łukowym wejściem do budynku.

- Kim były te kobiety? Co się z nimi stało? Dlaczego nie złożono w

243

ich sprawie raportów?

Właśnie, dlaczego?

- Nie żyją, inspektorze Drake.

- Jeśli pan nie składał wcześniej doniesień o ich śmierci, sir, winien jest pan utrudniania śledztwa - warknął policjant.

Na twarzy Michaela pojawił się gorzki uśmiech.

Nikt mu nie uwierzył, kiedy był dzieckiem.

Jako dorosły...

Rodzina Dianę zrobiła wszystko, by zapobiec wybuchowi skandalu.

Nikt nie był zainteresowany tym, by prawda wyszła na jaw.

Drakę bębnił palcami po kolanie, przypominając sobie zapewne, że nie odnaleziono zwłok Michaela Sturgesa Bourne'a. A może

uświadamiał sobie, że ludzie rzadko kiedy są naprawdę tacy, na jakich

wyglądają.

Nawet powszechnie szanowani, praworządni obywatele.

- Skoro hrabia naprawdę dopuścił się czynów, o których pan mówi, skąd pewność, że nie pozbył się ciała panny Aimes? - zapytał nieoczekiwanie.

- Wiem o tym.

Wiedział, co tamten człowiek zrobił Annę.

- Panna Aimes była bardzo związana ze swymi rodzicami. Tylko potwór mógłby zwabić ją listem, w którym napisał, że ktoś zbezczeszczył grób jej matki.

Michael nie dziwił się niechęci inspektora do nocnej akcji. Nie próbował też zatrzymać go, kiedy ten otworzył drzwi dorożki i zeskoczył na brukowaną ulicę.

Nie mógł go już do niczego zmusić.

Siłą doprowadził go do posterunku, lecz nie był w stanie zmusić go, by mu pomógł.

By pomógł Annę.

Popatrzył na niebo, na księżyc znajdujący się między fazą kwadry a pełnią.

Zmienił się. Kiedy przed dwoma dniami Michael stał na balkonie swego londyńskiego domu, księżyc był w kwadrze.

Jak przekonać Drake'a do konieczności działania?

Czy błagać go w imieniu Anne?

Czy odwołać się do jego poczucia człowieczeństwa?

Wysiadł z dorożki i wręczył woźnicy dwa szylingi.

Pod wpływem ostrego światła wypełniającego pomieszczenie posterunku zamrugał oczyma. Kiedy wszedł, zgromadzeni tam policjanci umilkli.

Inspektora otaczało trzech młodych konstabli o potarganych włosach. Mieli zaspane oczy, pod pachami trzymali hełmy. Drake popatrzył na Michaela.

- No i co? - spytał cierpko. - Czy tylu starczy? A może mam obudzić całą załogę?

Michael znieruchomiał. List spoczywający w wewnętrznej kieszeni jego płaszcza palił mu pierś. Nadzieja.

- Wystarczy - powiedział cicho.

Dwóch konstabli jechało na zewnętrznych siedzeniach dorożki.

Trzeci prowadził powóz policyjny. Michael i Drake zajęli miejsca w środku. Trzeszczące skórzane siedzenia były twarde. Podłogę wyłożono świeżym sianem.

W milczeniu wręczył inspektorowi rewolwer. Policjant wziął go bez słowa.

Droga była nie oświetlona. Mrok rozjaśniały jedynie dwie latarnie zamocowane na zewnątrz powozu. Michael nie musiał wyglądać oknem, by wiedzieć, że zbliżają się do klifu. Każda sekunda, każdy obrót kół na wyboistej drodze przybliżał Michaela do miejsca przeznaczenia.

Przestał na chwilę myśleć o wymierzaniu sprawiedliwości tamtemu człowiekowi i całą swą uwagę skupił na Annę.

Potrzebuje go.

A on jej nie zawiedzie.

- Pełniłem akurat służbę, kiedy pańska rodzina miała ten wypadek - dobiegł z ciemności głos inspektora. - Okropna śmierć.

- Tak.

O rodzinie pomyśli później.

- Cóż, to był wypadek- ciągnął stłumionym głosem Drake. - Sam często pozwalałem powozić wnukom poza miastem. To nie pańska wina, że powóz spadł z klifu.

- Nie - przyznał Michael bezbarwnym głosem i ujął skórzany uchwyt.

Zaczynał się podjazd.

Białe urwisko klifu w Dover miało sto metrów wysokości. Niewiele  
245

zostało z pojazdu rodziców. Z ich ciał jeszcze mniej.

Inspektor do końca podróży nie odezwał się już słowem. Ujądanie psów ostrzegło Michaela, że są prawie u celu.

Zgrzytnął zębami.

Przed dwudziestu siedmiu laty posiadłości nie strzegły żadne psy.

Wysokiego na cztery metry ceglanego muru otaczającego teren nie wieńczyły żadne stalowe szpikulce.

Chwilę zastanawiał się, kiedy hrabia przestał czuć się bezpiecznie.

Kiedy zaczął się bać?

W piętnaste urodziny Michaela? Siedemnaste? Dziewiętnaste?

Pojazd zatrzymał się na żwirze.

- Hej tam, ty! - zawołał jeden z konstabli. - Otwieraj bramę!

- Nikogo nie wpuszczę w środku nocy!

Głosu dozorca Michael nie rozpoznał. Jak długo ten człowiek służy u hrabiego? Dzień? Dwa? Z jakiego zakątka piekiel go wyciągnął?

- Otwieraj natychmiast! - Psy zaczęły jeszcze głośniejsze warczenie i ujadać, słysząc groźny ton konstabla. - Zabierz psy i otwieraj tę pieprzoną bramę!

- Wynoś ta się, bo poczęstuje was kulko! - odwrzasnął stróż.

- Tu policja, głupi tłumoku! - krzyknął drugi konstabl. - Otwieraj albo będziesz miał dużo czasu na rozmyślania w kozie!

- Policja?!

W głosie dozorca pojawiło się nietajone zdumienie. A może strach?

Nikt nie przewidział interwencji policji. Nawet tamten człowiek.

- Mamy

sprawę

do

hrabiego

Granville'a!

Otwieraj!

Michael czekał. Mięśnie miał napięte. Wstrzymywał oddech.

Konie parsknęły. Biły kopytami w żwir.



Psy powarkowały i skowyczały, wzięte na łańcuchy. Rozległ się zgrzyt żelaza, kiedy stróż posłusznie otwierał bramę.

Tamten mężczyzna nie był już bezpieczny. A Annę?

Krew pulsowała mu w skroniach, serce waliło jak młotem. Pojazd szybko przebył drogę wiodącą przez park okalający dom.

Każda upływająca sekunda była zapewne dla Annę godziną, każda minuta mogła być ostatnią.

Zgrzytnęły koła i pojazd stanął. Michael szarpnął drzwi i wyskoczył, zanim jeszcze konstable zdążyli wysiąść. W mgnieniu oka przebył kamienne schody i załomotał w drzwi, za którymi przez dwa lata był więźniem. Czuł za sobą krzepkie sylwetki konstabli.

246

- Co, u licha...! Nie wal tak, pobudzisz umarłych! – Obok drzwi rozbłysło światło... Coś nowego, tamten człowiek zainwestował w elektryczność. Drzwi stanęły otworem. - Co, u...

Michael nie poznawał wysokiego, chudego mężczyzny, który pojawił się w progu.

Dobrze jednakże znał ludzi tego pokroju.

Widywał takie kreatury wywlekające się z palarni opium, kiedy kończyły się im fundusze. Nieistotny dla nich był rodzaj zajęcia ani nawet zbrodnia, dopóki ludzie ci byli sowicie opłacani złotymi monetami.

Służący jednak z pewnością Michaela rozpoznał. Widoku takich blizn nie dało się zapomnieć.

Z twarzy mężczyzny odpłynęła krew.

Plan brał w łeb.

Michael ominął go i wbiegł do przestronnego hallu. Przeskakiwał po trzy wykonane z mahoniowego drewna stopnie. Za plecami usłyszał grzmiący głos Drake'a:

- Jemmy, za nim, durniu! Nie odstępuj go na krok!

Korytarz na górze zdawał się czarną, bezdenną otchłanią.

Michael nie potrzebował jednakże światła. Doskonale wiedział, gdzie jest Annę, wiedział, ile jeszcze kroków go od niej dzieli. Kroków dorosłego mężczyzny, nie chłopca.

Korytarz zdawał się nie mieć końca.

Michael słyszał za plecami tupot butów konstabla, który poruszał się w ciemnościach mniej sprawnie niż on sam.

- Sir...?

Annę była coraz bliżej.

W uszach słyszał jej śmiech.

Pamiętał jej zapamiętanie, trwające tak krótko...

Żyła!

Czuł to.

W szparze pod jednymi z mijanych drzwi pojawiło się światło.

Rozległ się dźwięk ręcznego dzwonka, a następnie poirytowany głos:

- Frank!

Frank,

natychmiast

do

mnie!

Michael nie zwolnił kroku.

Ostatnie drzwi były zamknięte. Wiedział, że będą zamknięte.

Uderzył w nie z całych sił ramieniem. Raz. Drugi...

Mrok przecięty został strumieniem światła, niczym z miniaturowej

247

latarni morskiej. Blask okrągłej latarni trzymanej przez konstabla

oświetlił mahoniową podłogę, a następnie Michaela.

Do jasnej cholery, jego czas się kończy.

Drzwi puściły z trzaskiem.

Michael potarł zapałkę.

Włącznik elektrycznego światła znajdował się obok drzwi. Jasny

blask lampy na chwilę Michaela oślepił.

Lekki, lecz niewątpliwy odór płonącej siarki, dochodzący z góry

wąskich, stromych schodów na strych.

Michael poczuł straszliwe palenie w żołądku. Najwyższym

wysiłkiem woli stłumił strach, jaki wywołała w nim ta znajoma woń.

Zwalczył chęć natychmiastowego zmiecienia tego domu z powierzchni

ziemi.

Rzucił wypaloną zapałkę i ruszył po schodach.

Drzwi były zamknięte na głucho.

Nagle z pomocą przyszła mu druga para silnych ramion. Trzasnęło

drewno i drzwi na strych stanęły otworem.

Zapach śmierci odbierał oddech.

Promień światła padł na drewnianą skrzynię, zatańczył w mroku i wyłowił z ciemności kolejne prostokątne pudło. Pomieszczenie zalało ostre światło elektryczne, wydobywając z mroku dwie trumny.

Michael wiedział, w której zamknięta jest Annę.

Czuł, jak bije jej serce, czuł jej zapach, emanujące z niej przerażenie.

Wieko było przybite gwoździami.

Chwycił młotek leżący na wieku drugiej trumny.

Zdawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim zdołał uporać się z gwoździami. Ze środka trumny nie dochodził żaden dźwięk.

Annę żyła jednak - w deskach były szczeliny dopuszczające powietrze. Wewnątrz czaiły się wszakże rzeczy gorsze niż sama śmierć.

Obok pokrytych bliznami dłoni Michaela pojawiły się okryte białymi rękawiczkami ręce konstabla. Wspólnymi siłami odrzucili wieko.

W trumnie leżała Annę. Miała zamknięte oczy, policzki mokre od łez. Bezgłośnie płakała. W jej włosach i fałdach ubrania wiły się oślizłe, ciemne robaki.

- Jezu Chryste!

248

Przez chwilę Michael sądził, że okrzyk ten dobył się z jego ust. Po chwili jednak poczuł obok siebie drżące ciało konstabla. Okrzyk ten

wydarł się z jego krtani.

- Ależ ją oblażą robaki! - sapnął policjant.

W jednej chwili stał się przerażonym chłopcem, a nie postawnym mężczyzną reprezentującym władzę.

Michael nie tracił czasu i nie zwracał uwagi na reakcję policjanta.

Swoje przeszedł dwadzieścia dziewięć lat wcześniej. Teraz musi wyrwać Annę z jej koszmaru.

- Annę. - Pochylił się, wsunął pod nią ramiona i wyjął z trumny.

Plecy miała mokre. Jemu to nie przeszkadzało. - Annę, odezwij się. Otwórz oczy. Już wszystko dobrze. Otwórz oczy. Annę!

Posłusznie rozchyliła powieki. W jej źrenicach czał się bezmiar przerażenia. Po policzkach płynęły łzy.

- Połóż mnie...

Głos miała schrypnięty od krzyku, od próśb i błagań.

W trumnie nie ma miejsca na dumę.

Michael ostrożnie położył ją na ziemi. Po szyi Annę pełzła glista.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie. Jego stara panna przestała panować nad swymi reakcjami.

Michaelowi chciało się płakać.

- Już wszystko w porządku, Annę. - Szybko i sprawnie strząsnął z niej wszystkie robactwo. - Już nikt cię nie skrzywdzi. Już dobrze.

Tylko nie płacz. Ja go powstrzymam.

Kobieta nie mogła jednak powstrzymać łkania. Michael dobrze wiedział dlaczego.

- Zostaw nas samych - polecił szorstko swemu towarzyszowi.

Młody konstabl nie marzył o niczym innym jak o ucieczce z tego przesiąkniętego odorem śmierci, przerażającego miejsca.

- Annę, przestań. Już dobrze. Resztę pozostaw mnie. - Objął ją i przytulił jej twarz do swego ramienia, wiedząc, że będzie się bronić, wiedząc, że może ją niechcący skrzywdzić, wiedząc też, że nie ma innego rozwiązania. Uniósł jej spódnicę i dotknął uda.

Jedwab.

Miała na sobie jedwabne majtki, dostarczone przez *madame* Renę.

Były mokre, i to wcale nie z pożądania. Jak przypuszczał, zaczęła z nim walczyć.

- Puść mnie! Co robisz?

249

- On coś w tobie umieścił, Annę.

- Robaki! Boże, są wszędzie. - Odepchnęła go z siłą, jakiej się po niej nie spodziewał. - Zostaw mnie! Nie dotykaj mnie! Czuję je... Och, Boże! Och, Boże!... Siedzą we mnie...

- Mylisz się - odrzekł zdecydowanie. Poczul, że po twarzy spływają mu łzy. - Wysłuchaj mnie, Annę. To nie robaki. Zapewniam cię. To dwie srebrne kulki. Powodują, że kobieta jest nieustannie podniecona. Nie walcz ze mną. Pozwól mi je wyjąć...

Wyrwała się z jego objęć.

Michael stał się świadkiem cudu. Mimo że Annę była na krawędzi hysterii, zdołała nad sobą zapanować.

- Sama

to

zrobię.

Tylko

się

odwróć

-

poprosiła.

Był jej to winien.

Nie mógł pozwolić, by jego stryj zniszczył w tej kobiecie

namiętność lub rozpalił nadmierną seksualność. Już zbyt wiele im

obojgu odebrano.

Odwrócił się.

Annę skoncentrowała myśli na dwóch sprawach: żeby nie krzyczeć i żeby wziąć kąpiel natychmiast po powrocie do swego domu w Dover.

Pojazd podskakiwał na wybojach i skrzypiał. Obok niej siedział Michel. Wciąż nie znała jego prawdziwego nazwiska, nie pamiętała nawet, czy znała je przed dwudziestu siedmiu laty, kiedy rzekomo umarł.

Ciało paliło ją, pulsowało i spazmatycznie dygotało. Miała na sobie brudne ubranie, przesiąknięte wonią zgnilizny i jej własnego strachu, bezradności.

Zaciskała szczęki, by zapanować nad ogarniającą ją histerią. Czuła mdłości napływające falami.

- Nie ma potrzeby, byś odwoził mnie do mojej posiadłości, *monsieur...* - Miała suche i obolałe gardło, jej głos był szorstki i chrapliwy. - Jak cię nazywałam? *Monsieur* des Anges? Dostojny pan Sturges Bourne? Jesteś bratankiem hrabiego. W waszym kręgu protokół jest bardzo ważny, a ja chcę zwracać się do ciebie w sposób

250

odpowiedni twej pozycji społecznej.

- Jesteś w szoku - odparł krótko.

Może i plotła bez sensu, ale z szoku wyszła. Czuła doskonale każdy cal swego ciała. Po jej głowie przelatywały myśli jasne i klarowne, niczym kryształowe motyle.



Frank wziął od niej kapelusz, który znajdował się teraz w sypialni hrabiego Granville'a. Pozostały tam również jej rękawiczki i torebka. Odnosiła więc dziwaczne wrażenie, że jakaś jej część ciągle jeszcze jest w posiadaniu hrabiego.

Przycisnęła dłoń do ust i wyjrzała przez okno. Wokół panowała ciemność. Jak w trumnie.

Dotarło do niej, dlaczego siedzący obok mężczyzna nie sypia po ciemku.

Przełknęła narastający w gardle krzyk.

- Co było w drugiej trumnie? Powiedział, że... - Jej usta zadrżały.

Znów napłynęły falą koszmarne wspomnienia. - Powiedział, że spoczywa w niej moja matka.

- Tam był tylko martwy kot. Może pies albo wielki szczur.

Objęła się ramionami, pod palcami poczuła szorstką grenadynę swego płaszcza. Niewidzialne robaki wciąż pełzały po jej skórze.

Podobnie jak pełzały po matce. Po ojcu. Spoczywających w wiekuistym mroku. Zakrztusiła się.

- Pochyl głowę i włóż ją między kolana.

- Nic mi nie jest - wydukała przez zaciśnięte zęby. - Proszę się mną nie przejmować.

- Po kąpeli poczujesz się znacznie lepiej.

Marzyła o chwili, kiedy znajdzie się w wannie. Obawiała się jednak, że nigdy już nie poczuje się lepiej, a po jej ciele wciąż będą pełzać robaki.

W ustach czuła obrzydliwą gorycz.

Herbata. Przerazenie. Otaczająca ją ciemność. Odór śmierci i obrzydliwy smak tłustych dżdżownic w ustach...

Nie, jeśli jeszcze przez chwilę będzie o tym myśleć, znów zacznie krzyczeć.

Annę Aimes. Kobieta, która krzyczała w uniesieniu. Kobieta, która krzyczała ze strachu.

Wprost nie mieściło się jej w głowie, że zaledwie dwanaście godzin

251

wcześniej czerpała radość ze swej anonimowości, kołysząc się rozkosznie w jadącym pociągu. A kilka godzin przed tą podróżą krzyczała podczas orgazmu, czując mężczyznę, który z namiętnością odpowiadał na rozkosz zalewającą jej ciało.

- Drugiej naszej wspólnej nocy wsypałeś mi coś do wina -odezwała się nieoczekiwanie ochrypłym głosem.

- Wsypałem.

- Dlaczego?

- Potrzebowałem czasu, by poczynić pewne kroki zapewniające ci bezpieczeństwo.

- Nie kłam! - odparła gwałtownie. - Wiedziałaś... - Przez chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. - Lady Wenterton. Powiedziałaś, że była najbliższą twemu sercu kobietą, z którą łączyła cię głęboka przyjaźń i seks.

Pojazd jechał otulony ciemnością nocy.

- Tak.
- A on jej zrobił to samo.
- Tak.
- Kochałeś ją.
- Tak.
- I pozwoliłeś, by jej to zrobił? - Znów ogarnęły ją mdłości. - Jak mogłeś?!
- Nie wiedziałem, że trafiła w jego ręce- odparł sztywno. -  
Myślałem, że udała się z wizytą do swojej siostry. Nie znałem prawdy.
- Ale wiedziałeś... - Annę umilkła, by wziąć głęboki oddech. -  
Wiedziałeś, że i mnie może zrobić to samo.
- Tak.
- Co chciałeś osiągnąć przez podstęp i okłamywanie mnie?
- Srogi odwet.
- Dlaczego ten pojazd tak się wlecze?
- Dlaczego wciąż przenika ją ból?
- Zaczęła szczerkać zębami. Z zimna. Ze świadomości zdrady ze strony Michaela. Z odrazy i przerażenia, które zapewne nigdy już jej nie opuszczą.
- Jak długo przetrzymywał lady Wenterton?
- Dwa miesiące.

zamkniętą na dwa miesiące w trumnie i zżeraną nieprzytomną żądzą.

Nie potrafiła.

Otworzyła oczy i popatrzyła na majaczącą w mroku twarz mężczyzny.

- W jaki sposób umarła?

- Zatkąła szmatami wszystkie szczeliny w drzwiach i w oknie, po czym odkręciła gaz w lampie. Nastąpiła eksplozja, bo w kominku płonął ogień. Dianę chciała umrzeć. I umarła.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Temat został wyczerpany.

Annę nie mogła winić Dianę.

Skuliła się w rogu powozu i skupiła uwagę na skórzanym trzeszczącym siedzeniu, na podłodze posypanej świeżym sianem, na donośnym łoskocie kół. Nic, tylko ciemność i ów oślizgły żar, który trawił ją od środka.

Jej towarzysz milczał. ,

Zupełnie jakby czekał...

Na co?

Turkot kół ustał. Pojazd stanął. Annę otworzyła drzwi i zeskoczyła na ziemię.

Przewróciła się. Niezdarna, niezdarna, niezdarna stara panna.

Natychmiast wyciągnęły się w jej stronę silne, pokryte bliznami dłonie.

Odrzuciła pomoc i o własnych siłach niezgrabnie dźwignęła się na nogi.

Przeżyła trzy cudowne noce pełne uniesień. Do końca życia będzie jej ich brakować.

Dom w Dover pogrążony był w ciemnościach.

Jak martwy.

Czekająca cierpliwie, wielka trumna.

Annę zaczęła łomotać w drzwi. Zapomniała o godności; napawała się dręczącym ją bólem i hałasem, jaki czyniła. Chciała uciec od wspomnień i od obecności mężczyzny stojącego za jej plecami.

Dlaczego nie odchodzi?

Lokaj otworzył drzwi. W sękatą, zniekształconą artretyzmem dłoni trzymał zapaloną świecę. Na starczej, pomarszczonej twarzy malował się wyraz najwyższej irytacji.

253

Na widok Annę zdębiał.

- Panna Annę!

Jest już za stary na swoją pracę - błysnęła Annę irracjonalna myśl. -

Jutro odeślę go na emeryturę. Posiadłość wystawię na sprzedaż i zwolnię całą służbę.

Lecz to będzie dopiero jutro.

Musi jakoś przetrwać resztę nocy.

Wbiegła po schodach. Jej jedwabne halki i wełniana suknia plątały się między nogami.

- Panno Annę! - dotarł do niej męski głos, wzmocniony donośnym echem.

Nie zatrzymała się.

Zapach wilgotnego drewna, stęchłe powietrze, woń karbolu, który na dobre wsiąkł w ciemną boazerię pokrywającą ściany korytarza i w zielony wełniany chodnik na podłodze. Wonie te nie były w stanie zabić odoru śmierci, który przylgnął do jej ubrania, włosów, skóry.

Tyle spraw się wyjaśniło!

Obfitość kwiatów w jego miejskim domu. Jego udawana namiętność.

Jemu nie była potrzebna kobieta; on pragnął jedynie zemsty.

Gwałtownie otworzyła drzwi swojej sypialni i namacała leżące na nocnym stoliku pudełko zapalek. Odkręciła gaz w lampie i... pomyślała o lady Wenterton.

Spiesznie potarła zapalką trzaskę", zdjęła z lampy kryształowy klosz i przytknęła płomyk do palnika. Ostrożnie nałożyła klosz i odkręciła kurek gazu do końca.

Na ścianach pokoju zatańczyły cienie.

Szarpnięciem rozdarła stanik sukni. Guziki prysnęły na wszystkie strony i bezszelestnie spadły na spłowiały, zielony dywan, niknąc w zalegającym podłogę cieniu.

Nie miało to najmniejszego znaczenia. Nic nie miało znaczenia z wyjątkiem gwałtownej potrzeby pozbycia się ubrania.

Zabawnie śmignęła w powietrzu frywolna, pozbawiona drutów turniura, halki pofrunęły w powietrze z cichym szelestem. Bała się patrzeć na ubranie, bała się patrzeć na siebie w obawie, że zobaczy robaki.

Gorset.

Samodzielnie nie była w stanie go rozsznurować.

Pokojówka spała smacznym snem w swoim łóżku. Annę nie chciała

254

zresztą, by zobaczyła ją w takim stanie.

Poczuła, że coś pełźnie pod gorsetem.

Uległa atakowi hysterii, ale naprawdę czuła swędzenie.

Nożyczki...

Zaczęła przewracać wszystko w szafce, szukając koszyka z

przyborami do szycia, którego nie widziała od dziesięciu miesięcy.

Matka uważała, że najbardziej odpowiednim dla damy zajęciem jest

szycie i robótki ręczne. Annę więc całe godziny spędzała w jej

towarzystwie, siedząc na skraju łóżka i starannie obrębiając chusteczki

do nosa, których nikt nigdy nie użyje.

Znalazła niewielkie nożyczki do nici i zaczęła ciąć czarny satynowy

gorset, splot za splotem. Odrzuciła pocięty strój i nożyczki, ale

swędzenie nie ustawało.

Czuła je na całym ciele, w środku również.

Ściągnęła przez głowę wilgotną, klejącą się do pleców jedwabną

koszulę... Wielki Boże, on widział, że straciła kontrolę nad reakcjami

swego ciała... Z obrzydzeniem odrzuciła majtki. Zdumiona nieco

gwałtownością swych ruchów, odpięła podwiązki i ściągnęła pończochy.

Włosy... Gorączkowo zaczęła wyjmować z nich szpilki.

Rozpuszczone pukle przeczesywała palcami.

Nie było czasu na podgrzewanie w piecu gazowym wody na kąpiel.

Trzęsącymi się rękoma zapaliła kinkiety zawieszzone po dwóch stronach lustra nad umywalką.

Ujrzała zmizerowaną twarz starej panny; w jej jasnobrązowych włosach srebrzyły się białe pasma.

Hrabia jej pokazał, kim jest naprawdę.

Odkręciła mosiężny kran nad wanną. Popłynęła brązowa od rdzy woda. Nie czekając, aż wanna się napełni, Annę weszła do niej i pochyliła nad strumieniem wody. Lodowata ciecz spłynęła na włosy.

Woda była tak zimna, że w pierwszej chwili kobieta straciła dech.

Wyprostowała się i sięgnęła po mydło oraz gąbkę. Tak długo nacierała skórę i włosy, że ciało stało się równie piekące jak gardło. Kiedy wanna była już pełna, zanurzyła się w niej i szorowała dalej.

Ciągle czuła pełzające robaki. Na zewnątrz. W środku.

Zanurzyła się w wodzie. Na powierzchni unosiły się pasma jej długich loków. Jak żywe stworzenia.

Usiadła, gwałtownie próbując chwycić oddech.

255

Stał obok wanny. Był bez płaszcza, bez kapelusza, bez rękawiczek.

Michel des Anges. Dostojny pan Sturges Bourne. Czarne włosy opadały mu długimi kosmykami na rozpięty kołnierzyk białej koszuli. Twarz pokrywała ciemna szczecina zarostu. Blizny na policzku przybrały białą barwę.

Po twarzy Annę spływała woda. Kobieta zakryła piersi ramionami.



Podświadomie zdała sobie sprawę z tego, że ten gest jest śmieszny.

Widział przecież dużo więcej niż tylko piersi.

- Wyjdź stąd. Mój prawnik... - Nie żyje. Co zrobił z ciałem pana

Little'a? - Załatwię w banku przelew reszty należnych ci pieniędzy.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Annę. - Współczucie malujące się w

jego fiołkowych oczach zniknęło w jednej chwili. - Nigdy nie chciałem

twoich pieniędzy.

Nigdy nie chciał jej pieniędzy. Jej namiętności.

- Niemniej... - odezwała się chropowatym, zduszonym głosem.

Przełknęła głośno ślinę. - Niemniej wymaga tego nasz kontrakt.

Dotrzymam słowa. A teraz, proszę, wyjdź. Służba zacznie

plotkować.

Annę do głębi poruszyła własna hipokryzja.

Było za późno na to, by zastanawiać się, co powie służba.

Jakie zresztą znaczenie ma to, co mówią ludzie?

Plotka ani nie paraliżuje, ani nie wsadza człowieka do więzienia.

Nie ma wpływu na to, że ktoś wrzeszczy i wrzeszczy do utraty

głosu.

Nie...

- Wstań.

- Słucham...?

- Mówię: wyjdź z wody. - Sięgnął po ręcznik wiszący na

mosiężnym wieszaku obok miedzianej wanny. - Zsiniłaś z zimna.

- *Monsieur des Anges...*

- Nazywam się Michael.

„Michel to francuska forma imienia Michael. A pan nazywa się Gabriel”.

Czarne włosy. Srebrzyste włosy. Siwe włosy.

- Nazywaj się, jak chcesz, ale wynoś się z mego domu! Na Boga, czy nie wystarczy ci tego, co już narobiłeś?!

Przez chwilę spoglądała mu prosto w oczy. Zgrabnym ruchem wyjął ją

256

z wanny i otulił ręcznikiem.

- Wysłuchasz mnie - zapewnił. - Czy tego chcesz, czy nie.

- Co masz zamiar mi tłumaczyć?! - wrzasnęła i natychmiast zamknęła usta, zawstydzona tym, że straciła panowanie nad sobą.

Stała w wannie otulona ręcznikiem, gardło paliło żywym ogniem, drżała, a jednocześnie czuła do siebie odrazę za własną słabość, za podatność na ciosy.

Nienawidziła wprost siebie za to, że wciąż go pożąda.

Choć jej matka leży w grobie i stanowi pożywkę dla robaków.

- Myślisz, że już się po tych przejściach nie otrząsniesz. – Jego ciepły oddech prawie parzył jej twarz. - Zapewniam cię, że to nieprawda. Otrząsniesz się, przyjdiesz do siebie. A ja ci w tym pomogę.

Czując kolejną falę mdłości, przełknęła ślinę. Przyciskała do piersi ręcznik.

Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - oznajmiła.

Stał obok niej - wysoki, ciemnowłosy, przystojny; mężczyzna, jakiego zawsze pragnęła.

- To godne pożałowania, *mademoiselle* Aimes...

- Nie zwracaj się do mnie po francusku! - krzyknęła, pokonując ból gardła. Zimna woda wciąż spływała po jej szyi, ramionach, nogach. -

Nie jesteś Francuzem! Okłamałeś mnie! Oświadczyłeś, iż mnie pragniesz! Wcale mnie nie chciałeś! Wykorzystałeś mnie!

- Ależ pragnę cię, Annę. - Wyraz jego fiołkowych oczu stwardniał; źrenice lśniły zdecydowaniem. - A ty pragniesz mnie.

Tarasował sobą wyjście z łazienki, Annę za plecami miała tylko wannę.

Nie istniało miejsce, gdzie czułaby się bezpieczna. Nie było ucieczki.

- Jeśli mnie nie wypuścisz, zacznę...

- Co zaczniesz, Annę? - zapytał prowokacyjnie. - Co zrobisz?

Co mogła uczynić kobieta, by powstrzymać mężczyznę? Nie była w stanie powstrzymać hrabiego. Nie była w stanie powstrzymać włóczęgi, który popchnął ją pod nadjeżdżającą dorożkę.

Nie potrafiła nawet zapanować nad własnym ciałem. Ogarnął ją okropny dygot.

- Chcesz mnie zabić...

257

W jego oczach dostrzegła lśnienie szpilki do kapelusza.

- Powiedziałem ci, że nigdy cię nie skrzywdzę. A jednak skrzywdził.

- Hrabia oświadczył, że zamordowałeś swoją rodzinę.

- A o co oskarżył ciebie?

Nie miała zamiaru odpowiadać, lecz słowa same wyrwały się z jej ust.

- Że zabiłam matkę.

- A zabiłaś?

Annę wymierzyła mu siarczysty policzek, Annę, która nigdy dotąd nie podniosła na nikogo ręki. Echo uderzenia rozległo się donośnym echem w łazience. Chciała mu zadać ból. Ponieważ tylko tyle mogła. Przerazona, ściągnęła usta.

Swędziała ją dłoń, odnosiła wrażenie, że wbijają się jej w skórę tysiące bolesnych igiełek.

Na policzku Michaela pojawiły się cztery czerwone pręgi po jej palcach. Popatrzył na Annę płonącymi oczyma i wyjaśnił:

- Jechaliśmy nad morze na piknik. Matka, ojciec, trzy młodsze siostry i ja. Miałem jedenaście lat i przygotowywałem się do egzaminów wstępnych do Eton. Ojciec zażartował, że jestem już dojrzałym mężczyzną i że powinienem powozić. Oddał mi lejce, ale one pękły.

Nie dało się zatrzymać koni, które pognały przez pola prosto do krawędzi klifu. Obok nas pojawił się nagle pędzący konno stryj. Nie próbował nawet złapać uzdy któregoś z naszych przerażonych koni.

Osadził tylko w miejscu swego wierzchowca. Matka porwała mnie z siedzenia i cisnęła prosto w jego ramiona. Jego koń wspiął się na tylnych nogach i obaj spadliśmy z siodła. Koń stratował stryja. Leżałem

na trawie i widziałem, jak powóz z moją rodziną niknie za krawędzią klifu. Stryj zniszczył wszystko, co kochałem, Annę. Nie pozwolę, by zniszczył również ciebie.

Annę powoli opuściła ręce. Lejce wcale nie pękły.

- On ich zabił.

- Naprawdę? - spytał zgryźliwie Michael. - A może to tylko ten niedorostek, którym wówczas byłem, stracił kontrolę nad końmi i spowodował wypadek?

Wina. Druga strona miłości.

- Lejce musiały zostać uszkodzone - oświadczyła zdecydowanie.

- Gdzie są te lejce? Nie ma ich - nie ma dowodu. Mój ojciec

258

był młodszym bratem hrabiego. Po co miałby zabijać brata?

Annę nie miała najmniejszych wątpliwości, że bez względu na powody hrabia zabił swego brata i jego rodzinę.

- On jest nienormalny.

Michael uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu nie było szczypty wesołości. Odrobiny ciepła.

- Mój stryj może być taki czy inny, ale na pewno nie jest szalony.

Nigdy cię nie okłamałem, raz tylko nie powiedziałem prawdy, kiedy nie przyznałem się, że wiem, kim naprawdę jesteś. Oznajmiłem ci w domu schadzki, iż miałem nadzieję spotkać kobietę, która mimo szpecących mnie blizn będzie mnie pragnąć. Okazałaś się kobietą, na którą czekałem, która mnie zechciała. Pałałem żądzą zemsty, Annę, ale moje

pragnienie ciebie było silniejsze. Chciałem trzymać cię w ramionach, dawać ci rozkosz. Pociągałaś mnie. Pobudzałaś moje ciało. Czy zależało ci na mnie? Na moich pragnieniach? Na zaspokojeniu moich żądz?

Powiedz mi, Annę Aimes. Kto kogo wykorzystał?

Annę ze świstem wciągnęła powietrze, oburzona tak niesprawiedliwymi oskarżeniami.

- Ja nie narażałam twego życia.

- Naraziłaś swoje życie tamtego wieczoru, gdy wyszłaś z domu schadzek w towarzystwie nieznanego. Wielu mężczyzn czerpie przyjemność z zadawania kobietom cierpień. Niektórym wprost rozkosz sprawia uśmiercanie ich.

To ludzie tacy jak hrabia.

Annę na chwilę zapomniała o grozie, jaka stała się jej udziałem.

Poczuła natomiast żądzę przenikającą jej ciało.

Sprawiły to jego słowa.

Groza. Głód.

„Nienasycony apetyt seksualny” - mówił hrabia. Przerazająca rozkosz.

„Ponosisz konsekwencje własnych żądz. Gdybyś nad nimi zapanowała i została w Dover, nie doszłoby do tego. Gdyby mój bratanek zapanował nad żądzami i pozostał w Yorkshire, byłabyś bezpieczna”.

Nie została w Dover. Michael Sturges Bourne nie pozostał zaś w Yorkshire.

No i są tam, gdzie są.

259

On odstąpił krok i Annę ominęła go.

Nikt nie miał prawa pastwić się nad nią za jej potrzeby seksualne.

Zatrzymała się w progu łazienki. Ubranie, które porzuciła po całej sypialni, zniknęło. Na materacu rozłożono świeże, śnieżnobiałe prześcieradło. Dwie puchowe poduszki. W kominku w stylu Adamów wesoło trzaskał ogień. Na stoliku nocnym, obok gazowej lampy, stała srebrna taca.

Zaskoczona Annę zamrugła oczyma.

Powietrze przenikał intensywny zapach czekolady.

Szorstka bawełna dotknęła jej policzków; Michel delikatnie owinął jej mokre włosy ręcznikiem i zaczął je wycierać.

Annę odwróciła się w jego stronę.

W rękach trzymał wilgotny ręcznik. Fiołkowe oczy miały wyraz czujny. Drapieżny.

W świetle lampy gazowej jego włosy nabrały niebieskiego połysku.

Kiedyś gdy spał, przeciągnęła dłonią po jego nie ogolonej twarzy.

Złożyła pocałunek na jego pięknych, kształtnych ustach.

Nie wiedziała teraz, kogo dotykała i całowała.

Michela czy Michaela?

Serce zaczęło jej bić jak młotem. W pochwie czuła pulsowanie.

- Nie chcę cię.

Zdecydowanie sięgnął po ręcznik, którym zasłaniała piersi.

- I kto tu kłamie?

Miał silne dłonie, twarde od pokrywających je blizn. Annę miała wolną drogę ucieczki. Mogła też mu się przeciwstawić.

Potęga kobiety.

- Jeśli nawet cię požądam, to tylko wskutek działania tych srebrnych kulek.

- Wiem.

Ręcznik ześlizgnął się z ciała i upadł u jej stóp. Zaciśnęła dłonie w pięści i odważnie znosiła jego badawczy wzrok. Walczyła z upokorzeniem, z własnym podnieceniem. Jego wzrok pieścił jej łydki, uda, wilgotną kępę włosów między nimi, brzuch i piersi.

Każdy punkt ciała Annę, którego już kiedyś dotykał.

Miała nabrzmiące brodawki. Nie mogła dłużej się okłamywać, że stężały od zimna. On wiedział, jak bardzo go pragnie.

- Zapłaciłam ci - odezwała się schrypniętym z emocji głosem.

260

Ich wzrok się spotkał. Jego fiołkowe oczy rozbłysły.

- Wiem.

- Wcale nie ciebie pragnę - powiedziała z rozmyślnym okrucieństwem, czując nienawiść do samej siebie, do niego, do hrabiego, który zniszczył coś, co stanowiło jedyne piękno, jakiego doznała w życiu. -

Może to być pierwszy lepszy mężczyzna.

Blask w oczach Michela przygasł.

- Wiem - powiedział i ujął jej twarz w dłonie.



Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale on przykrył je swymi wargami delikatniejszymi niż płatki róży. Tylko jego nie ogolona broda drażniła skórę Annę.

Tego właśnie pragnęła zagrożona śmiercią. Jego pocałunku. Jego objęć. Modliła się, by to on właśnie ją uratował.

Na przekór sobie szarpnęła głową.

Zaprzeczając jemu. Zaprzeczając sobie.

Zadarła brodę, ale on znów musnął ustami jej wargi.

- Annę, jeśli będziesz stawiać opór, jestem gotowy przywiązać cię do łóżka. Nie zmuszaj mnie do użycia siły. Pozwól mi sobie pomóc.

Pozwól mi pokazać...

Annę zesztyniała. Wstąpił w nią wojowniczy duch.

- Tak, jak pokazałeś lady Wenterton? Pomogłeś jej, przywiązując ją do łóżka?

Ścisnął jej głowę palcami.

- Nie, ale przysięgam na Boga, że zrobiłbym to, aby ją ratować.

Może dzięki temu żyłaby do dzisiaj. Ale nie chciała, bym jej dotykał, a ja uszanowałem jej wolę. Sądzę, że czas wyleczyłby jej rany. A tak... ona nie żyje.

Odebrano mu ją tak, jak odebrano mu całą rodzinę.

Strużki wody spływały po plecach Annę, między pośladki. Bijące od Michaela ciepło parzyło jej usta i twarz, piersi i biodra.

- Teraz już śmierć mi nie grozi.

- Istnieje wiele rodzajów śmierci, Annę.

- Nie chcę!

- Ani ja.

- Krzyczałam. - Nawet ciepło jego ciała nie potrafiło rozproszyć

chłodu przenikającego ją od środka. - Nie mogłam przestać. Krzyczałam

i krzyczałam.

261

Potarł wargami jej usta. Powoli. Delikatnie. Zachęcająco.

- Nigdy już nie będziesz krzyczeć.

Ale krzyk znów narastał jej w krtani.

Chciała otworzyć usta i krzyczeć tak długo, aż wykrzyczy wszystko,

co ją prześladowuje.

Strach. Pożądanie.

Nie zamykała oczu. Patrzyła prosto w źrenice Michaela. Zwykła

kobieta o poblądłej twarzy, ubezwłasnowolniona przez swą

namiętność.

Michael z westchnieniem zamknął oczy. Jego rzęsy delikatnie otarły

się o policzek kobiety. Wsunął język w jej usta. Poczwała w łonie falę

gorąca.

Również zamknęła oczy i szerzej rozchyliła usta.

Ciemność wirowała pod jej powiekami.

I nagle wszystko się zmieniło.

Oszołomiona otworzyła oczy. Leżała na łóżku.

Biały ręcznik zsunął się na podłogę, odsłaniając czarne włosy łonowe,

naprężone brodawki i napięte mięśnie.

Tors Michela. Tors Michaela.

Z najwyższym trudem usiadła, walcząc z zawrotami głowy. Włosy miała potargane. Walczyła o zachowanie resztek godności.

- Nie pozwolę wziąć się siłą!

Materac zaskrzypiał. Michael usiadł obok.

- Nie zamierzam brać cię siłą.

- Czy rzucanie kobiety na łóżko wbrew jej woli nie jest braniem jej siłą?! - krzyknęła piskliwym, bliskim hysterii głosem.

Wyciągnął ramię, a przy tym ruchu jego ścięgna napięły się. Rozległ się brzęk, gdy Michael uniósł pokrywkę ze srebrnego naczynia.

Annę przypomniała sobie srebrną tacę, którą trzymał na kolanach hrabia. Pamiętała kłębiące się tam ruchliwe robaki.

Jak rażona prądem elektrycznym usiadła na łóżku. Ze zdumieniem ujrzała na srebrnej tacy sosjerkę i banana.

Michael odłożył pokrywkę na podłogę - materac znów zaskrzypiał pod ciężarem jego ciała - a następnie zanurzył palec w sosjerce. Kiedy go wyjął, pokryty był grubą warstwą czekolady.

- Stryj został moim prawnym opiekunem. - Przez chwilę oglądał zabrudzony czekoladą palec z ciekawością, lecz i z pogardą. - Nikt mi

262

nie uwierzył, że lejce były uszkodzone. Powiedziano mi, że koń stratował stryja, kiedy ten próbował nas ratować. Po cóż bowiem miałyby nas zabijać, nas, swoich jedynych krewnych?

Bez ostrzeżenia posmarował czekoladą brodawkę lewej piersi Annę.

Czekolada była miękka jak jedwab; jego palec zaś szorstki.

Gorący.

Prawie parzył.

Szarpnęła się pod wpływem tego dotyku.

Michael wbił w nią wzrok.

- Nie ruszaj się, Annę - ostrzegł. Czekolada bardzo szybko ostygła i stężała. Pierś pulsowała.

- Dlaczego to robisz? - szepnęła kobieta. Nie chciał jej.

Nikt nie pragnął trzydziestosześcioletniej starej panny. Co najwyżej mogło chodzić o jej pieniądze. Ale on nie chciał nawet jej pieniędzy.

Zasyczała gazowa lampa. Po twarzy Michaela przemknął cień.

- Kiedy byłem dzieckiem, uwielbiałem czekoladę - powiedział obojętnym tonem.

W kominku strzeliła płonąca głównia.

- Zawsze na śniadanie dostawałem gorącą czekoladę - mówił, wpatrując się gdzieś ponad Annę, może w chłopca, którym kiedyś był? -

Dostawałem ją też na lunch i przed snem. Mój guwerner szybko zorientował się, że kawałek czekolady wspaniale motywuje mnie do czytania Szekspira, do wkuwania koniugacji łacińskich i greckich czasowników, a nawet do nauki tabliczki mnożenia. Nagrody te skrzętnie chowałem i zjadałem nocą, tak że nie musiałem się nimi dzielić z siostrami. Marzyłem o dniu, kiedy będę na tyle duży, że sam zacznę decydować, kiedy i ile zjem czekolady.

Annę z trudem powstrzymywała śmiech, wyobrażając sobie tego

przystojnego, pokrytego bliznami, nie ogolonego mężczyznę

przekupywanego przez gubernera czekoladą. Szybko jednak odeszła jej

ochota do śmiechu, kiedy pomyślała o młodszych siostrach Michaela,

które straciły życie w wypadku spowodowanym przez hrabiego.

Jej też omal nie zabił.

Michael ponownie zanurzył palec w sosjerce.

- Stryj chorował przez kilka miesięcy - powiedział i rozsmarował

czekoladę po jej piersi; gorąco szybko krystalizowało się w chłodną

skorupę.

Rozkosz Annę skoncentrowała się w macicy, mięśnie pochwy zaczęły

263

się zaciskać.

- Kopyta końskie zmiażdżyły mu nogi i uszkodziły dolne partie

kręgosłupa.

Nie

znosił

mojej

obecności

-

opowiadał

mężczyzna.

Popatrzył na Annę; nieoczekiwanie wrócił z wyprawy w przeszłość i

skupił uwagę na swej towarzyszce.

- Połóż się, Annę.

Nagle nie chciała już słuchać tego, co zamierzał jej powiedzieć.

Nie chciała poznać koszmaru, przez który przeszedł podczas zamieszkiwania u stryja.

Nigdy już nie chciała wspominać chwil, kiedy leżąc w ciemnościach, nie potrafiła powstrzymać ani strachu, ani straszliwego pożądania.

Nie chciała wybaczyć Michaelowi jego niepohamowanej żądzы odwetu.

Zawiódł jej zaufanie. Jej namiętność.

- Zamierzał mnie zabić - odezwała się schrypniętym głosem.

- Tak.

- Przez ciebie! Jego oczy rozbliły.

- Annę, a czy ty mnie kiedyś okłamałaś?

Jej piersi uniosły się w głębokim oddechu. Czekoladowa skorupka zaczęła pękać.

- Nigdy cię nie okłamałam!

- Chciałaś wiedzieć, co czuję.

- Chciałam. - Próbowwała odpędzić wspomnienie chwil, kiedy jego męskość zagłębiała się w jej ciało, jego palce rytmicznie pieściły jej łechtaczkę, a członek wsuwał się w jej pochwę. -I pokazałeś mi, co czujesz.

- Jestem

czymś

więcej

niż

tylko

kutasem,

Annę.

Podczas gdy ona była dokładnie tym, kim była: nudną starą panną.

- Pewnie zaraz oświadczysz mi, że to, co robiliśmy, było czymś więcej niż tylko pieprzeniem się!

Dławiło ją wulgarne słowo, które wymówiła. A może dławiło ją wspomnienie słów hrabiego, określającego to, co wydarzyło się między pokrytą bliznami męską dziwką a starą panną, „pieprzeniem się”.

Annę nie rozpatrywała tego, co robili, w takich kategoriach. Nigdy też nie traktowała Michela des Anges jako męskiej dziwki.

264

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Połóż się - powtórzył.

Wbiła paznokcie jednej ręki w drugą.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, byś mnie wysłuchała. Chcę, byś poznała człowieka, który jest nie tylko kutasem.

Annę nie mogła prawie złapać tchu, spoglądając we fiołkowe oczy, które nie należały ani do Michela, człowieka znanego z tego, że potrafi zadowolić każdą kobietę, ani do Michaela, dziedzica tytułu lordowskiego. Mogła jedynie...

Położyć się.

Szczupłymi palcami zaczął odgarniać długie pasma jej wilgotnych włosów z piersi i ramion, aż wszystkie znalazły się na poduszce.

Następnie znów zanurzył palec w srebrnym naczyniu.

Annę czekała.

- Kiedy zginęła moja rodzina, pocieszenia szukałem w czekoladzie. -

Rozsmarował brązową masę na jej prawej piersi; trwające krótko uczucie bolesnego pieczenia. - Kiedy stryj chorował, służba nie odmawiała mi niczego.

Annę nie spuszczała wzroku z Michela, który z kolei nie spuszczał wzroku z jej piersi wysmarowanych czekoladą. W jego oczach nie malowało się jednak pożądanie. Wracił pamięcią w przeszłość.

- Kiedy stryj pewnej nocy nieoczekiwanie nawiedził mój pokój, leżałem w łóżku, a twarz miałem pobrudzoną czekoladą. -

Rozsmarowywał masę na jej piersi.

Annę spuściła wzrok i zobaczyła to co on: piersi pokryte pa-cynkami czekolady.

Jak jego buzia, kiedy miał jedenaście lat.

W błyszczących plamach na jasnych piersiach nie było jednak nic dziecięcego ani niewinnego.

Uniosła wzrok.

Hrabia powiedział, że jego bratanek był rozkosznym, kochającym dzieckiem.

Teraz w jego twarzy nie było miłości.

- Popatrzył na mnie i zadał tylko jedno pytanie - ciągnął Michael



monotonnym głosem. Zanurzył w srebrnej sosjerce cztery palce. -

Zapytał: „Jak bardzo lubisz czekoladę?”

265

Powoli, metodycznie nadal rozprawdzał ciemną, wonną masę po prawej piersi Annę.

Pierś stężała, z bólu, z pożądania.

Annę poczuła, że ma mokrą pochwę.

Zacisnęła mięśnie, by powstrzymać wypływanie z niej soków.

To wcale nie miało być tak!

- Następnej nocy Frank znów przywiózł do mej sypialni stryja. -

Michael obrzucił wzrokiem piersi Annę, oceniając swe dzieło. -

Przywiózł mi czekoladowy baton. Wypełniony glistami.

Annę skuliła się. Słowa te sprawiły, że coś skurczyło się zarówno w jej piersiach, jak i w łonie.

Michael nacierał teraz czekoladą jej lewą pierś. Czują gładki żar i szorstkie palce.

- Zapytał, czy wiem, czym żywi się moja matka, spoczywająca w trumnie zakopanej głęboko pod ziemią. „Robakami”, powiedział.

Powiedział też, że jeśli nie zjem tego batonika, Frank pogrzebie mnie obok matki. Zjadłem.

- Michel...!

Wykrzyknęła to odruchowo.

- Już ci mówiłem. Nie nazywam się Michel. - Uniósł powieki. Jego fiołkowe tęczęwki znikły. Całe oczy zdawała się wypełniać czern

żrenic. - Jestem Michael. Dostojny Michael Sturges Bourne.

Nie było wszakże żadnego dostojństwa w przyzwoleniu na korzystanie przez kobiety z jego usług. Zwłaszcza że znał cenę, jaką przyjdzie im za to zapłacić.

- To, co on zrobił tobie, nie usprawiedliwia tego, co uczyniłeś mnie.

- Pokochałem cię, Annę. - Sięgnął po srebrne naczynie. - Najgłębiej, jak to możliwe.

Słowo „pokochałem” brzmiało w jej uszach głośnym echem, zagłuszając niemal trzask płonących w kominku polan i łoskot serca Anny.

- Twój przyjaciel Gabriel wiedział o hrabim?

- Wiedział - przyznał martwym głosem.

Rozlał czekoladę między jej piersiami, później polał nią brzuch i wzgórek łonowy.

Wszyscy wiedzieli - pomyślała i znów ogarnął ją gniew. Wiedział nawet lokaj!

266

A zapewne i pomocnica *madame* Renę, która zawiązywała Annę czarny satynowy gorset.

- Nie ruszaj się. - Jego głos był podejrzenie aksamitny.

Jakby zamierzał dobrać się do jej kobiecości.

- Co chcesz zrobić? - spytała zadziornie, pragnąc nie okazać strachu... ani pożądania.

- Wzbudzić wspomnienia - mruknął.

- Wszystko

doskonale

pamiętam.

Śmierć. Żądzę.

Jego wzrok odbijał jej ból. Jej potrzebę. Jej wspomnienia. Śmierci.

Żądry.

Roztopiona czekolada i szorstkie palce pieściły jej brzuch. Szok

powodowany gorącem szybko mijał.

- Stryj zaczął jadać ze mną posiłki. Śniadania. Lunche. Kolacje. -

Zamknął oczy. Na policzkach tańczyły mu cienie.

Annę uniosła głowę i obserwowała ruch jego palców na swym

brzuchu. Dostawała gęziej skórki.

- Jeśli zauważył, że coś mi szczególnie smakuje, potrafił mi

przywieźć taką potrawę do sypialni, kiedy leżałem już w łóżku.

Bardzo lubiłem *kedgeree* na śniadanie. - Położył środkowy palec na

pępku Anne. - Przywiózł więc mi miskę ryżu ruszającego się od

robaków. Lubiłem makaron. - Rozlał czekoladę na jej podbrzusze;

schodził niżej i niżej. - Przyniósł mi cały talerz makaronu

wymieszanego z robakami. I wciąż przypominał, że robaki zżerają

moją matkę. „A to z powodu twojej beztroski”, dodawał. Mówił też,

że jeśli nie będę ich jeść, dołączę do niej, a one pożrą mnie żywcem.

Powoli. Najpierw wplaczą mi się we włosy. Wpełzną do nosa, do

uszu. Jadłem wszystko, co mi przynosił. Bardziej bałem się tego, że

robaki zjedzą mnie, niż tego, że ja je zjem.

Annę skurczyło się wszystko w środku.

- Rozłóż nogi, Annę. Popatrzyła w jego martwe oczy.

- To niczego nie zmieni.

- Nie, ale kiedy nadejdzie ranek, nie będziesz pamiętała o robakach.

Rozłożyła nogi. Zamknęła oczy, kiedy kapał czekoladą na jej  
łechtaczkę.

Pałący żar. Szorstki dotyk palców.

Kapał czekoladą na jej łechtaczkę, na wargi sromowe i znów na

267

łechtaczkę.

Uniosła głowę, by popatrzeć na jego ręce, po czym opadła na łóżko.

Gorąco.

Wilgoć, która bardziej jej doskwierała niż żar.

Niż dotyk jego palców.

Wbiła paznokcie obu rąk w prześcieradło.

Uderzała głową w poduszkę, po czym otworzyła gwałtownie oczy.

Stał nad nią, trzymając w rękach poduszkę.

Wstrzymała oddech.

Mógł ją zabić równie łatwo jak jego stryj.

Pochylił się, zasłaniając sobą światło lampy, i sięgnął po poduszkę  
leżącą po drugiej stronie łóżka.

Wyprostował się. Światło znów raziło jej oczy.

- Unieś biodra.

- Po co? - spytała drżącym głosem.

Bała się śmierci. Bała się żyć.

Tak, lordzie Granville, boję się - pomyślała.

- Unieś - powtórzył.

Była otwarta, niezdolna ukryć braku urody swego ciała, przyziemnych potrzeb starej panny.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała, próbując zapanować nad oddechem, nad żądzami przenikającymi jej ciało.

- Wynajęłaś mnie, gdyż potrafię zadowolić każdą kobietę. -

Oddychał w rytmie jej oddechu. - Unieś biodra, a ja cię zaspokoję. A jutro, jeśli zechcesz, byśmy zerwali kontrakt, nie będę miał nic przeciwko temu. Tej jednak nocy potrzebujesz mnie, Annę. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że i ja potrzebuję ciebie?

Annę posłusznie uniosła biodra.

Pokrywająca jej piersi i brzuch warstwa czekolady popękała. Annę poczuła na pośladkach powiew chłodnego powietrza.

Biodra miała uniesione, wysunięte do przodu, jakby szła na wysokich obcasach. Nago. Rozchyliła uda w zmysłowym zaproszeniu.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezbronna. Nawet tamtej pierwszej nocy, kiedy ją rozbierał. Nawet wtedy, gdy hrabia napoił ją herbatą z narkotykiem.

Michael sięgnął po sosjerkę i zaczął lać czekoladę na jej stopy.

Annę czuła się jak mumia, pokryta od piersi do stóp zakrzepłą masą.

Szeroko rozwartymi oczyma patrzyła, jak Michael odstawia na srebrną

tacę sosjerkę i sięga po banana. Na jego nagich przedramionach

tańczyły refleksy światła i cienia; dłonie miał pokryte bliznami.

Ściągnął z banana do połowy skórkę i posmarował owoc czekoladą.

Annę czuła, że brakuje jej w płucach powietrza.

- Chyba nie zamierzasz...?

Zawiesiła głos. Przed oczyma stanęły jej różnorodne obrazy.

Siebie - nagiej. Jego - siedzącego między jej rozłożonymi udami,

ubranego w białą lnianą koszulę i spodnie; jego palce sięgają między

jej uda...

Pragnęła, by jej posmakował. Lizał ją. Macał językiem.

I to właśnie zrobił.

Pulsujący w jej pochwie członek upewnił ją, że Michael wykorzystuje

nie tylko usta.

A ona również tego pragnęła.

- Lubiłeś też banany? - zaryzykowała pytanie.

- Tak.

Hrabia nawet to mu odebrał.

Michael usiadł na skraju łóżka i delikatnie rozchylił jej wargi

sromowe.

Serce podeszło jej do gardła.

Chłodna twardość, jaką poczuła, nie miała nic wspólnego ani z jego

nagim członkiem, ani z gumą.

Odruchowo zacisnęła mięśnie. Wyrzuciła z pamięci wszystko, co mu

uczynił hrabia, wszystko, co uczynił jej. Odtrąciła całą swą przewrotną,

perwersyjną naturę, która doprowadziła ją do tego wszystkiego, podczas gdy Michel - czy raczej Michael - nie zrobił nic; został po prostu osieroconym chłopcem.

Uniósł swe czarne rzęsy.

- Przyjmij to, Annę. Czuję twój ból. Czuję bijący od ciebie żar. Jesteś mokra od żądz. To naturalne. Musisz być zaspokojona. To zew kobiecego ciała. Pozwól, bym nań odpowiedział. Pozostaw mi wspomnienia... Spełnienie. Rozkosz...

Delikatnie, choć zdecydowanie wsunął w nią banana, wytrzymując jej wzrok, przezwyciężając jej opór aż do chwili, kiedy umieścił owoc głęboko. Mięśnie jej pochwy łakomie się na nim zamknęły. Annę nie potrafiła zapanować nad oddechem.

Spełnienie. Rozkosz.

269

Przeniknięta do szpiku kości, popatrzyła na niego.

Zrozumiała różnicę między penetracją a posiadaniem.

Zamykając oczy, delikatnie zatoczył palcem wokół jej pochwy. Annę wyprężyła ciało, przyjmując w siebie owoc. Drżała, czekała na spełnienie...

- Pod koniec pierwszego roku było niewiele potraw, które mój żołądek trawił - kontynuował Michael swą opowieść. - Chleb. Surowe warzywa.

Jabłka. Gruszki. Jędrne, nie papkowate owoce. Byłem niemal

zagłodzony. On chciał, żebym żył, więc karmił mnie tym, co mój

organizm tolerował. Myślałem, że najgorsze mam już za sobą. Grubo się

myliłem. Pewnej nocy pojawił się w towarzystwie Franka. Oświadczył, że na strychu ma dla mnie niespodziankę.

Nie musiał mówić Annę, jaka to była niespodzianka.

- Myślałem, że w trumnie jest moja matka. Podobnie jak ty pomyślałaś, że w drugiej trumnie spoczywa twoja matka. Wiem, co czułaś zamknięta w trumnie, ponieważ sam tego doświadczyłem.

Każdego ranka, zanim jeszcze wstała służba, Frank wyciągał mnie z trumny, tak bym mógł pozornie normalnie spędzić kolejny dzień.

Czytałem książki, które stryj uznał za niezbędne dla mego wykształcenia. Czując się pewnie świętym, który został kaleką, gdy ratował swego bratanka, teraz karmił mnie, odziewał i kształcił.

Stwarzał pozory, że prowadzę szczęśliwe, beztrioskie życie, podczas gdy w rzeczywistości wiecznie drżałem z przerażenia.

Delikatnie, rytmicznie poruszał bananem, wzmagając jej doznania, zwiększając żądzę.

- Początkowo próbowałem rozmawiać ze służbą, lecz nikt mi nie wierzył. Kiedy dowiedział się o tym stryj... zamknąłem usta na kłódkę. Myślałem, że oszaleję. Chyba ta obawa dodała mi sił pewnej nocy, gdy leżąc w łóżku, czekałem na człowieka, który za pomocą drabiny sznurowej pomógł mi wydostać się przez okno i sforsować otaczający posiadłość kamienny mur. Nie było jeszcze wtedy na nim stalowych szpikulców. Zaokrętowałem się na frachtowiec płynący do Calais.

Annę wstrzymywała oddech... Pamiętała kamienny mur otaczający posiadłość hrabiego, był stanowczo za wysoki do sforsowania przez



chłopca - ze szpikulcami czy bez.

- W Calais nieustannie myślałem o nocach spędzonych w trumnie.

Nie mogłem spać. Nie miałem co jeść. Przyłapano mnie na kradzieży bochenka chleba. Na szczęście Gabriel wywrócił stół z pasztecikami, co

270

odwróciło uwagę piekarza. Udaliśmy się razem do Paryża. Tam znalazła nas *madame*. Wzięła pod swe skrzydła i wykształciła.

Rozkosz seksualna była jedyną rzeczą w moim życiu, której nie plugawił cień stryja. Seks pozwalał mi żyć, pozwalał zapomnieć. Gabriel stracił duszę, ale we mnie coś zostało. Łapczywie chłonałem wszystkie nauki *madame*. Uczyłem się też od wszystkich kobiet, jakie miałem.

Dużo nauczyłem się od ciebie, Anne.

Anne uświadomiła sobie, że to właśnie próbował powiedzieć jej Gabriel.

Michael uwielbiał kobiety i seks, i to nie dla pieniędzy czy fizycznej rozkoszy. Uwielbiał to, gdyż w ten tylko sposób mógł zaspokoić potrzebę miłości. Tylko to mu pozostało.

- Czego nauczyłeś się ode mnie? - szepnęła, bojąc się wykonać najmniejszy ruch, bojąc się złamać urok ich bliskości, bojąc się orgazmu, bojąc się utraty kontroli nad sobą.

Wtedy jej, starej pannie już nic by nie zostało. Popatrzył na nią.

- Nauczyłem się, że nadszedł czas, by pogodzić się z życiem. Zacząć wszystko od nowa. Zamierzam całować każdy skrawek twego ciała.

Na zewnątrz i od środka. Zapomnisz o robakach, podobnie jak ja.

Ilekroć zobaczę czekoladę, będę myśleć o tobie. O smaku twojej skóry. O rozkoszy, jakiej doznaliśmy.

Żaden człowiek nie powinien przechodzić takiego koszmaru, jaki przeszedł on.

- W jaki sposób... - Zagryzła usta, ale wiedziała, że musi o to zapytać. - W jaki sposób chciałeś się zemścić, przyjmując moją ofertę?

- Wiedziałem, że pojmie ciebie. Albo mnie. W obu wypadkach miałbym dostęp do jego domu.

By zabić. Lub zostać zabitym.

Nie zabił jednak stryja. Słyszała zza drzwi głos hrabiego, kiedy

Michael prowadził ją korytarzem. Michael poświęcił wszystko dla niej. Niespokojnie westchnęła.

- W jaki sposób skłoniłeś moją kucharkę, by przygotowała ci gorącą czekoladę?

W świetle lampy jego oczy pojaśniały.

- Powiedziałem jej, że zamierzamy jeść pod gołym niebem.

Czekolada. Banany. Niezbadane są granice namiętności.

Jeszcze trzy dni wcześniej Annę byłaby poruszona do żywego.

271

- Michael... Znieruchomiał. Czekał.

- W jaki sposób zamierzasz zjeść banana?

Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Po chwili stał się tak szeroki, że błysnęły białe jak śnieg zęby; przypominał chłopca, którym był przed dwudziestu dziewięciu laty.

- Wszystko w swoim czasie, Anne.

Popatrzył na jej stopę, po czym zaczął ssać duży palec, drażniąc go jednocześnie językiem.

Było to bardziej podniecające niż pieszczota piórem. Bardziej intymne niż pocałunek. Każdy nerw ciała Annę przeszywał dreszcz.

Wsuwał język między jej palce, gdzie skóra była najwrażliwsza.

Annę z całych sił zacisnęła palce na prześcieradle.

Prawa stopa. Lewa stopa.

Kiedy myślała już, że stanie się rzecz niemożliwa i osiągnie orgazm od zwykłego ssania palców u nóg, Michael przesunął usta wyżej i zaczął pieścić delikatniejsze od jedwabiu wewnętrzne strony jej nóg, drażniąc skórę nie ogoloną brodą. Banan poruszał się rytmicznie.

Annę wstrzymała oddech. Cały jej świat skurczył się do dwóch elementów: owocu, który ją wypełniał, i języka Michaela.

Przesunął usta jeszcze wyżej i zaczął wodzić językiem po bananie.

Annę poderwała biodra. Nie potrafiła już zapanować nad orgazmem, który nadchodził z ogromną siłą.

Chwytała Michaela za głowę, za włosy, by przyciągnąć go jak najbliżej siebie...

Wyślizgnął się z jej objęć. Bez pośpiechu zaczął całować jej prawą nogę.

Annę nie myślała już o trumnie.

Zaczął pieścić ją językiem.

Zadrżała, jakby poraziła ją błyskawica.

Mężczyzna przesunął się w górę i całował teraz jej łechtaczkę; jego język był niczym rozpalony, smagający bicz.

Całował i lizał, całował i lizał tak długo, aż Annę nie była w stanie zapanować nad swymi biodrami. Uniosła je najwyżej jak mogła. Język Michaela wypalał szlak po jej wargach sromowych i pieścił jej ciało, miąższ banana.

Krzyknęła, kiedy nadszedł drugi orgazm.

Michael całował jej brzuch, jej piersi, zaciskał zęby na jej brodawce... „Wielki Boże...!” Przesuwał język po jej pępku. Nagle

272

uniósł głowę i pocałował ją w usta, wypełniając je swym językiem tak, jak banan wypełniał jej kobiecość.

Smakowała czekoladę. Smakowała banana, którego woń przyniosły jego usta. Smakowała samą siebie.

- Wymów moje imię - wyszeptał jej w usta. Annę przełknęła ślinę.

- Michael...

Jeszcze szerzej rozsunął jej nogi i usadowił się między nimi.

- A teraz wykrzyknij moje imię.

Lizał na przemian jej łechtaczkę i coraz bardziej zmniejszającego się banana tak długo, aż kobieta w końcu wykrzyknęła na cały głos jego imię. Powtarzała je i powtarzała, aż banan zniknął i teraz już mężczyzna zlizywał z jej pulsującej pochwy czekoladę. Ale nie sięgał językiem tak głęboko, jak by pragnęła tego Anne...

Nieoczekiwanie ukląkł między jej nogami. Nie zauważyła nawet,

kiedy zdjął spodnie. Ciemna czekolada rozmazywała się na jego twarzy, torsie i brzuchu. Jego męskość wystawała z gniazda czarnych włosów; pokrywały ją błękitne żyły, lśniła purpurowa korona penisa.

- O czym myślisz, Anne? - zapytał zdyszczanym głosem.

- O tobie - odparła tak samo nierówno.

- Co chcesz, abym zrobił?

- Chcę mieć cię w środku. Proszę.

- Powiedz to po francusku.

- Nie umiem... - Nie знаła dobrze francuskiego, a w tej chwili

żadne słowo w tym języku nie przychodziło jej do głowy. –Nie wiem, jak to jest po francusku.

- Podpowiem ci. Powiedz: *j'ai envie de toi*.

Chcę ciebie.

Popatrzyła w jego piękne, fiołkowe oczy. Musiał wiedzieć, że jej francuski wcale nie jest tak ubogi.

Coś ścisnęło ją w gardle.

- *J'ai envie de toi*.

Jego ciemna skóra lśniła od potu i czekolady.

- *J'ai*

*besoin*

*de*

*toi*.

Potrzebuję ciebie.

W oczach zaśniły jej łzy.

- *J'ai besoin de toi* - powtórzyła.

- *Je voudrais faire l'amour avec toi.*

- Co to znaczy?

273

- Chcę się z tobą kochać. Kochać się.

W jednej chwili wulgarność określenia hrabiego na to, co ze sobą robili, znikła bez śladu.

Starej panie wrócił na chwilę zdrowy rozsądek.

- Krążek...

- Zaufaj mi. Zaufała. A on...

- *Je voudrais faire l'amour avec toi.*

Wsunął palce w jej pochwę. Głęboko. Annę nawet nie drgnęła.

On... on umieścił na szyjce jej macicy krążek i natychmiast zagłębił się w nią... Och, był dużo grubszy i większy niż owoc. Większy niż palce. Wszedł dużo głębiej, niż weszłyby palce czy banan. Jego pozbawiony gumy członek pulsował. Drżał.

Z radością powitała na sobie ciężar jego ciała, dotyk jego śliskiej skóry pachnącej potem i czekoladą. Czująca ogarniającą go rozkosz.

Czująca własne spełnienie.

Wtulił twarz w jej szyję. Czująca szorstkość jego brody. Czująca w środku szybkie ruchy jego penisa.

Anne pamiętała teraz wszystko, teraz, gdy jej umysł uwolnił się od działania narkotyku, od wymuszonego pożądania, od odrazy.

„Czy była kiedyś pani zakochana, panno Aimes?”

„A pan, sir?”

„Tak, panno Aimes, byłem”.

Trumna. Robaki.

Miały ścisły związek z wierszem, który cytował hrabia.

- Kochał twoją matkę - powiedziała. Michael zeszywniał.

- Zabił moją matkę - sprostował.

„Nic nie jest proste - oświadczył kiedyś. - Ani pożądanie, ani samo życie”. Ani miłość. Anne zamknęła oczy i wplotła palce w jego włosy.

- Czasami chciałam, by matka umarła... żebym mogła się wyspać.

Choćby przez jedną noc. Niczym nie niepokojona.

- Ale przecież jej nie zabiłaś!

- Nie.

Nawet wtedy, gdy matka błagała o śmierć. Czekala, aż wrócą dobrze jej znane wyrzuty sumienia. Nie wróciły.

Michael leżał długo w jej ramionach. Powoli uspokajało mu się serce, oddech. W końcu odsunął się od Anne.

- Przygotuję nam kąpiel - oznajmił. Anne poczuła, że zaciskają się jej

274

trzewia.

- A co później?

- Później zabiję stryja.

Brama stała otworem. Nie widać było stróża.

Rzezimieszki służący hrabiemu po interwencji policji pozaszywali się w mysie nory.

Psy zamknięto w psiarni. Z oddali dobiegało ich wycie i ujadanie - jakby zdawały sobie sprawę, że wraz z nadejściem nowego dnia muszą poddać twierdzę. Koń, na którym Michael jechał, był niespokojny, parskał, bił kopytami o ziemię, z nozdrzy wydobywały mu się obłoki pary. Targał łbem, jakby wzbraniał się przed przekroczeniem bramy. Podobnie jak on, Michael również pragnął zawrócić i pogalopować do domu, do Anny.

Wbił jednak piętę w boki wierzchowca, przynaglając go do galopu.

Wspaniała rezydencja hrabiego tonęła w różowym świetle przedświt. Okna lśniły złowróżbnym blaskiem.

Michael uśmiechnął się ponuro.

Tamten człowiek czeka na niego.

Wiedział, że już go nie zaskoczy.

Nie było widać policji.

Michael nie miał wątpliwości, że inspektor załatwi sprawę w jakiś pokrętny sposób, umywając od wszystkiego ręce w imię swych dzieci, wnuków i prawnuczki. Chociaż tamten człowiek zniewolił kobietę.

Pochował chłopca.

Jak przekazać to ludziom?

Jaki sąd oskarży siedemdziesięcioletniego hrabiego, którego



bogactwo stanowiło oparcie dla Dover?

Zeskoczył z konia, którego zabrał ze stajni Annę, i przywiązał go do drzewa. Nie czuł żwiru pod stopami ani bólu mięśni w nogach, kiedy wchodził po schodach.

Drzwi nie były zamknięte. Nie czaił się za nimi wysoki, chudy lokaj.

Po plecach Michaela przeszedł zimny, ostrzegawczy dreszcz. Nie było stróża przy bramie, nie było psów, nie było strażników ani służących,

275

ale ktoś na niego czekał.

Czuł jego obecność, tak jak czuł istnienie pustych trumien na strychu.

Jedna była przeznaczona dla Annę, druga dla niego.

Portrety w połączonych ramach, surowe, posępne twarze, niekończące się korytarze. Na mahoniowych przepysznych schodach donice z paprociami.

Nie kryli się pośród nich zabójcy.

Michael pomyślał o Annę, śpiącej w swym staroświeckim łóżu.

Czy rzeczywiście spała?

Nie zareagowała, kiedy wyplątywał dłonie z jej wilgotnych włosów i opuszczał łóżko.

Jego stara panna płakała bezgłośnie, gdy opowiadał o swym dzieciństwie. On też ronił łzy; i spermę.

W końcu nazwała go Michaeliem.

Czuł w ustach smak czekolady, ale smak Annę był dużo słodszy.

Nie chcę umierać - pomyślał.

Pragnął wrócić do swej starej panny.

Chciał dać jej to wszystko, czego się nauczył.

Chciał dać jej to wszystko, za czym tęskniła.

Ogarnęło go ponure przecucie.

Mężczyźni rzadko osiągają to, czego chcą.

Czuł w kieszeni ciężar rewolweru. Odgłos własnych kroków odbijał się w jego uszach grobowym echem.

Śmierć. Pożądanie. Śmierć. Pożądanie.

Spięty wszedł po schodach, minął otwarte drzwi windy i ruszył do gabinetu długim korytarzem, oświetlonym ostrym światłem elektrycznym.

Nie miał gdzie się skryć. Czuł na sobie czyjś wzrok. Czuł też na sobie ów wzrok, kiedy podróżował w przeszłość.

Szedł korytarzem, a było to tak, jakby szły trzy osoby.

Chłopiec, który miał umrzeć. Mężczyzna, który kochał starą pannę.

I człowiek, który obserwował Michaela Sturgesa Bourne'a.

Chłopiec pamiętał strach, jaki przeszywał go dwadzieścia siedem lat wcześniej. Mężczyzna, który pokochał starą pannę, zastanawiał się, kiedy zainstalowano oświetlenie elektryczne. Jeszcze przed uprowadzeniem Dianę czy później?

Czyżby bał się smażyć w piekle?

Czy naprawdę stryj kochał jego matkę?

W szparze pod drzwiami gabinetu lśniło światło. Michael przystanął.

Nie słyszał za sobą kroków, ale ta trzecia osoba nieustannie mu towarzyszyła.

Wyłożony boazerią korytarz oddychał wraz z obserwatorem. Drewno oddychało w rytm bicia jego serca.

Michael modlił się, by miłość okazała się silniejsza od nienawiści. By rozkosz przewyciężyła ból.

Przekręcił gałkę i ostrożnie otworzył mahoniowe drzwi.

Pod sufitem płonął jasnym światłem żyrandol. Mężczyzna czekał na niego za biurkiem. Za nim stał jego sługus z piekła rodem, służalczo ubrany w czarno-białą liberię. Twarz miał nieprzeniknioną. Po obu stronach marmurowego kominka stało dwóch innych ludzi; niebieskie i żółte płomienie oświetlały ich nieruchome sylwetki. Michael zatrzymał wzrok na wyższym z nich.

Wcielony diabeł o włosach koloru piasku mocno już wyłysiał, ale nadal wyglądał tak, jak Michael go zapamiętał.

Na jego twarzy nigdy nie malowały się żadne uczucia.

Na twarzy stryja często widywał wyraz okrucieństwa i sadystycznego zadowolenia, kiedy jako chłopiec walczył z wymiotami na widok robaków lub toczył daremną walkę. Oblicze tego wcielonego diabła zawsze pozostawało nieodgadnione.

- Witaj,

Frank

-

powiedział

cicho.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Michael! - Hrabia nie okazywał niezadowolenia, iż jego zabawa i polowanie zostały przerwane przez inspektora policji. Aksamitne kłapy jego aksamitnej marynarki koloru burgunda połyskiwały niczym ciemna, zakrzepła krew. - Zajęło ci to dłużej, niż myślałem.

Ile dłużej?

Dwadzieścia siedem lat? Pięć lat? Pięć godzin?

Michael z obojętną miną przyglądał się obliczu hrabiego.

Elektryczne światło było bezlitosne.

Stryj postarzał się bardzo. Całkowicie osiwiał. Miał siedemdziesiąt lat, a jego wyblakłe oczy wyraźnie mówiły o impotencji.

277

- Czy kochałeś moją matkę? - zapytał Michael zadziwiająco obojętnym tonem.

Na pomarszczonej twarzy starca pojawił się wyraz zadowolenia.

To jedno się w nim nie zmieniło.

Przez ostatnich dwadzieścia dziewięć lat uśmiech ten śnił się

Michaelowi każdej nocy. Każdego ranka budził się z widokiem tego uśmiechu pod powiekami.

Nieoczekiwanie poczuł żal, że nienawiść, która przez tyle lat trzymała go przy życiu, w ciągu ostatnich pięciu godzin minęła.

- Panna Aimes... - Hrabia zachichotał starczym, chrapliwym śmiechem. Klapy jego marynarki zafalowały. - To bardzo sprytna kobietka. Jestem zdumiony, że czyniła o ciebie starania. Naprawdę...

Tak, kochałem twoją matkę.

- Ale ją zabiłeś.

Uśmiech starego człowieka stał się jeszcze szerszy, zdradzając braki w uzębieniu.

- Michael, nigdy nie umiałeś słuchać. Już dwadzieścia dziewięć lat temu powiedziałem ci, że nie zabiłem twej matki.

To prawda.

Teraz Michael rozumiał to, czego nie potrafił zrozumieć przed dwudziestu dziewięciu laty. Ogarnęło go znajome poczucie winy.

Ale to nie miało znaczenia.

Ten człowiek umarłby za Little'a. Za Dianę. Za Anne. Za Michaela, który był kiedyś małym chłopcem.

Najpierw jednak...

- Jakiego to chłopca pochowałeś?

- Nie znałeś go. Parszywy, czarnowłosy malec, który oddał życie za kęs jedzenia.

Michaela ogarnął gniew. Kolejne życie... Ile ten mały mógł mieć lat?

Osiem? Dziewięć?

- Zawsze miałeś słabość do chłopców i dziewczynek. Można by

pomyśleć, stryju, że byłeś tchórzem.

Malujący się na twarzy hrabiego uśmiech zniknął.

- Zrobiłem wszystko, żebyś nie odziedziczył po mnie tytułu.

- Ale lubiłeś to, prawda? - zapytał zjadliwie.

- Tak, Michaelu, lubiłem. Z nikim nie miałem większej przyjemności niż z tobą. Którą kobietę kochałeś bardziej? Lady

278

Wenterton czy pannę Aimes? Której było ci bardziej żal?

Starej panny.

- Czego się boisz, stryju Williamie? - zapytał obojętnie.

- Niczego. Nie ma niczego gorszego niż to, do czego mnie doprowadziłeś. Wózek inwalidzki to piekło. - Starzec z zainteresowaniem popatrzył na bratanka. - Przyszedłeś mnie zabić, drogi chłopcze?

- Tak, stryju Williamie. Przyszedłem cię zabić.

- Jak myślałem - odparł ze współczuciem. - Wciąż jednak żyję. Nie spodziewałem się, że sprowadzisz policję. Miałeś świetną okazję, by mnie zgładzić. Nie zgładziłeś. Dlaczego?

Michael nie odpowiedział. Nie musiał.

Obaj wiedzieli, że uczucie, jakim darzył starą pannę, było silniejsze od nienawiści. I obaj wiedzieli, że ta kobieta nie będzie bezpieczna tak długo, jak długo hrabia będzie żył.

Na twarzy starca pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Nie jesteś typem zabójcy, Michaelu, choć bardzo chciałbyś mnie

zabić. Przez wszystkie te lata musiałeś cierpieć, nie mogąc znaleźć świadka, który by ci pomógł. Miałeś nadzieję, że zawisnę na szubienicy?

Michael próbował wybaczyć Michelowi, że zmarnował tyle lat, próbując znaleźć dowody winy hrabiego. Ostatnie pięć lat, kiedy lizał rany po stracie Dianę, nie stanowiło żadnego wytłumaczenia.

Powinien był zabić tego człowieka - na przekór prawu, na przekór jego wiekowi.

- Dlaczego nie zabiłeś mnie dwadzieścia dziewięć lat temu, stryju Williamie? - zapytał obojętnie. - Liczyłeś na to, że pewnego dnia znajdę sposób, by zakończyć twoje żałosne życie?

- Obserwowałem cię przez wszystkie te lata, a twoje cierpienia utrzymywały mnie przy życiu. Nie chciałem cię zabijać, drogi chłopcze. Chciałem, byś cierpiał. I chciałem to twoje cierpienie przeciągać jak najdłużej.

Michael wyciągnął z kieszeni rewolwer i wycelował go w głowę starego człowieka.

Hrabia roześmiał się triumfująco. Michael poczuł na skroni lufę rewolweru. Mimo to nie cofnął broni.

- Ile ci zapłacił, Gabrielu? - spytał.

279

- Nie zabijam za pieniądze - mruknął głucho Gabriel.

Michael poczuł skurcz serca; nadzieja ustąpiła miejsca rzeczywistości.

Stary człowiek spoglądał nań ze złośliwą ciekawością. Twarz Franka

pozostawała nieruchoma.

Wiedział, że na obliczu Gabriela również nie maluje się żaden wyraz.

- Ile warta jest dwudziestosiedmioletnia przyjaźń? Poczł na uchu gorący oddech mężczyzny.

- Warta jest zapłaty.

- Za co?

- Za rozkosz. Za ból.

Rozkosz Michaela. Ból, jaki stał się udziałem Gabriela. Człł niemal, jak przez metal broni promieniuje pulsująca w żyłach Gabriela krew...

Człł to w skroni, człł w palcach.

- Byłś zazdrosny.

- Tak, Michaelu, byłem zazdrosny. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, wówczas gdy łakomym wzrokiem zerkałeś do piekarni.

Byłem zazdrosny. Gdybyś poprosił piekarza o bochenek chleba, dałby ci go. Ale nie poprosiłeś. Nigdy nikogo nie prosiłeś. Nigdy o nic nie prosiłeś *madame*. Nie prosiłeś o nic kobiet, które wybierały ciebie, nie mnie. Nigdy o nic nie musiałeś prosić. Czegokolwiek chciałeś, myśmy o to walczyli.

Ból upadłego anioła. Czas, by to zakończyć.

- Obiecałeś zaopiekować się Annę.

- Obiecałem.

Gabriel nigdy nie łamał danego słowa.

- A więc masz swoją zapłatę.

W głębi serca, gdzie kryły się jeszcze okruchy człowieczeństwa,



poczuł satysfakcję.

Stary człowiek przestał się uśmiechać. Wiedział już, że umrze.

Zdawało się, że czas przestał płynąć. Żal było umierać, lecz śmierć przynosiła przecież wolność.

Michael powoli odciągnął kurek rewolweru. Jakby echem odpowiedział szcęk innego odciąganego kurka.

Śmierć.

Nieoczekiwanie na twarzy starca pojawił się wyraz rozbawienia.

- Michael, chyba mnie nie zabijesz. A może...? Czy zdołasz zamordować człowieka, który dał ci życie? Czy zamordujesz

280

własnego ojca?

Jego matka i... stryj? Michael zawahał się.

Życie nauczyło go, że wszystko jest możliwe. Jego matka była śliczną blondynką. Pełną życia. Zawsze roześmianą.

Taką jak Dianę.

Być może pokochała tego człowieka.

Bardziej niż męża.

Bardziej niż swoje dzieci.

Być może spotkają się w piekle.

Zaczął w myślach liczyć. Raz...

- Michael,

nie

rób

tego!

Inny głos... Głos Franka.

Człowiek z piekła rodem wyciągnął dłoń, którą trzymał za wózkiem inwalidzkim swego pana.

Michael nawet nie popatrzył w wycelowaną w siebie broń; była taka sama jak jego. Taka sama, jakiej nacisk czuł na lewej skroni. Zarówno kolty, jak i adamsy mogły się samoładować do prowadzenia ciągłego ognia. W pomieszczeniu oba typy rewolweru były równie zabójcze. Spojrzał Frankowi w oczy.

Jego oblicze nie było już martwe. Malował się na nim strach.

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Jezu! Czyżby ten człowiek z piekła rodem kochał swego pana?

Michaela ogarnęła ponura radość.

- Frank, umiera się raz. Sprawdźmy, czyja kula pierwsza trafi.

Twoja, Gabriela czy moja.

Przeniósł wzrok na hrabiego. Dwa...

- To nie on spowodował wypadek, w którym zginęła twoja rodzina. -

Na słowa Franka starzec nie okazał zdziwienia. – Ja to zrobiłem!

Michael obojętnie obserwował hrabiego.

- Dlaczego ich zabiłeś, Frank?

- Właśnie, powiedz mu, Frank.

Hrabia nie potrafił ukryć radości, jaką sprawiało mu odebranie komuś życia.

- To ja przeciąłem lejce.

W końcu prawda wyszła na jaw.

Michael pamiętał głuchy stukot końskich kopyt. Pamiętał grozę,

281

która go ogarnęła, kiedy ojciec wyrwał mu z rąk lejce. Przenikliwy

krzyk dziewczynek. Krzyk matki. I straszliwą ciszę, która zapadła,

kiedy powóz runął z urwiska.

- Dlaczego? - zapytał schrypniętym głosem.

- Byłem włóczęgą- wyjaśnił Frank. - Twój ojciec mnie zatrudnił.

Dzień później nakrył mnie, jak podczas pracy piłem. Natychmiast mnie

zwolnił. Wiedziałem, że wybiera się na piknik. Nadciąłem lejce.

To nie broń w ręku Michaela tak dużo ważyła. Patrzył na starca.

Hrabia nie ukrywał satysfakcji.

- Wiedziałeś... - wycedził przez zęby Michael. - Wiedziałeś, że to

Frank ich zabił, ale winą obarczyłeś mnie.

- Bo to ty ją zabiłeś. - Hrabia najwyraźniej napawał się tą chwilą. -

Wcale nie chciała jechać na piknik. Miała się wykręcić od tego drobną

niedyspozycją. Jednak w ostatniej chwili postanowiła towarzyszyć

temu niedołodze, twojemu ojcu, i twoim smarkatym siostrzyczkom.

Kiedy pojawiłem się w domu mego brata, Frank właśnie wytrzeźwiał.

Błagał, bym ruszył im na pomoc. Gdyby nie twoja matka, wcale bym

się nie śpieszył. Ale, niestety, była w tym powozie. Mogłem ją

uratować, ale ona w ostatniej chwili rzuciła mi ciebie w ramiona. Tak,

kochałem twoją matkę, ale ona wybrała twoje życie. To ty ją zabiłeś. A

ja do dzisiaj nie pogodziłem się z jej śmiercią.

Michael sądził, że nic już go w życiu nie zdziwi. Grubo się mylił.

Zginęło tylu ludzi... z powodu macierzyńskiej miłości. Hrabia pochylił się w wózku; zatrzeszczało drewno.

- Michael, nikogo jeszcze nie zabiłeś. Ja zabijałem, zanim pojawiłeś się na świecie. Jedni nazywają to ekspansją, inni supremacją Boga, ale tak naprawdę wojna to sport dżentelmenów. Bez trudu mogłem cię zlikwidować, ale chciałem, byś poznał, jak to jest, kiedy ukochana kobieta odrzuca twoje uczucie. Czekałem zatem i obserwowałem.

Byłeś tylko pionkiem w grze, prawda, bratanku? Jak się czułeś, kiedy lady Wenterton odwróciła się od ciebie? Poparzyłeś się, ratując ją, kiedy postanowiła uciec przed życiem z tobą. Jakże się wtedy cieszyłem.

Cieszyłem się twoim cierpieniem. Na własnej skórze przekonałeś się, jak to jest, kiedy kobieta cię rzuca, kiedy umiera, a ty nie możesz temu zaradzić.

Wiedziałem jednak, że któregoś dnia podźwigniesz się. Wiedziałem, że męska dziwka, jaką jesteś, znów się zakocha. Wyobraź sobie moją

282

radość, kiedy panna Aimes zwróciła na ciebie uwagę. Wyobraź sobie, jak się czułem, kiedy przyszło ci wybierać między mną a nią.

Wiem, że pragniesz mnie zabić. Ciesz się, Michael. Naciśnij spust, wiedząc, że jesteś dokładnie taki sam jak ja.

Michael skończył liczyć. Trzy...

Powiew powietrza, szept pocałunku.

To Gabriel, który nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy, pocałował go w poparzony policzek.

Pocałunek wysłannika śmierci.

- To za ciebie, Michael - szepnął.

Ogłuszający huk poraził uszy Michaela. Głowa hrabiego rozprysnęła się.

Kula nie pochodziła z rewolweru Michaela.

Frank stał jak skamieniały. Michael patrzył na jego twarz, z której odpłynęła krew.

Kolejny pionek w grze.

Jego białą jak kreda twarz znaczyły ślady krwi hrabiego. Po czarnej liberii spływała szara substancja.

Trwające dwadzieścia dziewięć lat piekło skończyło się.

Ramię Franka opadło. Michael opuścił broń.

Gabriel dał krok do tyłu... wysłaniec Boga, nie człowieka.

- I tak umierał. - Frank wpatrywał się tępym wzrokiem w zwłoki starca, który wszystkimi nimi rządził. – Odszedłby w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

Michael prawie czuł współczucie do tego żalosego człowieka.

Frank uniósł głowę i popatrzył na Michaela.

Jego twarz nie wyrażała najmniejszego żalu. Żadnych wyrzutów sumienia, że odebrał życie.

- Nie

był

twoim

ojcem

-

powiedział

tępo.

Michael wierzył mu.

- Twoja matka wcale go nie kochała. I tego właśnie nie mógł ci wybaczyć.

Annę zapewne ma rację. Starzec był szalony. Zjawi się policja. Co zezna Frank? Co zezna Gabriel?

Michael odwrócił się i ruszył ku drzwiom, przy których czekał Gabriel.

- Kucharka. - Na dźwięk słów Franka zatrzymał się w półkroku. -

283

Nazywa się Ghetty. Pod materacem mego łóżka jest list.

Hrabia dał służbie wolne, aby...

Aby bez świadków zabić Michaela i jego kochankę.

- Kiedy wróci, powiedz jej, gdzie jest list. Powiedz, że przeznaczony jest dla niej. Powiedz też, że zadbałem o jej przyszłość.

- Sam jej to powiesz - rzekł Michael.

- Prawnik hrabiego ma zapieczętowaną kopertę, a w niej poświadczony zeznanie, w którym przyznaję się do nadcięcia lejców, co doprowadziło do śmierci twojej rodziny. Prawnik zostawił też instrukcję, iż kopertę należy otworzyć w przypadku jego nagłej

śmierci. Są tam też listy opisujące wszystkie inne moje zbrodnie, jakich dopuściłem się w służbie u hrabiego. Ale do więzienia nie pójde.

A więc i on miał umrzeć...

Michael i Gabriel skrzyżowali spojrzenia, a następnie opuścili gabinet.

W kilka chwil później dotarł do nich odgłos wystrzału.

Dźwięk sprawiedliwości.

Nie zwolnili nawet kroku.

Przy drzwiach stał przygarbiony, osiemdziesięcioletni mężczyzna.

- Czy

mam wezwać policję, panie hrabio? - spytał.

Denby znał jeszcze ojca Michaela jako chłopca. Obserwował, jak ten dorasta, staje się mężczyzną, i był świadkiem, jak jego starszy brat zamienia się w potwora.

Czy wiedział, co ów potwór uczynił Michaelowi?

- Denby, gdzie się podziała reszta służby?

- Dostała wolne, sir. Został tylko pomocnik kredensowego.

Zachorował na odrę, więc nie wypuściłem go z domu. Ale już zdrowieje.

Czy Denby wiedział, co hrabia uczynił Annę?

- Denby, nie wydało ci się dziwne, że kiedy panna Aimes złożyła hrabiemu wizytę, nie opuściła już domu?

- Nie wiedziałem o jej wizycie, panie hrabio - odparł z godnością

starzec. -Dowiedziałem się o wszystkim dopiero wtedy, gdy pojawił się pan w towarzystwie policji. Hrabia wynajął obcego lokaja, tak że ja mogłem zaopiekować się naszym chorym i trochę odpocząć. Ostatnio miewam kłopoty związane z artretyzmem.

284

Nikt nie podejrzewałby, że śmierć osiemdziesięcioletniego służącego czy chorego pomocnika kredensowego jest nienaturalna.

I tajemnica hrabiego zostałaby zachowana.

- Denby, po policję pošlij chłopaka.

- Kiedy pojawi się inspektor, co mam mu powiedzieć, panie hrabio?

- Prawdę. Że hrabia został zabity przez Franka, który następnie strzelił sobie w głowę.

Denby zamrugał oczyma.

- Czy pan wróci, panie hrabio?

- Nie, nie wrócę.

- Jest pan ostatni z rodu.

Michael przypomniał sobie Anne umazaną czekoladą.

- Nie, Denby, jestem pierwszy z rodu.

- Co stanie się z posiadłością?

- Jestem przekonany, że hrabia pomyślał o tobie i zostawił ci jakiś depozyt. Jeśli nie, skontaktuj się ze mną za pośrednictwem panny

Aimes. Będzie wiedziała, gdzie mnie znaleźć.

Jeśli naturalnie zechce go znaleźć. Denby jednakże wiedział swoje.

- Pan jest teraz hrabią, sir. To jest pański dom. Pan przejmuje tu



obowiązki.

- Denby - rzekł łagodnie Michael. - Nie jestem hrabią. Michael

Sturges Bourne nie żyje. Nie zapominaj o tym. Jeśli inspektor będzie pytać, powiedz mu, że ród wygasł.

Denby znów zamrugął oczyma.

- Nazwisko Sturges Bourne jest bardzo stare, sir. Powszechnie szanowane. Robi pan wielki błąd, sir.

Nie będzie to pierwszy błąd Michaela.

- Kiedy wróci pani Ghetty, powiedz jej, że Frank zostawił pod materacem swego łóżka list do niej. Powiedz też, że ją kochał. Czy zrobisz to dla mnie, Denby?

- Naturalnie, sir. - Czyżby w jego oczach zalśniły łzy? A może była to tylko starcza mgiełka? - Żegnaj, sir.

Denby zamknął za Michaeliem i Gabrielem drzwi. Szczęk zawiasów rozległ się donośnym echem.

Niebo poróżowiało. W ostrym porannym powietrzu z ust Michaela unosiła się para.

- Co ci tamten człowiek zaoferował? - zapytał ze ściśniętym nagle

285

gardłem.

- Drugiego mężczyznę.

Gabriel nie musiał wdawać się w szczegóły. Zgwałciło go dwóch mężczyzn, nie jeden, jak sądził Michael.

Zimne powietrze wdzierało się do płuc.

- Gabrielu, nigdy nie prosiłeś mnie o pomoc.

Gabriel zadarł głowę i zaczął obserwować niebo, jakby czegoś na nim szukał.

- Michaelu, nie sądziłem, bym na pomoc zasługiwał.

- Kim był człowiek, który zginął w pożarze?

- Myślałeś, że nie żyję? - zapytał Gabriel.

Z jego ust też unosiły się obłoczki srebrzystej pary.

- Tak.

Gabriel opuścił głowę i popatrzył uważnie na przyjaciela.

- Opłakiwałeś mnie?

- Tak.

- Mimo że sądziłeś, że mógłbym cię zamordować. W końcu...

- Tak.

- W zeszłym tygodniu zjawił się w moim domu Frank - wyjaśnił

Gabriel. - Miałem pannie Aimes dostarczyć list. Gdyby nie chciała dobrowolnie odwiedzić hrabiego, miałem ją tam zawieźć za pomocą wszelkich dostępnych mi środków, a ciebie o tym uprzedzić.

To wtedy właśnie hrabia planował zabicie Michaela.

- A ty ten list skopiowałeś.

- Gdyby nie udało ci się przekonać policji, by towarzyszyła ci do rezydencji hrabiego, zaden z nas już by nie żył. Hrabia przewidział każdą ewentualność.

Z wyjątkiem jednej.

Nie wziął pod uwagę przyjaźni, łączącej dwie męskie dziwki.

- To ja miałem go zabić, Gabrielu.

- Czy wiesz, że ty nie zmieniłeś się od dwudziestu siedmiu lat? Wciąż jesteś głodny, a mord zabija to uczucie. Jestem bardzo rad, że choć jeden z nas potrafi coś odczuwać. Może nienawidzisz mnie za to, co zrobiłem, ale nawet nienawiść jest lepsza od braku wszelkich uczuć.

- A więc ty nic nie czujesz, *mon vieux!* - zapytał Michael.

- Nic - odparł po prostu Gabriel.

Michael nie próbował przyjaciela do niczego przekonywać. Czasami

286

kłamstwo jest jedyną rzeczą, jaka pozwala człowiekowi żyć.

- Co teraz zrobisz, skoro twój dom spłonął? - spytał.

- Zbuduję następny.

- Sądzisz, że ten drugi mężczyzna zgłosi się do ciebie?

- Jestem przekonany.

Michael zszedł po kamiennych stopniach. Jego wierzchołek, piękny, rasowy gniadosz, spokojnie pożerał pączki na krzakach. Odciągnął zwierzę od śniadania.

- Michael...

Uniósł głowę. Gabriel stał na górze schodów, jego głowę otaczała srebrzysta aureola włosów.

- To nie ja popchnąłem wtedy Annę Aimes. Ani nie zabiłem człowieka, by zajął moje miejsce w płonącym domu. To był żebrak, którego ciało znalazłem w rynsztoku. Nie przyszło mi do głowy, że będziesz przez cały dzień grzebać w popiołach. Gdybyś nie był tak

diabelnie sentymentalny, dotarłbyś do Anne wcześniej.

Michael wsunął nogę w strzemię i wskoczył na konia.

Poczuł nagły zawrót głowy. Palił go prawy policzek.

Pocałunek anioła.

- Okłamałem cię, Gabrielu.

- Jestem pod wrażeniem, *monfrere*. Gabriel znów skrył się w swojej skorupie.

- Powiedziałem ci, że tamten człowiek zabił wszystkich, których kochałem. To nieprawda, bo ty żyjesz.

Uderzył konia piętami i ruszył w drogę.

Gabriel poradzi sobie. Bez trudu dostanie się do Londynu. Ale co zrobi Anne? Powiedział, aby następnego dnia pojawiła się w Londynie w celu unieważnienia kontraktu, a on nie będzie zgłaszać sprzeciwu.

Brama stała otworem, tak jak ją zostawił. Przed domem, na koźle jednokonnego krytego powozu siedział stangret, wpatrujący się nieruchomym wzrokiem w przestrzeń. Obok konia stał parobek.

Wałach potrząsał głową, grzebał kopytem w ziemi i ogonem oganiał się od much.

Serce Michaela biło bardzo szybko, szybciej, niż przez głowę przechodziły myśli.

Jego stara panna była przekonana, że ją wykorzystał. I wykorzystał.

Była przekonana, że zabił swego stryja. I o mało tego nie zrobił.

287

Parobek popatrzył w jego stronę.

- Panna Aimes poleciła mi zająć się pańskim koniem, sir -

powiedział.

Rzucając mu uzdę, Michael zeskoczył na ziemię i otworzył drzwi

powozu.

Siedziała w nim Annę, przyciskając skromnie stopę do stopy. Miała

na sobie czarny wełniany płaszcz i czarny czepek. Na kolanach

trzymała piknikowy koszyk. W jej oczach nie było potępienia.

- Nie żyje?

- Tak.

- Pomyślałam, że przyda ci się transport do Londynu. - Głos miała

bardziej matowy niż zazwyczaj, uprzejmy, jak tamtego wieczoru w

domu schadzek. Dłonie zaciskała na rączce koszyka. - Nie jest to mój

najlepszy pojazd, ale bardzo wygodny.

- Zamierzasz mi towarzyszyć?

- Tak. - Zadarła brodę, jakby spodziewając się sprzeciwów z jego

strony. - Wiąże nas przecież kontrakt.

Do licha! Pragnie jej wcale nie ze względu na ten przeklęty kontrakt.

Weźmie jednak to, co może wziąć.

Zanim Annę mogłaby zmienić zdanie, wskoczył do powozu i

zatrzasnął za sobą drzwi. Pojazd szarpnął, trochę się cofnął, znów ruszył

do przodu i zgrzytając kołami po żwirze, zatoczył koło.

Michael spoglądał przed siebie, na czarną skórzaną wykładzinę

powozu. Annę przyciskała biodro do jego biodra.

Teraz już nie mógł kłamać.

- Nie zabiłem go.

- Powiedziałaś, że nie żyje.

- Zrobił to Gabriel.

Prawie słyszał, jak Annę układa sobie w myślach kolejność zdarzeń.

- Czy to on mnie wtedy popchnął?

- Nie.

- Kocha cię.

Pod powiekami Michael poczuł łzy.

- Wiem. - I nie chcąc ciągnąć tego tematu, zapytał: - Co jest w koszyku?

- Batony czekoladowe i banany - odpowiedziała Annę sztucznym głosem. - Powozem jedzie się długo do Londynu. Pomyślałam, że

288

pewno zgłodniejesz.

Poczuł, że w piersiach wszystko mu się kotłuje.

Śmiech. Łzy.

Chciał wypłakać wszystkie łzy, które gromadziły się w nim przez dwadzieścia dziewięć lat.

I nagle zapragnął czekolady, jak tamten jedenastoletni chłopiec.

To już był naprawdę koniec.

Tamten człowiek umarł, a Michael żył. Nagły skurcz w jądrach uświadomił mu, jak bardzo jest żywy.

Wyciągnął ręce i posadził sobie Annę na kolanach. Otoczył ją ramionami i wtulił twarz w jej szyję. Poczuł, że pod ubraniem

pachnącym środkiem czyszczącym jej skóra lekko pachnie czekoladą;

pachnie jej namiętnością oraz namiętnością jego.

- Masz rację. Czas na śniadanie.